

KAREN KINGSBURY

OCALIĆ ŻYCIE

POLWEN

Bohaterka tej książki, Maria Magdalena naszych czasów, przeszła piekło na ziemi. Przez całe lata cierpiała, coraz bardziej pograżając się w rozpacz. Coraz mocniej pragnęła śmierci, ponieważ sądziła, że tylko kres życia może ją wyzwolić z koszmaru. A jednak zwyciężyła: ocalała nie tylko swe życie, lecz także swą duszę.

Powieść porusza problemy molestowania, wiarołomstwa, rozwiązłości seksualnej. Wszyscy cierpimy i będziemy cierpieć z powodu rozmaitych rzeczy, które nas dręczą – lęków, wątpliwości, samotności, nałogów. I wszyscy potrzebujemy ratunku.



ISBN 978-83-7557-038-0



9 788375 570380

65 1 2410
29.90zł

KAREN KINGSBURY

OCALIĆ ŻYCIE

Tłumaczył: Krzysztof Bednarek



Polskie Wydawnictwo Encyklopedyczne
Radom 2008

Z listów Czytelniczek do Autorki

Pani książki zmieniły moje życie! Pomogła mi Pani na nowo odnaleźć Boga, za co stokrotnie Pani dziękuję. Wczoraj, w ciągu jednego dnia, przeczytałam najnowszą powieść Pani autorstwa - i do tej pory jestem głęboko poruszona. PISZE PANI WSPANIAŁE KSIĄŻKI! Nie mogę doczekać się następnej. Kończę już - będę teraz czytać Biblię. Jeszcze raz dziękuję. Odnalazłam BOGA!

Kelly

Niedawno odkryłam Pani książki i od tej pory pochłaniam jedną za drugą. Za każdym razem czuję, że Bóg uczy mnie czegoś za ich pośrednictwem.

Rosemary

Jeszcze nigdy nie natrafiłam na autorkę, która potrafi na przemian mnie rozśmieszać i wzruszać do łez!

Sarah

Uwielbiam czytać i muszę powiedzieć, że ostatnio trudno mi się skupić na lekturze czegokolwiek, co nie wyszło spod Pani pióra. Pani książki zmieniły moje życie.

Rachel

Całe życie tęskniłam za właśnie takimi książkami, jakie Pani pisze.

Urom

Nigdy nie przepadałam za czytaniem. Dopiero Pani książki mnie do tego zachęciły.

Kara

Dziękuję Pani z całego serca. Pani powieści skierowały mnie z powrotem ku Bogu!

Stephanie

Podziękowania

Oto dzięki Bożemu natchnieniu napisałam dla Ciebie książkę. A także dzięki pomocy wielu ludzi. Na początek chciałabym podziękować moim wspaniałym przyjaciołom z wydawnictwa Tyndale; w szczególności naszej nowej kierownicze działu powieści, Karen Watson, która współpracowała ze mną intensywnie przy realizacji tego przedsięwzięcia, wymagającego mnóstwa pracy. Specjalne podziękowania kieruję także do moich koleżanek i kolegów z działu sprzedaży i marketingu naszego wydawnictwa. Czuję się zaszczycona tym, że mogę z Wami wszystkimi współpracować.

Chciałabym także serdecznie podziękować mojemu agentowi, Rickowi Christianowi, prezesowi Alive Communications. Z każdym dniem jestem pod coraz większym wrażeniem Pańskiej niezłomnej postawy, Panie Ricku, Pańskich zdolności, wreszcie pracy, jaką Pan wykonuje, aby moje powieści, których zadaniem jest wywieranie wpływu na Czytelniczki i Czytelników, dostarczanie im impulsu do zmiany sposobu życia na lepszy, trafiały do jak największej rzeszy ludzi na całym świecie. Jest Pan prawdziwym narzędziem w rękach

Boga, Panie Ricku. Troszczy się Pan o mój sukces jako autorki z takim zapalem, jakby odpowiadał Pan osobiście za dusze wszystkich, do których za pośrednictwem moich książek Bóg może przemówić. Dziękuję Panu także i za to, że dba Pan, abym miała czas dla rodziny, dla męża i dzieci. Gdyby nie Pan, nie zdołałabym tego wszystkiego dokonać.

Mąż i dzieci także pomogli mi, jak zwykle, w ukończeniu kolejnej powieści - bez zmrużenia oka jedli kanapki i kupowane tortille, kiedy byłam pod presją wpływającego terminu, a kiedy przesiadywałam przy komputerze do późnych godzin nocnych, przynosili mi pieczone kurczaki z warzywami, żebym miała siłę myśleć. Dziękuję Wam za zrozumienie, za to, że akceptujecie mój niekiedy zwariowany sposób życia i że zawsze jesteście dla mnie największym oparciem.

Bardzo dziękuję mojemu jednemu bratu, Dave'owi, który pomagał mi w zbieraniu materiałów na temat Waszyngtonu, kiedy rozpoczynałam pracę nad niniejszą książką. 1 października 2005 roku, gdy już na dobre zabrałam się do redagowania ukończonego tekstu, Dave zmarł nagle we śnie, w wieku trzydziestu dziewięciu lat. Nie spodziewaliśmy się tego; wszyscy będziemy bardzo za nim tęsknić. Akurat w ciągu kilku tygodni przed śmiercią Dave doszedł do znacznie głębszej niż wcześniej wiary. A jego ulubioną piosenką stała się „I Can Only Imagine” MercyMe. „Mogę sobie tylko wyobrazać”... Cóż, Dave, już nie musisz sobie wyobrazać. Brak nam

Ciebie, ale z drugiej strony cieszymy się, że jesteś teraz bezpieczny w ramionach Pana.

Chciałabym również podziękować mojej matce i jednocześnie asystentce, Anne Kingsbury, za wielką wrażliwość i miłość do moich Czytelników. A także Katie Johnson, która w wielu aspektach kieruje moim życiem. Serce, które obie wkładacie w swoją pracę, nadaje mojej posłudze bardziej osobisty wymiar - i to jest dla mnie bezcenne. Dziękuję Wam z całego serca.

Na koniec chciałabym podziękować moim przyjaciołom i całej mojej rodzinie. Otaczacie mnie wszyscy miłością i modlitwą, dajecie mi oparcie, szczególnie teraz, kiedy jestem w żałobie po śmierci brata.

Największe podziękowania ofiarowuję Bogu Wszechmogącemu, najwspanialszemu Autorowi, Autorowi życia. Wszelki talent pochodzi od Ciebie. Modłę się, abym do końca życia miała tę niezwykłą i wiążącą się z wielką odpowiedzialnością sposobność spożytkowywania talentu w służbie Tobie.

Książkę tę dedykuję:

Pamięci Marii Magdaleny - kobiety, która rozumiała boskość Jezusa Chrystusa i wierzyła w nią...

Pamięci mojego brata, Davida, który zdawał sobie sprawę z wagi przedsięwzięcia, którego się podjęłam, i pomógł mi je zrealizować.

A także:

Donaldowi, mojemu księciu z bajki,

Kelsey, mojej ukochanej córce,

Tylerowi, mojej najpiękniejszej pieśni,

Seanowi, mojemu cudownemu synowi,

Joshowi, mojemu ukochanemu delikatnemu twardzielowi,

EJ, mojemu Wybranemu,

Austinowi, mojemu dziecku - cudowi.

I Bogu, Wszchemogącemu Stwórcy, Autorowi życia, który obsypał mnie darami wymienionymi przeze mnie wyżej.

Od Autorki

Historia oraz Pismo Święte dostarczają nam bardzo niewiele informacji o prawdziwej Marii Magdalenie - kobiecie, której postać tak bardzo fascynuje ludzi naszego pokolenia, która stała się jedną z ikon kulturowych. Powszechnie się uważa, że Maria Magdalena była prostytutką, jednak wbrew pozorom nie ma na to dowodów. Kompletnie zaś pozbawione podstaw są sugestie, jakoby jej relacja z Jezusem Chrystusem wykraczała poza więź łączącą mistrza i jego uczennicę. Jeszcze mniej mądry jest - niestety dość powszechny - wymysł, że być może Maria Magdalena została żoną Jezusa. To rzecz jasna po prostu nieprawda, a z punktu widzenia Biblii - herezja.

Kim w rzeczywistości była Maria Magdalena?

Pismo Święte mówi nam wyraźnie, że Jezus uwolnił ją od siedmiu złych duchów (Łk 8,2). Nie wiadomo, co to były za duchy. W każdym razie ewangelista Łukasz informuje nas, że kiedy Maria Magdalena została od nich uwolniona, zaczęła wspierać Jezusa materialnie; podobnie stało się z grupą innych kobiet (Łk 8, 1-3). Można więc powiedzieć, że w istotny sposób pomogły

Jezusowi w Jego posłudze, w rozpowszechnieniu głoszonych przez Niego nauk.

Wiemy także, że Maria Magdalena nie opuściła Jezusa podczas Jego męki, pozostała przy Nim aż do końca. Była jedną z kobiet obecnych u stóp krzyża, widziała, jak jej Zbawiciel umiera w wielkim cierpieniu (Mt 27,56; Mk 15, 40-41; J19, 25). Ponadto ewangeliści przekazują nam, że Maria Magdalena była jedną z kilku kobiet, które pamiętnego niedzielnego poranka udały się do grobu Jezusa, aby namaścić jego ciało wonnościami (Mk 16, 1-9).

Być może najwięcej mówi nam ewangelista Jan w rozdziale 20, wersety 1-18. Oto w dniu zmartwychwstania Chrystusa, kiedy okazało się, że Jego grób jest pusty, Maria Magdalena nie poszła tak jak inni do domu, tylko została u wejścia do grobu i płakała.

Piszę powieści, w których ważną rolę odgrywają uczucia, i być może dlatego najbardziej porusza mnie właśnie ten ostatni z odnoszących się bezpośrednio do Marii Magdaleny fragmentów Ewangelii. Owa kobieta w pewnym momencie znajdowała się we władaniu sił ciemności. Chrystus wybawił ją z tego stanu; tylko Bóg potrafi dokonać czegoś takiego. Po tym wydarzeniu Maria Magdalena całkowicie poświęciła się Jezusowi, przeznaczyła dla Niego nie tylko cały swój czas, lecz także środki materialne; była mu oddana ze wszystkich sił. Kiedy Chrystus poniósł śmierć na krzyżu, a potem - jak początkowo sądziła - Jego ciało zostało wykradzione z grobu, czuła się, jakby cały jej świat się zawalił.

Była głęboko zrozpaczona.

Jezus wiedział o tym, tak samo jak wie, kiedy my jesteśmy pogrążeni w rozpacz. Współczuł jej, dlatego posłał do niej dwóch aniołów, żeby ją pocieszyli. Aniołowie spyтали Marię, dlaczego płacze. „Zabrano Pana mego i nie wiem, gdzie Go położono” - odpowiedziała.

Musiała usłyszeć, że ktoś za nią stoi, gdyż odwróciła się - a za nią stał Jezus. Była tak zaszokowana Jego widokiem, że początkowo Go nie rozpoznała. A potem, kiedy to nastąpiło, na pewno podbiegła do niego, ujęła Go za rękę, a może próbowała przytulić?

Nawet w owej chwili, kiedy być może najbardziej bezpośrednio okazali sobie przyjaźń, Jezus nie ukrywał, kim jest ani po co przyszedł na ziemię. „Nie zatrzymuj Mnie - odezwał się - jeszcze bowiem nie wstąpiłem do Ojca. Natomiast udaj się do moich braci i powiedz im: »Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego oraz do Boga mego i Boga waszego«”.

Można to zrozumieć w ten sposób, że Jezus nauczył Marię Magdalenę, aby Go nie przytulała, ponieważ to, co się działo, nie dotyczyło ich dwojga, ale wszystkich ludzi. Polecił jej przekazać pozostałym uczniom, że zmartwychwstał i że powraca do Boga Ojca, zgodnie ze swoimi zapowiedziami. Nie oznacza to, że gniewał się na Marię Magdalenę. Troszczył się o nią na tyle, że to właśnie do niej wysłał aniołów, by powiadomić o swoim zmartwychwstaniu najpierw ją, a nie innych uczniów czy też jakichś wpływowych ludzi, którym przecież mógł się ukazać.

Jednoznacznie natomiast wyjaśnił Marii Magdalenie, kim dla niej jest. Nie ukochanym, ale Panem. Przyjacielem, ale i Ojcem.

Właśnie ta sprawa zastanawia dziś wielu ludzi - charakter relacji pomiędzy Chrystusem i Marią Magdaleną.

Niniejsza książka to historia Marii Magdaleny osadzona w realiach współczesnych. Pozwoliłam sobie na wymyślenie (to nieuniknione - pisząc powieść, tworzy się fikcję), jakiego rodzaju demony czy też dramaty mogły ją dręczyć. W mojej książce bohaterka cierpi między innymi z powodu maltretowania jej na różne sposoby przez bliźnich, zanim zostanie od swoich dramatów uwolniona. Niektóre fragmenty tej powieści mogą być przykre w czytaniu, choć nie uciekałam się do opisów detali fizycznych. W każdym razie czytając, można poczuć skurcz w żołądku na myśl o tym, jakich cierpień doznawała moja bohaterka, współczesna Maria Magdalena.

Być może, Droga Czytelniczko lub Drogi Czytelniku, nie masz ochoty czytać powieści, która porusza problemy molestowania, wiarołomstwa czy rozwiązłości seksualnej. Jednak dopóki istnieje nieprzyjaciel naszych dusz, wszyscy cierpimy i będziemy cierpieć z powodu rozmaitych rzeczy, które nas dręczą - lęków, wątpliwości, samotności, nałogów, grzesznego stylu życia. I wszyscy potrzebujemy ratunku. A moc uratowania nas od tego wszystkiego ma jedynie On.

Boski Jezus Chrystus.

Opowiadam o współczesnej Marii Magdalenie z jednego powodu: jej historia odnosi się do każdej i każdego z nas.

Dostrzegam w jej postaci wiele ze mnie samej i modłę się, abyś i Ty zobaczyła czy zobaczył w niej swoje własne cechy. Miotamy się, padamy ofiarą demonów - grzechu i lęku - ulegamy ciemnym stronom tego świata, zamykamy się w pułapce własnej niedoskonałości, zabiegamy o rzeczy pozbawione wartości. Do czasu, aż spotkamy i poznamy Jezusa. Kiedy to następuje, Chrystus wyzwala nas, ratuje i ofiarowuje nam niezwykłą, najważniejszą w życiu szansę - możliwość podążania za Nim do końca naszych dni, sposobność ofiarowania Mu naszego życia i posiadanych środków ku Jego większej chwale.

Postępowania tak, jak Maria Magdalena.

1



- A teraz - odezwał się do mikrofonu marszałek - chciałbym zaprosić na mównicę panią Mary Madison. - Ton jego głosu był uroczysty. - To dla mnie wielki zaszczyt!

Na auli zapanowała cisza. Licznie zebrani senatorowie, amerykańscy prawodawcy, skupili spojrzenia na Mary. Wstała i z wyćwiczoną gracją podeszła do mównicy.

Mary Madison miała dopiero trzydzieści lat, choć dawniej zdarzało się jej czuć, jak gdyby była stuletnią staruszką. W tej chwili, na moment przed swoim wystąpieniem, trzymając w ręku uporządkowane notatki, czuła przepelniający ją spokój. Nie była w stanie zliczyć, ile razy wypowiadała się już z trybuny amerykańskiego Senatu. Była przyzwyczajona do woni wiekowych ksiąg, zapachu szlachetnego drewna, stukotu obcasów swoich butów, kiedy szła po marmurowej posadzce.

Przez salę przeszedł szmer oznaczający aplauz. Najbardziej prominentne i wpływowe osobistości waszyngtońskiej polityki życzliwie witały mijającą je Mary, kilku senatorów nawet się do niej uśmiechnęło. Już od pięciu lat wypowiadała się przed komisjami senackimi i znała

mijane twarze, podobnie jak sama nie była obca amerykańskim prawodawcom. Traktowali ją jako osobę, która przemawia głosem wiary połączonej z rozumem, kobietę o jasno sprecyzowanych poglądach - poglądach, z którymi wielu z nich się nie zgadzało - której wypowiedzi należy słuchać. Troszczyli się o jej słowa z jednego powodu - dobrze znali historię jej życia.

Każdy z senatorów znał szczegóły koszarnej przeszłości Mary Madison, pamiętał jej publiczne upokorzenie. Zdawał sobie sprawę z tego, ile wycierpiała. Wszyscy dobrze wiedzieli również o jej determinacji, uporze, byli świadkami tego, jak obecnie Mary idzie naprzód z podniesioną głową. Nie tylko udało się jej ukończyć studia wyższe, ale ostatnio nawet obroniła doktorat z psychologii, specjalizując się w terapii rodzinnej.

Postrzegano ją teraz jako jedną z najbardziej widocznych osób w Waszyngtonie, jako człowieka o nieskazitelnej postawie etycznej. Mogłaby zarabiać krocie, prowadząc program w którymś z najpopularniejszych kanałów telewizyjnych albo pisząc książki i prowadząc prywatną praktykę. Poświęciła się jednak prowadzeniu pięciu założonych przez siebie schronisk dla maltretowanych kobiet. Pracy społecznej, jak to nazywano. Niegdyś była ofiarą; udało się jej przeżyć, przetrwać, a teraz walczyła dalej, pomagając innym. Politycy wiedzieli o tym i szanowali ją za to. Zapraszali ją do Senatu, kiedy w dyskusji nad jakąś ustawą wpływał moralny aspekt zagadnienia i chcieli, aby wypowiedział się jakiś autorytet.

Tego dnia rozprawiano o wstrzeźliwości.

A ściślej o uchwalonej na początku kadencji obecnego prezydenta ustawie, na mocy której sfinansowano z kasy państwowej trzyletni program promowania w szkołach publicznych abstynencji seksualnej. Trzeci rok realizacji programu zbliżał się do końca, wyczerpywały się także przydzielone na niego środki. Cel Mary był wyraźnie określony - pragnęła przekonać senatorów, żeby uchwalili finansowanie programu przez kolejne trzy lata.

- Dzień dobry państwu - odezwała się przez mikrofon, chwytając się krawędzi mównicy i nawiązując kontakt wzrokowy najpierw z najbliższymi senatorami, a później z tymi z dalszych rzędów. - Przed z górą dwoma laty stałam w tym samym miejscu, przekonując panie i panów senatorów, że nadszedł czas na zmiany - zaczęła. Spojrzała teraz w bok, na twarze tych, którzy siedzieli w pobliżu lewych drzwi. - Zgodzili się państwo ze mną i ustanowili na mocy specjalnej ustawy program, dzięki któremu spadła liczba niechcianych ciąż u nastolatków w całym kraju - w głosie Mary brzmiała wielka powaga, płynąca z głębi jej serca. - Dziś przyszedł czas, aby powiedzieć, że bitwa dopiero się rozpoczęła i musimy - musimy! - wciąż uświadamiać naszym dzieciom, że mają możliwość powiedzieć „nie”.

Na twarzach senatorów widać było skupienie, mimo że przed Mary występowały dwie osoby, które ostro skrytykowały program jako słabo zawołowaną doktrynę religijną.

Mary zajrzała w notatki. Statystyki mówiły same za siebie. Przez następne pięć minut odczytywała dane. Oto

liczba pozamałżeńskich ciąż u nastolatków spadła o czterdzieści procent. Ośmioro na dziesięciuro objętych programem uczniów zdecydowało się poczekać z podjęciem współżycia seksualnego aż do ślubu. Liczba stwierdzonych przypadków chorób przenoszonych drogą płciową spadła o dwadzieścia osiem procent...

Następnie Mary opowiedziała słuchaczom historie trojga nastolatków, dwóch dziewcząt i chłopca, z różnych regionów Stanów Zjednoczonych. Każde z nich przebywało w środowisku, w którym aktywność seksualna była uznawana za coś oczywistego, i każde, wskutek oddziaływania programu promowania abstynencji seksualnej, podjęło decyzję o odłożeniu współżycia płciowego do ślubu. Mary zacytowała słowa jednej z opisywanych uczennic: „Gdyby nie nauczono mnie w szkole, że można się na to nie zgodzić, uprawiałabym seks i teraz byłabym w ciąży albo chora, albo wykorzystana przez chłopaka. A może i w ciąży, i chora, i wykorzystana?”.

- Ponad dziewięćdziesiąt procent kobiet, które trafiły do założonych przeze mnie schronisk, było aktywnych seksualnie jako nastolatki! - rzuciła dobitnie Mary, chwytając mocniej krawędzie mównicy. - Kobiety, które decydują się na abstynencję, to kobiety zdrowe pod każdym względem; tak samo jest z mężczyznami. Podejmując decyzję o wstrzemięźliwości seksualnej do chwili ślubu, ci młodzi ludzie mówią światu, że są osobami wartościowymi, że każdy z nich jest cenny, wyjątkowy. Wszelkie inne działania, które podejmują

i od których zależy ich przyszłość, będą zgodne z wpojonym im przekonaniem.

Mary Madison zrobiła pauzę, popatrzyła w oczy senatorom siedzącym naprzeciw i przekonywała dalej:

- Proszę, zrozumcie, panie i panowie, że wyłącznie w państwa senatorskich rękach spoczywa władza udzielenia pomocy takim dzieciom naszego narodu, jak Susan. Jeszcze raz z całą powagą podkreślam, że kontynuowanie programu promocji abstynencji seksualnej jest absolutnie konieczne. Dziękuję państwu.

Marszałek ogłosił przerwę. Przez następne piętnaście minut Mary odbierała podziękowania od przychylnych jej senatorów. Znaczna liczba członków izby była przeciwna programowi, uznając go za pogwałcenie zasady rozdziału kościołów i państwa; Mary miała jednak poczucie dobrze wypełnionego zadania.

Zrobiłam, co mogłam - myślała. Bóg dokona reszty.

W dalszej kolejności zgromadzili się przy niej dziennikarze. Powtarzała wszystkim to samo:

- Warto walczyć o abstynencję seksualną dzieci i młodzieży. Rozpoczęty przed ponad dwoma laty program edukacyjny to jedyna metoda na to, aby spojrzeć naszym dzieciom w oczy i powiedzieć im, że dzięki wstrzeźliwości będą bezpieczne. Bezpieczne na ciele, duszy i psychicznie.

Udzieliwszy ostatniego wywiadu, wsiadła do samochodu i pojechała do schroniska przy ulicy S, położonego najbliższej Kapitolu. Pół godziny po jej odjeździe spod

gmachu Senatu miało się zacząć jej kolejne spotkanie. Wyjechała z parkingu, mijając równo przyszczyżone trawniki porośnięte dobrze utrzymanymi krzewami i imponujące rozmiarami i jakością architektury budynku.

Minęła kilka przecznic i krajobraz się zmienił. Soczystozielona trawa ustąpiła miejsca popękany chodnikom i brudnym rynsztokom, ogrody różane - zaśmieconym uliczkom, oszałamiające formą gmachy - zaniedbanym ceglany kamienicom, pomazanym graffiti. Teraz Mary poczuła się u siebie. Wprawdzie słuchano jej głosu i w tamtym, dostatnim świecie politycznych salonów, jednak to biedne dzielnice uznawała za swój rewir. Tutaj czuła się bardziej spełniona. Szczególnie tego dnia. Właśnie miała spotkać się z młodą kobietą, która zamierzała odebrać sobie życie. Miała dwie małe córeczki i uciekła od maltretującego ją chłopaka. W wieku dwudziestu trzech lat uznała, że w życiu nie spotka już nic dobrego.

Panie Boże, natchnij mnie odpowiednimi słowami, tak jak zawsze robisz... - pomodliła się bezgłośnie Mary, odruchowo mocniej ściskając kierownicę.

„Wystarczy ci mojej łaski, córko” - usłyszała w myślach. Poczła, że te słowa ją umocniły.

Przy najbliższym skrzyżowaniu zobaczyła grupkę wytatuowanych, obwieszonych łańcuchami nastolatków w obcisłych białych koszulkach. Wyglądali na agresywnych.

Spostrzegli samochód Mary i wtedy dwóch z nich zamachało do niej, uśmiechając się. Znała ich. Byli stałymi

gośćmi ośrodka dla trudnej młodzieży, który także założyła i na który wywalczyła fundusze.

- Cześć, Mary! - zawołał jeden z chłopców. Mary akurat zatrzymała samochód na czerwonym świetle, opuściła więc szybę i zagadnęła:

- Wszystko w porządku?

- Możesz na nas liczyć! - odpowiedział chłopak. Inny zasalutował jej. Uśmiechnęła się na ten żartobliwy gest. Przed tygodniem ów młody człowiek oznajmił jej, że postanowił regularnie przychodzić do ośrodka na spotkania biblijne. *Ocaliłam kolejne życie przed ulicą* - myślała Mary.

Zapaliło się zielone światło.

- Wpadajcie do mnie co jakiś czas! - zachęciła, machając na pożegnanie.

- Będziemy wpadać!

Ruszyła w stronę schroniska dla kobiet, które znajdowało się trzy przecznice dalej, po lewej. Zorganizowała je w starej czteropiętrowej kamienicy. Trzy górne piętra zajmowały mieszkania. Na parterze był pokój do wypoczynku, biblioteka, kuchnia, żłobek, pokoje biurowe i gabinety, w których odbywały się rozmowy. Na pierwszym piętrze zmieściła się siłownia, sale do prowadzenia zajęć oraz duże pomieszczenie, gdzie odprawiano nabożeństwa.

Mary zaparkowała toyotę na stałym miejscu na tyłach ośrodka i weszła do budynku drzwiami od zaplecza. Uwielbiała to schronisko. Było jej ukochanym dzieckiem, celem jej życia, powodem, dla którego Chrystus ją ocalił. Popa-

trzymała w stronę słońca, mrużąc oczy, i pomodliła się: *Proszę Cię, Panie, użyj mnie jako narzędzia, które pomoże odmienić życie tej kobiety. Daj jej coś, co sprawi, że postanowi pozostać na tym świecie, na dobre powrócić pomiędzy ludzi. Daj jej życiowy cel.*

Stała przy biurku recepcjonistki. Leah Hamilton pracowała przy komputerze.

- Jak ci poszło? - zapytała z ciekawością, podnosząc wzrok.

- Bardzo dobrze - odpowiedziała Mary. Podniosła z biurka stosik zaadresowanych do niej listów. - Głosowanie zostało odłożone na później. Myślę, że uchwałę dalsze finansowanie programu - oceniła. - Czy ona już przysłała? - zmieniła temat, rozglądając się.

- W tej chwili zapisuje swoje dzieci do żłobka.

Leah była dobrą i piękną dziewiętnastoletnią dziewczyną, pochodziła z zamożnej dzielnicy po drugiej stronie rzeki. Przez trzy dni w tygodniu studiowała w college'u aktorstwo i muzykę, a przez dwa pracowała jako wolontariuszka w schronisku dla kobiet. Miała niezwykłą zdolność nawiązywania kontaktu z podopiecznymi, dzięki czemu czuły się w ośrodku bezpieczniej, od chwili przekroczenia jego progów miały poczucie, że ktoś się o nie troszczy.

Najtrudniejsze było oczywiście wydobyć maltretowanych kobiet z sytuacji, w których działa im się krzywda, przekonanie ich do zamieszkania w schronisku.

- Jak ona się nazywa? - spytała Mary.

- Emma Johnson. Ma dwadzieścia trzy lata i dwie małe córeczki. - Leah zmarszczyła brwi. - Niepokoję się o nią.

- Ja także.

Mary sięgnęła po leżącą w rogu biurka teczkę z napisem „Emma”. Dyżurna psycholog, która odebrała pierwszy telefon Emmy Johnson, zapisała, że jako nastolatka Emma zaczęła brać narkotyki, a ostatnio bije ją chłopak, tak że cała jest posiniaczona i obolała. Ponadto Emma poważnie myśli o popełnieniu samobójstwa. „Czuję się jak w pułapce - powiedziała - jakbym została wtrącona do więzienia, z którego nie ma uciezki”.

Mary zamyśliła się nad odnotowaną wypowiedzią młodej kobiety. *Czuję się jak w więzieniu, z którego nie ma uciezki... Niegdyś mogłabym tak powiedzieć o sobie.*

Westchnęła. Co dzień przychodziły do waszyngtońskich schronisk dziesiątki maltretowanych kobiet. Nie mogła rozmawiać z nimi wszystkimi osobiście, porad psychologicznych udzielały więc inne kompetentne osoby.

A jednak ta Emma...

Mary włożyła teczkę pod pachę.

- Zaczekam na nią - rzuciła, wskazując ruchem głowy drzwi w głębi korytarza. - Zaprowadź, proszę, Emmę Johnson do mojego gabinetu, kiedy będzie mogła do mnie przyjść - dodała z uśmiechem.

W gabinecie znowu pochyliła się nad teczką Emmy. *Raz na jakiś czas Bóg przysyła nam osobę, której może pomóc wysłuchanie historii mojego życia - myślała Mary. Moich koszmarnych cierpień, rozpacz, a później - mojego zwycięstwa. I miłości, jaką przeżywam.*

Była przekonana, że opowieść o przemianie, jaka zaszła w niej samej oraz w jej życiu, może pomóc udręczonej Emmie Johnson.

Wstała i wyrzała przez okno na ulicę. Słońce schowało się za chmurę. Mary znowu poczuła niepokój; niekiedy wracał - niepokój, który kiedyś przepełniał ją całą. Wspomnienia koszmarnych dni, gdy sama czuła się jak w pułapce bez wyjścia, kiedy myślała, że już nie da rady. Były to czasy lęku, fałszu, cierpienia, uzależnienia, wiarołomstwa, rozwiązłości, wreszcie myśli samobójczych.

W czasach biblijnych ludzie pewnie nazwaliby ją nawiedzoną przez złe duchy. Obecnie mało kto tak mówi. W każdym razie chodzi o sytuację, w której człowiek czuje się bezradny, jak gdyby związany, nie widzi sposobu na poprawę swojego położenia.

Mary była we właśnie takiej, fatalnej sytuacji - do czasu aż spotkała na swojej drodze Jezusa.

Teraz nie była już niewolnicą siedmiu koszarów, które ją dręczyły, ale pełną energii, oddaną służebnicą Chrystusa. Czuła, jak wiele Mu zawdzięcza, i pragnęła wszelkie swoje działania ofiarować dla Niego, być Jego narzędziem. Naprawdę tak czuła.

Popatrzyła w miejsce za przepływającą chmurą. *Jakież demony, jakie koszmary dręczą Emmę Johnson?- zastanawiała się. W jaki sposób ją ratować?*

Zadrzała i westchnęła jeszcze raz. Łatwiej jej się pracowało, kiedy była cały czas zajęta, myślała o sprawach bieżących, jeździła na spotkania komisji senackich, służyła młodym ludziom z ulicy. Czasem jednak, w uzasadnionych przypadkach, Mary wracała do wspomnień o minionym ponurym okresie swojego życia. Opowiadając swoją historię, pokazywała na przykładzie, jaka jest

prawda, a przy tym myślała, że nie na próżno doznała tylu cierpień.

Poczuła ścisk w gardle. Oparła się o parapet, rozmyślając o współczesnych ludziach, o tym, jak myślą. Jezus Chrystus nie był jedynie dobrym nauczycielem ani też z pewnością nie był tylko zwykłym mężczyzną. Nie miał żony ani dzieci - nie przyszedł na ziemię po to, żeby założyć rodzinę. Narodził się, żeby wyzwolić ludzi. Wszystkich ludzi. Mary nie miała wątpliwości, że Chrystus ją wyzwolił. Jednak wiele osób nie rozumiało Jego mocy, prawdziwej, realnej mocy Jezusa.

Mary czuła, że jej zadaniem jest mówienie im o tym, jak potężny jest Chrystus. I zamierzała powiedzieć to Emmie Johnson. Nikt inny dotąd jej tego nie uświadomił.

Jezus ocalił Mary, wyzwolił ją od dręczących ją okropnych przypadłości. Gdyby to się nie stało, już by nie żyła. Żaden zwykły człowiek nie byłby w stanie dokonać czegoś podobnego. Została uratowana dzięki wielkiej mocy Boga.

Poczuła narastający niepokój. Musi ze szczegółami opowiedzieć Emmie całą swoją historię, wtedy ta młoda kobieta lepiej zrozumie, jak działa Jezus, kim jest - ten prawdziwy Jezus, którego ludzie często wcale nie znają. Była przekonana, że same koleje jej życia są dowodem na to, że Jezus z Nazaretu jest tym, za kogo się podawał: nie tylko dobrym nauczycielem czy łagodnym przywódcą, lecz także Bogiem, który przyszedł na świat w ludzkim ciele. Tylko Bóg jest w stanie odkupić kogoś takiego jak Mary, i kogoś takiego jak Emma Johnson. Wszechmogący Bóg, Pan i Zbawiciel.

Jezus. W pełni człowiek i w pełni Bóg.

2



Emma Johnson drżącą ręką wpisała do formularza imiona i wiek swoich córek. Kami miała cztery lata, a Kaitlyn - dwa. Obie malutkie dziewczynki miały delikatne rysy i brązową skórę o ślicznym odcieniu, takim samym jak odcień skóry ich matki. Emma przykucnęła i pocałowała dzieci w czołka. Oddawała córeczki do żłobka.

- Bądźcie grzeczne, żeby mama się nie martwiła - poprosiła. Dziewczynki stanęły razem w drzwiach żłobka, spoglądając nieśmiało na całe mnóstwo lalek i klocków.

- Wszystko dobrze. Możecie iść się pobawić, moje malutkie. Idźcie - zachęcała Emma.

Kami i Kaitlyn tylko jeszcze bliżej się do siebie przysunęły. Emma miała łzy w oczach. Jej córeczki były takie niewinne, nie zasłużyły na trudne życie, jakie przez nią miały. Nie powinny w tej chwili być w żłobku należą-cym do schroniska dla maltretowanych kobiet. Powinny siedzieć spokojnie w domu na kanapie i oglądać Ulicę Sezamkową, a ona powinna ich doglądać, zastanawiając się, co przygotować na obiad.

Życie jej małych dzieci toczyło się jednak inaczej. Niestety, nie przeżyły ani jednego dnia, który wyglądałby tak, jak sobie przed chwilą wyobraziła.

- Mamo - odezwała się Kami - czy tam jest tata?
Emmie ścisnęło się serce.

- N i e , maleńka. Tata jest daleko. Jesteście tu bezpieczne.

Dziewczynka uspokoiła się. Wzięła młodszą siostrzyczkę za rączkę i razem zrobiły cztery niepewne kroki, zbliżając się do zabawek. Emma wyobrażała sobie, co czuje jej starsza córeczka. Pewnie pomyślała, że skoro nie ma w pobliżu taty, być może zdąży potrzymać trochę lalkę albo zbudować z Kaitlyn wieżę z klocków. *Jak mogłam doprowadzić do takiej sytuacji?!* - rozpacziała ze łzami w oczach Emma. Zadrżała, przyciskając ręce do piersi.

- Wszystko dobrze, dziewczynki - uspokoiła.

Kami obejrzała się jeszcze raz. Przez chwilę patrzyły sobie w oczy, aż w końcu starsza córeczka Emmy ostrożnie poprowadziła młodszą do samych zabawek. Dziewczynki przyklękły, a potem Kami wzięła jedną z lalek. Przytuliła ją, zakolysała i pogłaskała po plastikowej głowie.

- Wszystko w porządku - zaszczębiotała dźwięcznym głosikiem. - Jesteś tu bezpieczna.

Po policzku Emmy spłynęła łza. Jej dzieci znajdowały się w bezpiecznym miejscu. Obejrzała się przez ramię, zerkając na korytarz i widniejące na jego końcu drzwi wejściowe. *Do czego Kami i Kaitlyn mnie potrzebują?-* zastanawiała się. *Mogę chyba wyjść z tego schroniska... Co mnie zatrzymuje? Mogę zostawić dziewczynki pod opieką pracownicy żłobka i wyjść na ulicę. Potem kupić tyle kokainy, żeby moje koszmarnie życie się zakończyło. I już. A Charlie do końca swoich dni będzie żył ze świadomością, że to przez niego umarłam. Co stanie się z Kami i Kaitlyn? Ktoś je weźmie, adoptuje.*

- Pani Emmo... - odezwał się ktoś. Odwróciła raptownie głowę i uniosła brwi.

- Słucham.

Kobieta za kontuarem była siwa i miała delikatną, pomarszczoną skórę. Patrzyła łagodnie i życzliwie; Emma już zapomniała, że ludzie mogą mieć takie cechy.

- Musi pani podpisać drugi egzemplarz formularza.

„Podpisz i uciekaj stąd!” - usłyszała w myślach.

- Dobrze - mruknęła, wyciągając rękę po długopis. Jej dłoń drżała jeszcze bardziej niż przedtem.

Po drugiej stronie pomieszczenia Kami podała Kaitlyn lalkę niemowlę. Emma podpisała formularz, a wtedy siwowłosa kobieta podeszła do jej córek, przykucnęła koło nich, a potem podała Kami drugą lalkę.

- Proszę - odezwała się delikatnie. - Teraz każda z was ma lalkę.

Pokazała na pudło w kącie sali i skinęła głową na dziewczynki. - Chodźcie - powiedziała - zobaczcie, jakie ubranka dla lalek są w tym pudle.

Córeczki popatrzyły na Emmę tak jak zwykle - z lękiem.

- Mamo... - odezwała się Kami, pokazując nieśmiało na pudło. - Możemy?...

- Tak - zapewniła, kiwając na potwierdzenie głową. - Idźcie - pokazała na pudło. - Przyjdę do was później.

Patrzyła, jak dziewczynki łapią się dłoni starszej pani. *Tak, na pewno ktoś tu dopilnuje, żeby zostały zaadoptowane przez porządnych ludzi* - myślała Emma. *Mogę stąd wyjść i nigdy więcej nie wracać. Tak będzie dobrze. Ostatni raz*

pójdę do Charliego i powiem mu, że to już koniec. Tym razem przynajmniej mi nie zagrozi, że za chwilę zrobi krzywdę dziewczynkom. Pewnie mnie pobije, ale trudno. Jeżeli mnie nie zabije, kupię sobie narkotyki i sama to zrobię. A właściwie po co chodzić do Charliego? Kupię narkotyki i za godzinę już mnie nie będzie na świecie.

- Pa - rzuciła bezbarwnym tonem Emma, robiąc krok w tył. Starsza pani spojrzała jej w oczy.

- Zaopiekuję się nimi - zapewniła. - Proszę iść na rozmowę.

Emma nie miała ochoty na żadną rozmowę, mimo że była umówiona. Miała ochotę tylko na potężną dawkę narkotyków, i to szybko. *Dlaczego właściwie tu jestem?*

- pomyślała. Skinęła głową, robiąc kolejny krok w tył.

- Nie zajmę dużo czasu... - szepnęła.

- Proszę się nie spieszyć - uspokoila starsza pani.

- Dzwoniła Leah z recepcji, Mary już na panią czeka

- uśmiechnęła się ciepło.

Mary Madison. To z jej powodu tu przyszedłem, chyba tak
- przypomniała sobie Emma. Przed kilkoma dniami Charlie w jej obecności znowu wpadł w szewską pasję. Zapragnęła, żeby ktoś jej pomógł, przygarnął choć na chwilę ją i jej córeczki, żeby nie przebywały przez cały czas z szaleńcem. Charlie pobił ją i - jak miał w zwyczaju - zostawił na podłodze, jęczącą z bólu i strachu, po czym wypadł z mieszkania. Kami i Kaitlyn płakały wniebogłosy w swoim pokoju.

Wtedy Emma wzięła dziewczynki i poszła z nimi do kolegi, jednak atmosfera w jego mieszkaniu także nie była

zdrowa. Kolega sprzedawał narkotyki i przez następne cztery dni Emma brała ich tyle, że w zasadzie cały czas była nieprzytomna. Uświadomiła sobie, że jeśli zostanie u tego kolegi jeszcze trochę dłużej, na pewno przedawkuje. Wiedziała też, że gdyby wróciła do Charliego, zabiłby ją. Tego ranka sięgnęła więc po książkę telefoniczną i znalazła wpis „Schronisko dla maltretowanych kobiet”. Bez zastanowienia wykręciła numer.

Dyżurna psycholog przez telefon odbyła z nią wstępną rozmowę i umówiła ją na spotkanie z Mary, słynną Mary Madison.

Emma odwróciła się i ruszyła przed siebie korytarzem. *To z powodu Mary Madison tu przyszedłam - myślała. Jest znana w całym kraju. Każdy wie, jak wyglądało kiedyś jej życie - przynajmniej mniej więcej. Ciągłe pokazują Madison w wiadomościach, pomaga mieszkańcom Waszyngtonu, którzy są w potrzebie. Jest silną i piękną kobietą, której udało się wyjść z ciężkich tarapatów. Ciekawe, jak to się stało, że życie Mary Madison tak się odmieniło...* Interesowało to Emmę, ale teraz, kiedy już oddała swoje dzieci w troskliwe ręce, duża działka narkotyków, która zabierze ją ze świata, wydawała się jej bardziej kuszącą perspektywą niż spotkanie z Mary Madison.

Przystanąła trzy metry przed drzwiami. *Mam dwa-dzieścia dolców w kieszeni...* - myślała. *Mogę kupić taniego cracku, zażyć go w jakiejś pustej uliczce i za godzinę będę martwa.* Oddech Emmy przyspieszył, stał się płytszy. Jej serce zaczęło bić bardzo szybko, zbyt szybko.

„Zrób to, Emmo, skończ ze sobą - podpowiedział jej w myślach jakiś głos. - Jesteś nic niewarta. I nikomu niepotrzebna”.

Zasłoniła uszy dłońmi. Od rana nie słyszała głosów, ale znowu się odzywały.

- Przestań! - syknęła, raptownie kręcąc głową. Odczekała chwilę.

„Twoim dzieciom lepiej będzie bez ciebie. Wyjdz stąd i nie odwracaj się, Emmo. Zaraz kupisz sobie cracku. Możesz pojechać taksówką, będzie szybciej”.

Uświadomiła sobie, że spocily jej się ręce. Wytarła je o nogawki džinsów.

„Na co czekasz? Szkoda czasu - mówił głos. - Ruszaj wreszcie!” Głos zaczął na nią krzyczeć, naigrawał się z niej.

Dobrze. Pójdę i zażyję trzy razy więcej cracku niż największa dawka, jakiej próbowałam - pomyślała Emma. Nie będę więcej cierpiała w nocy, nie będę chowała się z Kami i Kaitlyn do szafy, nie będę już tęskniła za facetem, który nie umie jednocześnie mnie kochać i nie bić. Wezmę tę wielką działkę i za godzinę nie będę już tęskniła za mamą ani za Terrence'em, ani za życiem. Nigdy więcej nie będę miała koszmarów, nie będę brała narkotyków ani nie będę słyszała głosów. A Kami i Kaitlyn będą odtąd bezpieczne. Dajmy spokój Mary Madison.

Emma podeszła do drzwi i złapała za stalową rurę, która służyła za klamkę.

- Emma? - odezwał się ktoś. Emma odwróciła się i na chwilę zaparło jej dech. Zobaczyła naprzeciw siebie młodszą od niej dziewczynę, miała najwyżej ze dwadzieścia lat.

- Tak. Słucham.

- Jestem Leah Hamilton - powiedziała z uśmiechem dziewczyna, wyciągając rękę. - Pracuję tu, w recepcji.

- Aha. - Emma ledwie była w stanie wydobyć głos z gardła. *Czy ta dziewczyna ma zamiar mnie powstrzymać?* - zastanawiała się. - To dobrze - bąknęła, machinalnie wysuwając szczękę naprzód.

- Chyba pani... nie wychodzi? - spytała Leah, zerkając na dłoń Emmy, spoczywającą na uchwycie drzwi. - Mary czeka na panią. Bardzo chce panią poznać - dodała z uśmiechem.

Emma poczuła, że musi odetchnąć świeżym powietrzem. Pchnęła lekko drzwi i wzięła głęboki oddech. Nie odrywała oczu od spojrzenia Leah.

- Kiepsko się czuję - mruknęła. *Mogę przecież odejść szybko, złapać taksówkę i umrzeć* - myślała. *tak nikomu nie robi to różnicy.*

„No idź, Emmo, ucieknij stąd i nawet się nie odwracaj! - ponaglił głos w jej głowie. - Jesteś nic niewarta... Co dobrego komukolwiek przyjdzie z tego, że będziesz żyła dalej? - drwił drugi. Lepiej umrzeć, niż żyć tak, jak ty... Wszyscy, których znasz, lepiej będą się mieli bez ciebie!”
- dorzucił trzeci.

Głosy odzywały się bez przerwy, nie dawały jej spokoju. Emma otworzyła drzwi szerzej, ale Leah wyprzedziła ją i stanęła na dworze, blokując jej drogę.

- Postójmy tu razem - zaproponowała, kładąc Emmie dłoń na ramieniu. - Pierwszy raz jest zawsze najtrudniejszy.

- Tak? - bąknęła Emma. Leah była ładna. Miała w spojrzeniu coś takiego, że jej słowa trafiały do Emmy, w najciemniejsze zakamarki jej duszy.

- Łatwo przekonać siebie samą, że niepotrzebnie się tu jest, że nie jest się wartym czasu ludzi, którzy tu pracują - powiedziała Leah, patrząc jej w oczy. - Nie myślę się?

Przynajmniej głosy umilkły.

- Chyba... chyba nie - zająknęła się Emma. - Masz rację.

Skuliła się, próbując powstrzymać drżenie. *Przecież jest lato - myślała. Dwaście siedem stopni, świeci słońce. Czy ona wie, co planuję? - zastanawiała się. Czy nawet inni słyszą głosy z mojej głowy?...* Odprowadziła wzrokiem przejeżdżającą taksówkę. *Mogłam pojechać tą taksówką do innej dzielnicy, gdzie łatwo kupić narkotyki - myślała. Ale skoro Leah tu stoi... Może porozmawiam z Mary Madison, co mi szkodzi? Tytko raz. Mogę złapać taksówkę i zaćpać się na śmierć później.*

- Emmo... - szepnęła Leah, intensywnie patrząc jej w oczy. Chyba czytała z nich bardzo dużo. - Czy właśnie zostawiłaś mężczynę, który cię krzywdził?

- Parę dni temu - odpowiedziała Emma. - Przeniosłam się do... do mieszkania kolegi, a potem przyszedłam tutaj.

- Jesteś gotowa? - spytała Leah, robiąc krok w stronę drzwi.

- T a k .

Strach ścisnął Emmę za gardło. „Ty śmieciu!” - odezwał się nienawistny głos.

- Chodź - Leah wyciągnęła rękę. - Zaprowadzę cię do Mary.

- Ja nie mogę!... - jęknęła Emma, zaciskając powieki i kręcąc głową.

- Dasz radę - Leah wzięła ją za rękę i wprowadziła z powrotem do budynku.

Nagle Emma poczuła, że jej wewnętrzne zmagania minęły. Osłabła, łzy napłynęły jej do oczu. *Co ja sobie wyobrażam?! - skarciła się w duchu. Przecież nie mogę się zabić. Jak mogłabym? Co stałoby się z Kami i Kaitlyn?*

Kiedy Emma znowu znalazła się w schronisku, Leah puściła jej dłoń, ale trzymała się w pobliżu. - Gabinet Mary jest na wprost, na końcu korytarza - powiedziała.

Emma zamrugła załzawionymi powiekami, żeby lepiej widzieć. Leah ruszyła powoli, drobiąc kroki, a i tak Emmie trudno było za nią nadążyć, wymagało to od niej wyężenia wszystkich sił. Podniosła wzrok i popatrzyła na swoją towarzyszkę.

- Zawsze jest... tak ciężko? - spytała.

- Często.

Leah zatrzymała się naprzeciw zwykłych, niczym nie wyróżniających się drzwi. - Ale powiem ci jedno: niezależnie od tego, jak okropnie się czujesz ani przez jakie rzeczy przeszedłeś, Mary doznała w życiu tego samego. Wszystkiego - Leah uśmiechnęła się słabo. - Polubisz ją. Daj sobie szansę.

Emma zadrżała znowu, ale głosy się nie odezwały. Nie miała siły mówić, strach ścisnął ją za gardło. Skinęła więc głową i patrzyła, jak Leah otwiera drzwi. Teraz było już za późno. Nie mogła uciec, nawet gdyby chciała; nie mogła

teraz pomyśleć, że weźmie sobie taksówkę i odjedzie do sąsiedniej dzielnicy, gdzie w najbliższej uliczce...

- Mary, jest Emma - zapowiedziała ją głośno Leah.

- Dziękuję ci, Leah. Niech wejdzie - głos Mary Madison zabrzmiał jednocześnie łagodnie i zdecydowanie.

Emma jakimś sposobem zdołała wejść do gabinetu i wtedy poczuła się, jakby wstrząsnęła nią jakaś potężna siła. Opadła na najbliższe krzesło i dopiero wtedy spojrzała w oczy kobiecie znanej w całym Stanach Zjednoczonych.

- Dzień dobry - odezwała się słabym głosem.

- Cześć, Emmo - odezwała się Mary, wstając z kanapy. Podała Emmie rękę. - Cieszę się, że przysłałaś.

- Dziękuję pani... - z trudem wydobyła z siebie Emma. Nic innego nie przyszło jej do głowy. Na chwilę przestała oddychać. Mary Madison okazała się o wiele piękniejsza niż w telewizji. Usiadła z powrotem, a Emma zaczęła ją podziwiać. Madison miała delikatne rysy, długie, kręcone, ciemnoblonde włosy i niebieskie oczy, tak jasne, że zdawały się świecić. Mary jeszcze nigdy takich nie widziała. Ale właściwie to nie dlatego Emma zaniemówiła. Chodziło o coś innego, o coś, co było w osobowości Mary Madison, znajdowało się w jej wnętrzu. Zdawało się wypełniać swoją obecnością cały gabinet. Emma nie wiedziała, co to jest.

Mary przysiadła na krawędzi kanapy i spojrzała Emmie w oczy.

- Czytałam, co powiedziałaś przez telefon, Emmo - zaczęła. Sięgnęła po cieką teczkę, nie odrywając spoj-

rzenia od oczu Emmy. - Potrzebujesz pomocy. Właśnie dlatego tu jestem.

Emma skinęła głową. Mary miała na sobie granatowy spodniom i białą bluzkę. Taki strój kojarzył się Emmie raczej z osobami zadzierającymi nosa, ale Mary Madison robiła wrażenie bardzo sympatycznej.

- Prosiłam Boga, żeby nas dzisiaj poprowadził - oznajmiła, kładąc teczkę na kolanach. - Nie masz ochoty na rozmowę, prawda?

- Nie mam - Emma znowu poczuła dreszcz. - Skąd pani wie?

- Znajdowałam się w takim samym położeniu jak ty, Emmo - wyjaśniła łagodnie Mary. - Wydaje ci się, że z twojej sytuacji nie ma pozytywnego wyjścia - lekko ścisnęła Emmę za kolano. - Co jakiś czas Bóg chce, żebym dała maltretowanej kobiecie oddech, trochę czasu. W takim razie co powiesz na to, żebyś zamiast opowiadać swoją historię, najpierw wysłuchała mojej?

- Pani?

Emma dziwnie się poczuła. Poczula, że może zidentyfikować się z siedzącą naprzeciw niej kobietą. Wyobrażała sobie, że Mary wypyta ją natychmiast o wszystkie szczegóły jej życia - szczegóły, którymi Emma nie była gotowa się podzielić. Przez myśl jej nie przeszło, że mogą zacząć rozmowę w taki sposób, że to Mary Madison opowie jej historię swoich życiowych zmagania. Emma poczuła, że mięśnie jej szyi rozluźniają się trochę.

- Chętnie posłucham - powiedziała.

Mary oparła się wygodnie i zaczęła:

- Wiesz, Emmo, wcale nie tak dawno temu byłam w zupełnie takiej samej sytuacji jak ty. Myślałam, że nie warto żyć. Ale nagle - oczy Mary błysnęły - znalazłam miłość swojego życia. Wtedy wszystko się zmieniło, kompletnie.

Emma siedziała nieruchomo. Jakoś przestała myśleć o przedawkowaniu narkotyków i taksówkach.

- Opowiedz mi o tym... - szepnęła, kiwając głową.

- Pod jednym warunkiem - Mary Madison spojrzała jej badawczo w oczy. - Opowiedzenie ci całej mojej historii zajmie nam kilka spotkań... - zawahała się. - Musisz mi obiecać, że do czasu kiedy dokończę swoją opowieść, zostaniesz w schronisku - ty i twoje córeczki. W międzyczasie będziemy mogły rozmawiać także o tobie, ale tylko tyle, ile będziesz chciała.

Emma zamrużyła powiekami. Czy mogła się na to zgodzić? Zostać z obcymi ludźmi, wiedząc o tym, że Charlie nie może znieść jej nieobecności? Wyjrzała przez okno. *A co z głosami?* - myślała. *Chyba mają rację? Kilka rozmów, siedzenie w schronisku przez całe dni i noce... Nie jestem warta czasu tych wszystkich ludzi. Mary Madison z pewnością ma setki ważniejszych rzeczy do zrobienia. Czemu miałabym uważać siebie za choćby odrobinę wartościową, skoro...*

- Chciałabym ci coś powiedzieć - przerwała bieg jej myśli Mary. Odezwała się miłym, ale pełnym energii tonem. Emma jeszcze raz podniosła wzrok.

- Chrystus uratował mnie w jednym celu - zaczęła Mary, przyglądając się jej uważnie.

- Jakim? - spytała trwożliwie Emma. Znowu poczuła chłód.

- Po to, żebym dzieliła się moim świadectwem z kobietami takimi jak ty - dokończyła ciepło Mary.

Przez plecy Emmy ponownie przeszło drżenie. *Czy Mary Madison czyta w moich myślach, tak jak przed chwilą Leah?* - zastanawiała się.

- Jesteś... zajęta - powiedziała Emma.

Mary założyła ręce i uśmiechnęła się, i znowu pokój wypełniła nieokreślona aura, której Emma nie była w stanie nazwać.

- Pracuję dla Boga, ale moja praca polega właśnie na takich rozmowach. Żyję, aby pomagać ludziom podobnym do ciebie, naprawdę... Czy obiecasz mi to, o co prosiłam?

Emma zacisnęła zęby. Była bardzo ciekawa historii życia Mary, koniecznie chciała ją poznać. Dowiedzieć się o jej cierpieniach, o tym, od czego została uwolniona, w jaki sposób stała się tak znaną osobą, jaką była teraz. Być może trzeba będzie przez kilka dni tłumić głosy ale trudno. Jeżeli celem życia Mary Madison naprawdę jest opowiadanie o tym, przez co przeszła i jak stała się taka jak teraz...

- Dobrze, obiecuję.

„Kłamiesz, wcale nie masz zamiaru dotrzymać słowa” - odezwał się głos w głowie Emmy. „Przecież jesteś nic niewarta. Jutro znajdziesz jakiegoś dilerę, kupisz, czego ci trzeba, i...”

- W porządku - przerwała Mary. - W takim razie pomódlmy się i zaczynajmy... Za każdym razem, kiedy

opowiadam komuś o sobie, Bóg dokonuje cudu. Dla ciebie także go dokona, Emmo. Czuję to - Mary położyła dłoń na sercu.

Emma nie słyszała słów modlitwy, nie była w stanie skupić się na wypowiedzianych przez Mary słowach. Ale kiedy tylko Mary zaczęła się modlić, głosy umilkły, a atmosfera w gabinecie znowu stała się wyjątkowa. Emma poczuła to koniuszkami palców i całą skórą, przeszło w nią, aż do środka jej duszy.

Skończywszy modlitwę, Mary podniosła wzrok i wzięła głęboki oddech. I wtedy nagle Emma uświadomiła sobie, co to za nietypowe uczucie ją ogarnia. Doznawała go od chwili, kiedy weszła do gabinetu Mary Madison. Emma nie doświadczała owego uczucia od czterech lat, to znaczy od czasu, kiedy opuściła swoją matkę i wszystko, co w życiu dobre. Nie spodziewała się poczuć go nigdy więcej. Było dla niej czymś nieoswojonym, ale jednocześnie upragnionym.

To była nadzieja.

3



Mary nie mogła zacząć opowieści o swoim życiu inaczej jak od samego początku, od czasów, kiedy jeszcze nie była świadoma, że potoczy się ono w jakiś szczególny sposób. Od tamtej pory wydarzenia zdawały się jednak układać w logiczną całość, tworzyć spójny obraz, który oglądały teraz pogrążone w trudnej sytuacji kobiety, trafiające do prowadzonych przez Mary schronisk.

Pierwsza część jej życia zależała bardziej od babci Peggy niż od samej Mary. Peggy Madison wciąż pozostawała dla Mary najbliższą osobą. Stanowiła całą jej rodzinę. Mimo to Mary nie zamierzała długo opowiadać o babci Peggy. Emma była napięta, jej oczy zerkwały to tu, to tam, co parę minut oglądała się w stronę drzwi. Mary zacisnęła dłoń na poręczy kanapy. Czuła, że ich rozmowa ma decydujące znaczenie, że koniecznie musi opowiedzieć wszystko - wszelkie smutne szczegóły, w które dziś wielu ludziom trudno było uwierzyć - jak najszybciej, inaczej Emma mogła wyjść w połowie spotkania i nigdy więcej nie wrócić.

Mary wstała i nalała do dwóch kubków wody z dzbanka.

- Wygodnie ci? Wszystko w porządku? - upewniła się, siadając z powrotem.

- Tak - Emma założyła nogę na nogę. Wciąż odrobiny drżała, ale teraz wyglądało na to, że chyba już się nie zerwie i nie ucieknie.

- Cieszę się - Mary podała jej jeden z kubków.
- Wiesz, co mnie spotkało, kiedy miałam piętnaście lat.

- Tak - Emma zarumieniła się i na chwilę spuściła wzrok. - Chyba wszyscy to wiedzą.

Mary skinęła głową i wypila łyk wody. Machinalnie pomodliła się w duchu: *Panie Boże, proszę Cię, niech ona mnie wysłucha. Podpowiedz mi odpowiednie słowa.*

- Chciałabym opowiedzieć ci teraz o mojej babci Peggy.

Emma oparła się trochę wygodniej.

- Czy ona jeszcze żyje? - spytała.

- T a k .

Mary poczuła w żołądku skurcz żalu. Stan zdrowia babci ostatnio się pogorszył. Lekarz powiedział, że to potrwa rok, może dwa. - Babcia jest teraz w domu opieki, kilka kilometrów stąd. Wciąż jesteśmy sobie bardzo bliskie.

W oczach Emmy zagościł smutek, otworzyła usta, jakby miała coś powiedzieć, jednak po chwili zamknęła je z powrotem. Mary nie spytała, o co chodzi. Cokolwiek czuła w tej chwili Emma, wyzna to później, kiedy nabierze do niej zaufania.

- Kiedy się urodziłam, babcia mieszkała w Nowym Jorku, a ja i moja matka - razem z nią - kontynuowała Mary.

- Kiedy miałam trzy lata, moja matka - miała na imię Jayne

- wyprowadziła się od swojej matki na ulicę i zabrała mnie ze sobą.

Mary osłabła na chwilę i przywołała trudne wspomnienia. - Pewnego dnia, kiedy miałam dziesięć lat, matka zadzwoniła do babci z pierwszej z brzegu uliczki. Nie telefonowała do niej od kilku miesięcy. - Przez chwilę Mary poczuła się niemal tak samo jak wtedy. - Stałyśmy na tyłach jakiejś restauracji. Do tej pory pamiętam smród ryb z kosza na śmieci koło automatu telefonicznego.

Mary zaczęła wyrzucać z siebie opowieść, już bez przerw.

Jayne Madison powiedziała matce, że przestała brać narkotyki i że chce, żeby Mary chodziła do szkoły. Zmęczyło ją życie na ulicy. Cztery godziny po odbyciu rozmowy telefonicznej Jayne i jej dziecko weszły do małego mieszkania Peggy Madison w nowojorskiej dzielnicy Queens.

Babcia przyjrzała się uważnie Mary i jej matce. Musiały chyba wyglądać na zaniedbane, zmęczone, brudne i chude, głodne. Tak sądziła teraz Mary. W każdym razie babcia nakarmiła je, dając im tyle jedzenia, ile tylko były w stanie w sobie zmieścić. Rozmawiały o drobiazgach, ale babcia przez cały czas wydawała się zaniepokojona o matkę Mary.

Kiedy skończyły jeść, babcia wzięła małą Mary za rękę i zaprowadziła ją do różowej sypialni. Był to jedyny pokój, w którym Mary do tamtej pory mieszkała.

Po tylu latach spędzonych na ulicach miasta pokój wydał się Mary czymś cudownym, pomieszczeniem

z bajki. Obeszła łóżko i zaczęła podziwiać zabawki i zdjęcia. Potem sięgnęła na półkę, wzięła osiem stojących tam książeczek z obrazkami i poszła z nimi do babci.

Babcia ujęła ją za policzki i nachyliła się do niej, zbliżając nos do jej nosa.

- Ogromnie za tobą tęskniłam, kochanie! - powiedziała. Jej oczy błyszczały, widniała w nich miłość, której Mary wówczas nie rozumiała - ani wtedy, ani jeszcze wiele lat później. - Myślałam o tobie codziennie - dodała zdławionym głosem babcia.

- Ja o tobie też! - Mary uściskała ją mocno. Potem wybrała trzy z ośmiu przyniesionych książeczek. - To moje ulubione książeczki, babciu - oznajmiła. - Czy możesz mi je przeczytać?

- Oczywiście. Czy chcesz, żebym zaczęła od doktora Seussa?

- Tak! - Mary klasnęła w ręce. - „Kot w kapeluszu” to moja najbardziej ulubiona książka! Jedna pani, która pracuje w misji, ma koszulkę z kotem w kapeluszu i kiedy ją widzę, zawsze przypomina mi się, jak czytałaś mi tę bajkę.

Babcia przytuliła Mary jeszcze raz. - Chciałabym móc czytać ci każdego dnia, malutka...

Otworzyła książkę i zaczęła czytać.

Dwie godziny później babcia nadal czytała na głos książeczki. W pewnej chwili Mary pokazała palcem na swoje zdjęcie stojące koło łóżka. Zostało zrobione, kiedy miała trzy lata.

- Babciu, czy to ja? - upewniła się.

- Tak, kochanie. Jesteś bardzo ładną dziewczynką, wiesz, Mary?

- Przyjacieli mamy też tak mówi.

Mary była jeszcze za mała, by wiedzieć, że zainteresowanie jej osobą jednego z wielu mężczyzn, z którymi przyjaźniła się jej matka, może być czymś niewłaściwym. Babcia Peggy zwróciła jednak uwagę na słowa Mary.

- Przyjacieli mamy... Co to za przyjaciel?

- Pan Paul. Miałam o nim nie mówić - przypomniało się Mary.

Babcia nachyliła się, objęła Mary ramieniem i spytała:

- Czy pan Paul zrobił ci kiedyś krzywdę?

- Nie - odpowiedziała natychmiast Mary. Pokręciła głową. - Pan Paul nigdy nie zrobił mi krzywdy.

Ów człowiek rzeczywiście nigdy nie dotknął małej Mary, ale i tak temat był dla niej niewygodny. Przeszła z nogi na nogę, odbiegła na drugą stronę pokoju i zawołała:

- Patrz, babciu, różowy miś!

Babcia zamknęła książkę, popatrzyła na Mary i spytała:

- Wiesz, że babcia cię kocha, prawda?

- Tak - odpowiedziała Mary, spoglądając na babcie rozszerzonymi nagle od smutku oczami. Przełknęła ślinę, spuściła wzrok i dodała: - Czasem myślę o tym w nocy, kiedy się boję.

- Naprawdę? - po policzkach Peggy Madison spłynęły łzy.

Mary przytaknęła i patrzyła babci w oczy. Było w nich coś niezwykłego, jakby światło, którego Mary nigdy nie widziała w oczach ludzi, których spotykała na ulicy.

- Mama mówi, że pobędziemy tu jakiś czas, ale nie zostaniemy na zawsze - odezwała się. - Wiesz co?

- Słucham.

- Chciałabym zostać z tobą na zawsze, babciu! - Mary czuła nieokreślony smutek. - Tylko mama powiedziała, że nieładnie tak mówić. Powiedziała, że jestem jej córeczką i że jeżeli będę mieszkała z tobą, to ona nigdy więcej nie będzie mogła być moją mamą, chociaż by chciała.

Babcia rozzłościła się. Podeszła do Mary, musnęła dłonią jej policzek i odpowiedziała:

- Wiesz, czego ja bym chciała? Najbardziej na świecie?

- Nie - Mary pytająco zamrugła oczami.

- Tego samego co ty. Marzę, żebyście zamieszkały tu ze mną obie. I ty, i twoja mama. Nie na jakiś czas, ale na zawsze.

-A co będzie, jak mama znowu gdzieś pójdzie? - Mary poczuła nieśmiałą nadzieję. - Czasami, kiedy nie ma jej parę dni, czuję się bardzo samotna.

Babcia wyglądała na zdumioną i zaniepokojoną.

- Nawet jeżeli twoja mama sobie pójdzie, ty zostaniesz tutaj - jeżeli uda mi się postawić na swoim. Będę się tobą opiekowała. Jeśli będziesz tu mieszkać, nigdy więcej nie będziesz przemarznięta, głodna ani samotna.

Mary pochyliła się i czule pocałowała babcię w czoło.

- To by było spełnienie mojego największego marzenia na świecie! - powiedziała. - Wspanialszego niż słodycze.

- Tak, bo byłybyśmy zawsze razem - zgodziła się babcia. - Tylko my dw...

Nagle zza drzwi pokoju dobiegł jakiś dźwięk. Peggy Madison podskoczyła ze strachu.

- Jayne? - spytała.

Mary przysunęła się do babci. Nikt nie odpowiedział. Peggy ruszyła do drzwi i wtedy w hallu odezwały się kroki.

- Jayne? Jesteś tam?

Mimo swojego młodego wieku Mary zrozumiała, dlaczego babcia tak się przeraziła. Jeżeli mama słyszała ich rozmowę, być może zabierze Mary i nigdy więcej nie przyjdą do babci.

Spokojnie, muszę się uspokoić! - powtarzała sobie mała Mary, żeby jej serce nie biło tak szybko. Babcia otworzyła drzwi, mignęły w nich plecy matki.

- Jayne, nie słyszysz, że wołam? - odezwała się znowu Peggy.

- Co? - Jayne obejrzała się przez ramię. - O, przepraszam - uśmiechnęła się nieszczerze. - Szukałam czegoś w pokoju obok.

- A h a .

Babcia odgarnęła włosy z oczu i pokazała na wnętrze sypialni. - Ciągłe sobie czytamy. Może chcesz do nas dołączyć?

- Nie, dzięki - Jayne pokręciła głową. - Nastawię makaron na obiad.

Mary popatrzyła za matką, która odwróciła się i poszła do kuchni. Babcia zamknęła drzwi i z powrotem popatrzyła na Mary.

Mary przeraziła się; nie wiedziała, co teraz zrobi jej matka.

- Czy mama jest wściekła? - spytała.

- Nie, kochanie - babcia wróciła do małej Mary i usiadła koło niej na łóżku. - Żadna z nas trzech nie jest wściekła - zapewniła. Ujęła dłoń wnuczki i przesunęła po niej kciukiem. - Dobrze, że powiedziałaś babci, co myślisz.

Mary skinęła głową. Czuła się zaniepokojona. Wstała i podeszła do regału z książkami; usłyszała, że babcia wzdycha. A potem zdarzyło się coś, co dawało o sobie znać w życiu Mary aż do dziś.

- Panie Boże, proszę Cię, opiekuj się Mary - szepnęła cichym, zdesperowanym głosem babcia. - Wiem, że Twojej łaski wystarczy i dla niej, i dla mnie, dla nas wszystkich - modliła się. - Wierzę z całej duszy, że zaplanowałeś dla mojej Mary dobre rzeczy. Spraw, proszę Cię, żeby została tutaj, żeby chodziła do szkoły i dorastała, stając się taka, jak Ty byś chciał, Panie. Wiesz, że tu jest bezpieczna. Proszę Cię...

Peggy Madison skończyła się modlić, podeszła do Mary, przesunęła dłonią po jej włosach i powiedziała:

- Kocham cię, Mary.

Mary wciąż była wystraszona. Przestała jednak patrzeć na książki i spojrzała w oczy babci.

- Ja też cię kocham - odpowiedziała. Rozejrzała się na wszystkie strony. - Czy ty mówiłaś do Boga?

- Tak - Peggy westchnęła. - Czasem mam wrażenie, że Bóg mnie przytula.

- Naprawdę? Przecież Go nie widzisz - Mary była zdumiona.

- Nie widzę, ale naprawdę tak czuję. A poza tym - uśmiechnęła się babcia - czasami wydaje mi się, że Bóg do mnie mówi, że odpowiada na moje słowa. Wiesz, co chyba powiedział mi dzisiaj?

- Co, babciu? - spytała z zainteresowaniem Mary. Zrobiło się jej cieplej na sercu.

- Powiedział mi, że ty, moje drogie dziecko, powiększysz Jego chwałę. Że ma dla ciebie plan. Niezależnie od tego, co się wydarzy, Bóg zaplanował dla ciebie dobre życie.

Teraz to mała Mary poczuła się, jakby ktoś ją objął. Do jej dziecięcego serca napłynęła nadzieja, której do tej pory nie знаła. Nadzieja i poczucie bezpieczeństwa.

- Naprawdę? - upewniła się.

Babcia skinęła głową.

- Nawet kiedy nie będę mogła ci o tym mówić, bo nie będzie mnie w pobliżu, Mary - kontynuowała, patrząc jej głęboko w oczy - nigdy się nie poddawaj. Dlatego że Bóg jest i zawsze będzie przy tobie i z tobą. Nie zapominaj o tym.

Już w tamtej chwili Mary miała pewność, że nie zapomni słów babci, że zapamięta je na zawsze, choćby żyła sto lat.

Wieczorem tego samego dnia, po kolacji, podczas której panowało milczenie, mama i babcia Mary szepotały coś między sobą. Mary nie słyszała ich słów, ale widać było, że się kłóca. Potem, kiedy Mary położyła się do ślicznego różowego łóżka, babcia przyszła do niej

znowu. Przyniosła jej małą czerwoną portmonetkę ozdobioną koralikami, wielkością i kształtem przypominającą talię kart. Mary wiedziała jednak, że to coś innego, coś bardzo szczególnego.

- Dała mi to moja babcia, kiedy byłam małą dziewczynką - powiedziała Peggy Madison, podając trzymany przedmiot wnuczce. - A teraz ja daję to tobie - wcisnęła przedmiot w dłoń Mary.

Mary poczuła się, jakby zobaczyła tęczę. Z otwartymi ustami przesuwiała palcem po czerwonych koralikach.

- Dziękuję ci, babciu - powiedziała.

- Zajrzyj do środka - zachęciła babcia, otwierając portmonetkę. Wyjęła z niej ostrożnie jakąś zapisaną karteczkę.

Mary zawstydziała się. Miała już dziesięć lat, a nie umiała czytać. Przełknęła ślinę.

- Czy mogłabyś mi powiedzieć, co tu jest napisane? - poprosiła.

- Oczywiście - odpowiedziała ciepło babcia, rozprostowując karteczkę. - To jest wers z Biblii. „Jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamyślam co do was - wyrocznia Pana - zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam przyszłość, jakiej oczekujecie” - odczytała.

- Wers pochodzi z księgi proroka Jeremiasza.

Mary nie była pewna, co znaczą przeczytane przez babcie słowa, ale znowu poczuła się tak jak wcześniej, w chwili kiedy babcia się za nią modliła. Każde z wypowiedzianych przez babcie słów wydawało się prawdziwe. Najpierw babcia sama powiedziała jej, że Pan Bóg zaplano-

wał dla niej dobre rzeczy, teraz okazało się, że coś takiego było napisane w Biblii... W tym momencie Mary doszła do wniosku, że Bóg naprawdę ma dla niej plan.

Babcia z powrotem złożyła karteczkę na pół i schowała ją do portmonetki.

- Kiedykolwiek w życiu będziesz czuła się smutna, pamiętaj, że prawda jest tutaj - postukała w miejsce, gdzie znajdowała się karteczka. - Dobrze?

- Dobrze - zgodziła się Mary, przyciskając prezent do serca. - Zachowam to sobie na zawsze.

- Jesteś taką śliczną dziewczynką - szepnęła ze wzruszeniem babcia Peggy. Pamiętaj, co ci zawsze powtarzam - kto sprawił, że jesteś taka ładna?

- Pan Bóg - odpowiedziała Mary, uśmiechając się radośnie.

- To prawda, kochanie. Nie zapominaj tego nigdy; zgadzasz się?

- Zgadzam się.

- Jesteś też najmiłą dziewczynką na świecie - babcia ujęła Mary za rękę, a potem przytuliły się jeszcze raz. - Pomódlmy się.

Skłoniły głowy, tak że zetknęły się czołami, i babcia powiedziała: - Drogi Jezu, dziękuję Ci za to, że sprowadziłeś Mary z powrotem do domu. - Peggy załkała nagle, przez moment nie była w stanie mówić. - Cokolwiek przyniesie jej przyszłość - kontynuowała - proszę Cię, strzeż jej, żeby nie oddalała się zbyt daleko od Ciebie. Niech zawsze żyje na Twoją chwałę. Przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Mary zrobiła pauzę i westchnęła głęboko.

- A potem... potem zaczęła się prawdziwie moja historia - powiedziała po chwili do Emmy. - Ta, którą znasz - ty i cała Ameryka.

Emma miała łzy w oczach, przez cały czas słuchała Mary Madison z wielkim zainteresowaniem.

- Babcia bardzo cię kochała - stwierdziła.

- To prawda - Mary pociągnęła nosem. I jej ze wzruszenia łzy napłynęły do gardła. - Cały czas bardzo mnie kocha.

Broda Emmy zadrżała. Otworzyła usta, ale znowu nic nie powiedziała. Pokręciła tylko głową.

Mary czekała. Nie chciała ponaglać Emmy.

- Chodzi o to, że... - Emma z trudem przełknęła ślinę. Widać było, że zмага się ze sobą. - Moja mama i ja... Nas też łączyły kiedyś podobne stosunki.

Umilkła; jej oczy wypełniły się łzami. Zamrugowała powiekami i łzy spłynęły jej po policzkach. - Nie mam jeszcze siły o tym mówić - usprawiedliwiła się, znowu kręcąc głową.

Mary miała ochotę od razu pocieszyć Emmę, że Bóg zaplanował dla niej dobre rozwiązanie, pozytywne wyjście z jej trudnej sytuacji. Że jeśli się ku Niemu zwróci, odzyska spokój i naprawi swoje życie. Powstrzymała się jednak. Ofiary przemocy potrzebują przede wszystkim poczucia bezpieczeństwa, nie wykładów. Poza tym Mary właśnie po to opowiadała im historię swojego życia, żeby pokazać Bożą moc na przykładzie, któremu nikt nie mógł zaprzeczyć. Oparła się wygodnie.

Chyba od ponad roku nie opowiadała nikomu swojego świadectwa.

- W każdym razie - kontynuowała spokojnym głosem - owego dnia babcia wlała w moje serce nadzieję i spokój.

Uśmiechnęła się na powracające wspomnienie tamtego wieczoru. - Powiedziałam jej, że też jest bardzo ładna.

Babcia Peggy wyszła z różowego pokoiku i Mary zasnęła. A potem nagle w środku nocy ktoś szarpnął ją za ramię. Chciała krzyczeć, ale czyjaś dłoń zasłoniła jej usta. Zorientowała się, że to matka nad nią stoi.

- Cicho, Mary, nic złego się nie dzieje - szepnęła Jayne Madison. - Obudź się. - Próbowała chyba się uśmiechnąć, ale na jej twarzy malował się raczej zbolwały grymas. - Idziemy stąd - zakomunikowała.

- Nie, mamó! - wyszeptała z przerażeniem Mary. - Babcia nie chce, żebyśmy odchodziły.

- Wrócimy - rzuciła matka. - Obiecuję ci. Mama chce tylko najpierw zastanowić się nad paroma rzeczami.

- A czy nie możemy...

- Już, Mary! - zniecierpliwiła się Jayne. Słysząc było, że także jest trochę zaniepokojona i że jej się spieszy. - Jesteś moim dzieckiem, a ja - twoją matką. Pójdiesz ze mną, czy tego chcesz, czy nie.

Na tym zakończyła się ich dyskusja. Jayne pomogła Mary się ubrać i kilka minut później wyszły z miesz-

kania. Mary nie zdążyła nawet zabrać różowego misia, którego ogromnie polubiła, ani pożegnać się z babcią. Zdążyła wziąć tylko jedną rzecz.

Małą portmonetkę ozdobioną czerwonymi koralkami.

4



Mary pomyślała, żeby na tym zakończyć pierwszą część opowieści, jednak Emma z szeroko otwartymi oczami czekała na dalszy ciąg. Mary wstała więc i ponownie napełniła kubki wodą. *Panie, czy powinnam opowiadać dalej?* - pomodliła się w myśli. - *Czy jeśli Emma usłyszy teraz, co potem działo się ze mną, zaszkodzi jej to?*

Tym razem w jej myślach nie sformułowała się jasna odpowiedź. Przyszło jej jednak do głowy, że Emma potrzebuje prawdy. Że jeżeli ma kiedykolwiek zostać wyzwolona od dręczących ją przeciwności, musi poznać jak najwięcej prawdy. Mary poczuła, że powinna opowiedzieć Emmie swoją historię dalej, dopóki tylko ta dziewczyna będzie chciała jej słuchać.

Na razie chciała.

- Czy mam jeszcze mówić? - spytała Mary, podając Emmie kubek z wodą.

- Tak - Emma przysiadła na krawędzi krzesła. - Dokąd poszłyście z twoją matką, po tym jak uciekłyście z mieszkania babci?

- Wszystko inne pamiętam tak dokładnie, jakby zdarzyło się wczoraj, ale nie jestem w stanie powiedzieć,

dokąd pojechałyśmy. Wylądowałyśmy na którejś z nowojorskich ulic.

Mary wypła łyk wody. *Byłam wtedy jeszcze niedorośła* - myślała. Gdyby w tamtym czasie matka pozwoliła jej zostać z babcią, całe życie Mary potoczyłoby się inaczej.

Odstawiła kubek, spojrzała na Emmę i powiedziała:
- Moja matka nagle przestała wtedy brać narkotyki, a już po kilku dniach wprowadziłyśmy się do pewnej pary. On miał na imię Jimbo, a ona - Lou.

Emma odstawiła kubek na podłogę i patrzyła na Mary szeroko otwartymi oczami.

- To ci dwoje, o których mówili w wiadomościach?

- T a k .

Mary zmrużyła oczy, wspominając nieprzyjemną przeszłość. - Najbardziej zapadł mi w pamięć jeden dzień; to było mniej więcej dwa tygodnie po odwiedzinach u babci Peggy.

Jayne trzymała Mary za rękę; szły jedną z mniej uczęszczanych ulic dolnego Manhattanu, w miejsce, które Jayne nazywała Diamentową Dzielnicą. Matka była bardziej rozmowna niż zwykle.

- Będzie nam obu dobrze - zapewniała, ściskając Mary za rękę. - Jeśli będziesz się ładnie uśmiechała, będziemy wyciągać trzydzieści - czterdzieści dolarów w godzinę. Zarobimy sobie dzisiaj na pizzę i karton mleka.

- Na pizzę? - Mary ciągle było smutno z powodu naglej rozłąki z babcią, ale cieszyła się, że dziwny niepokój znikł z oczu jej mamy. Nie były teraz takie rozszerzone

i przekrwione jak wtedy, kiedy brała narkotyki; patrzyła wyraźnie spokojniej.

- Tak, na pizzę! - potwierdziła z uśmiechem Jayne. Przeszły odcinek drogi bez słowa. W końcu matka odezwała się znowu. - Babcia myśli, że nie dam sobie rady sama, prawda? - spytała.

Mary nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie mogła stanąć po stronie babci przeciw mamie ani na odwrót. Chciała być z babcią Peggy, ale wiedziała, że mama także jej potrzebuje. Przysłoniła więc oczy, żeby lepiej widzieć matkę, i powiedziała:

- Babcia cię kocha. Chciała, żebyśmy zostały u niej.

Jayne wbiła wzrok w chodnik. W końcu odezwała się, ciszej niż przedtem:

- Może pewnego dnia tak zrobimy. Kiedy spłacę dług.

- Dług? - Mary nie wiedziała, co to jest dług, ale w każdym razie było to coś, co bardzo smuciło jej matkę, aż się zgarbiła. Zaniepokoiło to Mary.

Wydało się jej, że matka przygląda się przechodzącym ludziom.

- Jestem winna Jimbo trochę pieniędzy - wyjaśniła Jayne. - Kiedy mu je oddam, może będę mogła potem trochę oszczędzić i obie zamieszkamy z babcią. - Spojrzała na Mary i dodała: - Ale nie zamieszkam u niej, jeżeli nie będę mogła za siebie płacić... Rozumiesz?

Mary zastanowiła się chwilę. Mama nauczyła ją, że nie wolno kraść, że złodzieje są źli, tak samo jak mordercy. Może gdyby nie płaciła za nic babci, byłoby to trochę jak kradzież?

- Rozumiem - odpowiedziała, kiwając głową.

Jayne odwróciła się raptownie.

- Jeżeli zobaczysz policjantów, powiedz mi zaraz, dobrze?

- Dobrze, mamó.

Tak to było z pracą jej mamy. Szukały sobie jakieś miejsca, do którego wchodziły i z którego wychodziły ludzie, i robiły tak, żeby tym ludziom było ich żal. Wtedy wyciągali pieniądze i dawali je mamie. Przez cały czas Mary musiała uważać, czy w pobliżu nie ma policji, bo policja nie lubi, kiedy ktoś prosi obcych ludzi o pieniądze. Mary nie rozumiała tego. W każdym razie wydano na jej matkę coś, co nazywało się nakaz aresztowania i było związane z narkotykami. Mama tłumaczyła Mary, że nie można dopuścić do tego, żeby przesłuchiwała ją policja.

Znalazły dogodnie miejsce przy wejściu do restauracji. Przez ponad godzinę Jayne mówiła przechodzącym ludziom, że jest w tarapatkach, że skradziono jej portfel. Zaczęło się ściemniać.

- Mamusiu, czy możemy już iść? - spytała w końcu Mary. - Jestem zmęczona.

Zbliżała się akurat elegancko ubrana para. Matka ścisnęła dłoń Mary.

- Chwileczkę, kochanie - odpowiedziała, uśmiechając się. Dwoje ludzi zwróciło na nie uwagę i zwolniło. Jayne ruszyła w ich stronę. - Przepraszam państwa - odezwała się - ukradli mi portfel... - Popatrzyła wymownie na Mary. Im dłużej matka patrzyła na nią smutnym wzro-

kiem, tym dłużej zaczepiani przez nią ludzie robili to samo. I tym więcej dostawały pieniędzy.

Kobieta zatrzymała się.

- To okropne! - stwierdziła, marszcząc brwi. Jayne popatrzyła na nią takim samym spojrzeniem jak na każdego obcego człowieka, z którym zaczynała rozmawiać. Takim, jakby spotkał ją właśnie najsmutniejszy dzień w życiu. - Mój mąż opuścił nas - kontynuowała. - Pomyślałam sobie - dodała, rozkładając ręce - że gdybyśmy dostały jakąś pomoc, może udałoby się nam stanąć na nogi.

Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy kobieta wyciągnęła portmonetkę. Jej mąż przytaknął, a ona wyciągnęła dwie dwudziestodolarówki.

- Proszę - powiedziała. - Weźcie sobie taksówkę i zjedzcie dobrą kolację. A potem idźcie do domu, zanim stanie się wam coś gorszego.

Jayne wzięła pieniądze, rzucając kobiecie pełne wdzięczności spojrzenie. - Dziękuję.

Uśmiechnęła się do Mary. - Zobacz, ci mili ludzie nam pomogli. Czyż to nie piękne?

Mary wiedziała, co ma robić. Przytaknęła, chociaż na jej twarzyczce malowała się obojętność zmieszana z lekką niepewnością. Mrugnęła jednym okiem do nieznanym.

- Dziękuję pani... i panu.

- Bardzo proszę, kochanie. Idźcie już do domu - poradziła kobieta i pogłaskała Mary po głowie. - Ulica nie jest

odpowiednim miejscem dla takiej ślicznej małej dziewczynki jak ty.

Za każdym razem wyglądało to podobnie. Mary wydawało się, że czasami ludzie dawali im wszystkie pieniądze, jakie przy sobie mieli. I zawsze robili dwie rzeczy. Najpierw mówili, jak bardzo Mary jest ładna. o matce nigdy tego nie mówili, chociaż zanim zaczęła brać narkotyki, też była piękna. Mary widziała jej zdjęcia. W każdym razie wszyscy komentowali urodę Mary. Mówili na przykład:

- Mój Boże, nigdy nie widziałam takich ślicznych oczu jak twoje, moje dziecko!

Albo do jej matki:

- Niech pani dobrze się nią opiekuje - ona jest wyjątkowo piękna.

I podobne rzeczy.

Po drugie, wszyscy myśleli, że Mary i jej mama mają dom, że mają dokąd pojechać na noc. Zupełnie jakby ich największym problemem naprawdę był skradziony portfel.

Para nieznanym odeszła w zapadającą ciemność.

- Dobra robota, Mary - zachichotała Jayne, chowając dwudziestodolarówki do kieszeni. - Na tym możemy dzisiaj zakończyć.

- Ile zarobiłyśmy?

Matka wyciągnęła z kieszeni pełną garść banknotów i przebiegła po nich wzrokiem.

- Dwieście dwadzieścia.

Była rozpromieniona. - Jeżeli tak dalej pójdzie, to może wrócimy do babci już za kilka tygodni.

Wiadomość ta podekscytowała Mary do tego stopnia, że obróciła się dookoła, śmiejąc się wesoło. Złapała mamę za rękę.

- To najwspanialsza wiadomość, jaką dzisiaj usłyszałam! - powiedziała.

Jayne roześmiała się na te słowa - a rzadko się śmiała.

- Może i tak - zgodziła się.

Zaprowadziła Mary do baru szybkiej obsługi. Kiedy weszły, ludzie zaczęli im się przypatrywać. Zawsze to robili. Matka tłumaczyła Mary, że to dlatego, że obie są takie ładne. Ale ludzie nie zawsze patrzyli na nie z zadowoleniem. Mary wydawało się, że chodzi im raczej o to, że miały dziurawe, brudne ubrania, i że prosiły o pieniądze.

Jayne przystanąła przed kontuarem.

- Musimy się pospieszyć - powiedziała. - Jimbo nie lubi, kiedy się spóźniamy - uśmiechnęła się, ale w jej oczach widać było strach. - Jimbo nie jest dla mnie miły, kiedy wyprowadzamy go z równowagi.

Mówiła prawdę. Jimbo potrafił w jednej chwili stać się bardzo nieprzyjemny. Ale matka utrzymywała, że nie jest taki zły. Miał rude, kręcone włosy i złoty ząb; łatwo było go zobaczyć, bo Jimbo cały czas się uśmiechał. Szczególnie kiedy patrzył na Mary. Przeszedł ją dreszcz.

- Dobrze, będę jadła szybko.

Zajrzały do lodówki i Jayne skrzywiła się. Miejsce, do którego weszły, właściwie było nie barem, ale sklepem tytoniowym z lodówką, w której leżały jakieś stare

parówki. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach tłuszczu zmieszany z wonią cygar. Przez chwilę Mary myślała, że może mama zaprowadzi ją gdzie indziej, nie miały jednak czasu.

- I gdzie ten wasz bar? - sapnęła Jayne w stronę stojącego przy kasie mężczyzny. Parsknął śmiechem.

- Nie podoba ci się, co, mała? - odpowiedział, poprawiając złoty łańcuch, który miał na szyi.

Matka zdmuchnęła przed nosa kosmyk włosów i sięgnęła po dwudziestodolarówkę.

- Po co tkwię w tym mieście? - zaczęła gderać. - Zatlócone, brudne i pełne miejsc takich jak to. Wystarczy, żeby wpędzić człowieka z powrotem w narkotyki.

Mary musiała zareagować przerażeniem, bo matka zwróciła uwagę na wyraz jej twarzy i uspokoiła:

- Nie martw się. Jestem trzeźwa na dobre. Trzeźwa, trzeźwa, trzeźwa - powtórzyła, śmiejąc się nerwowo.
- Będę trzeźwa i już. Żartowałam tylko.

Spojrzała na trzymane w ręku pieniądze. - Kiedy spłacę Jimbo dług, przeprowadzę się z tobą i babcią na wieś.

Mary nic nie odpowiedziała, ale poczuła ulgę. Miała ochotę znowu obrócić się dookoła.

- Słuchaj, paniusiu, tracę przez ciebie czas - ponaglił sprzedawca. - Wiesz, co chcesz zamówić?

Jayne oparła dłonie na biodrach i popatrzyła do lodówki.

- Nie ma wielkiego wyboru - zauważyła.

- Masz wybór: parówka z serem albo pikantna - mężczyzna tracił cierpliwość. - Jaką wolisz?

- Mamo - odezwała się Mary, ciągnąc Jayne za rękaw.
- Słucham, kochanie - matka przesunęła dłonią po włosach Mary.

- Kupmy z serem, dobrze? - poprosiła cicho, ale zdecydowanie. Mary zawsze wiedziała, czego chce.

- Moje dziecko wybrało parówkę z serem - powiadomiła kasjera Jayne.

- Dobrze - stuknął w ladę srebrzystymi szczypcami.
- Parówka z serem raz.

Mary myślała, że parówka będzie podana w bułce, ale mężczyzna po prostu rzucił żółtawą parówkę, z której wypływał przypominający plastik ser, na tekturowy talerzyk.

Jayne dotknęła parówki.

- Jest zimna - stwierdziła, kręcąc głową, i położyła dwudziestodolarówkę na ladzie. - Wyciągasz kasę od ludzi, człowieku; wiesz o tym?

- Każdy wyciąga od wszystkich kasę - odpowiedział mężczyzna, teatralnie wzruszając ramionami. - Ty też.

Matka Mary miała ochotę coś odpowiedzieć, ale się rozmyśliła. Może pomyślała o bajce o portfelu i doszła do wniosku, że sprzedawca parówek może mieć rację? W każdym razie zaprowadziła Mary do stolika i usiadła naprzeciw niej. Laminowany blat był cały zatłuszczony.

- Cóż, to nasza kolacja - odezwała się Jayne. Uśmiechnęła się słabo. - Przepraszam, że nie jest lepsza.

- Dziękuję - Mary powąchała parówkę i zmarszczyła nos. - Pachnie jak pokarm dla kotów.

- Jest w porządku, malutka. Jedz - zachęciła ją matka.

Mary zawahała się.

- Czy mogę najpierw się pomodlić? - spytała.

- Pomodlić? - Jayne otworzyła szeroko usta ze zdumienia. - To znaczy, tak jak babcia?

- U h m .

Matka wyglądała na zakłopotaną, ale skinęła głową.

- Proszę, pomódl się, jeśli chcesz.

Mary skłoniła głowę, złożyła dłonie i pomodliła się takimi słowami:

- Panie Jezu, tu mówi Mary. Dziękuję Ci za jedzenie. Kocham Cię i... - otworzyła jedno oko i popatrzyła na Jayne - mama też Cię kocha... Prawda?

- Prawda - matka spojrzała na zegarek. - Musisz już zacząć jeść - powiedziała i westchnęła głęboko. - Kotku, dzisiaj mama będzie musiała jeszcze popracować. Nie wystarczą nam pieniądze od przechodniów.

Mary zrobiło się trochę niedobrze.

- Chodzi ci o nocną pracę? - upewniła się. Mama mówiła o „nocnej pracy”, kiedy ubierała się w krótką spódniczkę i pantofle na wysokich obcasach i odjeżdżała na noc z jakimś mężczyzną. Mary nie była pewna, co mama robi z tymi mężczyznami, ale kiedy wracała do domu, zawsze milczała, a czasami była rozgniewana. Poza tym takie noce Mary musiała spędzać sama w towarzystwie Jimbo i jego żony, a nie czuła się z nimi bezpiecznie.

- Tak, o nocną pracę - potwierdziła Jayne. Oparła łokcie o blat, popatrzyła Mary w oczy i wyjaśniła: - To pomoże nam szybciej wrócić do babci.

Mary starała się o tym nie myśleć. Przeżuwała pierwszy kęs parówki, ale poczuła, że buzia wygina się jej w taki sam sposób jak wtedy, kiedy zaczyna płakać. Sięgnęła więc do kieszeni bluzy i zacisnęła palce wokół małej czerwonej portmonetki z koralikami.

- Co tam masz? - spytała matka.

- Portmonetkę, którą dała mi babcia. - Mary pokazała Jayne portmonetkę. Nosiła ją ze sobą codziennie, odkąd odeszły z mieszkania babci Peggy. Mary czuła się bezpieczniej, kiedy trzymała portmonetkę w ręku, zamiast rozmyślać o nocnej pracy mamy. - Lubię na nią patrzeć; jestem wtedy szczęśliwa - dodała.

Jayne wolala nie pytać jej o nic więcej.

Mary pospiesznie zjadła do końca parówkę z serem, a potem wrócili do mieszkania Jimbo.

- Spóźniłyście się! - krzyknął na ich widok. Stał w pobliżu drzwi, górując nad Mary i jej matką.

- Oj, daj dziewczynom spokój - skarciła go Lou, jego żona, łapiąc go za łokieć. Odciągnęła męża na bok, żeby Mary i Jayne mogły przejść koło niego. Jimbo pogroził Jayne pięścią.

- Nie prowokuj mnie, żebyś nie musiał dać ci nauczki! - ostrzegł ją. - Jeżeli chcesz mieć robotę, musisz wracać tu wcześniej. Klienci oczekują, że jesteś dostępną.

Mary wiedziała, o czym mówi Jimbo. Chciał, żeby mama miała nocną pracę, a żeby tak było, musiała ubrać się w krótką spódniczkę i stanąć na ulicy, zanim zrobiło się ciemno. Mary poczuła jeszcze silniejsze mdłości niż przedtem; nie wiedziała, czy to z powodu tej parówki,

czy też dlatego, że jej mamy miało nie być przez większą część nocy.

Jayne położyła Mary do łóżka w sypialni, w której mieszkały we dwie.

- Do zobaczenia rano - powiedziała. Nachyliła się i pocałowała Mary w czoło. - Przepraszam cię za całą sytuację, kochanie. Będzie lepiej.

- Wiem - odpowiedziała Mary, kładąc dłoń na głowie matki. - Uważaj na siebie.

Jayne poszła, a wtedy Mary przyszło coś do głowy. Skoro mama spotyka się z mężczyznami na ulicy, pod domem, to może ona mogłaby otworzyć okno i poprzyglądać się mamie, żeby sprawdzić, czy nie dzieje się jej coś złego. Mary wyszła więc z łóżka i otworzyła okno. Zacięło się w połowie, ale to wystarczyło, żeby Mary mogła wyglądać na zewnątrz. Po kilku minutach zobaczyła swoją matkę w czarnej spódniczce i pończochach. Jej bluzka miała duży dekolt; uczesała się też inaczej - teraz jej włosy wydawały się jakby większe.

Stała na chodniku może z pięć minut, kiedy przez ulicę przeszedł jakiś mężczyzna i podszedł do niej. To był biznesmen, jeden z tych mężczyzn, którzy chodzili po ulicach w centrum, ubrani w sztywne garnitury.

Mary obserwowała scenę. Biznesman przystanął koło jej mamy. Obejrzał ją od stóp do głów.

- Hej, kochanie, jesteś może na sprzedaż? - zbliżył się o krok. - Wyglądasz na taką.

- Może... - odpowiedziała matka, uważnie przyglądając się mężczyźnie. W świetle latarni nawet Mary

była w stanie dostrzec, że miał drogi zegarek i ładne buty.

- Przyjechali do naszej firmy na trzy dni partnerzy w interesach, na negocjacje ze mną - powiedział. Odchylił głowę. - Jesteś gotowa na trzydniową pracę? - spytał z taką miną, jak gdyby był pewien, że mama Mary zgodzi się na jego propozycję.

Jayne postukała w chodnik czubkiem pantofla na wysokim obcasie. Wahala się dłuższą chwilę.

- A jaka będzie zapłata? - zainteresowała się.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Tysiąc pięćset dolarów - rzucił.

Mama musiała bardzo się starać zachować spokój, bo tylko uniosła brwi i odpowiedziała z półuśmiechem:

- Dwa tysiące.

- Nie jesteś aż taka ładna - skomentował biznesmen, chichocząc. Ruszył, ale zaraz zatrzymał się, wydał usta - chyba się zastanawiał. - Wiesz co? Dostaniesz tysiąc osiemset, ale będziesz robiła wszystko, o co tylko poprosimy. A będzie nas pięciu - mrugnął do Jayne. - Rozumiesz?

Wyraz twarzy matki zmienił się. Wyglądała, jakby zrobiło się jej niedobrze - tak jak wtedy, kiedy wypijała za dużo wina.

- Muszę załatwić pewne sprawy - odpowiedziała i cofnęła się o krok. - Zacznę od jutra.

Mężczyzna się zastanawiał.

- Dobrze - zgodził się w końcu. - Przyjadę po ciebie o ósmej. Bądź gotowa... - Znowu mrugnął do Jayne jednym okiem. - Domyślasz się, na co.

W końcu poszedł; matka Mary patrzyła za nim. Potem wróciła do mieszkania. Skrzypnęły drzwi. Mary szybko zamknęła okno. Jimbo nie lubił, kiedy je otwierały - mówił, że mogą przez nie wejść źli faceci. Mary podbiegła do drzwi sypialni, otworzyła je i nasłuchiwała. Mama rozmawiała z Jimbo.

- Mam robotę, trzydniową - powiedziała. - Zaczynam jutro wieczorem.

Jimbo zarechotał powoli.

- No, to mi się podoba - skomentował.

Mary poczuła skurcz w żołądku, nie była w stanie oddychać. Mamy nie będzie przez całe trzy dni? To za długo! Przecież Jimbo i Lou nie mogą opiekować się nią przez trzy dni. Kto zdobędzie dla niej coś do jedzenia? I dokąd pojedzie mama? Może nie będzie tam bezpieczna? Mary stłumiła rozpędzone myśli i słuchała dalej.

- Kiedy wrócę, spłacę ci cały dług - zapowiedziała matka. - A potem zakończę współpracę z tobą - dodała ze złością. - Nie będę więcej brała narkotyków, nie będzie więcej podstępów z twojej strony. Wrócę do domu.

- Twój wybór, kotku - odpowiedział Jimbo, ciągle się śmiejąc. Nastąpiła chwila milczenia.

- I jeszcze jedno - odezwała się znowu matka, innym niż wcześniej tonem - chyba smutniejszym. - Będziesz musiał opiekować się przez te trzy dni Mary.

- Mary? - Jimbo gwizdnał przeciągle. - Dobrze, mała. Może nawet mógłbym zarobić na niej trochę pieniędzy. - Zarechotał znowu. - Ach, te niebieskie oczy i jasne loczki

- śmiał się i śmiał. - I skóra gładza niż lody w polewie karmelowej...

- Przestań, Jimbo! - krzyknęła matka. Była bardzo rozzłoszczona.

- Taka śliczna mała dziewczynka jak ona mogłaby pewnie zarobić więcej niż ty - ocenił Jimbo.

- To nie jest śmieszne! - Jayne krzyknęła głośniejsz niż przedtem. - Daj spokój mojemu dziecku, słyszysz?!

Mary ledwie była w stanie ustać na miejscu. Może mama zabierze mnie ze sobą? - myślała. Albo do babci?

- Wyluzuj, mamusiu - Jimbo już się nie śmiał. - Twój mały aniołek będzie przy mnie bezpieczny.

Rozmowa się zakończyła, więc Mary położyła się z powrotem do łóżka. *Panie Boże, proszę Cię, nie!* - pomodliła się z lękiem. *Nie pozwól, żeby mama zostawiła mnie z Jimbo!* Wyciągnęła rękę i chwyciła leżącą na stole czerwoną portmonetkę. Babcia Peggy powiedziała Mary, że Pan Bóg zaplanował dla niej dobre życie. Skoro tak, mama chyba nie zostawi jej z Jimbo, tylko wymyśli coś lepszego? Mary leżała przez długi czas, czekając, aż jej mama przyjdzie spać, ale w końcu zasnęła.

Następnego popołudnia znowu brały pieniądze od przechodniów, a potem Jayne kupiła Mary pizzę pepperoni.

Mama spojrzała córce w oczy, westchnęła głęboko i oznajmiła:

- Dzisiaj wieczorem mama musi odjechać, rozumiesz? Mam nocną pracę; tylko tym razem... - głos jej się załamał, jakby miała się rozplakać - tym razem nie będzie mnie trzy dni.

Przez cały dzień matka nie wspominała o nocnej pracy, więc Mary miała nadzieję, że może do tego nie dojdzie. Odłożyła kawałek pizzy, który właśnie jadła.

- Trzy dni?... - powtórzyła. Zamrugowała powiekami, zaczęła jej się trząść broda. - A kto będzie się mną opiekował?

Jayne wyciągnęła rękę nad stołem i pogłaskała Mary po głowie.

- Jimbo i Lou.

- Boję się Jimbo! - jęknęła Mary. - Zawsze się go boję.

- Droczy się tylko z tobą - uspokoiła matka. - Jimbo zadba o ciebie.

- Ale mam! - Mary wysunęła naprzód dolną wargę. - Jeżeli ktoś musi opiekować się mną przez trzy dni, to może babcia Peggy? Ona będzie opiekowała się mną cały czas. Tak powiedziała.

Matka wyglądała na zmęczoną i może trochę rozdrażnioną.

- Pojedziemy do babci, kiedy mi zapłacą. Jak skończę to trzydniowe zlecenie, będziemy mogły przeprowadzić się z powrotem do niej, a ty będziesz mogła pójść do szkoły. Dobrze? - Jayne zmieniła ton głosu na ostrzejszy.

- Tylko się nie maż. Mama nie ma wyboru.

Odsunęła się od stołu. - Weź resztę pizzy ze sobą. Musimy iść.

Przez całą drogę do mieszkania Jimbo Mary trzęsa się ze strachu. *A co będzie, jeżeli Jimbo będzie dla mnie zły?* - myślała z lękiem. *Bądź dzielna* - powtarzała sobie. *Bądź*

dzielna, a kiedy mama skończy tę pracę, będziemy mogły wrócić do babci. Pójdę do szkoły, nauczę się czytać i któregoś dnia będę mogła sama czytać wszystkie książki z mojego różowego pokoju!

Długo szły piechotą, a kiedy dotarły do mieszkania, Jayne posadziła Mary na krześle naprzeciw telewizora.

- Siedź tu, ja w tym czasie przygotuję się do pracy - powiedziała. Nie wydawała się już wystraszona, a raczej nerwowa, jakby się spieszyła.

Za to Mary była tak przerażona, że nie odezwała się ani słowem. Kiedy jej matka poszła, Mary zobaczyła Lou, leżącą na złamanej kanapie. Chrapała. Telewizor był nastawiony na mecz bejsbola. Mary z zainteresowaniem patrzyła w ekran. *Och, żeby tak można było wejść do telewizora i przenieść się na jedno z oświetlonych słońcem krzesel na stadionie!* - marzyła.

Chwilę później matka wróciła, miała na sobie tę samą czarną spódniczkę co poprzedniego dnia. Wokół oczu nałożyła dużo czarnego cienia. Spojrzała na Lou. Na podłodze obok kanapy leżała pusta butelka po winie.

- Lou - odezwała się Jayne. Potrząsnęła Lou, ale kobieta się nie obudziła. Spała przez większość czasu. A kiedy nie spała, zawsze mówiła o paleniu skrętów. Mama spróbowała po raz drugi. - Lou, obudź się - powiedziała. - Dzisiejszej nocy opiekujesz się Mary. Pamiętasz?

Z gardła Lou dobiegł nieokreślony bulgot. Wymamrotała coś, co nie miało wiele sensu, otworzyła oczy do połowy i dodała: - Daj mi spokój.

- Wstawaj, Lou! - krzyknęła Jayne i potrząsnęła nią trzeci raz. - Wychodzę do pracy.

Lou podniosła się i przetarła oczy. Kiedy się zorientowała, co się dzieje, zrobiła kwaśną minę i upewniła się:

- Zostawiasz swoje dziecko mnie, na trzy dni, prawda?

- Jimbo zgodził się na to - przypomniała Jayne, stukając butem w dywan. Dopiero wtedy spojrzała na Mary, która kulila się na krześle w przeciwległym rogu pokoju. Uśmiechnęła się do niej słabo i uniosła kciuki, pokazując, że wszystko będzie w porządku.

Oczy Mary były wypełnione łzami, ale powtórzyła gest matki, na znak, że się zgadza.

- Och, malutka - Jayne podeszła do Mary, nachyliła się nad nią, spojrzała jej w oczy i powiedziała: - To tylko trzy dni, dobrze? Skończę pracę, którą mam do zrobienia, wezmę pieniądze i wrócę. - Wyglądziła zmierzwiłone włosy Mary. - Wrócę, zanim się spostrzeżesz.

Mary próbowała coś odpowiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle. Znowu drżała jej broda, łzy płynęły jej po policzkach. Zaczęła więc kiwać głową, ale nagle zerwała się i objęła matkę za szyję.

- Proszę cię, nie odchodź... - lkała coraz głośniej, tuląc mamę. *Jeżeli jej nie puszczyć, to może...* - zastanawiała się.

- Cśś, malutka... - matka zaczęła ją kołysać. Pachniała mocnymi perfumami, jej włosy były sztywniejsze niż zwykle. Ale jej głos pozostał normalny. - Tylko trzy dni.

Wciąż tuląc Mary, Jayne odezwała się do Lou: - Mary jest po kolacji. Pilnuj tylko, żeby nie wychodziła z miesz-

kania, i dawaj jej jeść trzy razy dziennie. Przyniosłam pudełko płatków śniadaniowych. - Pokazała na kuchnię. - Stoi w kredensie, a w lodówce jest mle...

Nagle drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju wpadł Jimbo.

- Spóźniłem się - rzucił. - Wiem, moja wina! - Rozłożył ręce. - Nie narzekaj na mnie, Lou... A co my tu mamy? - zainteresował się. - Małe pożegnanie?

- Mówiłam Lou, że kupiłam płatki śniadaniowe - burknęła Jayne, prostując się. Wzięła Mary za rękę. - Tylko nie zapomnijcie jej karmić!

Jimbo zbliżył się parę kroków. Spojrzał na Mary takim wzrokiem, że miała ochotę uciekać.

- Zabawimy się razem, malutka - powiedział do niej. Mary schowała się za plecami matki, przyciskając do nich twarz.

- Nie martw się - Jimbo zaśmiał się trochę łagodniej. - Naprawdę dobrze się tobą zaopiekuję.

- Przestań! - Jayne zbliżyła się do niego i popchnęła jego ramię. - Nie można mówić w taki sposób do małej dziewczynki! Przerażasz ją.

- Słuchaj - syknął Jimbo, unosząc rękę, jakby chciał uderzyć matkę Mary. Teraz wcale się nie śmiał. - Nie będziesz mi mówić, co mam robić.

Lou tymczasem z powrotem wyciągnęła się na kanapie i zamknęła oczy.

- Idę znowu spać - oznajmiła. Podniosła dłoń w nieokreślonym geście i dodała: - Zrobię rano śniadanie.

- Nie martw się o to - rzucił Jimbo, klepiąc ją otwartą dłonią w stopy. Znowu zachichotał. - To ja będę niańką. Przez najbliższe trzy dni Mary będzie moja.

Z Jimbo było coś nie w porządku. Wydawał się dziwnie zadowolony, za bardzo zadowolony. Mary i jej matka zdały sobie z tego sprawę równocześnie. Jayne wzięła się pod boki.

- Co ty wzięłeś, Jimbo? - spytała. - Nie mów mi, że będziesz opiekował się moim dzieckiem naćpany!

- Wezmę, co będę chciał! - wrzasnął Jimbo, aż zadrżały szyby w oknach. Oparł się o ścianę i uspokoił się nagle. - Idź, Jayne. Za parę minut przyjedzie twój klient. Wszystko będzie dobrze.

Mary pokręciła leciutko głową, bała się krzyknąć. Czuła w sercu chłód, prawdziwe przerażenie. Naprawdę miała zostać na całe trzy dni z Jimbo!

Mama odeszła od niego, wróciła do niej i otworzyła szeroko ramiona. Mary skoczyła i przytuliła się do niej natychmiast, przez kilka sekund czuła się bezpieczna. Potem jej mama cofnęła się. Popatrzyły sobie w oczy.

- Przepraszam cię, kochanie - powiedziała matka. - To najlepsze, co mogę w tej sytuacji zrobić.

Mary chciała jeszcze raz spytać o babcię Peggy, ale nie było już czasu. Mama miała za kilka minut wyjść. Mary pociągnęła więc nosem raz i drugi, i w końcu przytaknęła.

- Bądź dobrym dzieckiem - odezwała się Jayne.

- Będę - obiecała Mary, ciągle pociągając nosem.

- Robię to dla ciebie, maleńka - powiedziała matka, muskając palcem jej brwi. Ona także miała łzy w oczach.

- Kocham cię, Mary.

- Ja ciebie też.

Matka zabrała ze sobą pełną reklamówkę, chyba były w niej ubrania.

- Pracuj z całych sił, Jayne! - zawołał do niej na odchodnym Jimbo. - Będziemy na ciebie czekać.

Przed samym wyjściem matka popatrzyła jeszcze raz na Mary. Miała takie spojrzenie, jakby znowu ją przepraszała i zapewniała, że to będą tylko trzy dni.

A potem szybko wyszła, i już jej nie było.

- Wtedy ostatni raz widziałam moją matkę - zakończyła Mary, mrugając powiekami. Smutne wspomnienie opuściło ją na chwilę. - Tego samego wieczoru Jimbo i Lou długo rozmawiali, kryjąc się przede mną, a rano spakowali wszystko i odjechaliśmy.

Emma wciąż słuchała z najwyższym zainteresowaniem.

- I wtedy przenieśliście się do tej chaty na odludziu?
- upewniła się niecierpliwie. - Tej w Wirginii? Czytałam kiedyś coś takiego w gazecie.

- T a k . Moja matka dokonała w życiu wielu złych wyborów - Mary uniosła brodę. - Ale mnie kochała. Nie umiała tylko wrócić do swojej matki.

Ostatnie zdanie wypowiedziała bardzo wyraźnie, powoli, żeby Emma zwróciła na nie uwagę.

Zwróciła. Słowa Mary podziały na nią bardzo mocno. Przez chwilę siedziała zupełnie nieruchomo, jej oczy napęłniły się łzami.

- Ja też nie potrafię wrócić do mamy - szepnęła w końcu, kręcąc głową.

Mary popatrzyła na nią z czułością. Właśnie o to się modliła - żeby Emma zidentyfikowała historię swojego życia z jej historią. I żeby zrozumiała, że Jezus może ją uratować, tak samo jak ocalił Mary Madison. Niezależnie od tego, w jak trudnej sytuacji znajdowała się w tej chwili Emma. Mary wyciągnęła rękę i pogłaskała Emmę po włosach.

- Miałam takie przeczucie - skomentowała.

- To skomplikowane... - szepnęła Emma, przecierając oczy.

- To zawsze jest skomplikowane - zgodziła się Mary, opadając z powrotem na oparcie.

- Co właściwie stało się z twoją matką? - Emma sięgnęła drżącą ręką po szklankę z wodą i wypila łyk, cały czas patrząc w oczy Mary. - O tym jakoś nigdy nie mówią.

- Staralam się do tego dojść na podstawie policyjnych raportów - Mary poczuła w sercu ukłucie bólu. Jej matka nigdy nie zdołała opuścić ulicy, nie umiała uwolnić się od ludzi, którzy ją wykorzystywali. To właśnie dlatego Mary gorąco pragnęła pomagać takim młodym kobietom jak Emma. Wzięła głęboki oddech.

- Jestem przekonana, że po trzech dniach wróciła i zastała puste mieszkanie - powiedziała. - Nie było nas.

- Musiała szaleć z rozpacz.

- Tak właśnie myślę.

Mary zamknęła oczy. Wciąż czuła dotyk obejmującej ją po raz ostatni matki i pamiętała, że wtedy, w jej ramionach, przez kilka sekund czuła się bezpieczna. Zamrugła powiekami, spojrzała na Emmę i dokończyła: - Przypuszczam, że doszła do wniosku, że w żaden sposób nie jest w stanie mnie znaleźć. Ogarnęło ją poczucie winy i... to było dla niej zbyt wiele.

Umilkła na chwilę, żeby opanować emocje. - Policja znalazła ją w uliczce odległej o kilka przecznic od mieszkania Jimbo. Umarła z przedawkowania narkotyków.

Emma drżała. Zakryła twarz dłońmi, przez chwilę zdawało się, że wybuchnie głośnym płaczem.

- To samo mogło stać się ze mną - jęknęła szczerze. - Tyle razy!... - W końcu starła pojedyncze łzy, spojrzała w oczy Mary i powiedziała: - Współczuję ci. Z powodu mamy.

- To było dawno temu - pocieszyła Mary. Teraz łatwo było jej tak powiedzieć. Wydobrzała, naprawdę. Opuściło ją tyle bolesnych myśli, które niegdyś ją dręczyły, tyle trosk. Choć i tak w pewne szczególne dni, późną wiosną, myślała o swojej matce, o jej objęciach, o tym, jakie były jej włosy, kiedy dotykała ich ostatni raz. Tylko babcia Peggy wiedziała, jak bolesne jest wciąż dla Mary wspomnienie śmierci jej matki.

- Co działo się potem? - zagadnęła Emma i zawstydzila się zaraz. - To znaczy, jeżeli chcesz o tym mówić...

- Chcę - Mary patrzyła na nią, próbując trafić do jej serca. - Opowiadam to wszystko nie bez powodu.

Emma skuliła się. Wciąż drżała. Niewątpliwie z powodu tego, co opowiadała Mary. Ale bez wątplenia także dlatego, że jej organizm domagał się działki narkotyków. Wypiła łyk wody.

- Musi ci być trudno o tym mówić - skonstatowała.

- Jest mi trudno.

- Więc po co to wszystko opowiadasz? - spytała Emma, wzruszając kościstymi ramionami.

- Dla twojego dobra. Po to, żebyś nie skończyła, jak moja matka... Gdyby ktoś w porę natrafił na nią na ulicy i opowiedział jej prawdę o Jezusie, może... Być może wszystko potoczyłoby się inaczej.

Emma nie mówiła już nic więcej. Mary powróciła więc do opowieści, znowu zanurzając się we wspomnieniach. Te, które miała zrelacjonować teraz, należały do najsmutniejszych wspomnień, jakie miała.

5



Jimbo i Lou okłamali Mary. Powiedzieli jej, że pakują rzeczy i wyładowują nimi półciężarówkę, żeby pojechać do Jayne. Mówili, że mama Mary nie wróci, tylko oni mają pojechać tam, gdzie jest.

- Dlaczego zabieramy kanapę i talerze? - dziwiła się na głos Mary. Kazali jej stanąć przy ścianie, żeby nie przeszkadzała w przenoszeniu rzeczy.

- Już ci mówiłem, mała - odpowiedział ze złością Jimbo. - Musimy pojechać do twojej mamy.

- Ale dlaczego wszystko zabieramy?

- Dlatego, że tu nie wrócimy! - krzyknął od drzwi Jimbo. Był czerwony na twarzy, ściekały z niej krople potu. Wynosili z Lou fotel. Wyglądało na to, że za chwilę go upuszczą.

- Pojedziemy tam, gdzie jest moja mama, i nie wrócimy? - Mary była zdumiona.

- Przestań zadawać pytania. Wkrótce wszystkiego się dowiesz.

Kiedy skończyli się pakować, Jimbo złapał Mary i zaciągnął ją do półciężarówki. Zanim wsiedli, przystanął i przyjrzał się jej. Wciąż był czerwony na twarzy,

brzydko pachniał - brudnymi ubraniami. Dotknął dłonią policzka Mary i uśmiechnął się do niej. Było to jednak dziwne - im szerzej się do niej uśmiechał, tym większe przerażenie ją ogarniało.

- Wiesz co, maleńka? - odezwał się znowu, nachylając się do Mary. Poczula nieprzyjemną woń papierosów.

Odwróciła się, nie miała ochoty mu odpowiadać. *Gdzie jest mama? - zastanawiała się. I skąd Jimbo to wie? Dlaczego mama nie wspominała o tym, że Jimbo i Lou pojedą za nią i że zabiorą z mieszkania wszystkie meble?* Jimbo wciąż oddychał blisko jej buzi, strasznie śmierdział.

- Dobrze, nie chcesz, to nic nie mów - powiedział i zaśmiał się cicho. - Ja mogę mówić. Niedługo, całkiem niedługo, zarobisz dla mnie prawdziwą fortunę. Wiesz, mała?

- A co będzie z moją mamą? - spytała Mary.

- Wkrótce się z nią zobaczysz - zakończył Jimbo. Położył dłoń na włosach z tyłu jej głowy i popchnął Mary w stronę samochodu.

Mary siedziała na tylnej kanapie przedłużonej kabiny półciężarówki. Zaledwie godzinę po tym jak wyjechali z Nowego Jorku Jimbo obejrzał się przez ramię, błysnął zębami w uśmiechu, którego Mary tak się bała, i powiedział:

- Czy mówiłem ci, że zobaczymy się z twoją mamą?
- zerknął na drogę, a potem znowu patrzył na Mary.
- Och, pomyliłem się.

- Pomyliłeś się?... - pisnęła cichutko. Skurczyła się na siedzeniu i wpatrywała się w oczy Jimbo, które widziała w lusterku. Trzymała na kolanach swoją czerwoną port-

monetkę z koralikami; obok leżała nieduża torba z jej ubraniami.

- Jimbo ma na myśli, że to twoja mama będzie musiała nas znaleźć - wtrąciła Lou. Spojrzała na męża.
- Przenosimy się.

Przenosimy? Mary nie wiedziała, o czym ci ludzie mówią. Przeprowadzali się? Jak mogli się przeprowadzać, skoro jej mama miała wrócić za dwa dni? Skąd będzie wiedziała, gdzie ich szukać? Mary poczuła ogarniający ją strach. Był tak silny, że nie była w stanie normalnie oddychać. Rozplakała się i na chwilę wpadła w wielką złość.

- Zawieźcie mnie do mamy! - krzyknęła.

- Jedziesz z nami - uciął Jimbo, rzucając jej groźne spojrzenie. - Więc przestań się mazgać.

Mary płakała dalej, ale siedziała cicho, jeśli nie liczyć żalostnego łkania, które wydobywało się z niej od czasu do czasu. Skoro nie dawało się rozmawiać z Jimbo ani Lou, postanowiła porozmawiać z Bogiem. Tak zrobiłaby na jej miejscu babcia Peggy.

Panie Jezu, to ja, Mary - powiedziała w myśli. Nie wiem, co się dzieje ani dokąd oni mnie zabierają. Proszę Cię, żeby moja mama do mnie wróciła. Miała dokończyć jeszcze tylko tę ostatnią pracę, a potem miałyśmy przenieść się do babci Peggy. Proszę Cię, Panie Boże!

Kiedy się pomodliła, przestała tak bardzo się bać. Babcia powiedziała, że Bóg zaplanował dla niej dobre rzeczy. To znaczy, że jej mama wróci, pewnie jak tylko skończy tę trzydniową pracę.

Mary uspokoiła się i powzięła postanowienie: jeżeli jej mama się nie pojawi, poczeka, aż Jimbo i Lou zasną, i ucieknie. Pójdzie do jakiegoś miłego małżeństwa i poprosi je, żeby zawiozło ją z powrotem do mamy albo do babci Peggy. *Panie Boże, niech wszystko dobrze się skończy!* - modliła się, mocno ściskając portmonetkę.

Minęło mnóstwo czasu. Wysokie budynki zniknęły i teraz Mary widziała głównie drzewa i trawę. Zastanawiała się, jak długo już jadą. Gdyby wracała do Nowego Jorku piechotą, musiałyby chyba iść cały dzień, może nawet dwa. Nie sądziła, że będą jechać tak długo i daleko. Jak mama zdoła znaleźć ją na wsi?

Siedząca z przodu Lou szepnęła coś do Jimbo. Obejrzał się przez ramię na Mary i odezwał się:

- Dobra dziewczynka. Miła i spokojna - znowu wyszczerzył zęby w dziwnym uśmiechu. Teraz wyglądał naprawdę przerażająco, jak pirat, bo słońce odbiło się w jego złotym zębie.

Mary wyjrzała przez okno. *Ale tu drzew!* - myślała ze zdumieniem. Nigdy w życiu nie widziała tylu drzew naraz. Były ładne, ale patrząc na nie, czuła skurcz w żołądku. Gdzie znajdzie miłego sąsiada, jeżeli będzie musiała uciekać od Jimbo i Lou w środku nocy? Drzew było wszędzie pełno, a domów - prawie wcale. Mary sprawdziła, czy Jimbo i Lou przyglądają się jej. Nie zwracali na nią uwagi. Popatrzyła więc na swoją małą portmonetkę ozdobioną koralikami.

Miała ją jeszcze, bo włożyła krótkie spodenki, jedyne, jakie miała. Były świetne, bo miały wielką kieszeń, gdzie

mogła schować czerwoną portmonetkę. Dlatego Jimbo nie mógł kazać Mary, żeby ją zostawiła.

Mary pogładziła palcami koraliki i wtedy przypomniała sobie, co powiedziała babcia. Że zaopiekuje się nią, jeżeli mama nie będzie mogła tego zrobić. Mary patrzyła na portmonetkę i myślała, że może najpierw trzeba będzie odnaleźć babcie. Przecież nie wiedziała, gdzie zamieszka jej mama. Kiedy wróci do mieszkania po zakończeniu pracy, zobaczy, że nikogo tam nie ma. Może ona też pojedzie do babci Peggy? Jeżeli tak, to może już następnego dnia spotkają się wszystkie trzy.

Mary zmrużyła oczy. Wpatrywała się w czerwoną portmonetkę i starała się przypomnieć sobie, co napisała na włożonej do środka kartce jej babcia. Cichutko otworzyła portmonetkę i wyjęła złożoną karteczkę. Babcia mówiła, że na kartce napisane jest coś szczególnego i że zawsze będzie to miało znaczenie w życiu Mary.

Rozłożyła karteczkę i spojrzała na litery, ale wydały się jej dziwne i przypadkowo postawione obok siebie. *Nie umiem czytać* - pomyślała z przykrością kolejny raz. Ale nauczę się w tym roku, bo pójdę do szkoły. Tak powiedziała babcia.

Jeszcze raz zerknęła ukradkiem na Jimbo i Lou, ale patrzyli przez przednią szybę. Kiedy rozmawiali, mówili za cicho, żeby Mary słyszała ich słowa. Spuściła wzrok i znowu wpatrywała się w karteczkę. Wydawała się jej czymś cennym, ale bała się, że jeżeli Jimbo ją zauważy, być może ją zabierze, a Lou może chcieć zabrać śliczną portmonetkę. Mary złożyła więc

karteczkę i schowała ją z powrotem do portmonetki, a tę - do kieszeni.

Jechali, jechali i jechali. Po jakimś czasie drogi zaczęły się robić coraz węższe. Drzew było jeszcze więcej, a samochodów - coraz mniej. Raz zatrzymali się na stacji benzynowej; wtedy Jimbo dał Mary jabłko i batonik. Była już bardzo głodna, ale wolała nic nie mówić. Im bardziej oddalali się od Nowego Jorku, tym mniej pewnie się czuła.

Co będzie, jeżeli mama nie będzie wiedziała, gdzie mnie szukać? - zastanawiała się. I co miał na myśli Jimbo, kiedy mówił, że zarobie dla niego fortunę?...

Po tym jak ruszyli ze stacji benzynowej, jechali jeszcze bardzo długo. W końcu Jimbo zwolnił i skręcił w nierówną drogę, jakby z kamieni. Okropnie na niej trzęsło i była tak wąska, że na pewno nie zmieściłby się na niej drugi samochód. Jechali nią, a później droga wspięła się na wzgórze. Mary zwróciła uwagę na dwie rzeczy - wokół nie było żadnych innych domów, mieszkań, sąsiadów, niczego. Za to na wierzchołku wzgórza stał pojedynczy, mały, kanciasty domek. Coś jej przyszło do głowy.

- Czy to tu pracuje moja mama? - zapytała.

Jimbo wysiadł z półciężarówki, otworzył drzwi koło Mary i podał jej rękę.

- Nie, moja mała - odpowiedział i znowu wyszczerzył zęby w uśmiechu złego człowieka. - Ty będziesz tu pracowała.

- Gdzie jest moja mama? - Mary włożyła rękę do kieszeni i odnalazła portmonetkę z koralikami. - Jak ją znajdziemy?

Jimbo otworzył usta, jakby miał jej coś wyjaśnić, ale wyprostował się tylko, pokręcił głową i pociągnął Mary za sobą.

Nie chciała za nim iść; zapała się nogami o ziemię, ale Jimbo był silniejszy od niej. O wiele silniejszy. Pociągnął ją tak mocno, że upadła na kolana. Natychmiast się zerwała, bo nie chciała, żeby portmonetka wypadła jej z kieszeni. Wtedy Jimbo pociągnął ją dalej. Z tyłu szła Lou, dźwigając wyjętą z samochodu torbę. Kiedy dotarli do trzech schodków małego domku, Mary ogarnęło tak wielkie przerażenie, jak chyba jeszcze nigdy w życiu.

- Co to za dom, Jimbo? - spytała. - Gdzie jesteśmy?

Jimbo zatrzymał się i popatrzył na nią. Pachniało mu z ust tak nieprzyjemnie, że czuła to, mimo że byli na dworze.

- To jest twój nowy dom, dziecko - odpowiedział, po czym wprowadził Mary do środka i posadził ją w kącie. Domek wyglądał na chatę, jeszcze mniejszą niż mieszkanie Jimbo i Lou. Był w niej mały pokój i kuchnia; Mary nie widziała żadnych innych pomieszczeń. Chata wydawała się ciemna i zimna. Mary poczuła się w niej samotna. Jimbo pokazał na nią palcem, zbliżając brudny paznokieć do jej twarzy, i rozkazał: - Nie mów więcej o mamie. Ani słowa więcej na jej temat - bo inaczej uderzę cię w twoją śliczną buzię, rozumiesz?

Mary odruchowo podniosła rękę do ust i cofnęła się pod ścianę. Osunęła się na podłogę, kiwając głową. Nie była w stanie mówić; co zresztą mogłaby powiedzieć? Jimbo zabronił jej mówić o mamie; a tylko o niej chciała

rozmawiać. Podciągnęła kolana pod brodę, skuliła się... Opuściła głowę, zamknęła oczy i zaczęła myśleć o wszystkim, co powiedziała mama - o tym, do jakiej pracy się wybiera, i że nie będzie jej przez trzy dni...

Kiedy się ściemniło, a Jimbo i Lou skończyli wnosić rzeczy do chaty, Mary usłyszała coś, co przeraziło ją jeszcze bardziej niż przyjazd w to odludne miejsce.

- Kiedy powiesz jej, że matka do niej nie wróci? - spytała Lou. - Może wtedy przestanie nas o to wypytywać.

Mary podniosła się, cała drżąc. Oparła się o ścianę, żeby nie upaść.

- Co? - odezwała się. Bała się, ale nie do tego stopnia, żeby dalej siedzieć nieruchomo. Skoro mama miała nie wrócić... - Co powiedziałaś?!

Jimbo i Lou odwrócili się ku niej.

- Słyszałaś - odparł Jimbo, wykonując nieokreślony gest. - Jasne? - Opuścił ręce. - A co myślałaś? Że twoja mama jest recepcjonistką, gdzieś tutaj, w górach?

W górach? Gdzie my jesteśmy? - przeraziła się Mary. *Czy mama znajdzie mnie tutaj? A jeżeli nie, to kiedy znowu ją zobaczę?...* Zaczęła płakać. Nie głośno, ale rzewnymi łzami. Czuła się cała obolała. Nie wiedziała, czy to serce ją boli, czy wszystko inne.

- No i czego płaczesz, bachorze? - zniecierpliwiał się Jimbo. Podeszedł do niej zamaszystym krokiem. - Będziesz miała tu wszystko, czego będzie ci trzeba. - Spojrzał na Lou, potem znowu na Mary. - A poza tym twoja mama... umarła. Przejechał ją samochód w mieście. Więc nie bez już i nie marudź więcej na jej temat. I tak nie wróci.

Mary pokręciła głową. Otworzyła usta; miała ochotę krzyknąć na Jimbo, wrzasnąć, że jest kłamcą. Przecież jej mama była w pracy, rano zacznie jej szukać i...

- Moja mama nie umarła! - krzyknęła Mary.

- Zrób coś, żeby się zamknęła - zagderła Lou i wyjęła z lodówki puszkę z czymś do picia.

- Dobrze.

Jimbo zbliżył się do Mary i złapał ją za rękę. - Skoro się stawiasz, to pokażę ci twój pokój.

Zaciągnął Mary do jakichś drzwi, otworzył je - były za nimi schody do piwnicy. Kiedyś matka zabrała ją do jednego ze swoich chłopaków, kazali jej wtedy siedzieć w piwnicy.

Mary nie chciała iść do piwnicy. Jak mama znajdzie ją w piwnicy małego pudełkowatego domku schowanego pomiędzy drzewami? To znaczy na wzgórzu - czy w górach?

- Przestań, Jimbo! - krzyczała Mary, wrywając się. Jimbo jednak trzymał ją mocno. - Nie chcę tam iść!

- Zejdziesz, bo tam jest twój pokój! - warknął Jimbo.

Zeszli na dół i Mary zobaczyła brudną kanapę przy ścianie. Jimbo zrzucił z niej ręką kilka liści i - zdaje się - pajaków. A potem szarpnął Mary za rękę i cisnął ją na kanapę.

- Dlaczego tak się zachowujecie?! - krzyknęła Mary. Łzy zalewały jej oczy, ale nawet nie była smutna, tylko po prostu wściekła na Jimbo i Lou. - Zawieźcie mnie z powrotem do waszego mieszkania! Chcę wrócić do mamy!

- Zamknij się! - warknął Jimbo. Otwartą dłonią uderzył Mary w twarz, aż zaczęły ją boleć zęby. - Zamknij się, bo zrobię ci coś takiego, że dopiero będziesz miała powód do płakania! - Rozpostarł palce i pchnął Mary za twarz, tak że opadła plecami na kanapę. - Ani słowa więcej! - Wyprostował się, po czym zaczął patrzeć na nią dziwnie, wzrokiem, który zawsze ją przerażał. - Wyśpij się i nie zapalaj w nocy światła. Jutro będzie twój wielki dzień, pierwszy dzień reszty twojego życia, mała Mary. I wiesz co? - Mary odwróciła głowę. - Dzięki tobie będę bogaty! - A potem Jimbo pochylił się i dotknął Mary w miejsce, gdzie nikt nie powinien jej dotykać. - Bogaty i zadowolony z życia!

Jimbo z hałasem wyszedł po schodach z piwnicy, a Mary sięgnęła do kieszeni szortów. Odnalazła czerwoną portmonetkę z koralikami i pomyślała sobie, że jej życie jakoś się ułoży, mimo że znalazła się w okropnej sytuacji. Ułoży się, jeśli będzie miała tę portmonetkę. Dlatego że znajdowała się w niej karteczka, na której było napisane, że Bóg ją kocha i zaplanował dla niej dobre rzeczy. Poza tym ta portmonetka i kartka znaczyły, że babcia też ją kocha. Może mama nie zdoła jej znaleźć, ale babcia ją znajdzie, bo jest mądra; babcia wszystko wie.

Mary przycisnęła portmonetkę do piersi i nagle przyszło jej do głowy, że musi gdzieś schować swój skarb, bo inaczej Jimbo albo Lou ją zabiorą. Najpierw chciała ją jednak potrzymać, przypominać sobie, jak dobrze jej było w różowym pokoju u babci Peggy. Tam Mary była szczęśliwa i bezpieczna. Życie u babci podobało się jej i chciała być tam

teraz. I jeszcze, żeby mama ją obejmowała. Mary przycisnęła portmonetkę do palącego policzka, w który uderzył ją Jimbo. Portmonetka była miękka i chłodna; trzymała ją i czuła, że pomału coraz mniej się boi.

Siedziała w piwnicy jakiegoś domu na odludziu, ale jutro... Jutro na pewno mama i babcia ją znajdą. Nakrzyczą na Jimbo i zabiorą ją ze sobą. Mary opuściła portmonetkę i wpatrywała się w nią.

- Tęsknię za tobą, mamó - szepnęła ze łzami w oczach. Zamrugła powiekami. - Za tobą też, babciu.

Zamknęła oczy i pomyślała o Bogu. *Panie Boże, ty ja, Mary - pomodliła się. - Przywieźli mnie tutaj... Proszę Cię, pomóż mi. Znajdź moją mamę i powiedz jej i babci, gdzie jestem.*

Z góry dobiegł ją jakiś dźwięk. Głośny, jakby ktoś rzucił książką w ścianę. Mary się wystraszyła i zaczęła się rozglądać po ciemnej piwnicy. Było w niej jedno okno. Wpadało przez nie trochę światła - tyle, że Mary widziała, co jest dookoła niej. *Gdzie schować portmonetkę?* - zastanawiała się. Musiało to być miejsce, w które będzie mogła łatwo sięgnąć, ale takie, żeby Jimbo ani Lou nie znaleźli jej skarbu.

Zadrżała. W piwnicy prawie nic nie było, tylko kanapa i kilka pudeł. Może ktoś zabierze te pudła? W takim razie trzeba schować portmonetkę za kanapą. Mary wcisnęła portmonetkę w szparę między kanapą a ścianą. *Teraz nikt jej nie znajdzie - tylko czy będę mogła do niej sięgnąć?* - zastanawiała się. Sprawdziła - dosięgała. Uff.

- Leż tam grzecznie - odezwała się do portmonetki, po czym położyła się na kanapie. Myślała o mamie

i babci, o tym wszystkim, co im powie, kiedy ją znajdą. Na pewno powie im, jak okropnie zachowywał się Jimbo i jak ją uderzył. Z pewnością bardzo się na niego rozgniewają. Potem pomyślała o szkole, o tym, że miło by było nauczyć się liter i wyrazów, żeby umieć czytać.

Robiło się coraz zimniej; Mary nie wiedziała, czy zasnąć. Nigdy nie mogła zasnąć, kiedy było jej zimno. Wstała i rozejrzała się. Zobaczyła, że na oparciu kanapy leży koc. Wzięła go więc i się przykryła. Zanim zasnęła, pomyślała jeszcze o tym, co powiedział Jimbo. „Dzięki tobie będę bogaty! Bogaty i zadowolony z życia!”.

Myślała i myślała, ale nie miała pojęcia, co Jimbo miał na myśli. W jaki sposób miała sprawić, żeby stał się bogaty i zadowolony? Rozmyślała tak, aż w końcu zrobiło się widno. Do piwnicy zeszła Lou, przyniosła jej płatki owsiane z mlekiem i banana.

- Jak zjesz, postaw talerze na dole schodów - powiedziała Lou. - Zejdę po nie później.

Jest rano - myślała Mary. *Dzisiaj powinny przyjechać mama i babcia. Może już zaraz, kiedy skończę jeść?* Jednak kiedy zjadła i odstawiła *talerze*, do piwnicy przyszedł Jimbo. Zaczął patrzeć na nią, patrzył i patrzył, dziwnym wzrokiem. W końcu podszedł do kanapy i odezwał się:

- Dzisiaj jest twój dzień, Mary.

- O co ci cho... - Mary umilkła, bo Jimbo nachylił się, a potem zaczął robić jej straszne rzeczy. Coś okropnego! To było tak potworne, i bolało ją, aż krzyczała, nawet kiedy przestał! Czowała się tak źle, jakby umierała. Zwymiotowała całe śniadanie. Potem przyszła Lou i posprzątała.

Minęły trzy dni, podczas których do piwnicy nikt nie przychodził, tylko Lou, kiedy przynosiła Mary jedzenie.

A później, pewnego popołudnia, przyszedł jakiś obcy człowiek, którego Mary jeszcze nigdy nie widziała. Popatrzył na nią i zaraz uśmiechnął się tak, jak diabły na filmach rysunkowych. Dał Jimbo całą garść banknotów.

- Jest cała do twojej dyspozycji - powiedział z zadowoleniem Jimbo. Z hałasem wrócił po schodach na górę, a wtedy ten obcy człowiek zaczął robić Mary straszne rzeczy, tak jak Jimbo parę dni wcześniej. Wołała mamę i babcię, z powodu bólu i ze strachu. Wołała o pomoc, drapała mężczyznę, który robił jej coś tak okropnego, ale nikt nie przychodził. Nikt nie pomógł jej ani tego dnia, ani następnego, ani kolejnego.

Próbowała wymyślić, jak uciec z piwnicy i chaty, nie wiedziała jednak, w którą stronę powinna iść, jak znaleźć drogę do domu. Pamiętała, co powiedział Jimbo dzień przed tym, kiedy robił jej te okropne rzeczy - że jutro będzie pierwszy dzień reszty jej życia. Czy cała reszta jej życia miała wyglądać w taki sposób?! Jeśli tak, Mary wołała umrzeć.

Nie umiała dojść do żadnych odpowiedzi na swoje pytania. Jimbo i obcy mężczyzna co jakiś czas przychodzili do piwnicy i robili jej to samo, te okropieństwa! Po tygodniu już wiedziała, w jaki sposób Jimbo miał stać się bogaty i zadowolony dzięki niej...

6



Emmie zrobiło się słabo. Przycupnęła na skraju fotela.

- Muszę już iść... - szepnęła.

„Tak, idź - odezwał się znowu głos w jej głowie. - Idź, kup narkotyków i skończ ze sobą”. „Nikt cię nie kocha - dodał drugi. - I tak nikt nie będzie za tobą tęsknił”.

Mary powróciła do rzeczywistości. Nie była już zamknięta w tej okropnej piwnicy, była psychologiem i pomagała maltretowanym kobietom.

- Starczy na dzisiaj... - zgodziła się. - Możesz odebrać swoje córeczki ze żłobka i pójść do pokoju, który dla ciebie przygotowaliśmy. Jest na drugim piętrze. Na parterze jest biblioteka, a koło kuchni - stół do prac ręcznych. Jeżeli chciałabyś obejrzeć z dziećmi film, na twoim piętrze jest sala telewizyjna z odtwarzaczem.

Film? Prace ręczne? - dziwiła się Emma.

- Nie wiem... - mruknęła, kręcąc głową. Nie miała ochoty na takie rzeczy. Wyrzała przez okno. Zachmużyło się, zaczynało padać. Nie szkodzi, i tak mogła znaleźć gdzieś diler narkotyków i zabić się nimi najdalej godzinę później.

„I wszyscy ci za to podziękują, Emmo - dorzucił w jej głowie obcy głos. - Twoje życie od lat jest bez sensu, więc zejdź z tego świata, zrób to wreszcie. Jesteś śmieciem, a śmieci wynosi się na dwór i...”.

- Emmo...

Głosy umilkły.

- Nie jestem pewna, czego chcę - mruknęła Emma, rzucając spojrzenie Mary. *Muszę stąd uciekać!* - myślała. *Moim dzieciom będzie lepiej beze mnie. Gdybym nie znalazła się w tym schronisku, byłabym gdzieś na ulicy; wtedy moim córeczkom mogłoby przydarzyć się coś strasznego, tak jak kiedyś Mary. Emma wolała sobie tego nawet nie wyobrażać. Tak* - myślała - *będzie lepiej, jak wybiegnę stąd i nigdy więcej...*

- Obiecałaś mi, że spotkasz się ze mną parę razy, żeby wysłuchać mojej historii do samego końca - przypomniała z naciskiem Mary.

Rzeczywiście, obiecałam - pomyślała Emma. *O czym Mary będzie opowiadała dalej? Była wykorzystywana seksualnie przez całe lata, a potem zdołała wydobyć się z kłopotów, zerwać z ludźmi ulicy, zamieszkać gdzie indziej. Wykształcić się, wreszcie założyć schroniska i zostać znaną osobą, która pomaga innym. Lepsze od bajki o Kopciuszku. Ale co to pomoże mnie albo moim córeczkom?! tak będzie im lepiej beze mnie.* Emma wzruszyła ramionami.

- Ten typ więził cię jako prostytutkę jeszcze wiele lat, a potem, kiedy dorosłaś, udało ci się z tego wszystkiego wyjść i dojść do tego, do czego doszłaś - prawda? - upewniła się.

- Nie - zaprzeczyła ze smutkiem Mary. - Po tym, na czym dzisiaj zakończyłam, było jeszcze gorzej. I później wcale nie byłam na tyle silna, żeby się z tego wydobyć.

Emma nie posiadała się ze zdumienia. *Mary Madison nie była dostatecznie silna? Było jeszcze gorzej, to znaczy jak?!* Myśl o tym wzmocniła tylko decyzję Emmy, żeby się zabić. Bo jeśli sytuacja Mary jeszcze się pogorszyła, to znaczy, że to samo mogło zdarzyć się z nią i jej dziećmi. A tego Emma nie byłaby w stanie znieść; nawet nie zamierzała o tym myśleć.

- Emmo, słyszysz mnie? - odezwała się znowu Mary, dotykając jej kolana. - Wiem, o czym myślisz. - Uśmiechnęła się, a to spowodowało, że w sercu Emmy znowu zaświtała nadzieja, jak wcześniej. - Dalszy ciąg mojego życia był jeszcze gorszy, ale to nie znaczy, że na tym się skończyło - kontynuowała. - I w twoim przypadku też się na tym nie skończy.

„Skończy się, skończy - odezwał się nienawistny głos. - Już jesteś skończona. Weź narkotyki i będzie po wszystkim”.

- Potrzebuję oddechu - stwierdziła Emma, kuląc się.

- Nie tylko oddechu - odpowiedziała Mary i założyła ręce. - Ale jeszcze nie jesteś gotowa na więcej.

- Nigdy nie będę gotowa - rzuciła z mocno bijącym sercem Emma. - Nie jestem podobna do ciebie.

- Maltretowane i wykorzystywane kobiety - my wszystkie jesteśmy do siebie podobne - skwitowała Mary, nieco ciszej niż przedtem. - Bo nasze historie

są podobne, a wolność można osiągnąć tylko w jeden sposób.

„Przedawkować narkotyki - powiedział głos w głowie Emmy. - To jedyna droga do zakończenia tego koszmaru”.

- Czy mogę powiedzieć coś wprost?

Emma z trudem przełknęła ślinę. Miała ochotę zerwać się i jak najszybciej wybiec z budynku. Westchnęła jednak tylko i zgodziła się:

- M ó w .

- Samobójstwo nie uwalnia od cierpienia.

Co? Głosy milczały. Skąd Mary wie, co myślę?! Co chcę zrobić?! - zastanawiała się Emma. Zbladła.

- Skąd wiesz, że chcę się zabić? - spytała.

- Już ci mówiłam - odparła Mary, patrząc jej prosto w oczy. - Byłam na twoim miejscu. - Nikt nigdy nie rozmawiał z Emmą w taki sposób jak Mary Madison.

- Prawie uwierzyłam w kłamstwo, że samobójstwo to jedyna droga uwolnienia się od cierpień. Ale to nieprawda

- mówiła poważnym tonem. - Jeżeli je popelnisz, koszmar będzie trwał, przynajmniej do końca życia twoich małych córeczek. Co dnia będą się zastanawiać, dlaczego mama nie kochała ich na tyle mocno, żeby żyć.

Słowa Mary zaszokowały Emmę. Dotąd wmawiała sobie, że jeśli umrze z przedawkowania narkotyków, uwolni od kłopotów swoje dzieci. Ktoś będzie mógł je adoptować i wychowywać albo oddać jej matce. I wszystkim będzie lepiej. Ale... Jeżeli naprawdę Kami i Kaitlyn będą żyły przepelnione złością i żalem do niej z powodu

tego, że się zabiła i zostawiła je... Ich życie może potoczyć się przez to gorzej niż wtedy, gdy będzie żyła!

Emma zacisnęła usta, czując, że w jej sercu zachodzi jakaś przemiana. Desperackie pragnienie ucieczki zaczęło znikać, pojawiło się za to poczucie świadomości pewnych rzeczy. Stwierdziła, że przetrwa ten dzień. Może mogłaby porobić coś z dziewczynkami przy stole do robót ręcznych albo obejrzeć z nimi film? W ten sposób spędzą ze sobą czas do chwili, kiedy Emma będzie mogła usłyszeć resztę opowieści Mary i zorientować się, czy rzeczywiście Mary ma rację.

Chyba że przed laty życie Mary Madison wcale nie było tak podobne do życia Emmy.

Mary poznała po minie Emmy, że ją przekonała. Wstała, podała jej dłoń i pomogła jej się podnieść.

- Do zobaczenia jutro o dziewiątej.
- Dobrze - Emma skuliła się. Bardzo chciała zobaczyć się ze swoimi córeczkami. Spojrzała Mary w oczy.
- Dziękuję, że poświęciłaś mi czas.

Zanim Mary zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Emma odwróciła się i szybko wyszła. Przeskakując po dwa schodki, biegła do żłobka.

Zobaczyła tę samą co wcześniej starszą kobietę, która siedziała na kanapie i czytała jej córeczkom. Usłyszała Emmę i spojrzała w jej kierunku.

- Witaj - rzuciła w jej stronę. Zamknęła książeczkę.
- Dokończymy czytanie jutro - powiedziała z uśmiechem do dziewczynek.

Kami pierwsza zobaczyła Emmę. W jej oczkach pojawił się błysk radości. Zeskoczyła z kanapy i podbiegła do Emmy, szeroko rozkładając ręczki.

- M a m a ! - zawołała, szczęśliwa. Kaitlyn także zeszła z kanapy i przydreptała zadowolona.

Pracownica żłobka patrzyła na to z uśmiechem.

- Mam trochę papierkowej roboty w swoim gabinecie - powiedziała, odkładając książkę. - Wygląda na to, że świetnie poradzicie sobie we trzy.

Wyszła tak, aby nie zwracać na siebie uwagi dzieci.

Emma przyklęknęła na powitanie nadbiegających córeczek i przytuliła je równocześnie. *Moje maleńkie skarby!* - myślała. *Jak mogłabym przedawkować narkotyki i zostawić was bez mamusi?! Te głosy w mojej głowie nie mają racji. Potrzebujecie mnie, kochane!* Przez jej plecy przeszedł dreszcz, a potem poczuła mdłości - niewiele brakowało, a byłaby się zabiła! Gdyby Mary nie powiedziała pod koniec rozmowy pewnej ważnej rzeczy, być może w tej chwili Emma kupowałaby narkotyki.

Kami cofnęła się trochę, żeby móc widzieć matkę.

- Tęskniłyśmy za tobą, mamusiu - oznajmiła. - Gdzie byłaś?

- Rozmawiałam z jedną miłą panią - odparła Emma, i nagle poczuła ścisk w gardle. Kami spoglądała na nią podobnym wzrokiem jak Mary; właśnie takie spojrzenie musiała mieć Mary Madison jako mała dziewczynka... Nie były do siebie ani trochę podobne z wyglądu, ale w oczkach Kami błyszczała poruszająca niewinność i ufność - mała

Mary Madison musiała mieć takie samo spojrzenie. Do czasu aż jej nie porwano i nie zamknięto w tej odrażającej piwnicy.

Nagle Emma zalała się łzami. *Na jakie życie skazałam moje malutkie córeczki?! - wyrzucała sobie. Podejmując każdą decyzję, postępowałam odwrotnie, niż pragnęła moja mama... I sprzeciwiałam się Bogu. Przez to moim małym dzieciom groziła przemoc ze strony ojca, wciąż stykały się z narkotykami...*

Przytuliła się twarzą do swoich maleńkich córeczek, łkając raz za razem. Ileż razy była tak naćpana, że nie dała im kolacji? Jak wielu kolegów Charliego brało je na ręce i bawiło się z nimi? To istny cud, że do tej pory nie stało się im nic złego.

- Mama - odezwała się Kaitlyn, głaskając ją niezdarnie po włosach i dotykając rączką jej policzka. - Czego płaczesz?

Teraz Kami zaczęła delikatnie gładzić Emmę obiema dłońmi po policzkach.

- Mama ma ciężki dzień - wyjaśniła.

„Mama ma ciężki dzień”. Emma setki razy powtarzała to zdanie swoim dzieciom. „Mama nie może zrobić wam śniadania”... „Mama nie może zabrać was na spacer”... „Mama nie widzi dobrze”... „Mama nie może was podnieść”...

Jej niemoc wynikała za każdym razem z wpływu narkotyków czy skutków ich zażycia, albo z tego, że Charlie ją pobił. Zawsze dodawała jako wytłumaczenie: „Mama ma ciężki dzień”. Kami i Kaitlyn słyszały to zdanie chyba prawie codziennie od swoich narodziń.

Przestała łkać, teraz czuła ból przede wszystkim w sercu. Można powiedzieć, że jej serce nigdy nie przestawało płakać...

- Moje malutkie... Przepraszam was.

Dziewczynki milczały. Kami pogłaskała Emmę po głowie i pocałowała ją w nos. Kaitlyn przytuliła się do niej mocniej, opierając główkę na jej ramieniu.

Moje najukochańsze maleństwa! - myślała Emma. *Gdybym tu z wami nie przyszła, może już byłoby po was? Może wzięłabym tyle prochów, że bym was zgubiła? A wtedy ktoś mógłby was porwać i sprzedać albo zamienić w niewolnice! Mogło się stać wszystko. Boże!* Emma cicho jęknęła. *Przepraszam.*

Dziewczynki wyczuły, że ich mama jest smutna w jakiś nietypowy sposób. Przytuliły się do niej jeszcze mocniej; Kami zaczęła płakać. Emma zamknęła oczy i tuliła do siebie ukochane dzieci, ciesząc się ich obecnością i bliskością. *Co by było, gdybym was zgubiła?* - myślała. *Albo gdybym popełniła samobójstwo, jak chciałam zrobić? Już nigdy nie przeżyłabym takiej chwili jak ta... A jednak jestem tu z wami.* Nagle smutek, strach i rozpacz, które od lat były jej nieodłącznymi towarzyszami, rozwiały się na tyle, że bardzo mocno poczuła coś innego - coś, co od razu rozpoznała.

Wdzięczność.

Niezależnie od tego, jak to się stało, że trafiła do tego schroniska, była tu. Była tu mimo strachu i tego, że każdy fragment jej ciała wołał o narkotyki. Miała przy sobie swoje malutkie dziewczynki i miała własne życie, i jeszcze nadzieję - dlatego że chciała rozmawiać z nią Mary

Madison, opowiedzieć jej dalszy ciąg swojej historii. Jak to powiedziała Mary? Że na tym jej życie się nie skończyło i że życie Emmy też się na tym nie kończy?

Wreszcie Emma otarła łzy i ucałowała każdą z dziewczynek w policzek. Wzięła je za rączki i zaprowadziła do stołu do prac ręcznych. Była pod wrażeniem sytuacji i pewnego przemożnego poczucia.

Poczucia, że być może Mary Madison ma rację.

7



Grace Johnson jeszcze nigdy nie tęskniła za mężem tak mocno jak teraz. Gdyby Jay był przy niej, wiedziałby, jak odnaleźć Emmę i jej córeczki, jak do nich dotrzeć i sprowadzić je do domu. Grace chodziła tylko tam i z powrotem po swoim niedużym, czteropokojowym domu, stojącym po drugiej stronie rzeki, naprzeciw Waszyngtonu. Była sama.

Dlaczego Bóg do tego dopuścił; jak to się stało, że wszystko potoczyło się tak źle? Od dnia, kiedy przed wielu laty Emma opuściła rodzinny dom, Grace co dzień winiła się za to.

Kiedy ostatni raz wybrała się w odwiedziny do Emmy, zorientowała się, że jest bardzo źle - zobaczyła siniaki na twarzy swojej córki i ślady na jej rękach. Malutkie wnuczki Grace skuliły się na jej widok, chowając się za plecami swojej mamy, mimo że rozpoznały babcię. Grace była zrozpaczona.

Do tej pory pamiętała przerażenie na twarzy Emmy i jej okrzyk:

„Mamo, mówiłam ci, żebyś nigdy do nas nie przyjeżdżała, zanim nie zadzwonisz!”.

Sytuacja, jaką zastała Grace, była przerażająca, dużo gorsza, niż sobie kiedykolwiek wyobrażała! Jej córka nie tylko miała ślady po biciu, ale do tego była okropnie wychudzona, ręce jej drżały. Były to wyraźne sygnały, że znowu zażywa narkotyki; brała crack. Grace pragnęła zabrać ją i jej dzieci ze sobą do domu i nigdy więcej nie pozwolić im znaleźć się na ulicy. Wiedziała jednak, że nie skończyłoby się to niczym lepszym niż poprzednio, kiedy Emma się wyprowadziła.

Grace weszła do mieszkania nieco głębiej i rozejrzała się po pokoju. Zobaczyła powybijane szyby i ślady uderzeń na ścianach. Pod jedną leżały kawałki wazonu.

„Co on z tobą zrobił?!...” - odezwała się, otwierając szeroko usta.

Emma nie odpowiedziała. Wystarczyło spojrzeć na nią z bliska, żeby się zorientować, że nie jest w stanie odpowiedzieć. Kręciła tylko głową, mrugając szybko powiekami.

„Sama do tego dojdę, mamó - odezwała się w końcu. Przycisnęła do siebie dzieci. - Nie jest tak, jak to z pozoru wygląda. Wszystko jest dobrze”.

Dobrze?! Grace podeszła do niej bliżej.

„Popatrz na swoje ręce - powiedziała. Przesunęła palcami po siniakach na ciele swojej córki. - Jak on mógł zrobić ci coś takiego? - zapytała i spojrzała Emmie w oczy. - Przecież jest tak, jak to wygląda”.

Przez następne pięć minut błagała Emmę, żeby opuściła Charliego i wróciła z nią do rodzinnego domu. Po to, żeby można było udzielić jej pomocy, żeby mogła

chodzić na terapię, a potem zacząć nowy, lepszy etap życia.

Emma zaczęła jednak przeraźliwie na nią krzyczeć i wskazywać jej drzwi.

„To ty stwarzasz mi problemy, mamó! - wołała. - Daj mi spokój! - Przepchnęła się między swoimi dziećmi i otworzyła szeroko drzwi. - Sami sobie poradzimy" - zakończyła.

Nie poradzili sobie, oczywiście. Grace poszła, a kiedy następnego ranka nikt nie odbierał, znowu pojechała do swojej córki.

Tym razem w drzwiach pojawił się Charlie. Miał przekrwione oczy.

Grace w pierwszym odruchu chciała napluć mu w twarz. Zajrzała jednak do pokoju, za jego plecy.

„Gdzie ona jest?" - spytała z wściekłością. Myślała, żeby doprowadzić do zamknięcia Charliego w więzieniu za to, co zrobił z jej córką.

Charlie wyglądał niedbale - jego włosy były w nieładzie, miał nieprzystrzyżony zarost, cuchnął papierosami i jeszcze dziwną, słodkawą wonią, pewnie narkotykami. Cofnął się i przymknął drzwi.

„Nie ma jej - odpowiedział. - Poszła i zabrała ze sobą dziewczynki".

„Dobrze, w takim razie zaczekam pod drzwiami, aż wróci" - odpowiedziała ze złością Grace.

„Niech pani zobaczy - warknął Charlie, otwierając szeroko drzwi. Omiótł gestem pokój. Grace poczuła jeszcze silniejszy smród papierosów. - Poszła stąd i nie wróci. To

ćpunka, jedzie na cracku i potrzebowała działki - Wzruszył ramionami. - Zaprzedałaby się diabłu za działkę cracku".

„Zaprzedałaby się diabłu?" Grace z przerażenia poczuła ucisk w gardle. Jeżeli z Emmą było aż tak źle, być może Charlie mówił prawdę. Emmie zdarzały się już okropne ciągi narkotykowe. Szalała z pragnienia wzięcia następnej dawki, była zdesperowana. Grace złapała się za głowę, zacisnęła powieki. *Boże, pomóż mi wymyślić coś mądrego!* - pomodliła się. Otworzyła oczy i spytała Charliego:

„Dokąd ona pojechała? Musiała panu powiedzieć". Oprócz niej Emma nie miała w okolicy żadnej rodziny. Dotąd Grace zawsze wiedziała, gdzie szukać córki, niezależnie od tego, jak wielkie błędy w życiu popełniała. Lecz teraz nie umiała sama jej znaleźć.

„Niech pani słucha: Emma poszła stąd na dobre. Jeżeli ją pani zobaczy, niech jej pani powie, że jej szukam. Jest mi winna tysiąc dolarów!". To powiedziawszy, Charlie zatrzaskał drzwi, uderzając nimi Grace.

Nie wiedziała, dokąd iść, więc wróciła do domu, a następnego dnia zatelefonowała na policję i formalnie zgłosiła zaginięcie. Policja nie zamierzała jednak tracić czasu na szukanie kogoś, kto znikł w taki sposób jak Emma. Co chwila jakaś kobieta opuszczała mężczyznę, z którym była związana. Nie znaczyło to jeszcze, że cokolwiek złego jej się stało. Chociaż...

A jeśli Charlie do tego stopnia nie zapanował nad sobą, że zrobił poważną krzywdę Emmie i jej córeczkom albo... coś jeszcze gorszego? Gdzie w takim razie należało zacząć szukać Emmy? Grace nigdy nie wyobrażała sobie,

że jej córka kiedykolwiek zamieszka bez ślubu z mężczyzną; wychowywała ją przecież w przekonaniu, że to coś złego. A tym bardziej nie przyszło jej do głowy, że Emma zamieszka z mężczyzną, który będzie ją bił, groził jej, wrzeszczał na nią...

W końcu, kilka dni po swoim zniknięciu, Emma zadzwoniła do niej z automatu.

„Mamo, nie martw się o mnie ani o moje córeczki - powiedziała spokojnym głosem. - Wszystko z nami w porządku”.

„Dzięki ci, Boże! - westchnęła z ulgą Grace. Jej serce zabiło tak mocno, że ledwie słyszała własny stłumiony głos. - Czy wróciłeś do Charliego?” - spytała Emmę.

„Nie - Emmie jakby nagle zaczęło się spieszyć. - Nie chcę wdawać się w szczegóły. Po prostu nie chciałam, żebyś myślała, że stało się nam coś złego. - W tle słychać było ciche, spokojne głosy. - Muszę już kończyć, mamo”

Słuchawka zadrżała w ręku Grace.

„Zadzwoń znowu niedługo, dobrze? - poprosiła Grace. - Martwię się o ciebie”.

Emma pożegnała się bez większych emocji i rozłączyła się. Cokolwiek zdarzyło się między nimi z biegiem lat, teraz dzieliła je przepaść. Gdzieś w okresie dojrzewania Emmy Grace straciła kontakt ze swoją jedyną córką. Być może na zawsze.

Przez połowę czasu Grace czuła się, jakby śniła jakiś przedłużający się koszmar, z którego za nic nie może się wybudzić. Jak gdyby znalazła się w sytuacji kogoś zupełnie innego. Nie pomagały ani modlitwy, ani tele-

fony na policję, ani spaceru ulicami centrum Waszyngtonu - w żaden sposób nie była w stanie odnaleźć Emmy ani jej małych dzieci. Musiała polegać na tym, co Emma powiedziała jej podczas krótkiej rozmowy przez telefon. Wierzyć, że ona i dziewczynki są bezpieczne.

Grace nie rozumiała, dlaczego Emma postanowiła żyć z człowiekiem, który ją bił, brać narkotyki oraz narażać się na przemoc i molestowanie, zamiast mieszkać w domu z kochającą ją matką. I dlaczego nie chciała być z Terrence'em. Terrence to chłopak, który kochał Emmę już w drugiej klasie szkoły średniej. Wciąż z nikim nie był, studiował teraz medycynę. Nie było mu lekko. Ciągle się zastanawiał, dlaczego Emma go opuściła, dlaczego jej nie wystarczał.

Grace sięgnęła do szuflady pod kuchenką mikrofalową po otwieracz do konserw. Postukała nim w blat. Nie miała apetytu, odkąd Emma wyprowadziła się od Charliego, zabierając dzieci. Trzeba było jednak jeść. Inaczej Grace nie miałyby siły szukać Emmy. Szukała jej cały czas. Otworzyła kredens i spojrzała na półkę z puszkami. Wybrała kurczaka pokrojonego w kostkę i czarną fasolkę. Otworzyła puszki.

Ze mną stało się to samo - pomyślała, patrząc, jak otwieracz rozcina blachę i po chwili wieczko puszki zostaje osobno, ukazując zawartość. *Życie dobrało się do mnie, pozbawiło mnie ochronnej warstwy i teraz chodzę z sercem na wierzchu; każdy może zobaczyć, co czuję. Prawda, panie Boże?* Wyłożyła zawartość puszki do szklanej miseczki. *Prawda?*

„Jestem, córko - usłyszała w myślach. - Wasze drogi nie są moimi drogami”.

- Do ś ć ! - zawołała na głos, ciskając puszką o blat. Oddychała szybko, właściwie dyszała. - Jeśli tu jesteś, Boże, to gdzie jest Emma i jej córeczki? Nie wiedziała, czy to Bóg przemówił do niej w myślach, czy też nie. Ale ostatnio za każdym razem, kiedy się modliła, jak gdyby słyszała Bożą odpowiedź. Bóg był w pobliżu, panował nad wszystkim; a jej drogi nie były Jego drogami.

Jednak jej córka i wnuczki nie wracały i w tej sytuacji Grace nie chciała słyszeć Bożych pocieszeń, które tylko wlewały w jej serce fałszywą nadzieję. Jeżeli Bóg naprawdę chciał jej coś powiedzieć, dlaczego nie miałby wskazać jej miejsca pobytu Emmy? To byłoby naprawdę przydatne. Nie wystarczały jej już czcze komunały. Nie w sytuacji, kiedy ukochane, najbliższe jej osoby żyły gdzieś na ulicach.

Otworzyła drugą puszkę i wyłożyła kurczaka na fasolę. Potrawa wyglądała jak coś, co można czasem zobaczyć w śmietniku. Przeszedł ją dreszcz. *Byłoby smaczniejsze, gdybym to podgrzała* - pomyślała Grace. Zagrzała jedzenie w kuchence mikrofalowej i zaniósła je do małej jadalni. Stół, stojący w tym samym miejscu od piętnastu lat, był trochę krzywy. Nieważne. Mimo że była rozzłoszczona na Boga, Grace skłoniła głowę i pomodliła się: - Dziękuję Ci, Panie Boże, za jedzenie. Wiesz, czego mi jeszcze brakuje. Amen.

Przecież Emma i jej dziewczynki to jedyni bliscy, którzy zostali mi na świecie! - myślała. *To cały mój świat. Czy Bóg tego nie rozumie?!*

Wyjrzała przez otwarte okno kuchni. Od wielu dni jasno świeciło słońce, a ponieważ był koniec czerwca,

temperatura była wysoka. Gorące, wilgotne, długie dni, jeden po drugim. Większość babć martwiła się o to, czy ich wnuki są osłonięte od słońca i czy mają do picia dostatecznie dużo wody. Tymczasem Grace martwiła się, czy Kami i Kaitlyn mają gdzie spać i czy nie chodzą głodne.

Podniosła do ust łyżkę i zjadła trochę przygotowanej potrawy. Pogryzione kawałki kurczaka i fasolki przechodziły jej przez gardło jak kamienie. *Gdyby Jay żył!* - westchnęła znowu w duchu. Jay był dla niej wszystkim. To on opowiedział jej o Jezusie. Zjadła jeszcze jeden kęs.

Jay Paul Johnson był dla Grace rycerzem na białym koniu. Ścisłej mówiąc, nosił skórzaną kurtkę i jeździł harleyem, ale i tak był jej rycerzem. Bez niego mogłaby pójść tą samą drogą co Emma. Rodzice przecież nakierowali ją właśnie na złą drogę - porzucili ją i oddawali się popełnianiu przestępstw. Wreszcie skończyli w więzieniu. Grace była wychowywana przez ciotkę i wujka, w Jersey. Kiedy miała siedemnaście lat, miała już dość narzucanych przez nich zakazów i nakazów, ustalonej godziny powrotu do domu, ich nieufnych spojrzeń.

W wieku siedemnastu lat miała ochotę żyć cudownym życiem. Czuli się wolna, lubiła się bawić i była bardzo ciekawa, co dla siebie odkryje w życiu. Czasem przebywała w towarzystwie osób lubiących mocniejsze wrażenia, zdarzało się jej wracać do domu w stanie kompletnego upojenia alkoholowego. Nie była jednak przecież taka zła, i nie podobało się jej, że ciocia i wujek prawią jej kazania.

Zaczęła przeżuwać kolejny kęs kurczaka. Pokręciła głową. Miała szczęście, że ciocia i wujek nie wyrzucili jej z domu. Prawda była taka, że postępowała niegdyś nierozważnie i buntowała się, choć wówczas nie postrzegła siebie w taki sposób. Latem przed swoimi osiemnastymi urodzinami, odnosiła się do wujka i - szczególnie - do cioci naprawdę okropnie.

Pewnego dnia odwiedziła Grace Lindy, jej rówieśnica, która mieszkała kilka domów dalej...

- Chodź, pojedziemy pociągiem do miasta - zaproponowała Lindy. - Poznałam tam chłopaka. - Była umalowana intensywniej niż zwykle. Strzeliła balonem z gumy do żucia.

- Nie wiem... - zastanawiała się Grace. - W mieście późnym wieczorem może nas spotkać jakaś przykra niespodzianka...

- Pożyjmy trochę, Grace. Dawaj... - Lindy też była czarna. Nosiły takie same fryzury, nieraz zamieniały się ubraniami. Obie wyglądały tak, że mężczyźni odwracali za nimi głowy. Oczy Lindy świeciły się na myśl o tym, co może czekać je tego wieczoru. - Ten gostek powiedział mi o jednym miejscu, gdzie możemy zarobić kupę kasy... - zerknęła przez ramię, żeby się upewnić, czy ciocia Grace jej nie słyszy. - Szybkiej kasy.

Grace doskonale wiedziała, gdzie dziewczyny ubrane tak jak Lindy mogą szybko zarobić mnóstwo pieniędzy. Przerzązał ją pomysł koleżanki, chociaż z drugiej strony

nie miała ochoty spędzić kolejnego wieczoru z cicią i wujkiem.

- No dobra - zgodziła się w końcu, wyrzucając ręce w powietrze. - Ale jak zrobi się niebezpiecznie, wracamy.

Lindy przewróciła oczami, wzięła ją za rękę i pociągnęła w stronę jej pokoju.

- Szykuj się, tylko szybko - ponagliła.

Grace stroiła się, zastanawiając się nad tym, co robi.
*W nocy na ulicy mogą dziać się naprawdę ekscytujące rzeczy...
W gruncie rzeczy może to być sposób na wydostanie się z domu
cioci i wujka. Gdybym zarabiała wystarczająco dużo, za
jakiś czas mogłabym się od nich wyprowadzić i zacząć żyć
na własną rękę.*

Kiedy jednak pojechały do centrum Waszyngtonu i trafiły w miejsce, gdzie miały spotkać się z poznanym przez Lindy chłopakiem, zamiast niego natrafiły od razu na Jaya. Zobaczył je i rozkręcił silnik swojego harleya, a potem skinął głową w ich stronę i podjechał do nich. Zatrzymał motocykl, zsiadł i powiedział:

- Jesteście za młode jak na kobiety z tej dzielnicy. Tu jest okropnie.

To był biały mężczyzna, cały zarośnięty. Jednak Grace od razu zwróciła uwagę na jego oczy - miał niebieskie oczy i ciepłe spojrzenie; wspominała je do tej pory i będzie wspominała aż do śmierci.

Dziewczyny nie odpowiedziały mu, więc powtórzył:

- Jesteście za młode, żeby tu być. A tu jest okropnie.

- O co ci chodzi? - odpowiedziała Grace, unosząc zadziornie głowę. - Możemy robić, co nam się podoba. I wcale nie jesteśmy za młode.

- Jesteście - młody mężczyzna wyprostował się; musiał mieć około metra dziewięćdziesięciu wzrostu. - To ważne, bo jeśli raz zaczniecie tu pracować na ulicy, opuścicie to miejsce tylko w jeden z dwóch sposobów. Pierwszy jest taki, że staniecie się wypalone emocjonalnie, zniszczone i stare, zmęczone życiem w wieku trzydziestu lat.

Lindy strzeliła balonem z gumy do żucia i popatrzyła na Jaya drwiąco.

- A drugi?

- Wywiozą was stąd nogami do przodu - odparł, patrząc jej prosto w oczy.

Grace straciła pewność siebie. Zerknęła na Lindy.

- Może on ma rację?... - powiedziała. - Po co komu takie życie? Jedźmy do domu.

- Dobre dziewczyny - pochwalili z uśmiechem Jay, zakładając ręce. - Jedźcie do domu i nie wracajcie tu nigdy więcej.

Nagle pisnęły opony i obok zatrzymał się jakiś samochód. W środku siedziało czterech młodych mężczyzn - jeden biały, dwóch czarnych i jeden Latynos. Rozmawiali i śmiali się głośno, wszyscy byli pijani. Zaczęli wydawać radosne okrzyki pod adresem Grace i Lindy.

- Hej, dziewczyny! - zawołał jeden. - Chcecie się przejechać? - Kierowca nacisnął klakson, a pozostali wybuchnęli śmiechem.

- Te panie nie pracują na ulicy, chłopcy - odezwał się głośno Jay, podchodząc szybkim krokiem w stronę samochodu, z rękami na biodrach. - Zjeżdżajcie.

- Zaraz! - krzyknęła Lindy, podbiegając do samochodu z drugiej strony, zanim Jay albo Grace zdolali ją powstrzymać. - Zrobię, co będę chciała - rzuciła do nich przez ramię. - Możesz jechać z nami, Grace, albo do domu. Jak chcesz.

Grace popatrzyła na Jaya i znów jej wzrok przykuły jego niezwykle oczy.

- Czy ktoś mówił ci kiedykolwiek o Biblii? - spytał ją cicho, tak, żeby pozostali nie słyszeli. - O tym, że Bóg cię kocha i chce być twoim przyjacielem? Bóg chce, żebyś osiągnęła w życiu więcej niż to - skinął głową w stronę samochodu, do którego wsiadała już Lindy, lokując się na tylnej kanapie obok dwóch obcych mężczyzn. Głos Jaya był ciepły, kojący. - Wierz mi. Pojedź ze mną.

- Jedziesz czy nie?! - krzyknął do Grace kierowca samochodu. Mężczyzna siedzący obok niego odliczał dwudziestodolarówki z trzymanego w ręku całego pliku. Podał kilka Lindy.

- Chodź, śliczna laleczko - zachęcił Grace. - Mamy pełno hajsu.

- Zawiozę cię do domu - szepnął Jay, łapiąc Grace za ramię. - Chodźmy.

Grace popatrzyła na Lindy i jej towarzyszy, potem na Jaya, później znowu na nią. I zrobiła krok w stronę Jaya. Ten jeden krok odmienił jej życie. Jay pomógł jej wsiąść na swój motocykl i przez następne czterdzieści minut

trzymała się pleców tego człowieka, jak gdyby był jej jedyną życiową nadzieją. Właściwie nie miała powodu, by mu ufać. Być może ją okłamał, może wcale nie zamierzał jej pomóc?

Dojechali jednak do jej domu, a kiedy zsiadli z motocykla, Jay znowu zaczął z nią rozmawiać. Powiedział, że ma dwadzieścia dwa lata, był więc trochę od niej starszy. Okazało się, że wraz z kolegami tworzy gang czy też raczej grupę motocyklistów, którzy nazwali się „Anioły Chrystusa”. Jeździli późnymi wieczorami po najgorszych ulicach miasta i szukali ludzi, którym można było pomóc, wydostać stamtąd. Takich jak Grace i Lindy.

- Zwykle odwozimy ludzi do domów, opowiadamy trochę o Chrystusie i zbawieniu i odjeżdżamy - zakończył Jay, zdejmując kurtkę. Położył ją na motocyklu; pod kurtką miał koszulkę z obciętymi rękawkami, a na ramieniu tatuaż - napis „Wszystko albo nic”. Grace przyjrzała się tatuażowi, przesunęła nawet palcami po literach.

- Wszystko albo nic? - spytała.

- Chodzi o reakcję na to, czego chce Bóg. Dajesz Mu wszystko albo nie dajesz Mu nic - wyjaśnił Jay, wzruszając ramionami. - Proste.

Osoba Jaya wzbudziła w sercu Grace dziwne uczucia. Był dla niej tajemniczym człowiekiem. Buntował się przeciw konwencjom - a przynajmniej wyglądał na buntownika. Znaczyło to, że ciocia i wujek z pewnością by go nie zaaprobowali. Byli poprawni aż do mdłości, ich rozrywkę stanowiły obiady w gronie przyjaciół, na które wszyscy przynosili z domu jedzenie, a później każdy

dzielił się przyniesioną potrawą z innymi. Chodzili także do kościoła na niedzielne nabożeństwa, i jeszcze w środy wieczorem. Nigdy nie zaakceptowałiby motocyklisty - nawet takiego, który jeździł na motocyklu w służbie Chrystusowi.

I chyba to się jej w nim spodobało; a może to, że w jego ustach Jezus Chrystus był stuprocentowo realną osobą. W każdym razie Grace zapragnęła cały czas przebywać z Jayem Johnsonem. Nad ranem powiedziała mu, że chce tego wszystkiego, o czym dla niej marzył. Nie zgodziła się bynajmniej na to, o co pytała większość mężczyzn, ponieważ Jay nie chciał od niej niczego, co miałoby związek z seksualnością. Grace zgodziła się na to, co Jay mówił o Jezusie. Stwierdziła, że chce zostać oczyszczona z grzechów, że chce nawiązać osobistą relację z Bogiem, a przede wszystkim, że chce przyjąć Jezusa Chrystusa jako swojego Zbawiciela.

Kiedy Jay zbierał się do odjazdu, odwrócił się, uśmiechnął się do Grace i zapytał:

- Czy mogę czasem do ciebie zadzwonić?

Na to Grace także się zgodziła.

Zatelefonował do niej następnego ranka, a potem byli już złączeni nierozzerwalną więzią. Grace opowiedziała cioci i wujkowi o wierze Jaya i o tym, że to najmilszy chłopak, jakiego w życiu poznała. Oni jednak i tak byli pełni podejrzeń.

Poznawszy Jaya, wujek odszedł z Grace na bok, uniósł brwi i skomentował:

- Nie wygląda na chłopaka w twoim typie.

- To chrześcijanin - przypomniała Grace.

- Tak powiedziałaś. Ale... będę mu się bacznie przyglądał.

Ciocia zachowała się jeszcze gorzej. Zamieniła z Jayem zaledwie parę słów, robiąc miny z których jasno wynikało, że go nie aprobuje. Tydzień później okazało się, dlaczego.

- Biali chłopcy chcą od czarnych dziewcząt tylko jednego, Grace - powiedziała ciocia.

- Żartujesz?! - krzyknęła Grace. Była naprawdę wściekła. - Jak możesz mówić coś tak okropnego! Całe życie uczyłaś mnie, że kolor skóry nie ma znaczenia, że nie można osądzać ludzi po rasie. Jak śmiesz uważać, że Jay ma nieczyste zamiary, bo jest biały?! - Grace zdawała sobie sprawę, że nie powinna tak głośno krzyczeć. Wzięła się pod boki. - Może i ty nie osądzałaś ludzi po kolorze skóry?

- Przepraszam - szepnęła ciocia, cofając się. - Chyba... jakoś nie zauważyłam, że osądziłam go po kolorze skóry.

Po tym epizodzie ciocia i wujek traktowali Jaya lepiej, licząc na to, że może nie jest zły. Nie podobały im się motocykle, brody ani tatuaże. Ale po miesiącu polubili go. Niecały rok po tym jak Grace i Jay zaczęli się spotykać, zdarzyły się dwie rzeczy, które Grace zapamiętała do końca życia.

Najpierw Lindy przedawkowała narkotyki. Stało się to na tej samej ulicy, na której spotkały Jaya. Zarabiała, pracując jako prostytutka. Ukrywała to przed rodzicami. Podwójne życie sprawiało jej taki psychiczny ból, że nic nie było w stanie go złagodzić - nawet błagania Grace. W końcu z Lindy stało się to, co dzieje się z wieloma

dziewczynami, które sprzedały swoją godność - desperacja wpędziła ją w narkotyki, a narkotyki ją zabiły.

Po drugie, Jay oświadczył się Grace.

- Jesteś jeszcze młoda, ale nie potrzebuję czekać jeszcze pięciu lat ani nawet roku - już teraz mam pewność, że jesteś kobietą mojego życia. - Przez cały czas Jay postępował z nią bardzo ostrożnie, całował ją tylko od czasu do czasu i nigdy nie prosił ją o coś, co nie spodobałoby się Bogu. A teraz ujął ją tylko delikatnie za policzek, jedną ręką. - Proszę cię, odpowiedz mi, Grace. Czy wyjdiesz za mnie? - nalegał.

Grace nie była w stanie mu odpowiedzieć; nie dlatego, żeby miała wątpliwości, tylko z powodu nadmiaru przepełniających ją emocji. Wzruszenie wycisnęło jej łzy z oczu i dławilo ją w gardle, nie była w stanie wydobyć z siebie słowa. Zarzuciła ręce na szyję swojemu księciu z bajki, a kiedy już wreszcie mogła mówić, wyszeptala w jego muskularną pierś:

- Tak, Jay. Wyjdę za ciebie.

Jay pracował jako mechanik, był dobry w swoim zawodzie. Zarabiał dostatecznie dużo, żeby zapłacić za piękne wesele przy kościele. Na ślub przyjechała większość aniołów Chrystusa; chłopcy wypełnili ławki po jednej stronie, a elegancko ubrani konserwatywni znajomi cioci i wujka Grace - po drugiej.

- Chyba jeszcze nikt nie miał dwóch tak różnych grup gości na weselu - odezwał się Jay, kiedy tańczył z Grace w przykościelnej sali. - Ale wiesz co?

- Co? - Grace po raz pierwszy w życiu czuła się jak prawdziwa księżniczka. Gdyby wesele odbywało się w sali balowej królewskiego pałacu, czułaby się tak samo.

- To doświadczenie wyjdzie na dobre jednym i drugim.
- Jay nachylił się i z miłością pocałował Grace w czoło.
- Ludzi nie można osądzać po ubiorze, fryzurze czy kolorze skóry. Ważne jest, czy naprawdę kochają Jezusa.

Jay bardzo starał się kochać Chrystusa, dlatego wciąż jeździł późnymi wieczorami na ulice Waszyngtonu, żeby ratować młode dziewczyny, nawet po tym jak zostali z Grace mężem i żoną, zamieszkali we wspólnym domu i zakosztowali uroków życia małżeńskiego. A było wspaniale. Noc po nocy Grace czuła się cudownie, bezpieczna w męskich ramionach Jaya, doznając wspaniałej rozkoszy wspólnych erotycznych uniesień. Podjęła pracę w pobliskim przedszkolu. Pierwsza wracała do domu i gotowała obiady. Jay najbardziej lubił duszoną wołowinę. Wchodził do kuchni, całował Grace w usta i przytulał ją. Nie przeszkadzało jej, że zwykle był wtedy spocony i pachniał smarem samochodowym i brudem. Grace pragnęła trwać w jego objęciach na zawsze.

Rok po ślubie zaszła w ciążę. Jay był z nią na sali porodowej, kiedy urodziła córeczkę. Mała Emma miała jasnobrązową skórę i ogromne niebieskie oczy - cechy ich obojga zlały się w niej w idealną formę. To Jay postanowił, że ich córeczka będzie miała na imię Emma, więc Grace nawet nie brała pod uwagę żadnych innych imion. A to dlatego, że Jay był najlepszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znała, najlepszym człowiekiem. Uważała,

że jeśli ich córka odziedziczy choć połowę jego cech, będzie jak anioł.

Pamiętała, jak Jay pierwszy raz w życiu wziął na rękę swoją nowo narodzoną córeczkę. Miał łzy w oczach.

- Bóg jest taki dobry! - odezwał się, zachwycony, muskając ostrożnie ustami twarzączkę swojego dziecka.
- Tata będzie się tobą opiekował - oznajmił. - Zawsze. Będę cię strzegł i chronił, tak jak chronię wszystkie małe dziewczynki.

A jednak się mylił.

Trzy miesiące później na kolejnym patrolu z dwoma kolegami z „Aniołów Chrystusa” napotkał gromadę młodych mężczyzn molestujących na ulicy przerażoną nastolatkę. Grace nigdy się nie dowiedziała, co dokładnie stało się owej nocy, w każdym razie policja doszła do wniosku, że Jay i jego koledzy zatrzymali motocykle koło grupy, próbując wystraszyć napastników.

Nie byli to jednak zwykli chuligani, ale niebezpieczni przestępcy: stręczyciel i jego kompani; to oni wykorzystywali prostytutki w tej okolicy. Trudno powiedzieć, jaki był dokładny przebieg zdarzenia, w każdym razie sutener wyciągnął pistolet i zabił na miejscu dwóch aniołów Chrystusa, w tym Jaya Johnsa.

Bohater Grace, jej księżę z bajki, jej mąż i ojciec jej córeczki, zginął.

Grace gmerała łyżką w kawałkach kurczaka; zorientowała się, że płacze. Naszły ją tak intensywne wspomnienia, jakby to, o czym myślała, działo się na nowo.

Kiedy nocą do drzwi ich domu zapukał policjant, Grace od razu wiedziała, że Jay nie żyje. Z pokoju obok dolatywał żalostny płacz malutkiej Emmy.

Grace wmusiła w siebie kolejną łyżkę kurczaka z fasolką, ale ledwie przełknęła wystygłą mieszaninę. Dość. Odsunęła od siebie miskę i spojrzała na zdjęcie, które wisiało na ścianie od dnia, w którym wyszła za Jaya. I będzie wisiało aż do jej śmierci. Nie była to tradycyjna ślubna fotografia, na której kobieta stoi ubrana w białą suknię i trzyma bukiet, a mężczyzna ma na sobie ciemny smoking.

Zdjęcie przedstawiało ich oboje na motocyklu Jaya. On był w skórzanej kurtce, ona w białej sukni ślubnej podwiniętej do kolan, mocno obejmowała męża w pasie. Fotografia dobrze przedstawiała to, kim był dla niej Jay. Po pierwsze, uratował ją przed losem prostytutki, wywożąc z ulicy swoim harleyem. Po drugie, to on prowadził ją w życiu - codziennie opowiadał jej kolejne rzeczy o Chrystusie i zawsze znajdował czas na praktyczną realizację tego, o czym mówił.

- Tęsknię za tobą, Jay - szepnęła zapłakana Grace.
- Jaka szkoda, że cię tu nie ma!

Wstała i odstawiła miskę do zlewu, wyrzuciwszy resztę jedzenia; a potem znów zaczęła wpatrywać się w fotografię. Gdyby tylko można było wrócić do wczorajszego dnia, do dnia, który upłynął wiele lat temu...

Nie chciała wracać do dnia, w którym Emma wyprowadziła się od niej do Charliego, ani nawet do dawniejszych

czasów, zanim jej córka zaczęła brać narkotyki, tylko do jeszcze dawniejszych, do owego wieczoru, kiedy malutka Emma miała dopiero trzy miesiące. Kiedy Jay pocałował Grace na do widzenia, żeby pojechać na patrol. Tym razem ujęłaby go za ramiona i błagała, żeby nie jechał. Wyjaśniłaby mu, że anioł Chrystusa jest bardziej potrzebny swojej własnej córce niż obcym dziewczynom na ulicy.

Gdyby Jay żył, Emma nigdy nie opuściłaby rodzinnego domu. Nie zaszłaby w ciążę jako nastolatka, nie zaczęłaby brać cracku. Siła osobowości Jaya miałyby wpływ i na nią; dorastałaby, postępując najlepiej, jak tylko może nastoletni człowiek. Grace nie miała w tej sprawie wątpliwości. Emma wyszłaby za Terrence'a, a Kami i Kaitlyn miałyby wspaniałych rodziców, prawdziwy dom.

Gdyby tylko Jay żył...



Następnego ranka Emma obudziła się wcześniej; poczuła, że jej córeczki tulą się do jej boków. Od dwóch dni nie zażywała cracku, więc jej ciało stanowczo domagało się kolejnej działki. Ale i tak miało to mniejsze znaczenie niż cudowne doznanie bliskości jej ukochanych małych skarbów, które oddychały przy niej spokojnie.

Jak dawno nie przeżywała ranka podobnego do tego! Jej dzieci i ona sama były bezpieczne, było im ciepło, nie odczuwała przykrych efektów zażycia narkotyków poprzedniego dnia. Leciutko przesunęła palcami po czółku Kami, potem Kaitlyn. W świetle dnia jej problemy nie wydawały się tak straszne jak to, czego niegdyś doznała Mary Madison.

Pomysł, żeby uciec z ośrodka, znaleźć diler narkotyków, przedawkować je, umrzeć i zostawić córeczki same na świecie teraz wydawał się Emmie kompletnie idiotyczny, wprost absurdalny. Kami i Kaitlyn były bezpieczne. Przez całe lata podejmowała złe decyzje, ale na szczęście jej maleństwa ocalały przed losem, jaki spotkał kiedyś Mary.

„Zapomnij o narkotykach; to Charliego ci brakuje - odezwał się głos w głowie Emmy. - Wróć do niego dzisiaj, od razu. Nie zwlekaj ani godziny dłużej”.

Emma ziewnęła. Taaak... Wstanie, obudzi dziewczynki, ubierze je i siebie. Podziękuję kobietom ze schroniska za pomoc i wróci do domu - do Charliego. Przecież w końcu go kocha. Owszem, ma problem, skłonność do przemocy. Próbuje jednak nad sobą pracować.

„Jeśli będziesz miała szczęście, być może przyjmie cię z powrotem - ocenił głos. - W końcu nie jesteś warta miłości żadnego mężczyzny, nawet Charliego”.

Obcy głos w jej głowie nie znikł, był jednak słabszy niż do tej pory. Od kilku miesięcy nie był taki cichy.

Tak, jeśli będzie dobrze się zachowywała, Charlie przyjmie ją z powrotem. Może mu obiecać, że odda wszystkie pieniądze, jakie była mu winna, i poprosić go, żeby był dla niej łagodniejszy. Wtedy powinien zobaczyć to, co ona - że ich małe córeczki są cudowne, że to małe skarby. I zapragnąć normalnego życia, takiego jak w innych rodzinach. Życia, w którym nie będzie miejsca na jego napady wściekłości, na bicie, tylko na romantyczne randki i rodzinne spacerunki po parku, podczas których dziewczynki będą mogły bawić się na huśtawkach.

Chyba mogło się tak zdarzyć?

Emma opuściła stopy na podłogę i przeciągnęła się. I wtedy zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Cały jej lewy policzek był ciemny, zasiniony, po ostatnim razie, kiedy była z Charliem.

„Już więcej cię nie skrzywdzi - powiedział głos.
- Wracaj do niego. Daj spokój temu schronisku i zwarionym opowieściom o Bogu i przemianie. Nie zasłużyłaś na to. Ci ludzie tylko tracą na ciebie czas”.

Emma chwyciła się parapetu, zacisnęła powieki i zawołała w myślach: *Nie!*

Boże, spraw, żebym przestała słyszeć te głosy! - pomodliła się.

Wstrzymała oddech na pięć sekund, potem na dziesięć. Otworzyła oczy i popatrzyła na łóżko, na którym wciąż spały jej córeczki. I znowu spojrzała w lustro. *Co ja sobie wyobrażam? Nie mogę wrócić do Charliego, przynajmniej nie teraz. Najwyżej wtedy, kiedy ktoś pomoże mu przeżyć jego problemy emocjonalne. Do tej pory muszę pozostać w schronisku. Poza tym Mary Madison jeszcze nie skończyła opowiadać mi historii swojego życia.*

Emma obudziła dziewczynki, ubrała je i zeszła do stołówki na śniadanie. Spotkała tam dwie inne kobiety. Jedna z nich emanowała spokojem. Nie miała siniaków, przynajmniej w widocznych miejscach.

- Przychodzę tu od paru miesięcy - powiedziała Emma. - Opowieść Mary Madison o jej życiu ocaliła moje.

- Mary opowiadała o swoim życiu także tobie?
- zdumiała się Emma, odkładając na talerz kawałek tostów.

- Opowiada swoją historię we wszystkich trudniejszych przypadkach - uśmiechnęła się kobieta. - Mówi, że właśnie po to tu jest. Po to, żeby opowiadać nam o swoim życiu i dzielić się mocą.

- Jaką mocą? - Emma zerknęła na Kami i Kaitlyn. Szczęśliwie i spokojne jak nigdy, jadły płatki kukurydziane.

- Boską mocą Chrystusa - wyjaśniła kobieta. Na jej twarzy malował się spokój. - Tylko Bóg ma moc zdolną nas ocalić.

Jej słowa brzmiały dziwnie. Matka opowiadała Emmie o Panu Jezusie, ale te słowa o mocy?... Jakiej mocy?

Rozmówczyni Emmy musiała wyczuć jej zmieszanie. Poklepała ją po plecach i dodała z uśmiechem:

- Wkrótce dowiesz się, o co chodzi. Masz dziś spotkanie z Mary, prawda?

- Prawda.

- Dotrzyмай tylko obietnicy, którą jej złożyłaś, a któregoś dnia sama dojdiesz do wniosku, że Bóg ma potężną moc.

- Skąd wiesz, co obiecałam Mary? - Emma sięgnęła po serwetkę i wytarła buzię Kaitlyn.

- Mary prosi każdą z nas o złożenie tej samej obietnicy - że zostaniemy tu na tyle długo, aż wysłuchamy jej opowieści do końca. A kiedy dociera do końca - kobieta wstała, żeby odnieść talerz - wie się już tyle, że samemu dochodzi się do wniosku, że Bóg jest potężny.

„Ale dla ciebie Bóg nie użyje swojej mocy - skomentował głos w głowie Emmy. - Bóg nie marnuje mocy na takie śmieci”.

Głos, mimo że wciąż obecny, był jednak cichszy niż dawniej.

Piętnaście minut później Emma znowu usiadła naprzeciw Mary Madison. Tego ranka Emma obudziła się pewna

siebie, ale w tej chwili owa pewność i spokój opuściły ją. Znowu poczuła, że koniecznie musi zażyć narkotyki. *Może te głosy mają rację?* - myślała. *Może Bóg, chociaż jest potężny i pomógł Mary i innym kobietom, mnie nie pomoże?*

- Wciąż tu jesteś - ucieszyła się Mary. Uśmiechnęła się, ale po chwili posmutniała. - Jak ci zapowiedziałam, dalszy ciąg mojej historii był trudniejszy niż to, co opowiedziałam ci dotychczas.

Po co ja tu siedzę? - zastanawiała się Emma, wierząc się na krześle. W jaki sposób przywołanie przez Mary jeszcze okropniejszych wspomnień niż te, które opowiedziała mi poprzedniego dnia, może pomóc którejkolwiek z nas?

Mary założyła nogę na nogę. Tego dnia miała na sobie codzienne ubranie - dżinsy i sweterek z krótkimi rękawami - a i tak wyglądała oszałamiająco pięknie.

- Porzuć wątpliwości, Emmo - odezwała się.

Emma na chwilę przestała oddychać. *Skąd ona wie o moich odczuciach?* - zdumiała się. *Jeszcze ani razu się nie pomyliła...* Ponadto kiedy się okazywało, że Mary tak świetnie rozumie odczucia Emmy, głosy w głowie nie miały nic do powiedzenia.

- Spróbuję - zgodziła się Emma. Skinęła głową i usadowiła się wygodniej niż dotąd.

Większą część nocy Mary spędziła na modlitwie. Za Emmę. Bóg mówił jej jasno, że bitwa o duszę i serce Emmy Johnson jest jedną z najcięższych, jakie dotychczas przyszło jej stoczyć. Emma cierpiała na takie samo przywiązanie do złych rzeczy i miała podobnie koszmarne myśli jak

niegdyś ona sama. Była oczywiście nadzieja na uratowanie jej, musiała jednak przychodzić na kolejne spotkania.

Na widok Emmy wchodzącej tego ranka do gabinetu Mary w myśli podziękowała Bogu. Wiedziała, że zanim będzie mogła przedstawić Emmie drogę wyjścia z jej kłopotów, musi najpierw szczegółowo opowiedzieć jej o dalszych kolejach swojego losu. Inaczej Emma nigdy nie zrozumie, o co chodzi. Mary wzięła głęboki oddech i zaczęła:

- Jimbo wypuszczał mnie z piwnicy tylko kilka razy w miesiącu. Poza tym przez cały czas tam siedziałam.

Emma wierciła się na krześle.

- Wczoraj ciągle tuliłam moje małe córeczki - powiedziała. Spuściła wzrok, zawstydzona, a potem popatrzyła Mary w oczy i kontynuowała: - Mogły znaleźć się w takiej samej sytuacji jak kiedyś ty. Ale się nie znalazły. Do końca życia będę ci za to wdzięczna.

- Cieszę się, że tak się stało - skwitowała Mary, spoglądając z ukosa. - Zdaje się, że moja matka nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Nie chciała słuchać babci Peggy, a nikt inny nie mówił jej, jak jest naprawdę - zaważała się. - W każdym razie Jimbo przez cały czas przychodził do mnie do piwnicy w tym samym celu, a od czasu do czasu pojawiał się któryś z jego ulubionych klientów.

Koszmary zaczęły ją nawiedzać pod koniec lata, w pierwszym roku jej niewoli. Mary całymi godzinami nie mogła zasnąć, a kiedy tylko zasnęła, dręczyły ją przerażające sny.

W jednym z nich była zamknięta w klatce, która stała na brzegu głębokiej, płynącej szybkim nurtem rzeki. Jej mama spostrzegła ją i zawołała jej imię. Nadbiegła, mówiąc: „Pomogę ci, malutka! Już jestem”. Wyciągnęła do Mary rękę, w której trzymała klucz, klucz do klatki.

Zanim jednak Mary zdołała dosięgnąć klucza, pojawił się Jimbo. Wepchnął klatkę do rzeki.

„Będiesz miała nauczkę! - zawołał. - Na drugi raz nie będziesz próbowała uciekać”. Roześmiał się, a jego rechot zagłuszył głos jej matki.

„Mamo! Pomóż mi...” - próbowała wołać Mary, ale klatka już tonęła. Woda wlewała się pomiędzy prętami i wirując, unosiła się coraz wyżej, aż zalała jej twarz. Z każdą mijającą sekundą klatka zanurzała się coraz głębiej. W końcu, kiedy Mary nie była już w stanie dłużej wstrzymać oddechu, zrobiła wdech i woda zalała jej płuca. Zadygotała i zaczęła kopać stalowe pręty próbowała krzyknąć... Było już za późno.

Na moment przed śmiercią we śnie obudziła się nagle, siadając z przerażenia na kanapie, zdyszana; chyba naprawdę brakowało jej powietrza.

W innym śnie Mary uciekała przed Jimbo i innymi mężczyznami, a oni chcieli ją zabić. Gonili ją z nożami i pistoletami w rękach i krzyczeli, żeby się zatrzymała. Ale ona biegła dalej, przerażona, z bijącym gwałtownie sercem. W końcu... zobaczyła dom babci Peggy. Czuła przez plecy, że goniący ją mężczyźni są blisko - może dziesięć czy piętnaście kroków za nią.

„Babciu, pomocy!" - zawołała i z trzaskiem otworzyła drzwi. Okazało się jednak, że za nimi wszystko jest zupełnie inne, niż się spodziewała. Zamiast mieszkania babci zobaczyła pomieszczenie pełne pajęczyn i szkieletów. W kącie pokoju były mama i babcia, ale spały.

Tymczasem Jimbo dogonił Mary i złapał ją za włosy. Wyrwała mu się. „Mamo, obudź się!" - krzyknęła. Podbiegła do mamy i babci, przedzierając się przez pajęczyny, i wtedy zobaczyła, że to był podstęp. Postaci na kanapie wcale nie były jej mamą i babcią, tylko wypchanymi lalkami. Mary krzyknęła i odwróciła się na pięcie. Cała gromada mężczyzn - wszyscy, którzy kiedykolwiek byli u niej w piwnicy - zbliżała się. Podchodzili coraz bliżej... Mary krzyknęła z przerażenia i obudziła się.

Miała jeszcze inne sny, cztery inne. Powtarzały się bez ustalonego porządku. Czasem przez dziesięć nocy z rzędu śnił się jej ten o klatce, potem ten o pajęczynach i szkieletach. Niezależnie od tego, który z koszmarów akurat ją męczył, wybudzała się z niego gwałtownie i potem nie mogła już zasnąć.

Dlatego całe dni była wyczerpana, spała po trochu o różnych porach, pomiędzy posiłkami, mając nadzieję, że Jimbo nie zejdzie do niej. Była tak zmęczona, że aż przez większość czasu czuła mdłości. Od czasu do czasu lęk, który był obecny w czasie snu, nie opuszczał jej przez cały dzień, a kiedy zapadała noc, Mary leżała na łóżku, drżąc i wyobrażając sobie, że w rogach piwnicy są mężczyźni z nożami, klatki albo inne przerażające rzeczy.

Znajomi Jimbo wciąż do niej przychodzili. Początkowo nazywali swoje wizyty odwiedzinami, po upływie roku mówili już, że Mary pracuje.

Stara kanapa wciąż pozostawała na miejscu, choć kilka tygodni po zamknięciu Mary w piwnicy Jimbo sprowadził łóżko.

- Bądź miła dla mężczyzn, Mary, rozumiesz? - powiedział, podając jej wielką torbę. - W środku są rzeczy dla ciebie. Klienci naprawdę dużo płacą; musisz odpowiednio wyglądać.

Ubrania były brzydkie i takie, że Mary wstydziła się mieć je na sobie. Przewroczone koszule nocne i majtki, które na nią nie pasowały. Czuła się jak lalka, którą się ubiera, a potem bawi się nią niedelikatnie. Tak zresztą odnosili się do niej mężczyźni, którzy przychodzili do piwnicy.

Pewnego razu spytała Lou o swoich gości, pocierając siniak na prawym policzku, w który uderzył ją poprzedniego wieczoru Jimbo.

- Dookoła nie ma żadnych domów, nie ma sąsiadów - powiedziała Mary. - Skąd biorą się ci wszyscy mężczyźni?

- Przyjeżdżają po towar, po narkotyki - wyjaśniła Lou, spoglądając na Mary jak na kogoś głupiego. - Kiedy mogą się z tobą zabawić, lepiej za nie płacą. O wiele lepiej - Lou zachichotała. Dzięki tobie czują, że warto tu przyjechać.

Kiedy Mary miała jedenaście lat, powiedziała w złości coś, co zmieniło jej życie, rozpoczynając kolejny jego etap.

- Zobaczysz, czy jutro rano jeszcze tu będę! - zagroziła Jimbo, kiedy skończył się nią zabawiać.

Oczy Jimbo błysnęły; pchnął ją na łóżko i skoczył na nią, przyciskając jej ramię do łóżka całym swoim ciężarem.

- Co masz na myśli?! - warknął.

Mary była na niego tak wściekła, że się nie wystraszyła. Plunęła Jimbo w twarz, prosto w oczy.

- To, że ucieknę - sapnęła, zanim zdążył zareagować. - Zanim się obudzisz, już mnie tu nie będzie.

Jimbo spurpurowiał. Przez dłuższą chwilę Mary myślała, że zaraz ją zabije. W końcu mocno uderzył ją otwartą dłońią w policzek i rzucił w nią wulgarnym wyzwiskiem. Prawdopodobnie naprawdę by ją zabił, gdyby Lou nie otworzyła drzwi piwnicy.

- Ciszej! - zawołała. - Na górze czeka klient.

Tego wieczoru Jimbo zszedł znowu do piwnicy i powiedział:

- Głupia jesteś. Myślisz, że zdołasz mi uciec?

Miał ze sobą kajdanki. To właśnie wtedy je przyniósł. Przykuł Mary za nadgarstek do ozdoby łóżka.

- Masz za swoje - roześmiał się. - To byłby niezły widok, gdybyś próbowała uciec, ciągnąc za sobą łóżko.

Minęło kilka lat. Z upływem czasu Mary złożyła ze strzępków informacji obraz tego, co się działo. Była po prostu niewolnicą. Nie wiedziała, ile pieniędzy zarabia dla Jimbo i Lou, ale kiedy ostatni raz wypuścili ją z piwnicy, zobaczyła na podjeździe samochód, który wyglądał na

bardzo drogi, a w salonie stał wielki telewizor. Trudno jej było zgadnąć, ile pieniędzy chował gdzieś Jimbo.

Kiedy Mary skończyła czternaście lat i jej ciało zaczęło nabierać kobiecych kształtów, Jimbo zaczął przysyłać do niej więcej klientów. Parunastu składało jej stałe wizyty. Bardzo wielu mężczyzn powracało do niej wiele razy. Mówili jej różne rzeczy, na przykład: „Nikt nie wygląda tak jak ty, mała”. Albo: „Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie”.

Wtedy zaczęła kłamać. Nie tylko od czasu do czasu, ale z zasady. Kłamała na każdy temat. Prawiła komplementy klientom, a kiedy jeden z nich zaczął sugerować, że może uwolnić ją z piwnicy, zabrał do siebie, powiedziała mu:

- Nie jestem tu dlatego, że Jimbo tak chce - uśmiechnęła się wyćwiczonym, sztucznym uśmiechem. - Sama chcę tu być.

Wszystkie te kłamstwa dawały jej fałszywe poczucie panowania nad własnym życiem i sprawiały, że mniej się bała, przynajmniej za dnia. Po jakimś czasie doszła do wniosku, że łatwiej jej się żyje, kiedy kłamie. Mniej zmagала się z całą sytuacją. Z upływem lat zaczęło jej się wydawać, że rzeczy, które mówili do niej znajomi Jimbo, to słowa miłości. To dlatego, że prawdziwej miłości - takiej, jaką kochały ją babcia Peggy czy mama - nie zaznała już od tak dawna, że zapomniała, jak miłość wygląda.

Wydawało jej się więc, że może miłość to tylko fizyczne zauroczenie. Wszystkim podobało się w Mary tylko jej ciało. Skoro tak, być może nie szkodziło uznać tego za miłość? Nikt nigdy jej tego nie wyjaśniał, sama

doszła do takich wniosków. Nie uszło także jej uwadze, że miała pewną władzę na mężczyznami, nawet nad Jimbo. Jeżeli była dla niego miła, kiedy do niej schodził, albo kłamała na temat swoich uczuć do niego, zdarzało się, że zabierał ją na górę na obiad, albo na spacer po dworze. Ale i tak cały czas szedł tuż obok niej i w taki sposób, żeby wciąż mieć ją przed oczami.

- Nie mogę sobie pozwolić na to, żebyś mi uciekła - tłumaczył ze śmiechem, a jego rechot wywoływał u Mary zimne dreszcze.

Jeśli nie liczyć jej kłamstw, nie odzywała się prawie. Cokolwiek prawdziwego mogła powiedzieć, byłoby to niegrzeczne wobec Jimbo, a niegrzeczność wobec niego kończyła się wizytami, podczas których popychał ją na ściany i bił ją. Nienawidziła, jak ją bije, więc przestała być dla niego niegrzeczna. Żeby nie być niegrzeczną, musiała przestać mówić. Albo kłamać.

Mary wstała i podeszła do ekspresu do kawy.

- I tak toczyło się moje życie aż do czasu, kiedy miałam piętnaście lat. Koszmary, kłamstwa... - popatrzyła na swoje dłonie. - Czasami Jimbo przykuwał mnie do łóżka, a ja szarpałam dłońmi, ścierając sobie skórę na nadgarstkach aż do krwi.

Nalała dwa kubki kawy. Podała Emmie jeden i usiadła z powrotem, zamykając oczy. Jej wspomnienia były zbyt straszne, żeby mogła spokojnie o nich opowiadać. Za każdym razem, kiedy to robiła, zmagiała się ze swoimi minionymi przeżyciami, jak gdyby spotkały ją zaledwie

wczoraj. Ból, bicie, chłód metalu krępującego jej nadgarstek, pustka kryjąca się za kłamstwami, lęk przed kolejnym nocnym koszmarem - wszystko to zdawało się do niej powracać. *Panie, daj mi siłę* - modliła się. *Wiesz, jak ciężko mi o tym wszystkim mówić.*

„Jestem z tobą, córko - usłyszała w myślach. Mój Duch napełnia cię, prowadzi cię, nawet w tej chwili”.

Otworzyła oczy i wypila łyk kawy. Kawa była smaczna, ciepła.

- Czasem ścierałam sobie nadgarstek specjalnie, żeby ból odwracał moją uwagę - wyjaśniła. - Chyba chodziło o to, żeby zagłuszał moje psychiczne cierpienia.

- Ja... - odezwała się Emma, kuląc się nieco. - Czułam w życiu coś podobnego.

Dopiero wtedy Mary zauważyła małe blizny i strupki na rękach Emmy. Klasyczna oznaka tego, że i Emma próbowała zmienić swój ból w coś jakby bardziej konkretnego czy zależnego od niej samej. Nie musiała marzyć o pozbyciu się kajdanków, ale cierpiała z jakiegoś innego powodu.

- Emmo, co to jest? - spytała łagodnie Mary. - Co stało się z twoimi rękami?

Do oczu Emmy napłynęły łzy.

- Czasami... Po tym jak Charlie mnie zbije, tnę się... - szepnęła. - Dzięki temu przez kilka minut nie odczuwam innego bólu - wyjaśniła, wzruszając ramionami.

Mary ogarnęło głębokie współczucie. Nic dziwnego, że Bóg skierował Emmę do niej. Łączyło je więcej niż Mary początkowo myślała.

- Rozumiem - odpowiedziała.

- Czasem tnę się w rękę, a potem nagle orientuję się, co wyprawiam - kontynuowała Emma, ścierając łzy z policzka. - Chyba nad tym nie panuję.

Cierpienie tej młodej kobiety do pewnego stopnia udzieliło się Mary.

- Nie wszystko, co spotyka człowieka w związku z maltretowaniem przez kogoś innego, daje się łatwo wytłumaczyć - powiedziała. - To zniewolenie.

Miała rację. Emma była zniewolona do tego stopnia, jak gdyby i ona była przykuta kajdankami do wszystkiego, co przysparzało jej cierpień.

9



Emma i Mary były tak pochłonięte makabryczną relacją z życia tej drugiej, że niespieszno im było kończyć spotkanie.

- Opowiedz mi, co było dalej, proszę - odezwała się Emma, poprawiając się na krześle. - Mówiłaś coś o pewnej nocy, kiedy miałaś piętnaście lat.

- Był późny wieczór - kontynuowała Mary. Przed oczami miała wydarzenia sprzed lat; pamiętała je tak wyraziście, jakby miały miejsce poprzedniego dnia. - Jak zwykle ogarnął mnie lęk przed koszmarnymi snami. Zastanawiałam się, który z nich mi się przyśni i jak długo zdołam powstrzymać sen, żeby nic złego mi się nie śniło. - Wypiła łyk kawy. - I z jakiegoś powodu zaczęłam owego wieczoru myśleć o Bogu.

Mary wciąż miała czerwoną portmonetkę zdobioną koralikami, choć nie otwierała jej od bardzo dawna. Nie widziała powodu. *Cóż za Bóg pozwoliłby na to, żeby dziecko cierpiało latami, przykute łańcuchem do łóżka we wstrętnej piwnicy?* - myślała.

Tego wieczoru także nie znajdowała odpowiedzi na to pytanie, podobnie jak na żadne inne. Poczwała jednak coś, co wydało się jej dziwne, zaskakujące. W głębi jej serca wciąż tliło się życie i... Właśnie, poczuła nadzieję. Gdy nagle Mary pomyślała o Bogu, w jej głowie zaświtała myśl, że być może nie jest wykluczone, że Bóg zaplanował dla niej dobre rzeczy, że jeszcze ją spotkają... Owa płynąca z myśli o Bogu nadzieja była jednak tak niewielka, że Mary nie mogła na niej polegać. I nie miała ona sensu. *Przecież widać, że Bóg spisał mnie na straty - myślała Mary - Wcale mnie nie kocha. Nikt mnie nie kocha. Czasem mężczyźni mówią mi, że mnie kochają, chociaż niedobrze mi się robi, kiedy to mówią. Właściwie zachowują się, jakby mnie kochali... Chwilami w to wierzę. A może miłość to tylko jedno z wielu kłamstw? Tak samo nieprawdziwe jak rzeczy, które mówię mężczyznom, których przysyła do mnie Jimbo?*

Mary przewróciła się na drugi bok. Teraz w jej piwnicy były meble - toaletka, nocny stolik i szafa z dykty, którą zbudował dla niej Jimbo, pełna ładnych ubrań. Wszystkie te ubrania były prześwitujące, jedwabiste, a bielizna - koronkowa i kolorowa. *Chyba każda dziewczyna w moim wieku marzy o takich ubraniach jak moje?... - myślała Mary.*

Mary miała jeszcze wspomnienia, o mamie i o babci. Co dzień od czasu, kiedy została porwana, myślała o cierpiącej matce, której było jej żal, i o kochającej, dobrej babci Peggy. Kilka tygodni po przybyciu do drewnianego domku na odludziu Mary zrozumiała, co zaszło. Jimbo upierał się, że jej matka nie żyje. Jeśli to prawda, mama

nigdy po nią nie przyjedzie. Mary nie miała wielkich nadziei na to, że kiedykolwiek więcej ją zobaczy. O Bogu także za wiele nie myślała, skoro pozwolił na to, żeby Jimbo i Lou przywieźli ją w to miejsce i uwięzili.

Myślała za to nieraz o babci Peggy. Babcia zrobiłaby wszystko, żeby sprowadzić ją do swojego domu, aby mogły tam razem mieszkać. Obiecała jej to zresztą. Nawet gdyby mama umarła albo uciekła od Mary na zawsze, babcia zaopiekowałaby się nią i nie porzuciłaby jej nigdy. To znaczy, że babcia musiała tylko ją odnaleźć. Wtedy mogłyby już zawsze być razem.

Stopniowo zapadała ciemność. Mary wierciła się niespokojnie na łóżku. Czuła chłód stali na nadgarstku i ból - rany od kajdanek nigdy nie były całkowicie zagojone. Z czasem Mary przywykła do spania z ręką przykutą do łóżka, nigdy jednak nie było jej tak wygodnie, jak powinno być. Wyciągnęła wolną rękę i delikatnie przesunęła palcami po ranach.

A może to normalne życie? - zastanawiała się. Może mnóstwo dziewczyn w moim wieku jest przykutych do łóżka i odwiedzanych przez mężczyzn?... Na pewno nie każda, ale być może wiele. Jimbo tłumaczył jej to wiele razy: „Bóg stworzył kobiety w taki sposób, żeby mężczyźni mogli zaspokajać swoje potrzeby i żeby między ludźmi dobrze się układało” - mówił.

Mary pomyślała więc, że jej życie jest - przynajmniej do pewnego stopnia - normalne, i zaczęła zasypiać. Nagle usłyszała przez okno odgłosy samochodów zatrzymujących się na zwirowym podejździe. Otworzyła szeroko

oczy. *Ile tych samochodów jest?* - myślała. *Chyba trzy albo cztery... I dlaczego tak późno w nocy?* Nie miała zegarka, ale już od dawna było ciemno. Minęło kilka godzin od czasu, kiedy Jimbo wyszedł z piwnicy, przykuwszy ją do łóżka. Kiedy to robił, zwykle oznaczało to, że danego dnia nie będzie miała więcej klientów.

Mary znieruchomiała. Słyszała głośnie bicie własnego serca. Zza okna dobiegł ją odgłos energicznych kroków; jacyś ludzie zbliżali się po żwirze ku drzwiom domku. Oddech Mary przyspieszył, zrobiło się jej duszno.

Rozległ się głośny trzask i okrzyk jakiegoś mężczyzny:
- Policja! Nie ruszać się!

Policja?! Mary poczuła ogarniającą ją panikę. Co Jimbo zawsze mówił jej o policji? Że jeśli kiedykolwiek się zjawi, zabierze ich wszystkich do więzienia i wyrzuci klucz. Czy tak miało się zdarzyć?

Mary obróciła się na plecy i szarpnęła przykutą do łóżka ręką.

- No chodźcie! - zawołała. Nerwowo szarpnęła ręką jeszcze kilka razy, aż nadgarstek zaczął ją mocno boleć; tak jak wielokrotnie wcześniej, poczuła ciepłą krew spływającą jej po przedramieniu. Świadomość, że krwawi, uspokajała ją w przedziwny sposób. Chyba chodziło o to, że mogła skupić się na tym jednym lęku.

Z góry dobiegł ją stek przekleństw. To Jimbo rzucał nimi w policjantów. Groził im.

- Gdzie nakaz rewizji?! - wrzeszczał. Rozległy się głośnie kroki; zdaje się, że Jimbo podbiegał do funkcjonariuszy. - Nie wolno wam tu wchodzić bez...

Wtedy rozległ się donośny huk. Strzelają! Mary z przerażenia podskoczyła na łóżku. Na pewno Jimbo ruszył biegiem na policjantów, a oni go zastrzelili. *Zaraz zabiją Lou, a potem mnie!* - myślała Mary. Stoczyła się z łóżka, krzycząc z bólu, kiedy kajdanki wgrzyzły się mocno w jej zraniony nadgarstek.

Gołymi nogami poczuła zimno betonowej posadzki. Nie myślała jednak o zimnie, tylko o tym, że za chwilę wpadnie policja, żeby ją zabić. Nie zamierzała zginąć bez walki. Skuliła się obok łóżka; tylko jedna jej ręka wystawała do góry, z powodu kajdanków. Mary rozejrzała się po piwnicy. *Jak stąd uciec?!* - myślała. *Muszę jakoś uciec!*

Ktoś kopnął w drzwi prowadzące do piwnicy.

- Co tam jest?! - zawołał jeden z policjantów.

- Nie muszę wam nic mówić! - To był Jimbo; więc jednak żył. Może policja raniła go, żeby nie mógł walczyć.

Zaatakuj ich, pokonaj, wygoń ich stąd! - myślała Mary. Po raz pierwszy w życiu miała ochotę wesprzeć w czymś Jimbo. Myśl o więzieniu przerażała ją. *Zamkną mnie i już nigdy nie wyjdę na dwór ani nie odnajdę babci Peggy!* - Myślała. *Walcz, Jimbo!*

Drzwi do piwnicy otworzyły się z hukiem. Na schodach stanęło dwóch policjantów z latarkami.

- To piwnica - odezwał się jeden. - To tu trzymasz narkotyki, Jimbo?

Mary zaczęła szarpać przykutą do łóżka ręką, a kiedy po chwili na nią spojrzała, w padającym od schodów świetle latarek zobaczyła spływającą po niej krew. Szarpnęła jeszcze raz. Kajdanki się nie poddawały. *Muszę leżeć*

jak najniżej i mieć nadzieję, że policjanci nie zobaczą mojej ręki! - myślała.

Jeden z funkcjonariuszy zapalił światło na schodach. Obaj zeszli na dół, a potem się zatrzymali. Mary ledwie widziała ich zza łóżka. Policjanci patrzyli na nie ze zdumieniem, a potem ze zdziwieniem i złością.

- Kto tam jest?! - spytał głośno wyższy z policjantów, zbliżając się do Mary z wyciągniętym przed siebie pistoletem.

Drżała ze strachu tak mocno, że chyba aż łóżko się trzęsło. *Zabiją mnie!* - myślała w panice. *Jeśli tylko się ruszę, zaraz mnie zastrzelą albo złapią i zawiozą do więzienia. Ja nie chcę siedzieć w więzieniu! Nie chcę...*

- Hej, ty, koło łóżka... - odezwał się drugi policjant. Był niski, miał ciemne włosy i wąsy. Dołączył do swojego towarzysza i oświetlił latarką przykutą kajdankami do łóżka rękę Mary. - Wstań - powiedział złagodniałym nagle głosem. - Jak się nazywasz?

Mary była przekonana, że to zły człowiek, ale w jego oczach nie było nic złego. Jego spojrzenie przypominało jej czyjeś... Zaraz... Miał oczy jak babcia Peggy. To znaczy wydawał się miłym, ciepłym i niegroźnym człowiekiem. *Ale to bez sensu, to przecież policjant!* - dziwiła się Mary. *Policja na pewno zrobi mi krzywdę. Tak zawsze mówił Jimbo.*

Wysoki funkcjonariusz ostrożnie obszedł łóżko, przykucając, a kiedy zobaczył Mary, przystanął, wyprostował się, opuszczając broń, i szepnął:

- Boże!... Co oni ci zrobili?!...

Jego wąsaty towarzysz także zajrzał za łóżko.

- M o j e dziecko!... - szepnął łamiącym się głosem. Poświecił na ścianę, o którą ze strachu opierała się Mary. Odnalazł kontakt i zapalił światło. Zgasił latarkę. - Wszystko dobrze... - odezwał się cicho, zbliżając się powoli do Mary.

- Nie! - krzyknęła w panice, kręcąc głową, aż gęste loki przesłoniły jej oczy. Nagle poczuła się jakby niezręcznie. *Może piętnastoletnia dziewczyna nie powinna być ubrana w prześwitującą koszulę nocną?* - zastanawiała się. Pochyliła się naprzód i położyła się na betonie. *Przestań się trząść...* - nakazała sobie w myśli. - Zostawcie mnie! Nie zabierajcie mnie do więzienia! - krzyknęła.

Wysoki policjant wyciągnął rękę i zatrzymał kolegę. Potem odwrócił się w stronę schodów i zawołał:

- Mamy tu ofiarę przestępców! Potrzebna nam pomoc!

- N i e ! Dajcie mi spokój! Proszę was! - krzyczała Mary.

- Posłuchaj - odezwał się do niej znowu ten z wąsami - ty nie zrobiłaś nic złego. Nie będziesz siedziała w więzieniu. - Westchnął i chyba mruknął: - Nie do wiary!... Popatrz na mnie.

Mary zastanawiała się nad słowami policjanta. Jak *to: nie zrobiła nic złego i nie pójdzie do więzienia? Czy to prawda?* Odkąd Mary była malutka, uczono ją nie ufać policji i bać się jej, ale teraz stali naprzeciw niej dwaj policjanci, którzy wydawali się uczciwymi ludźmi. *A może oni rzeczywiście przyszli tu, żeby mi pomóc?* - wahała się.

Ostrożnie uniosła głowę i przypatrywała się policjantom. Nazwali ją, zdaje się, „ofiara przestępców”. Nie była pewna, co znaczy słowo „ofiara”, ale nie brzmiało to jak coś złego.

- Naprawdę - teraz odezwał się ten wysoki. Zrobił krok w stronę Mary. - Jesteśmy tu po to, żeby cię uwolnić... - Umilkł na chwilę i zagryzł wargi. Patrzył na nią z widocznym przerażeniem i bólem. Mary zawstydzila się; bez wątplenia wyglądała nie tak, jak należało. - Od jak dawna... od jak dawna jesteś w tej piwnicy? - spytał mężczyzna w mundurze.

Mary usiadła. Nadgarstek bolał ją okropnie, krew kapiała jej po rękę. *Nie mam powodu, by im wierzyć - myślała - nie wiem, czy mówią prawdę. Ale co mogę zrobić?...* Zasłoniła piersi wolną ręką. Zastanowiła się, czy nie skłamać, ale ogarnęło ją przeczucie, że wtedy tylko pogorszy swoją sytuację.

- Odkąd miałam dziesięć lat - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Wąsaty policjant opadł na skraj łóżka. Wyglądał, jakby miał za chwilę się rozplakać. Jednak tylko zamrugał powiekami.

- A teraz ile masz lat? - spytał.

Mary siedziała skulona, zasłaniając piersi.

- Piętnaście - odpowiedziała. Wstydzila się swojego ciała - jak nigdy, kiedy przychodzili do niej znajomi Jimbo.

- Chwileczkę... - szepnął wysoki policjant, spokojnym krokiem zbliżając się do jej przykutej do łóżka ręki. - Uwol-

nię cię, a potem będziemy mogli porozmawiać. - Wyjął z kieszeni pęk kluczy i zaczął je przeglądać. Wybrał mały kluczyk, włożył go w otwór kajdanek, a te się otworzyły. Do tej pory tylko kluczyk, który miał Jimbo, otwierał te kajdanki...

Mary przycisnęła oswobodzoną rękę do piersi, trąc zakrwawiony nadgarstek. A potem skuliła się mocniej i czekała, co będzie dalej. Była już pewna, że policjanci nie zamierzają jej zastrzelić. Wyczuwała to. Jeżeli zamierzali zawieźć ją do więzienia, teraz ją schwytają. Mary zatrzęsała się mocno, czując skurcz w żołądku.

Niższy z policjantów rozejrzał się, spojrzął na szafę z dykty i odsunął jej drzwi. Wyjął gruby jedwabny szlafrok. Było to jedno z niewielu nieprześwitujących ubrań Mary.

- Proszę - szepnął mężczyzna, podając jej szlafrok. Mary włożyła go, cały czas skulona, żeby policjanci nie widzieli jej ciała. Potem się wyprostowała.

Me zabiorą mnie do więzienia - oceniła. Gdyby zamierzali to zrobić, już wciągaliby mnie po schodach.

Czyli... Jimbo mnie okłamywał. Kłamał przez cały czas, od kiedy tu mieszkam!

- Czy mogłabyś nam powiedzieć, jak się nazywasz? - odezwał się wysoki policjant, przykucając, aby móc patrzeć Mary prosto w oczy. Jego ton był łagodny, ale inny niż łagodny ton mężczyzn, którzy do tej pory przychodzili do Mary. Policjant mówił bardziej jak czyjś tata albo dziadek, w każdym razie jak ktoś, kto chce pomóc.

- Mary - odpowiedziała, odgarniając włosy z twarzy. Powoli przestawała się bać. - Jestem Mary.

- Mary, a co dalej? - spytał ten z wąsami, wyciągając notes. - Czy znasz swoje nazwisko?

Nazwisko? - zastanowiła się Mary. *Mam drugie imię, Jimbo cały czas mówi na mnie...*

- Mary Margaret.

- Margaret? - upewnił się ciemnowłosy policjant, zapisując coś. - Czy to jest twoje nazwisko?

- Chyba tak... - szepnęła Mary, zawstydzona. - Nie pamiętam.

Zakręciło jej się w głowie i poczuła, że jej serce zaczęło bić bardzo szybko.

Wysoki policjant oparł się o ścianę, przesunął dłonią po włosach i powiedział z westchnieniem:

- Musimy zadać ci kilka pytań, Mary. Ale najpierw trzeba opatrzeć ci rękę.

Delikatnie owinął jej zakrwawiony nadgarstek czystą chusteczką. Zaciskał usta, jakby sprawiało to ból jemu samemu.

- Te pytania mogą być dla ciebie przykre i trudne...
- ostrzegł.

- Rozumiem. - Mary ciaśniej owinęła się szlafrokiem.

Wysoki policjant spojrział na niższego, skinął głową, a potem popatrzył znowu w oczy Mary i zapytał:

- Czy w czasie kiedy tu byłeś, ktokolwiek kiedykolwiek zrobił ci krzywdę?

Mary zastanowiła się. Pytanie nie było dla niej specjalnie przykre, tylko trudne. Nie wiedziała, jak na nie odpowiedzieć.

- Czy pyta pan o Jimbo? - upewniła się cicho.

- Tak. I o niego, i o każdą inną osobę.

Mary potarła dłonią policzek.

- Czasem Jimbo mnie bije - odpowiedziała. I aż drgnęła, przypomniawszy sobie, jak Jimbo unosi rękę, a potem ją uderza. Zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, poczuła, że są mokre i że niezbyt wyraźnie widzi. *Płaczę!* - stwierdziła z wielkim zdziwieniem. Nie płakała od kilku lat; ostatni raz zdarzyło się to w pierwszym roku jej pobytu w tym domu. - Tak, Jimbo robi mi krzywdę - potwierdziła, kiwając głową.

Wysoki policjant kontynuował zadawanie pytań, a niski pisał w notesie, pewnie zapisywał jej odpowiedzi.

Pochylił się nad notatnikiem i westchnął, jakby zadawanie Mary pytań i słuchanie jej odpowiedzi było dla niego przykre.

- Współczuję ci, Mary... - odezwał się. Zacisnął zęby, wyprostował się i oznajmił: - Jimbo nigdy więcej cię nie uderzy. - Spoglądał na nią smutnym wzrokiem. - Czy jeszcze ktoś inny robił ci krzywdę - ktokolwiek inny?

- Czasami klienci - odpowiedziała, spuszczacząc głowę - znajomi Jimbo.

Mówienie prawdy, po tylu latach opowiadania kłamstw, przynosiło jej ulgę.

Wąsaty policjant opuścił notatnik, spojrział na swojego kolegę, potem na Mary, i znowu...

- Klienci?... - upewnił się.

Chyba wiedzą o klientach? - myślała Mary. *Ci policjanci to mężczyźni, a wszyscy mężczyźni mają swoje potrzeby. Czy nie jest dla nich oczywiste, po co tu siedzę? Ze moim zadaniem*

jest zaspokajanie potrzeb mężczyzn?... Z min policjantów wywnioskowała jednak, że chyba sposób, w jaki zaspokajają potrzeby mężczyzn, nie jest normalny. Z trudem przełknęła ślinę i wyjaśniła:

- Jimbo bierze od klientów pieniądze i przysyła ich do mnie. To mężczyźni, ciągle ci sami - w sumie jest ich chyba około piętnastu.

- Od jak dawna Jimbo to robi? - spytał wysoki policjant, zakładając ręce. Mary wydawało się, że pobladł.

Wzruszyła ramionami. Poczuela, że jedno z jej ramion wysunęło się spod szlafroka, poprawiła go więc i pomyślała: *Nic z tego, co tu się dzieje, nie jest normalne!... Inaczej policjanci nie byłiby tacy zdziwieni, a tym bardziej wstrząśnięci...* Uniosła głowę i patrząc w sufit, poczuła, że po jej policzkach spływają łzy.

- Od początku, odkąd tu jestem - odpowiedziała na pytanie. - Przyjechałam tu, kiedy miałam dziesięć lat.

- I codziennie przyjmujesz klientów?!... - upewnił się wyższy z policjantów. Widać było wyraźnie, że myśli o przyjmowaniu przez nią klientów, kiedy miała dziesięć lat, wprawiła go w obrzydzenie.

- Nie - wyjaśniła. - Ale w większość dni.

Ten z wąsami notował. W pewnej chwili przetarł oczy - raz, potem drugi. *Czy on płacze?* - dziwiła się Mary. *Czy to, co tu robiłam, jest tak smutne, że płacze od tego policjant, który mnie słucha?*

- Zabiję tego typu... - szepnął tymczasem funkcjonariusz, przyciskając nerwowo do ust koniec ołówka, wokół którego zacisnęła się jego pięść.

- Opanuj się - zwrócił mu uwagę kolega, kręcąc głową. - Nie zachowuj się tak w jej obecności.

Wiem już dobrze, co znaczy słowo „ofiara” - pomyślała Mary. Dobrze to czuła. *Ofiara to ktoś, od kogo nie zależy, co z nim robią, i komu robią najokropniejsze rzeczy, jakie tylko się da...*

- Przepraszam - powiedział wąsaty policjant, opuszczając rękę. - Bardzo ci współczuję, Mary - wytłumaczył się. - Już nikt... - głos na chwilę uwiązł mu w gardle - już nikt więcej nie będzie ci robił krzywdy. Obiecuję ci to!

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale z zewnątrz dobiegły odgłosy podjeżdżających kolejnych samochodów. I jeszcze czegoś - to było w powietrzu, głośnie...

- Co to? - spytała z lękiem Mary, kuląc się.

- Świetnie! - zadrwił niższy z policjantów, odkładając notes. - Mamy wsparcie, ale także dziennikarzy. Musieli podsłuchać nasze wezwanie i już są.

Dziennikarze? Czy to znaczy, że chcą pokazać mnie w telewizji?! - myślała Mary. Miała ochotę schować się pod łóżko i tkwić tam, aż wszyscy odjadą.

- W górach Wirginii rzadko trafiają się ciekawe zdarzenia, które można pokazać w wiadomościach... - mruknął wysoki policjant. Westchnął. - Przepraszamy cię za to, Mary. Musimy przewieźć cię stąd w jakieś bezpieczne miejsce. Ale kiedy będziemy stąd wyjeżdżać, będzie wokół wielkie zamieszanie, ludzie będą zadawali nam mnóstwo pytań. Także tobie. Nie musisz odpowiadać im na żadne pytanie. Rozumiesz?

Mary skinęła głową. *Co to znaczy, że zabiorą mnie w jakieś bezpieczne miejsce?* - zastanawiała się. *Co to może być za miejsce?* Ożywiła się nagle.

- Czy mogliby panowie zawieźć mnie do mojej babci Peggy? - spytała. - Mieszka w Nowym Jorku.

Policjanci wyglądali na ucieszonych.

- Masz babcię? - spytał ten z wąsami. Chyba chciał się uśmiechnąć. - Powiedz nam, jak nazywa się twoja babcia, zaraz do niej zadzwonimy! - przygotował ołówek.

Oczy Mary zaszyły piękącymi łzami.

- Nie mogę sobie przypomnieć... - szepnęła. - Przepraszam.

- Dojdziemy do tego później - pocieszył ją policjant. Wyciągnął rękę, żeby położyć dłoń na ramieniu Mary, ale się powstrzymał. Wstał, podniósł z łóżka koc i delikatnie otulił nim dziewczynę, nie dotykając jej.

- Pojedziemy już stąd, z tobą - oznajmił, pokazując głową na schody. - Trzymaj się między moim kolegą a mną, dobrze?

- Dobrze - zgodziła się Mary, drżąc ze strachu. *Jak ja wejść po schodach? Nie mogę się ruszyć!* - myślała. - A czy inni policjanci... - odezwała się z niepokojem i popatrzyła na obu mężczyzn. - Powiecie im, żeby nie strzelali?

Wysoki funkcjonariusz wyglądał na załamane.

- Mary, nikt nie będzie do ciebie strzelał - szepnął. - Nie zrobiłaś nic złego, zupełnie, rozumiesz?

Mary przytaknęła i zbliżyła się do policjantów, pocierając bolący nadgarstek. Odwróciła się i ostatni raz popatrzyła na łóżko, na którym przez minionych pięć

lat pracowała, spała i śniła wszystkie okropne koszmary.

Jak ja mogłam myśleć, że cokolwiek z tego jest normalne?

- zastanawiała się.

Wysoki policjant skinął głową w stronę łóżka, potem omiótł gestem całą piwnicę i zapytał:

- Czy chciałabyś zabrać coś ze sobą?

Mary bez wahania ruszyła ku kanapie i wyciągnęła z za jej zniszczonego oparcia jedyną materialną rzecz, która miała dla niej znaczenie - czerwoną portmonetkę z koralikami. Tylko ją chciała cały czas mieć przy sobie, niezależnie od tego, dokąd zawiozą ją policjanci.

Przez cały czas, tak samo teraz, jak przed pięciu laty, ta portmonetka przypominała Mary, że ktoś ją kocha.

10



Mary westchnęła głęboko i dopiła kawę. W tym miejscu często robiła przerwę w opowiadaniu. W jej życiu nastąpiło tyle okropnych zdarzeń, że trudno było wysłuchać dużej części opowieści na raz.

Emma wycierała mokre od łez policzki.

- I co było dalej? Czy policjanci zawieźli cię do babci Peggy? - spytała.

- Nie... - odpowiedziała z ciężkim westchnieniem Mary. - Niestety, w żaden sposób nie umiałam sobie przypomnieć mojego nazwiska.

Podniosła się z kanapy i przeciągnęła się. W gabinecie zrobiło się duszno. Na dworze słońce akurat wyszło zza chmur. Mary otworzyła okno i z lubością wciągnęła w nozdrza świeże powietrze. - W czerwcu nawet w środku miasta czuć w powietrzu zapach kwiatów - powiedziała z uśmiechem.

Emma skinęła głową.

- Co działo się dalej? - ponagliła, nie odrywając spojrzenia od Mary. - Dokąd cię zabrali?

- Możemy wrócić do mojej opowieści jutro - odpowiedziała Mary, siadając z powrotem - albo możemy zrobić krótką przerwę i kontynuować. Jak wolisz?

- Kontynuujmy, proszę cię. Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu - zdecydowała bez wahania Emma.

- Nie mogę się doczekać dalszego ciągu.

Mary zgodziła się podjąć swoją opowieść za dziesięć minut, w ciągu których Emma poszła sprawdzić, jak miewają się jej córeczki.

- Dobrze się czujesz? - upewniła się Mary, kiedy Emma wróciła. Wyglądała na niespokojną.

- Nie - przyznała Emma i zakryła twarz dłońmi, podczas gdy Mary nalewała jej wody do kubka. - Cały czas myślę o tym, że... - Emma umilkła i znowu popatrzyła Mary w oczy.

- O czym?

- To niesprawiedliwe - wszystko, co się z tobą działo! - jęknęła Emma. Z trudem powstrzymywała płacz.

- Maltretowanie ani molestowanie nigdy nie są sprawiedliwe. I pozostawiają ślad w psychice każdej ofiary, zresztą sprawcy także.

- Ale... - Emma odrzuciła głowę i dłuższą chwilę wpatrywała się w sufit. Wyraźnie zmagając się z jakąś dręczącą ją myślą. - Z twojej opowieści ma wyniknąć, że Bóg ma wielką moc...

- Zgadza się. Jeszcze nie doszłam do końca - tak samo jak wczoraj.

- Ale dlaczego Bóg miałby pozwolić na te wszystkie straszne rzeczy?! - Emma machinalnie przesunęła palcami

po bliźnach na przedramieniu. - Nigdy nie zadawałaś sobie tego pytania?

Każda ofiara maltretowania zadaje je sobie prędzej czy później.

- Porozmawiamy o tym pod koniec mojej opowieści, dobrze? - odparła Mary.

- A obiecasz mi to?

- Jeżeli będziesz przychodziła do mnie co rano, obiecuję ci, że na końcu odpowiem na twoje pytanie - odpowiedziała z uśmiechem Mary.

Emma rozluźniła dłonie, teraz jednak siedziała na krawędzi krzesła.

- D o b r z e - zgodziła się. - Mów, proszę, co było dalej.

Do gabinetu wpadł mocniejszy powiew wiatru. Mary zadrżała i znowu oparła się wygodnie.

- Nowe, całkiem inne życie przerażało mnie do tego stopnia, że zastanawiałam się, czy poprzednio nie było mi lepiej - przyznała.

- A ja rano myślałam o tym, żeby wrócić do Charliego - mruknęła Emma, chmurząc się.

- Cieszę się, że tego nie zrobiłaś.

- Ja też.

Mary zdała sobie sprawę z tego, że musi być ostrożna. Wyznanie Emmy świadczyło o tym, że jej los wciąż jest bardzo niepewny. Rozważała powrót do mężczyzny, który ją bił... Jeżeli Emma do niego wróci, ów mężczyzna bez wątpienia wpadnie w ogromną wściekłość, silniejszą niż kiedykolwiek dotąd. Będzie straszliwie rozgniewany,

zły, że Emma go porzuciła i że tak długo czekał na jej powrót. Jego wybuch może skończyć się rękoczynem o trudnych do przewidzenia skutkach. Może się zdarzyć coś znacznie gorszego niż do tej pory.

Mary postanowiła na razie nie mówić o tym Emmie.

- Dwie pierwsze noce spędziłam w szpitalu - powróciła do swojej opowieści. - Potem pewna pracownica socjalna powiedziała mi, że na jakiś czas trafię do rodziny zastępczej.

W szpitalu były rozmaite urządzenia, byli też ludzie, którzy kluli Mary igłami. Pobierali jej krew, badali ją. Lekarze i pielęgniarki szeptali między sobą na temat Mary, czasami na jej oczach. Zerkali, a gdy dostrzegali, że Mary na nich patrzy, uśmiechali się nerwowo.

- Omawiamy badania - tłumaczyli się. - Musimy sprawdzić, czy jesteś zdrowa.

Drugiego dnia jeden z lekarzy przekazał wyniki jej badań pani Campbell - pracownicy socjalnej, która zajmowała się Mary.

- To aż dziwne, ale Mary jest w zasadzie zdrowa - powiedział. - Ma infekcję, choć to nic szczególnie poważnego. Przepisałem jej antybiotyk, infekcja powinna po nim zniknąć. Nic naszej pacjentce nie grozi.

- W zakresie zdrowia fizycznego - uściśliła zniżonym głosem pani Campbell, ale Mary i tak usłyszała, ponieważ siedziała obok.

- Rzeczywiście - potwierdził doktor, robiąc smutną minę. - Resztą będziecie musieli zająć się sami...

Nie wątpię, że Mary potrzebuje konsultacji psychologicznych.

Mary zrozumiała rozmowę. Nie była poważnie chora, ale to, co działo się w jej głowie... nie było zdrowe. Ktoś musiał jej pomóc odzyskać nadzieję na szczęśliwe życie, dojść do normalnych marzeń. Musiała wreszcie nauczyć się czytać. Nie wiedziała o świecie tylu rzeczy... Właściwie pod wieloma względami pozostała takim samym dzieckiem, jakim była pięć lat wcześniej, kiedy Jimbo i Lou porwali ją i zamknęli w piwnicy.

A przede wszystkim czuła się zmęczona życiem, jakby miała sto lat.

Pani Campbell przewiozła Mary ze szpitala do ośrodka pomocy społecznej. Zaprowadziła ją do dusznego pokoju, w którym stała kanapa i znajdował się telewizor. Mary miała zaczekać tam na tymczasową rodzinę zastępczą.

Usiadła na kanapie i przesunęła dłońmi po nogawkach dżinsów. Od bardzo dawna nie miała na sobie dżinsów. *Taki sztywny i miękki materiał* - myślała. Pani Campbell dała jej te dżinsy, a także parę bluzek i kilka zmian bielizny. Od pięciu lat Mary nie miała na sobie bielizny innej niż koronkowa i prześwitująca...

Rozejrzała się po pokoju. Na podłodze przed telewizorem siedziało dwoje małych dzieci.

Jestem tak samo mała jak one - myślała Mary. *Nie dorosłam. A co spotkało te dzieci, skoro tu siedzą? Czy one też czekają na przybranych rodziców?* Przypominała sobie wypowiedziane przed laty słowa babci Peggy:

„Nawet jeżeli twoja mama sobie pójdzie, ty zostaniesz tutaj - jeżeli uda mi się postawić na swoim. Będę się tobą opiekowała. Jeśli będziesz tu mieszkać, nigdy więcej nie będziesz przemarznięta, głodna ani samotna". „Jeżeli uda mi się postawić na swoim"...

Mary zamknęła oczy i próbowała przypomnieć sobie ciepły głos babci. *Czy ty cały czas mnie szukasz, babciu?* - myślała. *Nie wiesz, gdzie jestem?* Westchnęła ciężko.

Sięgnęła do tylnej kieszeni po czerwoną portmonetkę z koralikami. Jakimś sposobem zdołała jej nie zgubić, chociaż tyle się działo. Otworzyła portmonetkę i ostrożnie wyjęła poślódką kartkę. Wciąż nie umiała przeczytać, co jest na niej napisane. Niektóre litery chyba rozpoznawała - „i" oraz „p".

Babcia Peggy odczytała jej przed laty treść zapisanych na karteczce słów, ale Mary dokładnie ich nie pamiętała. Chodziło, zdaje się, o to, że Bóg zaplanował jej życie. Czy o to, że to ona sama miała zaplanować sobie życie? Już nie była pewna. Zbliżyła karteczkę do oczu i wytężyła wzrok. *Dlaczego tego nie pamiętam?* - myślała.

Tymczasem otworzyły się drzwi za jej plecami. Szybko schowała kartkę do portmonetki, a portmonetkę włożyła do kieszeni. Weszła pani Campbell.

- Przyjechali twoi zastępczy rodzice, Mary - powiadomiła.

Mary się przeraziła. Ogarnęło ją podobne uczucie jak wtedy, kiedy do domku w górach przybyła policja. Pani Campbell chyba czekała, aż Mary coś powie.

Mary chrząknęła, wstała i spuściła wzrok. Trzęsły się jej kolana, ledwie była w stanie utrzymać się na nogach.

- Czy jesteś gotowa? - spytała pani Campbell.

Mary skinęła głową. Odkąd zobaczyła dwóch policjantów, wołała nie patrzeć ludziom w oczy. Wszyscy mieli spojrzenia, od których jeszcze bardziej czuła się ofiarą.

Widać było, że pani Campbell jej współczuje i że nie ma pewności, czy Mary jest gotowa na spotkanie z przybyłym do ośrodka małżeństwem. Zgarbiła się troszkę.

- Chodźmy do nich - powiedziała.

Kiedy tylko Mary zobaczyła czekającą na korytarzu parę, uspokoiła się. Po chwili rozmowy okazało się, że Evelyn i Ted - takie imiona nosili jej zastępczy rodzice - są jednocześnie młodzi i starzy; podobnie jak ona, tylko na odwrót. To znaczy byli już w starszym wieku, mieli trochę pomarszczone czoła i usta, ale z drugiej strony byli wewnątrz młodzi. Ogromnie mili i ciepli. Kogoś Mary przypominali, jakąś inną starszą osobę. No tak - babcię Peggy. Mieli takie same spojrzenia jak babcia.

Ted i Evelyn zawieźli Mary do swojego domu. Mieszkał na wsi, ale z ośrodka pomocy społecznej jechało się tam tylko pół godziny. Mary miała nadzieję, że w domu tych ludzi spotka ją coś dobrego - nie zakuli jej w kajdanki, nie dali prześwitujących koszul nocnych ani nie wspominali o nocnej pracy w sypialni. Zamiast tego zaczęli mówić jej o rzeczach, o których niegdyś opowiadała jej babcia Peggy. Mary siedziała sobie spokojnie w salonie.

- Chcielibyśmy porozmawiać z tobą o Bogu, Mary
- oznajmiła Evelyn. - Wiesz, pan Bóg chce, żebyś była blisko Niego. Daje nam wszystkim, także tobie, nadzieję: i na najbliższą przyszłość, i na tę dalszą. Przygotował dla ciebie plan.

Mary nie wiedziała, czy zgadza się ze słowami Evelyn i Teda, ale podobało się jej, kiedy do niej mówili. Byli bardzo miłymi ludźmi. Czy jednak mogła mieć nadzieję na to, że w przyszłości spotkają ją dobre rzeczy? Była ofiarą, którą krzywdzili przestępcy, dorastała zamknięta w piwnicy i przykuta do łóżka...

Mary spodziewała się, że Ted przyjdzie do niej wieczorem i powie jej, jak ma zarabiać na swoje utrzymanie, jednak nic takiego się nie stało. *Czy to możliwe, żeby Ted nie miał takich potrzeb jak inni mężczyźni?* - zastanawiała się. Patrzył na nią inaczej niż ci, którzy przychodzili do jej piwnicy. I spoglądał jej w oczy, a nie przyglądał się innym miejscom jej ciała.

Rano Ted zrobił Mary śniadanie, a Evelyn przyniosła jakieś pudełko. W środku były książki, kasety i małe karty z literami. Evelyn usiadła naprzeciw Mary i porozkładała te wszystkie rzeczy na kuchennym stole.

- To są materiały do nauki czytania - wyjaśniła.
- Łatwiej idzie, kiedy można posłuchać, jak wymawia się literę, którą się widzi; te karty też pomagają. Jesteś bystrą dziewczyną - dodała z uśmiechem. - Szybciotko nauczysz się czytać.

Odtąd głównym zajęciem Mary była nauka czytania. Całe dni spędzała z Evelyn i Tedem. Ted zawsze

robił jej śniadanie - jajecznicę i tosty albo owsiankę - a Evelyn wyciągała magnetofon, kasyety i kartki z literami do pokazywania.

- Dzisiaj będziemy pracować nad samogłoskami - zapowiadała na przykład z uśmiechem. - Samogłoski to podstawa każdego słowa.

Mary uwielbiała naukę. Każdego dnia czuła się troszkę mądrzejsza. I miała coraz większą nadzieję, że te wszystkie miłe rzeczy, które mówili jej Ted i Evelyn, naprawdę się spełnią. Niecały miesiąc po przybyciu do ich domu Mary знаła już wszystkie litery i głoski, a po dwóch miesiącach umiała czytać proste książeczki dołączone do zestawu do nauki czytania. Treść tych książeczek była bardzo mało skomplikowana - ale Mary umiała je przeczytać!

Pewnego dnia Mary podeszła do Evelyn.

- Czy kiedy już będę umiała dobrze czytać i pisać, mogłabyś mi pomóc napisać list do babci? Babcia próbuje mnie odszukać...

- Oczywiście... - Evelyn ujęła jej dłoń. - Być może gdybyśmy wysłali list do władz Nowego Jorku, byłyby w stanie pomóc nam znaleźć twoją babcie...

Ludzie z opieki społecznej starali się już o odnalezienie babci Peggy, ale im się nie udało. Ted przekonywał mimo wszystko, żeby nigdy się nie poddawać, żeby nie zaprzestawać poszukiwań.

- Jeżeli twoja babcia stara się ciebie odszukać, musi być sposób na to, żebyście się znalazły - twierdził.

Oboje z Evelyn uczyli Mary coraz lepiej czytać. Nauczyli ją także korzystać z kalendarza i posługiwać się

pieniężmi. Dowiedziała się, jak nazywają się różne zwierzęta i gwiazdozbiory. Usłyszała o rozmaitych postaciach historycznych - Lincolnie, Jeffersonie i Rooseveltcie. Przy okazji sianokosów Mary nauczyła się także prowadzić półciężarówkę Teda, przynajmniej po łące. Dowiedziała się wreszcie o Ewangelii, którą spisali w czterech wersjach Mateusz, Marek, Łukasz i Jan, i o życiu Pana Jezusa, który przyszedł na świat, żeby zbawić wszystkich ludzi.

Co wieczór Mary zasypiała z głową tak pełną nowych wiadomości, że wcale nie myślała o Jimbo, Lou, kajdankach ani dawnych klientach. I co rano budziła się spragniona dalszej wiedzy. A poza tym wreszcie przestały dręczyć ją nocne koszmary, mogła spać przez całą noc!

Ted i Evelyn przypominali jej, że mieszka w ich domu tylko tymczasowo.

- Mamy prawo zajmować się tobą jako rodzina zastępcza tylko przez niezbyt długi czas - mówiła kilkakrotnie Evelyn. - Rozumiesz, co to znaczy, prawda?

- Tak. Pomożecie mi odnaleźć babcię Peggy, a potem pojedę do niej i będę z nią mieszkała - odpowiedziała Mary pewnego dnia.

- Bardzo byśmy tego chcieli, kochanie - powiedziała Evelyn. - Pani Campbell z opieki społecznej codziennie stara się ją odnaleźć.

- A jak się nie uda?... - wystraszyła się Mary.

- Nie da się wykluczyć, że zanim uda się znaleźć twoją babcię, będziesz musiała przeprowadzić się do innej rodziny - odparła ze smutkiem Evelyn, delikatnie dotykając jej ramienia. - Wiesz o tym, prawda?

- Słyszałam - mruknęła Mary. Była zachwycona pobylem u Evelyn i Teda. *Jeżeli Pan Bóg zaplanował dla mnie w życiu dobre rzeczy, to zostaną tu z Evelyn i Tedem do czasu, aż uda się znaleźć moją babcię - myślała. A potem pojedę do niej do Nowego Jorku i będę z nią mieszkała. Będę wtedy pisała listy do Evelyn i Teda i dziękowała im za wszystkie wspaniałe rzeczy, które dla mnie zrobili.*

Nie wyobrażała sobie, że mogłaby przenieść się gdziekolwiek indziej. Kiedy tylko przypominało się jej, że za jakiś czas może nadejść dzień, kiedy będzie musiała opuścić Evelyn i Teda, natychmiast starała się myśleć o czymś innym. Nie chciała ich opuszczać.

Co jakiś czas krótko rozmawiała z Evelyn o minionym okresie swojego życia, spędzonym w piwnicy.

- Jimbo i Lou mówili mi, że moim zadaniem jest zaspokajanie potrzeb klientów - powiedziała pewnego wieczoru.

- To nieprawda! - odpowiedziała Evelyn; nie ze złością - ona nie złościła się nigdy - ale z naciskiem. - Jesteś dzieckiem. A dzieci potrzebują miłości, a nie tego, żeby je ktoś wykorzystywał.

Mary spuściła wzrok, popatrzyła na swoje nogi w spodniach od dresu, w których spała. Przyszło jej do głowy - chociaż wstydziła się podzielić tą myślą z Evelyn - że kiedy była przykuta kajdankami do łóżka w piwnicy, czasami to, co robiła z klientami, wydawało się jej miłością.

Nieraz klienci twierdzili, że ją kochają, głaskali ją po włosach i czole, mówili jej bardzo miłe rzeczy, na przy-

kład: „Jesteś moim pięknym aniołkiem" albo „Nawet nie wiesz, jak cię uwielbiam!" Ani od Jimbo, ani od Lou nigdy niczego podobnego nie słyszała.

W każdym razie do tej pory słowo „miłość" kojarzyło się jej z tym, co działo się między nią a klientami w piwnicy. Innego rodzaju miłości nie znała. A jednak Evelyn bez wątplenia miała na myśli coś zupełnie innego.

- Czy to dlatego policja zabrała mnie z piwnicy - dlatego, że nie wolno wykorzystywać dzieci? - upewniła się.

- Tak - zgodziła się Evelyn. Nie chciała tego dokładnie tłumaczyć, pogłaskała tylko Mary po głowie i dodała: - Jeżeli będziesz chciała, porozmawiamy o tym któregoś dnia. Kiedy będziesz gotowa.

Minęły trzy miesiące. Pewnego dnia nadeszła zła wiadomość. Evelyn zawołała Mary do salonu, usiadła koło niej na kanapie i powiedziała ze łzami w oczach: - Kochanie, telefonowała pani Campbell. - Ujęła dłoń Mary. - Znalazła się rodzina zastępcza, u której będziesz mogła mieszkać długo, przez nieograniczony czas. - Evelyn zagryzła wargi. - Masz się do nich przeprowadzić jutro rano.

Mary miała ochotę krzyczeć, schować się pod łóżkiem, zamknąć dom od środka albo błagać pana Boga, żeby ten dzień nigdy się nie skończył. Resztę dnia milczała. Evelyn i Ted nauczyli ją wielu rzeczy, ale jeszcze nie tego, żeby w chwilach takich jak ta dzielić się swoimi myślami i uczuciami z bliskimi. Mary otwierała usta, jednak nic nie mówiła.

- Ci państwo są młodszy od nas - powiedziała Evelyn.
- Mają dwóch małych synków. Będziesz miała małych braciszków - uśmiechnęła się słabo.

- Czy mogłabyś mi jeszcze raz wytłumaczyć - powiedziała z trudem Mary - co to znaczy, że rodzina jest zastępcza?

Evelyn spojrziała na nią ze smutkiem. Do pokoju wszedł Ted. Usiadł koło żony i odpowiedział cicho:

- To znaczy, że nie mieszka się z nią na zawsze...

Złożył dłonie i opuścił spojrzenie, widać było, że jest mu smutno. - Dawno temu Bóg podpowiedział nam, żebyśmy pomagali takim dzieciom jak ty. Dzieciom, których życie układało się ostatnio bardzo źle, które potrzebują na jakiś czas domu, w którym będą bezpiecznie żyć. Władze stanu zawarły z nami umowę - dotyczy ona przyjmowania dzieci tylko na krótki czas. To właśnie znaczy, że jesteśmy tymczasową rodziną zastępczą.

Mary nie rozumiała, dlaczego tak jest.

- A le przecież jeszcze nie udało się znaleźć mojej babci Peggy! - przypomniała, bliska płaczu.

- Wiem - szepnął Ted, ujmując za rękę Evelyn. - Pani Campbell dalej będzie jej szukać, przez cały czas.

Mary czuła, że jej nowy świat, do którego dopiero się przyzwyczaiła, wali się.

- Ale dlaczego możecie przyjmować dzieci tylko na krótko? - zapytała.

- Dlatego, że jest mnóstwo dzieci, które muszą szybko znaleźć się w bezpiecznym domu - odpowiedział Ted.

Mówił bardzo miłym tonem, ale jego odpowiedź wcale nie była przyjemna. - Nie ma wystarczająco wielu rodzin, które przyjmują w taki sposób dzieci. Mary i ja postanowiliśmy przyjmować dzieci od razu, po tym jak zostały oswobodzone z jakiejś okropnej sytuacji, tak jak ty. Dajemy im na początek bezpieczne schronienie i opowiadamy o Panu Bogu, żeby na resztę życia zapamiętały, że ludzie mogą być dobrzy i że Pan Bóg je kocha.

- Tak właśnie robimy - potwierdziła Evelyn, przykładając dłoń do ust. Miała łzy w oczach. Pokręciła głową i kontynuowała: - Takie rozstania zawsze są trudne, ale... Mówiłam ci, kochanie, że będziesz z nami tylko przez krótki czas. Jednak odtąd będziesz mogła już zawsze wierzyć w Boga i ufać Mu. Ufać, że zaplanował dla ciebie dobre rzeczy.

Mary przytaknęła, czuła się jednak, jakby zamykała się w sobie. Wołała zostawić swoje uczucia dla siebie.

- Dobrze - skwitowała chłodno, prostując się. Wstała i spojrzała z udawanym zrozumieniem. - Spakuję się.

Kiedy znalazła się sama w swoim pokoju, łzy napłynęły jej do *oczu. Jaka ja byłam głupia!* - myślała. *Uwierzyłam, że to może trwać długo, że będę mieszkała z Evelyn i Tedem, uczyła się i dzięki ich pomocy czuła się coraz bardziej normalnie.* Evelyn i Ted kupili Mary jeszcze kilka par dżinsów, parę bluzek, flanelową koszulę nocną. Spakowała wszystko do białej reklamówki, którą dostała w szpitalu.

Prawie nie odzywała się przez resztę dnia, mimo że Evelyn próbowała z nią rozmawiać.

Następnego ranka, zaraz po śniadaniu, przyszła po nią pani Campbell z opieki społecznej.

- Zostań z Bogiem, Mary - powiedział na pożegnanie Ted, ujmując Mary za ramiona. - Idź za Jezusem. Pan Bóg ma odpowiedzi na wszystkie twoje pytania.

Mary powstrzymywała płacz.

- Wy znacie odpowiedzi na moje pytania - odparła.

- Znamy je dzięki Bogu, który nam ich udzielił - powiedział Ted. Cofnął się. - Zapamiętaj na zawsze, co ci mówię: pozostań z Bogiem.

Potem do Mary podeszła Evelyn. Przytuliła ją i długo kołysała, płacząc. W końcu otarła policzki.

- Zaczekaj - szepnęła, znacząco unosząc palec. Mary, pani Campbell i Ted czekali więc w milczeniu, aż Evelyn wróci. Przyniosła pudełko z książkami, kasetami i kartami do nauki czytania. Podała je Mary. - Weź. Już w połowie umiesz czytać.

Mary pokręciła głową, ale prezent był zbyt cenny, żeby go nie wziąć. Odebrała więc pudełko z rąk Evelyn i przycisnęła je mocno do piersi.

- Dziękuję - powiedziała. Evelyn skinęła głową, zasłaniając usta dłonią.

- Musimy iść, Mary - odezwała się pani Campbell, która stała przy drzwiach wejściowych. - Twoja nowa rodzina zastępcza już czeka na ciebie w naszym ośrodku.

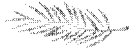
Mary spojrzała na panią Campbell, a potem znowu popatrzyła na Evelyn.

- Kiedy będę starsza - kiedy odnajdę moją babcię i będę już umiała dobrze czytać i pisać, i prowadzić samochód - przyjadę do was. - Znowu przytuliła Evelyn.
- Chciałabym, żebyście poznali babcię Peggy, bo... - Nie była w stanie mówić dalej. Zacisnęła usta, spojrzała w oczy Evelyn i wyjaśniła: - Zaprzyjaźniłybyście się.

A potem wzięła pudełko i białą reklamówkę, odwróciła się i poszła za panią Campbell do samochodu.

Nie wiedziała, jak będzie wyglądał następny okres w jej życiu, zdawała sobie tylko sprawę z tego, że rozpoczyna nowy etap.

11



Mary chciała w tym miejscu przerwać opowieść, ale Emma siedziała jak zahipnotyzowana.

- Nigdzie mi się nie spieszy - odezwała się w końcu, wstała i nalała sobie wody. Czuła się teraz swobodniej, i dzięki temu lepiej. - Kiedy ostatnio zajrzałam do moich córeczek, akurat się kładły; na pewno drzemia.

- Dobrze, w takim razie... Ale powiedz mi, kiedy będziesz musiała iść - odpowiedziała Mary. Zmieniła pozycję, aby lepiej chłodziło ją świeże powietrze z okna. Postanowiła mówić dalej, skoro Emma chciała jej słuchać.

Ted i Evelyn mówili prawdę - państwo Lake'owie byli młodszy od nich i mieli dwóch małych synków: Trevora i Ty'a. Trevor miał sześć lat, a Ty - cztery lata. Państwo Lake'owie musieli być zamożnymi ludźmi - mieli piętrowy dom z basenem, dwa telewizory, a nawet dwa psy, które biegały po trawniku za domem.

Przez pierwszych kilka tygodni Mary mało rozmawiała z panią i panem Lake. Większość czasu spędzała w swoim pokoju, za pomocą kaset i kart z pudełka ucząc się czytać. Zauważyła, że co dzień idzie jej troszkę lepiej.

Państwo Lake'owie zapraszali ją do stołu na posiłki i mówili, że zapiszą ją do szkoły, do której pójdzie jesienią. Dawali jej jednak spokój - nie przeszkadzało im, że Mary woli siedzieć w swojej sypialni.

A właśnie na to miała ochotę. Codziennie przed snem sięgała do swojej plastikowej torby i wyjmowała czerwoną portmonetkę z koralikami. Po dwóch tygodniach pobytu u państwa Lake'ów wyciągnęła z portmonetki karteczkę - i wtedy stało się coś niezwykłego. Stwierdziła, że potrafi przeczytać, co jest napisane na karteczce! Przynajmniej większość słów. Pierwszy raz w życiu była w stanie chociaż do pewnego stopnia zrozumieć, co napisała babcia Peggy.

Na początku było o tym, że Bóg chce, żeby Mary coś wiedziała. Że ma wobec niej zamiary, zamiary pełne pokoju, a nie zguby, i że chce jej coś zapewnić - to słowo trudno się zaczynało: na „p”, „r” i „z”. Na końcu było napisane, w którym miejscu w Biblii można znaleźć to zdanie. Mary nie była pewna jego znaczenia, ale zdawało się jej, że je rozumie. Chodziło o to, że Pan Bóg ma wobec niej dobre zamiary, przez cały czas - na zawsze. A na samym końcu babcia Peggy napisała słowa, które Mary łatwo było przeczytać: „Mary, zawsze będę przy Tobie. Kocham Cię - Babcia”.

Państwo Lake'owie już spali. Mary leżała w łóżku i uśmiechała się, przepelniona radością. *Umiem czytać!* - myślała. Zasłoniła usta i pisnęła cicho, żeby nikogo nie obudzić. *Naprawdę umiem czytać!* - cieszyła się. A poza tym to, czego dowiedziała się z karteczki, było wspa-

niale. *Babcia mnie kocha i czeka, aż do niej wrócę!* - myślała Mary. *Muszę tylko wreszcie ją znaleźć, znaleźć w Nowym Jorku jej małe mieszkanie. Może porozmawiam o tym rano z panią Lake?*

Schowała karteczkę do portmonetki i włożyła portmonetkę pod poduszkę. Miała ochotę trzymać karteczkę blisko siebie - teraz, kiedy już umiała czytać, będzie mogła ją wyjmować i patrzeć na nią za każdym razem, kiedy zateśni za babcią i będzie myślała o tym, jak do niej dotrzeć. Zgasiła światło i spróbowała przypomnieć sobie głos babci, jej twarz. Czasem obawiała się, że pamięta je na tyle słabo, że może całkiem zapomnieć.

A może kiedy będę uczyła się coraz lepiej czytać, nauczę się przez to pisać? - zastanawiała się. *Wtedy będę mogła spisać wszystkie moje wspomnienia o babci, żeby jej nie zapomnieć.* Usiadła i popatrzyła na miejsce, w którym stało pudełko z materiałami do nauki czytania. *Jak to?* - zdumiała się. Pudełka tam nie było. Rozejrzała się po pokoju - znikło.

Dziwne. Przecież to pudełko przez cały czas tu stało... *Może pani Lake pożyczyła je dla któregoś ze swoich synków?* Mary położyła się z powrotem. *Zapytam o nie jutro panią Lake* - postanowiła, i stopniowo przestała myśleć o pudełku. Zasypiała już, kiedy usłyszała jakieś odgłosy przy drzwiach swojego pokoju. Usiadła, przerażona. Dobrze pamiętała niespodziewane wizyty mężczyzn, którzy czasami przychodzili do piwnicy później niż zwykle. Przez chwilę wydawało się jej, że znowu tam jest, a wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatnich paru miesięcy, tylko jej się śniło.

Ale nie. Drzwi się otworzyły - przyszedł pan Lake.
Wyglądał na zatroskanego. —

- Mary? - odezwał się.

- Słucham - odpowiedziała z przestraczem, osłaniając się kołdrą.

- Czy ty krzyknęłaś?... - Pan Lake wszedł powoli do pokoju, oglądając się. Potem ostrożnie zamknął drzwi, starając się zrobić to zupełnie cicho. Spojrzał Mary w oczy - widziała to w półmroku, bo na ulicy świeciła latarnia. - Wszystko w porządku? - spytał.

Mary cofnęła się.

- Tak... - szepnęła. Przypomniała sobie o pudełku.
- Wiesz może, gdzie jest moje pudełko? To z materiałami do nauki czytania?

Pan Lake roześmiał się cicho i oparł się o ścianę, niedaleko łóżka.

- To dobre dla małych dzieci. Zobaczyłem je tutaj dzisiaj rano i wyrzuciłem do śmieci. Jesteś o wiele za dorosła na takie rzeczy.

Mary szeroko otworzyła usta. *Jak on mógł wyrzucić moje drogocenne pudełko z materiałami do nauki czytania, które dostałam od Evelyn i Teda?! - myślała. I jak ja teraz będę ćwiczyła różne kombinacje liter i trudniejsze słowa?* Założyła rękę.

- Ono było mi potrzebne - powiedziała. - Ważne dla mnie.

- To naprawdę byle co - zbył jej słowa pan Lake, machając ręką. Usiadł w nogach łóżka. - Mogę nauczyć cię wszystkiego, czego nie wiesz. - Jeszcze raz zerknął na drzwi. Teraz

uśmiechał się jakoś sztucznie, a może raczej złośliwie. - Ale ty i tak wiesz więcej niż większość dziewczyn nawet dwa razy starszych od ciebie... - Umilkł i dłuższą chwilę wpatrywał się w Mary. - Na pewno nie krzyknęłaś?

O co mu chodzi? Czy coś się stało? Mary uważnie przyglądała się twarzy pana Lake'a. Sposób, w jaki patrzył, wydał się jej znajomy. Stopniowo zrozumiała, co się dzieje. Pan Lake spoglądał na nią błyszczącymi oczami, co chwila oblizywał górną wargę... W tej chwili wcale nie przypominał siebie samego - wyglądał raczej jak jeden ze znajomych Jimbo. Mary cofnęła się w kąt łóżka, jak najdalej od pana Lake'a.

- Wszystko w porządku.

Chyba mnie nie dotknie?... - zastanawiała się Mary. Pani Campbell powiedziała jej, że państwo Lake'owie to mili ludzie. Ze będzie u nich bezpieczna. Mary z niepokojem przełknęła ślinę.

- Dobranoc - rzuciła.

Spojrzenie pana Lake'a wyraźnie wędrowało od jej twarzy aż do stóp i z powrotem.

- Czy mogę cię o coś zapytać? - odezwał się znowu.

- Jestem... zmęczona. - Mary spojrzała na okno, potem na drzwi... *Jeśli pan Lake będzie próbował mnie złapać, rzucę się do ucieczki* - myślała. *Będę musiała mu uciec! Tylko jak go minąć? A poza tym w ten sposób raczej nie zbliżam się do spotkania z babcią...*

- Chciałbym spytać cię o to... - pan Lake przysunął się do Mary, dzieliła ich zaledwie odległość ramienia - czy sprowadzali do ciebie mężczyzn codziennie.

Mary zaczęła drżeć, żołądek skurczył się jej ze strachu tak mocno, jakby ktoś uderzał ją raz za razem.

- Pani Campbell powiedziała, że nie muszę o tym rozmawiać.

- No tak. Ale teraz nie masz tych wszystkich mężczyzn, którzy tak bardzo się tobą interesowali...

Pan Lake nachylił się jeszcze bliżej, oparł dłoń na ramieniu Mary - miała na sobie flanelową koszulę nocną - a potem przesunął palcami wzdłuż jej ręki. - A jesteś piękną dziewczyną - dodał.

Mary szarpnęła się w tył. To nie miało się więcej dziać! *Miałam już nigdy więcej nie zajmować się zaspokajaniem potrzeb mężczyzn!* - myślała. *Przecież pani Campbell tak mówiła. „Państwo Lake'owie to mili ludzie, będzie ci u nich naprawdę dobrze”- Powiedziała. Dlaczego w takim razie pan Lake to robi?! Dlaczego mnie dotyka?!* Przycisnęła się do ściany.

- Niech pan mnie nie dotyka, proszę - szepnęła.

- Chcę cię poznać, Mary - odparł pan Lake, krzywiąc się. Przesunął dłoń w pobliże jej talii i gładził kciukiem jej bok. - Właśnie tego chce od mężczyzn taka dziewczyna jak ty.

- Już nie - ucięła Mary ściszonej ze strachu głosem. *Jak mu wytłumaczyć, że nigdy nie chciałam robić takich rzeczy, że mnie do tego zmuszano?!* - zastanawiała się. *Przecież nie chciałam żyć w taki sposób, w jaki żyłam w tej piwnicy. Czasem klienci mówili mi miłe rzeczy, ale tak naprawdę nie chciałam tego wszystkiego.* Zadrzała. - Teraz... moje życie się zmieniło - powiedziała.

- Dziewczyny takie jak ty nigdy się nie zmieniają
- zawyrokował pan Lake. Zbliżył się o kolejnych kilka-
naście centymetrów. - To może być nasza tajemnica
- zachęcił. - Nie pożałujesz.

Mary poczuła mdłości, omal nie zwymiotowała.
*Czy mężczyźni, którzy przychodzili do mojej piwnicy, też
mieli żony i dzieci i odwiedzali mnie w tajemnicy przed nimi?*
- zastanawiała się. *Jeżeli tak... to jestem okropną dziew-
czyną. Naprawdę paskudnym człowiekiem!*

Pan Lake czekał. *Jeżeli mu odmówię, może zrobić to na
siłę* - myślała Mary. *Niektórzy mężczyźni tak robili, a potem
miałam siniaki przez wiele dni...* Rozejrzała się. *Nie, nie zdołam
go minąć!* - stwierdziła. *Gdyby tylko udało mi się skłonić go do
wyjścia z mojego pokoju!... Mogłabym rano zadzwonić do pani
Campbell, a potem pojechać z powrotem do domu Evelyn i Teda.
Chyba muszę skłamać...* Opuściła głowę, uśmiechnęła się
słabo i powiedziała: - Źle się dzisiaj czuję.

*Nie mogę wyglądać na przestraszoną, bo zaraz zobaczy,
że mówię nieprawdę!* - myślała. Spróbowała się uspokoić
i rozluźniła ramiona. - Rozumiesz?

Pan Lake spojrział na nią łagodniej.

- Czy to znaczy, że jutro wieczorem będę miał u cie-
bie większą szansę?

- Może - wzruszyła ramionami. - Jeśli pozostanie
to naszą tajemnicą.

Poskutkowało. Pan Lake wstał, zasalutował żartob-
liwie i rzucił:

- Do jutra! - Uśmiechnął się i powtórzył: - Nie po-
żałujesz.

Ton jego głosu przerażał Mary.

Kiedy pan Lake wyszedł, Mary opadła na poduszkę. Słyszała, jak głośno bije jej serce. Patrzyła na zegar. Była 23.45, w końcu cyfry zaczęły pokazywać 0.25. *Pan Lake na pewno już zasnął* - oceniła Mary. Wstała i spakowała ubrania do swojej białej reklamówki, wkładając pomiędzy nie czerwoną portmonetkę.

Sięgnęła do szuflady nocnej szafki i znalazła w niej wizytówkę pani Campbell. „Możesz do mnie zadzwonić pod ten numer o każdej porze - powiedziała pani Campbell. - Jeżeli będziesz miała jakiegokolwiek kłopoty, chciałabym o tym wiedzieć”.

Mary położyła się z powrotem, ściskając wizytówkę w dłoni. Leżała i drżąc, czekała, aż się rozwidni. Było lato. Państwo Lake'owi spodziewali się, że Mary jak zwykle obudzi się po ósmej. Wstała jednak wcześniej i poszła do gabinetu, gdzie był telefon. Wystukała numer pani Campbell.

- Pomoc społeczna, słucham.

Mary zakaszłała z emocji i ze zmęczenia.

- Chciałabym rozmawiać z panią Campbell.

- Pani Campbell nie ma. Wyjechała na tydzień - odpowiedział mężczyzna po drugiej stronie linii, niezbyt przejęty rozmową.

- Jak to?! - przeraziła się Mary. - Ale ja muszę z nią porozmawiać!

- A czy nie mogę połączyć pani z inną pracownicą socjalną? - spytał z westchnieniem mężczyzna.

„Z inną pracownicą...” - powtórzyła w myśli Mary, łapiąc się za głowę. *Jak mogę powiedzieć o tym wszystkim komuś obcemu?*

- Nie, dziękuję - odpowiedziała, trzęsąc się tak, że ledwie była w stanie utrzymać w ręku słuchawkę.
- Zadzwonię kiedy indziej.

Rozłączyła się.

Jeżeli pani Campbell wyjechała, to nie mam innego wyjścia, jak wziąć swoje rzeczy i uciec - myślała. *Dojadę jakoś do Nowego Jorku i zgłoszę się tam na pierwszy posterunek policji, który zobaczę. Policja uratowała mnie od Jimbo i Lou, uwolniła mnie z piwnicy, była bardzo miła. Na pewno wszyscy policjanci będą chcieli mi pomóc. A poza tym policjant z Nowego Jorku mógłby mi pomóc odnaleźć babcię.*

Mary poczuła w sobie determinację, i to dodało jej odwagi. Nie miała zamiaru spędzić w domu państwa Lake'ów ani jednej nocy więcej, niezależnie od tego, co robiła dawniej. *To nie było dobre* - myślała - *i myliłam się, sądząc, że zaspokajanie potrzeb mężczyzn to miłość. To nie jest miłość. Miłość to coś, co panuje w domu Evelyn i Teda albo u babci Peggy. Wyjadę stąd i będę tak długo szukała miłości, aż ją znajdę, choćbym miała jej szukać do końca życia! Nie będzie mi łatwo, bo nie mam pieniędzy, ale trudno. Większość życia przeżyłam na ulicy, więc dam sobie radę. Jeżeli będę musiała, to znowu będę mieszkać na ulicy!*

Tego dnia zeszła na śniadanie późno, kiedy już była pewna, że pan Lake jest w pracy. Poczekwała, aż pani Lake pojedzie z synkami do supermarketu. Była gotowa do

ucieczki. *Lepszej okazji nie będzie* - uznała. Na dworze było gorąco, ale Mary ubrała się w dżinsy i bluzę. Przejrzała się w lustrze. Wydawało się jej, że w środku jest brzydką osobą, ale z wierzchu wyglądała ładnie. Jednak w jej sytuacji uroda wcale nie pomagała, wręcz przeciwnie - sprawiała, że Mary mogło grozić więcej niebezpieczeństw.

Zabrała z górnej szuflady, w której były rzeczy pani Lake, opaskę do upinania włosów w koński ogon. Spięła je, a później otworzyła szafę pani Lake, żeby znaleźć jakieś odpowiednie nakrycie głowy. Znalazła czapkę bejsbolową. Wprawdzie była na Mary za duża, ale to dobrze - mogła założyć ją na spięte włosy. Wzięła jeszcze swoją wypchaną reklamówkę i czym prędzej wyszła z domu. Nie odwróciła się ani razu.

Dom państwa Lake'ów stał blisko autostrady. Mary poszła więc w jej stronę i stanęła przy wjeździe na autostradę. Wystawiła rękę, unosząc kciuk, i patrzyła na wszystkich przejeżdżających kierowców. Widziała na filmie, który oglądała z Tedem i Evelyn, jak pewien mężczyzna tak robił.

Trzecia z kolei ciężarówka zwolniła i zatrzymała się. Kierowca otworzył drzwi kabiny.

- *M u s z ę dostać się do Nowego Jorku!* - zawołała do niego.

- *Wsiadaj* - odpowiedział starszy mężczyzna. - *Przejeżdżam przez Nowy Jork.*

Z bijącym ze strachu sercem Mary wspięła się do kabiny wielkiej ciężarówki, wrzuciwszy do niej najpierw torbę z rzeczami. Starła się wyglądać na surową,

odważną dziewczynę. I mówić tak, żeby wydawało się, że nie jest aż taka młoda. Odchrząknęła.

- Dzięki - rzuciła, spoglądając prosto przed siebie.

- Nie mam zbyt wiele pieniędzy.

- Nie szkodzi.

Zerknęła na kierowcę. Miał całkiem siwe włosy i siwą brodę. Jego ciemne oczy zdawały się patrzeć przyjaźnie. Chyba był miłym człowiekiem... - Jestem Wielki Dave - powiedział. - Bóg mówi mi, kogo zabierać, a ja Go słucham.

Bóg? - zdziwiła się w myśli Mary. Znowu? Dlaczego ciągle trafiam na ludzi, którzy chcą opowiadać mi o Bogu?

Chyba nie ma potrzeby udawać kogo innego - myślała, wyglądając przez okno. Zdaje się, że ten człowiek nie zrobi mi krzywdy. Może jest podobny do Teda, Evelyn i babci Peggy?

- Będzie pan musiał podziękować Bogu za to, że mnie pan zabrał - rzuciła, mimo wszystko możliwie niskim głosem.

Kierowca okazał się gadatliwy. Wypytywał Mary o to, skąd jedzie i skąd pochodzi. Odpowiadała mu wymijająco. *Nie rozpoznał mnie* - stwierdziła po chwili. - *Całe szczęście.*

Od czasu uwolnienia jej przez policję ludzie często przyglądali się jej uważnie, mając taki wzrok, jakby przypominali sobie, skąd znają jej twarz. Evelyn i Ted powiedzieli jej, że relacja z wyzwolenia jej z piwnicy Jimbo i Lou obiegła cały kraj, była powtarzana w wiadomościach przez rozmaite stacje telewizyjne. Dlatego obcy ludzie mogli teraz rozpoznawać Mary. Przed

wszystkim z tego powodu wołała przebywać w domu i się *uczyć*.

Wielki Dave przez całą drogę opowiadał Mary że Bóg prowadzi go po drogach, że jeśli Pan pozwoli, to coś się stanie, że niech będą Mu dzięki za to albo tamto, że Pan Jezus ma nas wszystkich w opiece i tak dalej. Kierowca tej ciężarówki był naprawdę miłym człowiekiem i Mary przyjemnie by się z nim rozmawiało, gdyby nie musiała starać się zachowywać chłodno, jak nawykła do trudnego, brutalnego życia bezdomna dziewczyna. Pamiętała, jak mama powiedziała jej kiedyś: „Jeśli chcesz przeżyć na ulicy, musisz wyglądać i zachowywać się tak, żeby ludzie nie zwracali na ciebie uwagi”. *Tak, muszę mieć się na baczności* - oceniła Mary.

- No, młoda damo, mniej więcej za godzinę będziemy w Nowym Jorku - odezwał się po chwili milczenia Wielki Dave, zjeżdżając z autostrady. - Zjedzmy jakiś obiad, a potem wysadzę cię, gdzie potrzebujesz wysiąść.

Mary była gotowa uciekać, w razie gdyby Wielki Dave okazał się wcale nie taki miły, jak się zdawało. Położyła dłoń na klamce, podczas gdy Dave podjeżdżał do czegoś, co wyglądało na stację benzynową i niedrogą restaurację. Zatrzymał ciężarówkę.

- Możesz wyskakiwać - rzucił, wskazując głową drzwi. - Toalety są w budynku.

Mary się uspokoiła. Nic złego raczej jej nie groziło. Wielki Dave nie był niebezpieczny i za godzinę powinna już być w Nowym Jorku. Od pięciu lat nie znajdowała się tak blisko babci, a może nawet mamy? Już nie mogła

doczekać się chwili, kiedy babcia obejmie ją i powie, że ani przez chwilę nie przestała o niej myśleć.

Przed wyjściem z ciążarówki Mary wyszukała jeszcze w torbie czerwoną portmonetkę, wyjęła ją i przełożyła do kieszeni spodni.

- Dziękuję - odezwała się do Wielkiego Dave'a i uśmiechnęła się do niego.

Wyskoczyła z kabiny i po chwili weszła do restauracji. Przy ladzie zobaczyła dwóch policjantów, rozmawiali z kelnerką. Kiedy ich mijala, umilkli i zaczęli jej się przyglądać.

- Stolik dla jednej osoby? - spytała kelnerka, żując gumę.

- Nie, dziękuję. - Mary poprawiła czapkę. Nie podobał się jej sposób, w jaki patrzyli na nią policjanci.

- Hej - odezwał się jeden z nich, mrużąc oczy - chyba skądś cię znam. - Zrobił krok w jej stronę. - Jak się nazywasz?

- Jane - odparła szybko Mary. Roześmiała się nerwowo. - Przepraszam, muszę już iść - pokazała nieznacznie w stronę toalety.

Policjanci nie wołali za nią. Odeszła jak mogła najszybciej, ale tak, żeby nie wyglądać na przestraszoną. *Co oni mogą o mnie wiedzieć? - zastanawiała się. Czy państwo Lake'owie już zgłosili moje zaginięcie? A jeżeli tak, to czy tak daleko od ich domu policja może już wiedzieć, że ma mnie szukać? Chyba nie.*

Weszła do toalety, zamknęła się w kabinie, oparła się o ścianę i zaczęła oddychać głęboko. *Uspokój się* - mówiła

sobie w myśli. *Ten policjant tylko do ciebie zagadał.* Nie spieszyła się z wyjściem z łazienki. Zrobiła to dopiero po dziesięciu minutach - i stanęła jak wryta. Restauracja była pełna policji! Na środku stał Wielki Dave, kręcił głową i wzruszał ramionami. Na razie policjanci nie zauważyli Mary, ale wiedziała, że wkrótce ją zobaczą. Nagle popatrzył w jej stronę Dave. Musiał ją zobaczyć. Odwrócił szybko wzrok, spojrział znowu na policjantów i energicznie pokręcił głową. Mówił im coś, unosząc rękę i machając nią. *Czy on tylko gestykuluje, czy chce mi pokazać, żebyła uciekała?* - zastanawiała się Mary, cofając się powoli. Obejrzała się. Za nią, na końcu korytarza, były drzwi z napisem „Wyjście”. Nie miała czasu podziękować Wielkiemu Dave'owi ani wpaść na jakikolwiek pomysł. Miała tylko jedną sposobność ucieczki, i musiała natychmiast z niej skorzystać, bo inaczej... *Właśnie- Dokąd mnie zabiorą, jeżeli mnie złapią? Z powrotem do domu państwa Lake'ów? Zadrzała. Nigdy! Wolę już mieszkać pod mostem.*

Powoli, tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi, wycofała się w stronę drzwi. Wyszła na dwór, na parking. Na jego końcu stały rzędy samochodów. Widniała nad nimi jakaś tablica. Mary nie była pewna słów u góry, ale na dole było napisane „używane samochody”. Zamrugła oczami. *To muszą być samochody, które można kupić-* Zastanowiła się. *Gdybym tak mogła zdobyć samochód... Wtedy mogłabym pojechać do Nowego Jorku i wysiąść w jakimś bezpiecznym miejscu. Zostawiłabym samochód, po pewnym czasie właściciele znaleźliby go. To chyba nie to samo co*

kradzież? Właściwie umiem prowadzić. Ted mówił, że wszystkie wiejskie dzieci wcześniej uczą się prowadzić samochód.

Mary jeszcze raz obejrzała się przez ramię. Wiedziała, że musi działać szybko, inaczej policja za chwilę ją znajdzie.

Z bijącym sercem przeszła ku używanym samochodom na sprzedaż. Bała się bardzo - wokół kręciło się mnóstwo ludzi. Małżeństwa chodziły wokół wystawionych pojazdów, oglądając je. Było też kilku ładnie ubranych mężczyzn; pewnie sprzedawcy. *Raczej nie mogę po prostu podejść do jednego z samochodów i odjechać, kiedy oni wszyscy tu są* - myślała. Jeszcze raz spojrzała na restaurację. Na razie nikt jej nie gonił, ale wiedziała, że jej spokój nie potrwa długo.

Samochody wokół niej były zamknięte i w ich stacyjkach nie było kluczyków. Ruszyła szybkim krokiem wzdłuż szeregu pojazdów, aż dotarła do półciężarówek. To właśnie półciężarówkę uczył ją prowadzić Ted. Pierwsze z aut miało opuszczoną szybę i... tak, na jednym z foteli leżały kluczyki!

Dam radę! - sama siebie przekonywała Mary, z trudem przelękając ślinę. Plan był prosty: wziąć półciężarówkę, pojechać do Nowego Jorku, odnaleźć babcie Peggy Potem oddać samochód. Rozejrzała się - policjanci całą grupą wychodzili już tylnym wyjściem z restauracji. Za jakąś minutę ją znajdą.

Mary wsiadła więc, nie zwlekając, do półciężarówki, złapała kluczyki i drżącymi rękami włożyła do stacyjki największy z nich. Uruchomiła silnik - teraz nie miała

już odwrotu. Stojący nieopodal sprzedawca odwrócił głowę i ruszył w stronę Mary, unosząc rękę. Dziewczyna była przerażona. *Muszę jak najszybciej stąd wyjechać!* - myślała.

Dźwignia biegów wyglądała tak samo jak w samochodzie Teda. Mary ustawiła ją w pozycji D i ruszyła z piskiem opon. Bez wątpienia mogło to zwrócić uwagę policjantów, ale gdyby Mary wyjeżdżała powoli, dogoniłby ją na pewno.

Pozostało jej tylko ubranie, które miała na sobie, i portmonetka od babci włożona do kieszeni. Nie szkodzi. Niczego więcej nie potrzebowała. Oblizwała spierzchnięte usta.

- Już jadę, babciu! - powiedziała na głos. - Proszę cię, czekaj na mnie.

Nic nie znajdowało się na jej drodze, w lusterku natomiast widziała biegnących za nią ludzi.

- Szybciej, ruszaj się! - popędzała samą siebie. Nie była pewna, gdzie jest wyjazd z parkingu, ale wiedziała, że półciężarówka jest w stanie przejechać przez krawężnik. Skręciła i wjechała na chodnik. Popatrzyła na drogę - z lewej nic nie nadjeżdżało. Sprzedawcy samochodów już prawie ją doganiali. Dalej z tyłu ruszali w stronę parkingu policjanci. - No, to jedziemy! - powiedziała do siebie Mary, wdychając.

Półciężarówka zjechała z krawężnika i znalazła się na drodze. Wjazd na autostradę był tuż przed Mary. Rozglądała się uważnie na wszystkie strony, kiedy Wielki Dave postanowił zrobić przerwę w podróży,

wiedziała więc, w którym kierunku jechać. Dość szybko wjechała na autostradę i pojechała nią dalej, w stronę Nowego Jorku.

Udało się - pomyślała Mary, opierając się wygodnie. Jej oddech zwolnił do normalnego, nawet serce przestało bić tak szybko jak przedtem. *Nikt nie wie, dokąd jadę, więc powinno mi się udać* - oceniła.

Przez kilka minut musiała przyzwyczajać się do jazdy przesuwającą się w tył autostradą, ale nie było to takie trudne. *Gorzej będzie z odnalezieniem babci* - myślała. A musiała znaleźć ją jak najszybciej, żeby babcia wytłumaczyła wszystko policji, pracownikom socjalnym i właścicielom półciężarówki. *Nikt nie będzie się na mnie wściekał, kiedy wszyscy się dowiedzą, w jakiej sytuacji się znalazłam* - przewidywała. *Zrozumięją mnie.*

Minęła kolejny zjazd z autostrady, potem następny, i jeszcze jeden. Czuła, że z każdym przejechanym kilometrem znajduje się bliżej babci, że pozostawia za sobą przeszłość. *Już nigdy nikt nie przykuje mnie do łóżka w piwnicy* - myślała - *i nikt nie zmusi mnie do tego, żebyśmy zaspokajała potrzeby mężczyźni Nigdy!*

Mijały kolejne minuty. Chyba nikt jej nie ścigał. Przyzwyczaiła się do wygodnego fotela, przestała ścisnąć kierownicę tak mocno jak wcześniej. - Nadjeżdżam, babciu... - szepnęła ze łzami w oczach; zamrugała powiekami, żeby dobrze widzieć drogę. Nie dowierzała, że to wszystko dzieje się naprawdę. *Odnajdę babcię Peggy, może nawet jeszcze dzisiaj!* - myślała. Każdy następny zjazd z autostrady, który zostawał w tyle, oznaczał, że znajdowała

się bliżej miejsca, w którym spędziła swoje dziecinne lata, miasta, w którym wciąż miała bezpieczny dom i swój różowy pokoik, a nawet różowego misia i półkę z książkami... Które wreszcie będzie umiała czytać!

Uśmiechnęła się lekko i opuściła szybę. *Nie powinno się zabierać ludziom samochodów, ale nie miałam wyboru - myślała. Zostawię go w bezpiecznym miejscu i wkrótce go znajdą; to tak, jakbym go na krótko pożyczyła.* Ciepły wiatr przyjemnie owiewał jej twarz, jak gdyby oczyszczając ją z ohydnych śladów przeszłości. Mary czuła, że w swoim sercu pozbywa się minionych okropnych dni, które ją dręczyły. *Teraz czeka na mnie babcia; będę mogła z nią mieszkać - a może nawet pewnego dnia zamieszka z nami mama? Skoro Jimbo przez lata mówił mi nieprawdę na temat policji, może kłamał także na temat mamy? Może moja mama żyje? Może zamieszkała z babcią i razem mnie szukają? Wtedy będziemy mogły zamieszkać we trzy, kiedy je znaję.*

Tak, uda się. Mary niemalże czuła już zapach babci-nego domu, dotyk jej kochających ramion. *Już niedługo, już bardzo niedługo* - powtarzała sobie. Dodała gazu - i wtedy zobaczyła w lusterku migające kolorowe światła policyjnych samochodów.

Popatrzyła na prędkościomierz. *Nie jadę za szybko* - stwierdziła - *więc to nie mnie gonią. Są przecież daleko za mną, więc nie wiedzą, że to ja.* Na wszelki wypadek zjechała na prawy pas, żeby przepuścić zbliżające się szybko dwa radiowozy na sygnale. Radiowozy jednak także zmieniły pas.

Mary zasmuciła się ogromnie. *Za chwilę będą za mną!* - pomyślała. Jednak to ją goniła policja. Pot wystąpił na czoło Mary. Wcisnęła pedał gazu do samego końca; nie zamierzała poddać się zbyt łatwo, była zbyt blisko babci. Kiedy zobaczyła następny zjazd, zjechała z autostrady, nie zmniejszając prędkości. Zaraz jednak zobaczyła czerwone światło. Przed nią na obu pasach stały samochody, pobocza były zbyt wąskie... Policja znalazła się tuż za nią.

- Zje dź na pobocze i zatrzymaj się! - rozległ się potężny głos z jednego z radiowozów.

Zastanowiła się, czy nie spróbować się przecisnąć obok stojących przed nią aut, ale wiedziała, że radiowozy łatwiej się koło nich zmieszczą i zaraz ją dogonią; poza tym mogła spowodować wypadek i zrobić komuś wielką krzywdę. W jednej chwili opuściła ją cała nadzieja, cała radość. Mary zjechała na pobocze i zatrzymała samochód. Nie ruszała się z fotela.

Policjanci dopadli do niej w ciągu kilku sekund, w wyciągniętych dłoniach trzymali pistolety.

- Ręce na głowę! - krzyknął jeden z nich.

Wiedziała, że jej ucieczka właśnie się zakończyła. Oparła dłonie na głowie i na polecenie policjantów wysiadła z furgonetki, podczas gdy ludzie z innych samochodów spoglądali na nią z zaciekawieniem. Funkcjonariusze przeszukali ją, odczytali jej coś na temat jej praw, a potem znowu skuto ją kajdankami. Wszystko to trwało z dziesięć minut, podczas których Mary cały czas myślała tylko o jednej smutnej rzeczy.

Ta sama myśl nawiedzała ją zresztą przez całe trzy następne lata, spędzone w większości w zakładzie dla nieletnich, dokąd trafiła po procesie, w którym uznano ją za winną kradzieży samochodu. Owa myśl nie opuszczała Mary również wtedy, gdy przyłapano ją w łóżku z nauczycielem matematyki. Uczyła się pilnie i uzyskała odpowiednik matury. Potem przydzielono ją do specjalnego programu resocjalizacji przez pracę w pomocy społecznej - wykonywała prace biurowe w Ośrodku Nowego Życia, gdzie zajmowano się pomocą ubogim i zaniedbanym mieszkańcom centrum Waszyngtonu.

I przez cały ten czas w sercu Mary dominowała jedna myśl, jedno uczucie - bardzo, bardzo smutne: żal z powodu tego, że babcia Peggy nie dowiedziała się nawet, jak blisko niej zdołała dojechać jej kochająca wnuczka.

12



Emma współczuła Mary tak bardzo, że miała ochotę płakać.

- Czy babcia w ogóle domyślała się, gdzie możesz być, albo tego, że próbujesz ją odszukać? - spytała Emma.

- Mniej więcej się domyślała - odpowiedziała z wielkim bólem Mary. - Następnego dnia po tym jak policja znalazła mnie w piwnicy u Jimbo i Lou i uwolniła mnie, babcia rozpoznała mnie na zdjęciu w gazecie. Natychmiast zatelefonowała na policję i powiedziała, że jestem jej wnuczką.

- Jak to?... - zdumiała się Emma. - Dlaczego w takim razie nie skontaktowano was ze sobą?

- Przez bardzo długi czas nie byłam w stanie przypomnieć sobie swojego nazwiska. A informacje, które podała babcia Peggy, nie zgadzały się z tym, co zapisano na mój temat w kartotekach. Zdaje się, że po tym jak pokazano moje uwolnienie w telewizji i opisano je w prasie, mnóstwo ludzi dzwoniło na policję i mówiło, że są moimi rodzicami, krewnymi, znajomymi i tak dalej. Proszono ich o podanie bliższych informacji na temat poszukiwanej przez nich osoby, a kiedy te infor-

macje nie zgadzały się z danymi, jakie miała policja, uznawano, że rozmówca się pomylił albo coś sobie tylko wyobraził. Wystarczyło pewnie, że babcia powiedziała, że mam na nazwisko Madison - a zapisano, że nazywam się Mary Margaret.

- To okropne! - Emma zgarbiła się na krześle.

- Owszem.

W oczach Mary błysnęły łzy. - Babcia przez cały czas tak bardzo mnie kochała! Do tej pory mi opowiada, jak dużo modliła się w tamtych latach o moje ocalenie. Mimo wszelkich wysiłków, jakie podejmowała, nie udało się jej mnie odnaleźć. Modląc się, rozmawiając o mnie z Panem Jezusem, prosiła Go między innymi, żeby przemówił do mnie.

- Przecież... - odezwała się z powątpiewaniem w głosie Emma - Pan Jezus tak naprawdę nie odzywa się do ludzi. A w każdym razie nie na głos. - Pomyślała o swojej matce, o tym, jak często odwiedzała ją u Charliego albo telefonowała, żeby sprawdzić, co dzieje się z Emmą i jej córeczkami. - Moja mama też mówi, że rozmawia z Panem Jezusem, a On jej odpowiada.

- Przemawia do nas za pośrednictwem Biblii - wyjaśniła Mary. - Przyniósł nam Dobrą Nowinę, która została zapisana w Piśmie Świętym. - Zamrugała powiekami, żeby osuszyć łzy. - Bóg mówi do nas także pośrednio poprzez innych ludzi... Na przykład ja, kiedy spoglądam wstecz na swoje życie, dostrzegam mnóstwo osób, za których pośrednictwem przyszedł do mnie Jezus - ludzi, którym zawdzięczam tyle dobrego: babcię, Teda i Evelyn,

czy nawet Wielkiego Dave'a, kierowcę ciężarówki. Ale aby do mnie dotrzeć, Bóg posłużył się przede wszystkim Nigelem, moim przyjacielem. Jednak o Nigelu opowiem ci jutro - uśmiechnęła się Mary.

Emma wstała. W jej głowie kłębiły się różne myśli. *Jeżeli naprawdę za pośrednictwem różnych ludzi Bóg oddziaływał na Mary Madison, to może i do mnie przychodził, tylko dotąd tego nie dostrzegałam?* - zastanawiała się. Była pod wrażeniem wewnętrznej siły Mary, jej gotowości do szczegółowego dzielenia się tak bardzo bolesnymi dla niej wspomnieniami.

Mary także podniosła się z kanapy.

- Czy już widzisz w mojej opowieści siebie? - spytała, opierając dłoń na ramieniu Emmy. - Mam na myśli to, czy dostrzegasz jakieś podobieństwa pomiędzy historią twojego życia a historią mojego.

- Tak - szepnęła drżącym głosem Emma. - Nie sądziłam, że ktokolwiek zrozumie kiedyś, co przeżywałam.

Mary przytuliła ją. Trwało to tylko chwilę, ale ten krótki moment wystarczył, żeby Emma przypomniała sobie wszystko, co w życiu porzuciła, a co było dobre, bezpieczne, pełne ciepła. Ogarnął ją wielki smutek.

Przecież matka próbowała właśnie tak ją przytulać. Jednak kiedy Emma była jeszcze nastolatką, zaczęła się od matki odsuwać, zwiększać dystans. Teraz zapragnęła nagle, żeby matka znowu ją przytuliła. *Jak to się stało, że nie słuchałam w życiu ludzi, przez których przemawiał do mnie Chrystus, którzy byli dla mnie dobrzy?* - zastanawiała się.

Głos uwiązał jej w gardle, skłoniła więc głowę w stronę Mary, machnęła do niej ręką i szybko wyszła. Poszła do swoich córeczek, odebrała je ze żłobka, po chwili zjadły razem posiłek w stołówce schroniska. Potem czytała im książkę, a jeszcze później, kiedy zasypiały, głaskała je po główkach, przeżywając smutek, który nagromadził się w jej sercu.

Kiedy dziewczynki spały już głębokim snem, Emma sięgnęła po leżący w szufladzie biurka notatnik, usiadła przy małym oknie swojego pokoju i... zaczęła płakać. Dopiero teraz znalazły ujście jej smutne wspomnienia, nagromadzone w niej emocje. Rozpamiętywała przeszłość, żałując wszystkich złych wyborów, których dokonała, wszystkich straconych okazji...

Emma była jedynaczką. Jej matka pracowała na nocnej zmianie jako technik radiolog, a nad ranem - jako rozwoziciel gazet. Mieszkały we dwie i jakoś sobie radziły, chociaż nigdy nie miały wiele pieniędzy. Emma nosiła używane ubrania; prezenty, które dostawała na urodziny czy Boże Narodzenie, były skromne. Jednak i tak była szczęśliwa, uważała, że ma cudowne życie. Mama ją kochała, była dla niej bardzo dobra, a także pogodna. Często się śmiała. Matka Emmy była także osobą bardzo religijną, w konsekwencji czego mała Emma również wierzyła w Boga; wiara chrześcijańska była dla niej oczywistością, czymś nie niosącym ze sobą żadnych problemów. W dzieciństwie Emma dwa razy w tygodniu chodziła na religię: w każdą niedzielę i środę.

Staraly się z mamą żyć tak, aby wystarczyło im pieniędzy na wszystkie potrzeby. Chadzały razem do biblioteki i pożyczaly stamtąd książki. Te trudniejsze mama czytała na głos, Emma zaś czytała te łatwiejsze - na przykład „Stuarta Malutkiego”. Kiedy dochodziły do zabawnych momentów, śmiały się obie, nieraz nawet do łez.

Matka nauczyła Emmę także lepienia w mące zmieszanej z wodą i barwnikami spożywczymi. W deszczowe soboty zajmowały się razem różnymi robótkami i śpiewały piosenki country, których słuchały przez radio.

Mama opowiadała Emmie o jej ojcu, Jayu. O tym, jak Jay uratował mamę przed życiem na ulicach Waszyngtonu. Jako dziecko Emma nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo mama kochała tatę. Ale pewnego dnia, kiedy miała dwanaście lat, wszedłszy do pokoju mamy w poszukiwaniu pasty do zębów, zobaczyła, jak jej matka ze zwieszoną głową siedzi w fotelu i płacze, jakby stało się coś strasznego.

- Mamo... - szepnęła Emma. Podeszła do matki i wtedy zobaczyła, że jej mama trzyma na kolanach album. Pokazywała jej go kilka lat wcześniej. - Oglądasz zdjęcia taty? - upewniła się Emma.

Matka nie odpowiadała. Odłożyła album, wyciągnęła ręce w stronę Emmy i szepnęła:

- Moja malutka...

Emma przyklękła i przytuliła mamę; tuliła ją bardzo długo.

- Tak bardzo go kochałam... - wyjaśniła matka cicho, przez łzy. Płakała kilka minut. W końcu cofnęła głowę,

popatrzyła na Emmę i powiedziała: - Tata powinien z nami być, żeby chronić cię przed zagrożeniami, jakie niesie ze sobą życie. Robisz się coraz starsza i... potrzebujesz ojca. A on umarł.

Emma nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nigdy nie poznała swojego taty, więc nie była w stanie odnosić się do jego śmierci podobnie jak mama. Jednak owego popołudnia, tuląc matkę i czując na policzkach jej łzy, poczuła coś w rodzaju głębokiej żałoby. *Do jakiego stopnia inaczej wyglądałoby moje życie, gdyby tata żył? - myślała. Opiekował się mną, chronił mnie?...*

Spoglądając z perspektywy lat na tamto wydarzenie, Emma nie miała wątpliwości, że to właśnie owego dnia w jej sercu zaszła zmiana - jak gdyby wlał się w nie gniew. Odtąd był on stale obecny pośród różnych towarzyszących dojrzewaniu Emmy uczuć i doświadczeń; najpierw tlił się w niej tylko, później narastał. Jak *Bóg śmiał odebrać mi ojca?! - myślała Emma. I jak ojciec śmiał zostawić nas z mamą same?* Mama musiała harować w dwóch pracach, zawsze była zmęczona, martwiła się, czy starczy im pieniędzy, nie mogła pozwolić sobie na żadne kosztowne rozrywki ani inne wydatki.

Mimo to mama Emmy starała się być dla niej jednocześnie matką i ojcem. Kiedy Emma była dzieckiem, przychodziła na noce pani z sąsiedztwa, żeby Emma nie spała sama w mieszkaniu. Gdy Emma skończyła trzynaście lat, pani przestała przychodzić, a pieniądze, które wcześniej mama płaciła sąsiadce, można było od tej pory

przeznaczyć na zakup nowych ubrań - stosownych dla nastolatki dżinsów i bluzek.

- Będziesz bezpieczna - zapewniła wtedy Emmę matka. - Będę przecież zamykała drzwi na klucz; nawet nie zauważysz, że mnie nie ma.

Tak się jednak nie stało. Nocami Emma przez długie godziny leżała z szeroko otwartymi oczami; zrywała się na każdy dźwięk. Nawet wiatr wzmagał w niej niepokój - jakby przypominał jej, że jest sama. Wszelkie odgłosy, jakie odzywały się w starej kamienicy, wszystkie trzaski i skrzypy budziły w głowie Emmy przerażające myśli, że oto skradają się jacyś bandyci, którzy zaraz włamią się do ich mieszkania i zrobią jej krzywdę. Naprawdę bardzo długo zasypiała.

Rano, po rozwiezieniu gazet, mama wracała i mocno przytulała córkę.

- Taka jestem szczęśliwa, kiedy nastaje dzień, wracam już do domu, i widzę ciebie, Emmo! - mawiała.

Później Emma wychodziła do szkoły, ale najpierw trzymały się z mamą za ręce i mama modliła się za nią:

- Panie, strzeż Emmę, pomóż jej, aby była światłem dla innych, i dopomagaj jej z każdym dniem coraz bardziej kochać Ciebie. Przez Chrystusa Pana naszego, amen.

Emma cieszyła się z łączącej ją z mamą bliskości, jednak słowa wypowiedzianych przez matkę modlitw zawsze wydawały się jej puste. „Strzeż Emmę”... Przecież Bóg już pozwolił na to, żeby jej tata zginął - a tata był mężczyzną znanym z tego, że potrafił ochraniać dziew-

czynny. Dlaczego w takim razie mamie ciągle się zdawało, że Bóg będzie miał ochotę ją strzec? Albo o tym świetle. *Czego właściwie mama chce* - myślała Emma - *żebym była żywą reklamą, chodziła i pokazywała wszystkim: „Patrzcie, ja wierzę w Boga! To takie dobre dla was wszystkich!”?*

Jej mama wierzyła w Boga - zresztą tata też w Niego wierzył - i jakoś wiara wcale im w niczym nie pomogła.

Jeżeli zaś chodzi o miłość do Boga - Emma nie odczuwała miłości do kogoś niewidzialnego, o kim ciągle tylko się mówiło, że ją kocha. Kiedy zaczęła chodzić do szkoły średniej, czuła, że już wie, co to jest miłość - zdaniem Emmy mogło być nią jedynie to, co okazywali jej chłopcy, jej koledzy, rówieśnicy.

Matce Emmy zdawało się, że dzięki temu, że pracuje w nocy, ma więcej czasu dla swojej córki. Tymczasem krótko po czternastych urodzinach Emmie przyszło na myśl, w jaki sposób mogłaby wykorzystać stałą nieobecność matki nocami. Akurat zaczęła się spotykać z trzy lata starszym od niej chłopakiem - takim, który nie słuchał swoich rodziców. Powiedziała mu pewnego dnia, że jej mama pracuje nocami, a ona wszystkie noce spędza w domu sama.

Chłopakowi Emmy zaświeciły się oczy.

- Naprawdę? - upewnił się. - Wszystkie noce?

- Tak - potwierdziła Emma. - Nocami czuję się bardzo samotna...

Chłopak już następnego wieczoru znalazł sposób na samotność Emmy. Przyszedł do niej godzinę po opuszczeniu mieszkania przez jej matkę i został aż do świtu.

Odtąd życie Emmy przybrało inny rytm. Nie miała taty - jednak nigdy nie brakowało chłopców chętnych, by się nią zajmować.

Emma ocknęła się ze wspomnień; czuła w gardle łzy.

Matka ufała jej niegdyś, aż do tej pory modliła się za *nią. Jak mogłam odwrócić się do niej plecami, do niej i do wszystkiego, co ma dla mojej mamy znaczenie?! - myślała z żalem* Emma. Łzy spłynęły jej po policzkach. Musiała powstrzymać głośny płacz, żeby nie obudzić Kami i Kaitlyn.

Mając czternaście i pół roku, Emma stwierdziła, że już nie czuje emocjonalnej bliskości z matką - co raczej nie dziwi, jeśli wziąć pod uwagę rozwój sytuacji. Matka także zauważyła, że oddalają się od siebie, bo pewnego sobotniego ranka delikatnie oparła dłoń na ramieniu Emmy i spytała:

- Czy nie masz wrażenia, Emmo, że dawno nie spędziłyśmy dnia na wspólnych robótkach ręcznych?

- Mamo, mam dużo zadane na poniedziałek! - mruknęła Emma, przewracając oczami.

I tak zakończyła się ich duchowa wspólnota.

Oczywiście dystans, jaki się między nimi wytworzył, nie wynikał z tego, że już nie czytały razem na głos czy nie szły razem w deszczowe sobotnie popołudnia. Doszło do tego, że Emma nie miała śmiałości patrzeć matce w oczy. Jednak silniejsze od poczucia winy były radosne doznania, kiedy leżała w ramionach jakiegoś chłopaka - czuła się wtedy bezpieczna, wiedziała, że

ktoś się nią interesuje, zajmuje. Nie każdej nocy z kimś spała, ale podczas bardzo wielu nocy - tak.

Raz za razem chłopcy się zmieniali, mieli różne twarze i imiona, jednak zawsze był ktoś, kto chętnie wkradł się do mieszkania Emmy po zapadnięciu zmroku.

W dziesiątej klasie Emma poznała Terrence'a Reida. Był spokojnym chłopakiem, grywał w futbol amerykański, marzył o tym, by w przyszłości zostać lekarzem. Mieszkał w odległości jednej przecznicy. Owego roku zaczął odprowadzać Emmę ze szkoły do domu.

- To nic nieodpowiedniego - skomentował to, wzruszając ramionami. - Poza tym lubię z tobą rozmawiać.

Terrence był z tych, którzy chodzą do kościoła. Należał do tych nielicznych członków szkolnej drużyny futbolowej, którzy w piątkowe wieczory nie pili ani nie przebywali poza domem do późna w nocy.

- Chciałbym zostać kiedyś lekarzem - wytłumaczył Emmie. - Nie mogę zepsuć sobie życia. Muszę trzymać się swojego planu.

Intrygował Emmę. Wydawał się jej trochę zabawny, a poza tym miała przy nim poczucie bezpieczeństwa. Nie był przystojny ani bardzo śmiały jak inni chłopcy, którzy się nią interesowali, ale z czasem zaprzyjaźniła się z nim. Podczas wspólnych powrotów ze szkoły rozmawiali o wszystkim - oprócz jednego.

Nigdy nie mówili o innych chłopcach, z którymi spędzała czas Emma. Nie pytał jej o to, sama także o nich nie wspominała. Domyślała się, że Terrence wie o tych wszystkich chłopakach. Czy wiedział, czy nie, nie przestała spędzać

nocy z innymi. Przyjaźniła się z nim aż do czasu, kiedy przeprowadziła się do Charliego. Nigdy nie była z Terrence'em na randce, nie zbadali tego, czy mogliby być razem.

Czasami się zdarzało, że chłopcy, z którymi Emma spędzała noce, proponowali jej narkotyki albo zimne piwo, ona jednak zawsze odmawiała. *Może i jestem grzesznicą, która sypia z chłopcami, ale jeszcze tak nisko nie upadłam, żeby zażywać narkotyki* - myślała. I *nie zamierzam!*

Lecz jedne decyzje Emmy pociągały za sobą drugie. Dwa lata przed spodziewaną maturą, w wakacje, przestała chodzić z mamą do kościoła, stwierdziwszy, że nie ma sensu dłużej udawać.

- Nie wierzę w Boga tak mocno jak ty - powiedziała, biorąc się pod boki. Niechący jej ton okazał się bardziej nieprzyjemny, niż chciała. - Nie zmuszaj mnie, mamo, żebym szła. Udawanie, że wierzę, podczas kiedy nie wierzę, to coś naprawdę okropnego!

- Co się z tobą stało? - spytała z niepokojem matka, cała spięta. - W którym momencie przestałaś być taką córeczką, jaką do tej pory znałam?

Mówiła głośniejszym głosem niż zwykle.

Emma nie była w stanie odpowiedzieć. Wypadła z pokoju.

Tego samego wieczoru przed pójściem do pracy matka zapukała do drzwi sypialni Emmy.

- Emmo? - odezwała się.

Emmę ogarnęło przemożne pragnienie podbiegnięcia do matki i przytulenia jej tak samo jak wtedy, kiedy miała dwanaście lat i zobaczyła, że jej matka płacze nad albu-

mem ze zdjęciami ojca. Jednak w tej chwili zbyt wiele je dzieliło - zdarzyło się zbyt wiele rzeczy, które komplikowały ich relacje - żeby cofnąć się do tamtych czasów.

Kiedy zaczęłam zgadzać się na nocne wizyty chłopców, podjęłam decyzję o zmianie w swoim życiu - pomyślała Emma. Zacisnęła powieki, spod których wypłynęły łzy, i krzyknęła do matki:

- Daj mi spokój! Nie rozumiesz mnie!

Poruszyła się klamka. Wydawało się, że matka i tak wejdzie - Emma po części miała nawet taką nadzieję. Jednak jej matka cofnęła się spod drzwi, słychać było, jak odchodzi.

Od tamtej pory Emma nie chodziła już do kościoła. Matka nigdy więcej nie podejmowała w rozmowach z nią tego tematu. Każda z nich pozostała przy swoim zdaniu; jakby wytyczyły pomiędzy sobą jakąś granicę i żadna z nich nie miała ochoty czy też siły wyciągnąć ręki i podać jej drugiej stronie, przekroczyć niewidzialnej bariery.

Jesienią, kiedy Emma rozpoczęła naukę w przedostatniej klasie szkoły średniej, okazało się, że jest w ciąży. Miesiąc wcześniej sypiała z dwoma chłopakami; nie miała pojęcia, który z nich jest ojcem jej dziecka. Na jej ulicy była przychodnia ginekologiczna, gdzie chętnie umówiono dziewczynę na przeprowadzenie aborcji. A także następnej, pół roku później.

Wtedy Emma straciła radość życia.

Przestała przyjmować na noc chłopców, ale i tak cierpiała nocne koszmary. Nic nie było w stanie ich powstrzymać. Widziała we śnie twarzyczki nienarodzonych dzieci.

Krótko potem zaczęła słyszeć głosy. Na przykład myła zęby, spoglądając w lustro, a w jej głowie odzywał się głos, który mówił:

„Jesteś morderczynią! Nic niewartym człowiekiem. Powinnaś się zabić, tak jak zabiłaś swoje dzieci. Jesteś śmieciem, Emmo! Niczym więcej - tylko śmieciem!”.

Czasem przykładła dłonie do uszu, zasłaniając się, ale to nie pomagało - głosy nie odzywały się z zewnątrz, tylko w jej głowie.

Miesiąc później znowu zaczęła spędzać noce z chłopcami. Teraz, kiedy jeden z nich zaproponował jej skręta, zawahała się.

- Weź, weź - zachęcił ją. - Za piętnaście minut będziesz miała odlot.

„Weź, Emmo - odezwał się głos w jej głowie. - Kogo chcesz oszukać? I tak nie jesteś lepsza od narkomanów. Nie, Emmo, nie jesteś ponad to. A poza tym potrzebujesz tego. Spróbuj, zobaczysz sama”.

Głos prowokował ją skutecznie, popychał ją do tego, żeby przyłożyła skręta do ust. Zrobiła to.

- Zapalisz mi go? - poprosiła.

- Jasne, malutka! - odpowiedział z satysfakcją chłopak. Było tak, jak zapowiedział. Po piętnastu minutach miała odlot. Czuła się, jak jeszcze nigdy w życiu.

Pomyślała, że to przyjemniejsze od wszystkiego, czego próbowała do tej pory, lepsze od prób zapanowania nad swoim życiem, i lepsze od chłopców. Dlatego że kiedy była naćpana, głosy w jej głowie się nie odzywały. Na początku...

Kiedy zaczęła chodzić do klasy maturalnej, jej mama znalazła u niej w szufladzie pudełko ze skrętami.

- Co ty sobie robisz?!... - odezwała się z rozpaczą matka. - To właśnie taka się stałaś? - spytała, unosząc ciasno zwiniętego skręta. - Czy to wszystko, co chcesz w życiu osiągnąć?!

Matka była naprawdę rozgniewana, ale jej gniew szybko się rozwiął. W tamtym okresie była już zbyt zmęczona życiem, żeby toczyć wojny z córką. Miesiąc później matka nagle zatrzymała Emmę w holu i powiedziała:

- Wiem, co robisz; i nie powstrzymam cię.

- O co ci chodzi?! - spytała ze złością Emma, mimo że znowu miała ochotę przytulić matkę i z płaczem przeprosić ją za wszystko, co zrobiła złego, a potem błagać ją, żeby poszły razem do biblioteki. Chociaż raz. Porzuciła jednak tę myśl.

- Wiesz, o co - odparła matka. Tym razem jej głos był wyjątkowo cichy, ale w jej oczach widać było niewysłowiony ból. - Sypiasz z chłopakami, kiedy nie ma mnie w domu. Sąsiedzi mi powiedzieli. Modlę się za ciebie, jednak nie zmuszę cię do życia w taki sposób, jak bym tego pragnęła. - Uśmiechnęła się smutno. Jej uśmiech jednak szybko zgasł. - Kocham cię - dodała. - Zawsze będę cię kochała. Ale oddaję cię Bogu. W tej chwili tylko On jest w stanie ci pomóc. - Matka patrzyła Emmie w oczy jeszcze przez kilka sekund. Potem odwróciła się i poszła do swojego pokoju.

Emma miała ochotę krzyknąć, żeby się zatrzymała, spojrziała na nią znowu. Pragnęła czegoś w rodzaju

wałki, po której matka zrezygnowałaby z dalszych zmagani. I nie chciała być przekazana pod opiekę Bogu, w którego nie wierzyła. „Czekaj, mammo... Wróć tutaj...” - już miała na ustach te słowa, ale nie wypowiedziała ich. Za to znowu odezwały się głosy w jej głowie:

„Widzisz? Nie można ci już pomóc. Jesteś nic niewarta, Emmo. Im prędzej opuścisz ten dom, tym szczęśliwsza będzie twoja matka”.

Odtąd głosy wciąż przekonywały do tego Emmę, dzień po dniu.

13



Następnie Emma wkroczyła w najgorszy okres swojego życia.

Nawet kiedy wspominała Charliego, budził się w niej lęk... Właściwie cały ich związek był jednym pasmem okropieństw. Serce Emmy zatrzymało się na moment, a potem zaczęło bić dziwnym, nieregularnym rytmem. *A jeśli Charlie wie, że jestem w tym schronisku?! - pomyślała z przerażeniem. Może właśnie po mnie jedzie?!...*

„Jedzie, jedzie - zapewnił Emmę głos w jej głowie. - Zaraz tu będzie; a kiedy wejdzie do budynku, zabije cię! Tak samo jak ty zabiłaś dwoje swoich nienarodzonych dzieci i jak pozbawiłaś nadziei matkę, i...”.

- Nie! - krzyknęła Emma, machając ręką, aby zagłuszyć, odpędzić głos.

Jedna z jej córeczek poruszyła się i pisnęła przez sen. Emma obejrzała się, ale obie dziewczynki spały. Ze strachu zasłoniła usta dłonią i wyjrzała przez okno. *Charlie wcale tu nie jedzie! - zapewniła siebie w myślach. Gdyby wiedział, że tu jestem, już dawno by się zjawił.*

Z bólem serca spojrzała na wciąż leżący na jej kolanach notatnik. *Dlaczego przestałam słuchać matki?* - zasta-

nawiała się. *Zginął mój ojciec, to prawda, Ale przecież wielu dorastających ludzi nie ma ojców albo matek. Cóż złego mi się przez to stało? Nawet gdyby oboje moi rodzice na przykład zginęli w wypadku, nie musiałam podejmować takich decyzji, jakie podjęłam. To wszystko były moje własne wybory...*

Sięgnęła po długopis, wyobraziła sobie twarz kochającej matki i napisała:

Kochana Mamusiu!

Przepraszam Cię. Tak bardzo Cię przepraszam!

Emma przerwała na chwilę pisanie, ponieważ jej oczy wypełniły się łzami. *Mama tyle dla mnie robiła!* - myślała. *Pracowała jednocześnie w dwóch miejscach, modliła się za mnie, ufała mi, nawet wtedy, kiedy postępowałam zupełnie inaczej, niż by chciała - wbrew jej przekonaniom, jej wierze.*

W głowie Emmy pojawiały się kolejne myśli, słowa, które chciała przekazać matce. Ale poczuła, że skoro do tego stopnia zabrnęła w przywoływanie wydarzeń z kolejnych okresów swojego życia, być może potrzebuje najpierw doprowadzić swoje wspomnienia aż do czasu obecnego, jak gdyby przeżyć wszystko na nowo. Wtedy łatwiej jej będzie zrozumieć, dlaczego postępowała tak a nie inaczej, i napisać o tym wszystkim matce.

Emma zamknęła oczy...

Miesiąc po ukończeniu szkoły średniej podjęła pracę w restauracji położonej kilka ulic od jej domu. Tydzień

później poznała Charliego. Był Latynosem, pracował jako ochroniarz w pubie po przeciwnej stronie ulicy. Emanował siłą, męską energią. Miał niecałe metr osiemdziesiąt wzrostu, ale jego potężne mięśnie i groźne spojrzenie sprawiały, że ludzie woleli trzymać się od niego z daleka.

Emmy jednak wcale to nie zniechęciło.

Przy Charliem czuła się bezpieczna. Zaczął kręcić się wokół restauracji; kiedy Emma wychodziła na przerwę, szli razem w wąską uliczkę na tyłach budynku i całowali się.

- Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką znam!
- szepnął jej Charlie do ucha.

- A wiesz, co ja czuję przy tobie? - zamruczała w odpowiedzi zachwycona Emma.

- Co? - dopytywał się, całując ją w szyję, coraz niżej.

- Czuję, że ktoś mnie broni - uśmiechnęła się. - Kiedy jestem z tobą, nikt nie odważy się mnie zaczepić.

- Zabiłbym go!

Emma roześmiała się, zadowolona, że Charliemu aż tak bardzo na niej zależy.

Kilka tygodni później w kuchni jedna z kelnerek z restauracji spojrzała Emmie w oczy, uniosła ostrzegawczo palec i powiedziała:

- Ten typ bije swoje dziewczyny. Trzymaj się od niego z daleka!

- Zazdrosna jesteś - rzuciła pogardliwie Emma.

- Nie. Mówię poważnie. Pracowała tu jego ostatnia dziewczyna. Ale wylądowała w szpitalu, tak ją poturbował

Emma nie przejęła się zbyt ostrzeżeniem koleżanki z pracy. *Charlie nigdy nie będzie mnie bił* - myślała. *Jest bardzo silny, ale właśnie dzięki temu będzie mnie bronił.* Była o tym przekonana. Dwa miesiące później Charlie zaproponował jej, żeby się do niego przeprowadziła. Zgodziła się bez wahania.

Kiedy opuszczała mieszkanie matki, matka stała w drzwiach jej pokoju i cała zapłakana patrzyła, jak Emma się pakuje.

- Czy to ja zrobiłam coś złego? - dopytywała się.
- Nie zauważyłam czegoś ważnego?

Emma w milczeniu wkładała rzeczy to torby.

- Emmo, jeżeli wam nie wyjdzie, pamiętaj, że tu jestem i czekam na ciebie! Nigdy, ani przez chwilę nie chciałam, żebyś się wyprowadziła.

- Mamo, to nie chodzi o ciebie - westchnęła w końcu Emma - tylko o mnie. Potrzebuję wolności. - Znowu poczuła, że w jej sercu zmagają się dwa pragnienia: z jednej strony miała ochotę porzucić pakowanie, przytulić mamę i błagać ją, żeby jej nie puszczała, a jednocześnie coś jej mówiło, aby bez słowa przejść koło matki i opuścić to mieszkanie, nawet się nie żegnając. To drugie pragnienie wynikało oczywiście z gniewu, jaki gorzał we wnętrzu Emmy. Tego samego, który zapłonął w jej sercu, kiedy miała dwanaście lat.

Ostatecznie Emma wyszła, ale zatrzymała się na chwilkę, przytuliła matkę i rzuciła:

- Będziemy w kontakcie.

- Chciałabym mieć twój adres i numer telefonu.
- Matka rozłościła się. - Jeżeli w taki sposób odchodzisz, to może niepotrzebnie myślę o twoim powrocie! Może nie powinnaś wracać.

- Dobrze - burknęła Emma, czując ucisk w piersi. Miała poczucie winy. Minęła matkę, weszła do kuchni, sięgnęła po leżący koło telefonu notatnik i nagryzmoiliła na nim numer. Podała go matce. - Masz. Będziesz mogła do mnie zadzwonić.

Nawet wypowiadając te słowa, Emma zastanawiała się, dlaczego odnosi się do matki z takim chłodem i złością. *Jak to się stało, że teraz traktuję ją jak wroga? Przecież była najbliższą mi osobą?*

Nie wiedziała. Ruszyła do drzwi, obejrzała się jeszcze i rzuciła krótkie „cześć”. Wsiadając do taksówki, aby pojechać do mieszkania Charliego, obiecała sobie, że niezależnie od tego, jak źle potoczy się jej dalsze życie, nie wróci do matki. *Najpierw muszę ustabilizować swoją sytuację życiową - myślała. Uzyskać licencjat czy skończyć jakąś szkołę zawodową, znaleźć porządną pracę, odłożyć trochę pieniędzy. Później być może uda nam się znowu porozumieć, może nawet znów zamieszkać razem?*

Emma miała dobre chęci, ale żadne z jej marzeń się nie spełniło. Nadszedł dzień, kiedy Charlie uderzył ją pierwszy raz - była wtedy w szóstym tygodniu ciąży, nosiła w sobie Kami. Wyszła po chleb i mleko, ale kupiła także zapasowy słoik masła orzechowego.

- Powiedziałem: chleb i mleko! - warknął z wściekłością Charlie. - Nic więcej!

- Charlie, masło prawie się nam skończyło - uspokoiła Emma. Roześmiała się nerwowo. - Nie chciałam, żeby któryś z nas musiał drugi raz chodzić do sklepu.

- N i e wiesz, w jakiej sytuacji finansowej jestem! - odszczekał Charlie, popychając ją. Emma poleciała na róg plastikowego blatu kuchennego, boleśnie uderzyła się w plecy. - Wydajesz moje ostatnie pieniądze! - ciskał się Charlie.

Wtedy Emma wpadła w istną furję. Przyskoczyła do niego i wrzasnęła:

- Jak śmiesz podnosić na mnie rękę! - Szarpnęła gwałtownie Charliem, ale nawet się nie poruszył. - Ostrzegano mnie przed tobą, a ja cię broniłam! - wołała. Popchnęła go jeszcze raz.

Jej atak wprowadził Charliego w nieopisany gniew. W jego oczach pojawiła się prawdziwa nienawiść. Cofnął się nieco, a potem z całej siły uderzył Emmę otwartą dłonią w twarz. Upadła na podłogę. Twarz bolała ją bardzo mocno. I wtedy Emma zrozumiała, że kelnerka z restauracji mówiła prawdę.

Uniosła głowę i ostrożnie obmacała swoje prawe oko. Powieki już puchły, jednak - na szczęście - nie wyczuła krwi.

- Charlie... - jęknęła słabo, ze łzami w oczach, wyciągając rękę do swojego mężczyzny.

- Emma, przepraszam... - odezwał się z zakłopotaniem Charlie, przyklękając. Nie chciałem. - Podał jej dłoń i pomógł wstać.

Zanim Emma zdążyła zastanowić się nad tym, co zaszło, już była w jego ramionach. Później, po wielokrot-

nych przeprosinach Charliego i obietnicach, że więcej się to nie powtórzy, Emma przekonała samą siebie, że wszystko będzie dobrze. *To prawda, że Charlie czasem nie panuje nad swoim gniewem. Ale mnie kocha* - tłumaczyła sobie. *W końcu będziemy mieli dziecko. A jeżeli cokolwiek czy ktokolwiek może zmienić Charliego, to najprędzej zrobię to ja. Mogę pomóc mu bardziej panować nad sobą.*

To samo Emma powtarzała sobie co kilka tygodni przez następne cztery lata. Urodziła Kami, później Kaitlyn. Została stałą pacjentką najbliższego szpitala - w czasie ostrego dyżuru kilkanaście razy zakładano jej tam szwy i robiono tomografię komputerową. Było wiele takich dni, kiedy nie wychodziła z domu, ponieważ miała zbyt widoczne siniaki, żeby dało się je zasłonić makijażem - mimo że była Mulatką o karmelowym odcieniu skóry.

Charlie nie robi tego specjalnie. On mnie kocha - powtarzała sobie. *I może się zmienić.*

Poza tym przez te kilka lat Emma robiła wszystko, żeby unikać matki. Rzadko umawiała się z nią na wizyty, i zawsze wtedy, kiedy jej obrażenia zdążyły wystarczająco się zagoić. Kiedy matka parzyła na nią podejrzliwie i zadawała trudne pytania, Emma zmyślała historyjki o tym, jak poślizgnęła się i spadła ze schodów albo jak upadła na górcę w parku. Były to dziwne rozmowy, ponieważ w głębi serca Emma wiedziała, że matka jej nie wierzy.

Po każdych odwiedzinach matka brała w ręce swoją torebkę i kluczyki do samochodu, tuliła i całowała malutkie wnuczki, a na córkę spoglądała ze smutkiem i tęsknotą.

Spojrzenie matki wywoływało klucie w sercu Emmy, chociaż nie chciała przyznawać się do tego nawet przed samą sobą.

- Kocham cię, Emmo - mówiła w końcu matka i przytulała ją czule, całując ją w czoło. - Możesz wrócić do domu, kiedy tylko zechcesz. Razem z córeczkami.

W odpowiedzi Emma unosiła ręce, wzdychała teatralnie i mówiła:

- Mamo, jestem szczęśliwa! Ile razy muszę ci to powtarzać?!

Matka patrzyła jej w oczy chwilę dłużej, jeszcze raz mówiła „do widzenia” i wychodziła, nie odwracając głowy. I tak za każdym razem przebiegała jej wizyta.

Brutalna prawda była taka, że Emma myliła się co do Charliego. Nic nie było w stanie zmienić tego człowieka - ani jej miłość, ani determinacja, ani upór, by przy nim trwać. Kiedy powiedziała mu, że znowu zaszła w ciążę i będą mieli trzecie dziecko, wpadł w straszną wściekłość.

- Pozbądź się go! - wycedził gniewnie przez zęby. Szarpnął Emmę za ramię, wbijając palce w jej ciało, i krzyknął jej do ucha: - Nie chcę mieć jeszcze jednego dziecka, rozumiesz?!

Emma uniosła głowę i popatrzyła Charliemu prosto w oczy.

- Nie pozbędę się tego dziecka - odpowiedziała cicho, ale stanowczo. Wciąż nawiedzały ją koszmary spowodowane dwiema aborcjami, którym poddała się jako nastolatka. Widziała w snach rozszarpywane, martwe niemowlęta... *Nie, nie zabiję mojego kolejnego dziecka,*

niezależnie od tego, co on mi zrobi! - myślała, spoglądając na mężczyznę, z którym była związana. - Jak chcesz, możesz wyrzucić nas z domu, ale ja urodzę to dziecko.

Charlie potrząsnął nią i odszedł gwałtownie na bok. Determinacja Emmy wprawiała go w coraz większą wściekłość, ponieważ wcale nie zamierzał pozwolić jej odejść.

- Jesteś moja! - wołał do niej prawie codziennie.
- Nie dam ci odejść stąd żywej!

W tamtym czasie Emma już nie wątpiła w jego słowa - wierzyła, że gdyby spróbowała opuścić Charliego, zabiłby ją. I dziewczynki także, była o tym przekonana. W związku z tym kilka tygodni przed zniknięciem z mieszkania Charliego obmyśliła plan. Postanowiła wymknąć się z córeczkami, zabierając swoje rzeczy, i przeprowadzić się w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie Charlie ich nie znajdzie, a w związku z tym nie będzie mógł im zrobić niczego złego.

Nie był to plan łatwy do zrealizowania - po pierwsze, Emma nie miała pieniędzy, po drugie, jedynymi jej znajomymi byli handlarze narkotyków, którzy dostarczali jej i Charliemu najlepszej marihuany i cracku, no i kilkoro innych narkomanów, z którymi nieraz wspólnie brali prochy. Narkotyki pozostały ważną częścią życia Emmy - był to jej jedyny sposób na uciszenie nawiedzających ją wciąż głosów w jej głowie, a także na zobojętnienie siebie samej na agresję Charliego. Ale w ciąży Emma nigdy nie zażywała narkotyków! Kiedy tylko się dowiedziała, że ma urodzić trzecie dziecko, natychmiast przestała brać.

Jak mogłabym zabrać dziewczynki i przeprowadzić się z nimi do jakiegoś dilerów ? - zastanawiała się z niepokojem. Jednak od dnia, kiedy jej matka wpadła do niej z niezapowiedzianą wizytą, Emma obmyślała swój plan. Podczas owych odwiedzin matka pierwszy raz w życiu zobaczyła, jak bardzo posiniaczona bywa jej córka.

Matka nie wiedziała, że w czasie jej wizyty Charlie był w domu. Leżał akurat w łóżku w sypialni; postanowił przyciąć się i poczekać, aż matka Emmy odejdzie. Później wolnym krokiem wyszedł z pokoju, złowrogo patrząc Emmie w oczy.

Emma nie była pewna, czy owego dnia bardziej rozgniewała Charliego jej ciąża, czy też świadomość, że jej matka uzyskała dowód na to, że Charlie bije jej córkę. W każdym razie Charlie złapał dzieci, zamknął je na klucz w sypialni, a potem rzucił się na Emmę.

- Przestań, Charlie! - krzyknęła, zasłaniając się przed jego ciosami. - Kocham cię! Błagam cię...

Charlie jednak nie przestawał jej bić. Bił ją jeszcze piętnaście minut później, kiedy Emma leżała na podłodze. Kopał ją, i najwięcej jego kopniaków trafiało w jej brzuch. Była przekonana, że Charlie pobije ją na śmierć; ale w pewnej chwili zza okna dobiegł ich odgłos zajeżdżającego samochodu i dźwięk klaksonu. Przyjechał jeden z kolegów Charliego, narkoman.

Charlie cofnął się. Miał przekrwione oczy, oddychał szybko, zmęczony.

- Później z tobą skończę! - warknął, po czym wyszedł.

Emma leżała na podłodze, zakrwawiona i zapłakana. Całą sobą czuła, jak bardzo tęskni za matką. *Dlaczego odrzuciłam matczyną miłość?!* - rozpacziała. *Przez te wszystkie lata matka cały czas chciała dla mnie tylko tego, co najlepsze, a co dałam jej w zamian? Drwiny, kłamstwa, samotność i ból!*

W sypialni płakały jej córeczki, przerażone odgłosami dobiegającymi zza drzwi. Emma podniosła się z wysiłkiem i natychmiast się zachwiała. Z trudem oddychając, starała się utrzymać pozycję pionową, aby pójść do swoich maleńkich dzieci. Zrobiła parę kroków, czując dotkliwy ból, i nagle pomiędzy swoimi nogami zobaczyła krew. Do świadomości Emmy dotarły dwie rzeczy.

Po pierwsze, właśnie straciła dziecko.

Po drugie, zdecydowała, że Charlie już nigdy więcej jej nie pobije. Przez pierwszą godzinę myślała, żeby zadzwonić po taksówkę, pojechać na najbliższy most i skoczyć z niego, z dziewczynkami w ramionach.

„Tak! - mówiły głosy w jej głowie. - Znakomity pomysł! Właśnie to powinnaś zrobić. Skończ z tym wszystkim... To najprostsze wyjście”.

Lecz Emma po raz pierwszy w życiu nie chciała skorzystać z najłatwiejszego wyjścia z sytuacji.

Córeczki tymczasem tuliły się do jej nóg, popiskując żałośnie. Miały nadzieję, że przy mamie będą mogły się uspokoić. Emma zacisnęła powieki i zrobiła jedyną rozsądną rzecz, jaka w owej chwili przyszła jej do głowy.

- Jeśli jesteś, jeśli naprawdę jesteś, Boże, dopomóż mi, błagam Cię! - zawołała do Boga swojej matki, a łzy spływały jej po obitej twarzy. - Sama nie dam rady!

Nie usłyszała głośnej odpowiedzi. Budynek się nie zatrzęsł, nie odczuła też żadnej nagłej przemiany wewnętrznej. Jednak kiedy otworzyła oczy, bardzo wyraźnie ujrzała pewien obraz. Oto tydzień wcześniej oglądała w telewizji program z udziałem pewnej znanej kobiety; Emma słyszała już o niej wcześniej.

Ową kobietą była Mary Madison.

Mary Madison, która występowała przed komisjami senackimi jako ekspert od problemów maltretowanych kobiet, prowadziła w mieście kilka schronisk dla takich kobiet. Opowiadała o mocy Boga, który jest w stanie przemienić życie człowieka, odmienić oblicze miasta, a nawet całego kraju.

Mary Madison była najbardziej wpływową kobietą w Waszyngtonie.

I tak opowieść Mary sprowokowała Emmę do rozważań nad własnym życiem. Jednak było coś, co wciąż zaburzało jej myśli. Owszem, ogromnie żałowała tego, co zaszło pomiędzy nią a jej matką, opowieść Mary Madison dzień po dniu wlewała w jej serce coraz większą nadzieję... Ale w sercu Emmy wciąż nie zniknęło uczucie, które łączyło ją z Charliem.

Wciąż ją z nim łączyło.

Charlie wprawdzie wielokrotnie ją bił, ale ze sto razy częściej okazywał jej miłość. Nikt inny w życiu Emmy nie sprawił, by czuła się tak piękna, by wiedziała, że komuś tak ogromnie na niej zależy. Przez chwilę przypomniała sobie Terrence'a, ale zaraz porzuciła myśl o nim. Przecież

Terrence był tylko jej przyjacielem, nikim więcej. Za to Charlie ją kochał. Chciał jej bronić i dać jej cudowne życie. Miał kłopoty z własną agresją, z panowaniem nad sobą - ale któż nie ma problemów? *Może my chyba razem popracować nad nimi, sprawić, że pomału znikną...* - myślała.

Emma znów otworzyła oczy i spojrzała na początek swojego listu do matki. Po głowie chodziły jej sprzeczne, niepowiązane ze sobą myśli. Nie wiedziała, co zrobić w kwestii Charliego, mogła jednak przynajmniej dokończyć list.

Ponownie sięgnęła po długopis i przyłożyła go do kartki, ale wtedy za jej plecami rozległ się głosik Kami:

- Co robisz, mamo?

Emma odwróciła się. Jej starsza córeczka usiadła właśnie na łóżku i wyciągnęła rączki.

- Masz picie, mamo?

Emma poczuła, że bardzo kocha swoje małe córeczki, że pragnie je chronić. Nigdy wcześniej miłość do dzieci nie przepelniła jej tak silnie. *Moje maleńkie!* - myślała. *O wiele za dużo przeszły jak na swój młodziutki wiek... Ale teraz są tu ze mną, bezpieczne i najedzone; przyzwyczajają się do tego, że budzą się spokojnie i wokół nie dzieje się nic złego. To prawdziwy, wielki sukces! I jest on bezpośrednim skutkiem opowieści Mary o tym, jak przetrwała najokropniejsze koleje losu i wyszła na prostą drogę.*

Emma odłożyła notes i długopis na parapet, podeszła do dzieci i przytuliła je, całując w główki. *Ta miłość, miłość, którą odczuwam do nich, to cud!* - myślała. I wtedy w jej sercu zagnieździła się jeszcze jedna myśl: *Może*

cała ta przemiana nie jest zasługą Mary ani jej opowieści, ani też czasu, który Mary Madison mi poświęca? Może to nic z tych rzeczy, tylko... A jeśli naprawdę zmieniam się pod wpływem mocy wszechwiedzącego, wszechmogącego Boga?

Boga, o którym mama opowiadała mi przez wiele lat już dawno temu?

Grace Johnson robiła sobie kanapkę. W pewnej chwili zadzwonił dzwonek u drzwi.

Przez cały dzień Grace była pochłonięta myślami o Emmie i prawie cały spędziła na modlitwie. Pytała Boga o to, gdzie jest jej córka i co się z nią dzieje. Zastanawiała się, czy znowu grozi Emmie jakieś niebezpieczeństwo. Czy może wróciła do Charliego albo czy Charlie ją znalazł?...

Myśli te budziły w Grace strach, ale za każdym razem jak gdyby słyszała kojącą odpowiedź Boga:

„Spokojnie, córko. Nie unos się i pamiętaj, że jestem Panem... Bogiem silnym, Bogiem, który strzeże, w którym Emma może znaleźć schronienie”.

Owe słowa w przedziwny sposób uspokajały Grace, nieoczekiwanie napełniały ją nadzieją. Z Emmą najwyraźniej coś się działo, coś, co być może nakierowywało ją z powrotem na wiarę w Boga... Jednocześnie Grace miała poczucie, że toczy się walka o Emmę. Godzina po godzinie błagała więc Boga o to, aby nie opuszczał jej córki, aby niezależnie od tego, jak okropne były jej zmagania, poprowadził ją z powrotem ku sobie.

Na dźwięk dzwonka serce Grace zabiło szybciej - pomyślała, że może za drzwiami stoją Emma i jej córeczki.

Skoczyła do drzwi i otworzyła, ale na korytarzu zobaczyła kogoś innego - Terrence'a Reida.

- Dzień dobry pani - odezwał się Terrence.

- Dzień dobry - uśmiechnęła się Grace. - Proszę wejść, panie Terrence. - Wyciągnęła ręce i uścisnęli się.

Terrence ruszył przodem i wszedł do salonu. Miał na sobie dzinsy i koszulę z krótkimi rękawami.

- Wracam z uczelni - powiedział, siadając na kanapie. - Poczulem, że muszę do pani zajrzeć. - Oparł łokcie na kolanach.

Grace wstrzymała oddech. Traktowała Terrence'a Reida jak syna. Często ją odwiedzał, rozmawiali - nawet po tym jak Emma opuściła Grace i przeprowadziła się do Charliego. Z biegiem lat Terrence zmężniał, stał się człowiekiem okazałej postury. Był także silnej wiary. Miał swoje przekonania, zapał do nauki, cel, do którego dążył. Skończył dwadzieścia cztery lata, studiował medycynę. Wbrew wszystkiemu, co robiła ze swoim życiem Emma, Grace wciąż miała nadzieję, że któregoś dnia, kiedy jej córka zda sobie sprawę z tego, że postępuje niemądrze, zdoła w jakiś sposób odnowić znajomość z Terrence'em.

Z drugiej strony Grace miała świadomość, że jej marzenie może się nie spełnić. Było prawdopodobne, że prędzej czy później Terrence zakocha się w kimś innym - i już po jej marzeniu. Patrzyła na niego. *Czy to już ten moment?* - zastanawiała się. Terrence siedział zmarszczony; widać było, że chce powiedzieć coś, co miało dla niego znaczenie.

- O czym pan myśli? - spytała z westchnieniem.

Terrence otworzył usta, ale dłuższą chwilę nie był w stanie się wysłowić. W końcu jego oczy zwilgotniały, przełknął z trudem i powiedział:

- Bez przerwy myślę o Emmie. - Wzruszył ramionami. - Nie jestem w stanie przestać.

- Ja też nie - szepnęła Grace i zadrżała. - Modliłam się dzisiaj za nią cały dzień.

- Dzieje się coś ważnego - zawyrokował Terrence, prostując się. Był wyraźnie zaniepokojony. - Za każdym razem, kiedy ją sobie wyobrażam, mam przed oczami bitwę - wojowników, którzy sięgają po broń; każdy jest zdeterminowany, żeby wygrać.

- Wie pan, o co rozgrywa się ta bitwa, prawda? - skomentowała Grace, kiwając głową.

- O duszę Emmy - odpowiedział cicho Terrence. - Pomódlmy się razem, pani Grace - zaproponował, unosząc ręce. - Mam poczucie, że od tego zależy życie Emmy.

Grace złączyła swoje dłonie z dłońmi Terrence'a i zaczęli razem błagać Boga o siłę dla Emmy, o to, aby ją ochronił. By ocalił Emmę, wyzwolił ją z fatalnej sytuacji, w jakiej się znajdowała, uwolnił ją z więzów, które musiały w końcu doprowadzić do jej śmierci.

Terrence wyszedł mniej więcej godzinę później; oboje z Grace czuli, że łączy ich w tej chwili szczególne porozumienie. To oni dwoje najbardziej ze wszystkich ludzi kochali Emmę. Ale było jeszcze coś, bardzo ważnego. Byli jak dwoje wojowników walczących o jej duszę.

14



Mary nie była w stanie przyzwyczaić się do zapachu stale unoszącego się w domu opieki - lekkiego odoru moczu zmieszanego z mocniejszą, także nieprzyjemną wonią środka dezynfekującego.

Nie było to jednak ważne. W tym właśnie domu opieki mieszkała jej babcia Peggy. Mary odwiedzała ją trzy razy w tygodniu, niezależnie od tego, czy danego dnia czekały ją spotkania w Senacie Stanów Zjednoczonych, rozmowy z maltretowanymi kobietami, którym pomagała za pośrednictwem swoich schronisk, czy też setki innych związanych z jej działalnością spraw, jakie miewała do załatwienia.

Mary weszła do domu seniora Pod Złocistą Jabłonią. Spędzi z ukochaną babcią pół godziny; nie zamieniłaby tych chwil na nic innego. Ostatnio Mary i jej babcia były sobie chyba jeszcze bliższe niż dawniej, jak gdyby Bóg podarował im tę wiosnę i lato, by miały sposobność wynagrodzić sobie cały ten czas, kiedy pozostawały rozdzielone. Czasami dyskutowały o polityce, o ustawach, do których kształtu przyczyniała się Mary. Kiedy indziej odpływały myślami w przeszłości babcia opowia-

dała Mary, jak często się za nią modliła i ile łez wylała w oczekiwaniu na dzień, kiedy Bóg znowu je złączy

- Zawsze wiedziałam, że Pan Bóg w końcu sprawi, że się odnajdziemy - mówiła babcia Peggy. - Jednak żałuję, że nie stało się to wcześniej.

Babcia dobrze rozumiała znaczenie dokumentu, o którego uchwalenie walczyła obecnie Mary - ustawy o sfinansowaniu kontynuacji ogólnokrajowego programu promowania abstynencji seksualnej. Wiedziała także, jakie ustawy Mary pomogła uchwalić w minionym roku. Ustanawiały one źródła finansowania schronisk dla maltretowanych kobiet, a także ośrodków kulturalno-edukacyjnych dla młodzieży z najuboższych dzielnic. Babcia Peggy co dzień modliła się o powodzenie współtworzonego przez Mary programu „Mój Przewodnik”, którego beneficjentami miały być dzieci z rodzin patologicznych oraz sieroty. Gdy program zaczął funkcjonować, Mary i babcia Peggy urządziły sobie skromną uroczystość przy łóżku w domu opieki.

Babcia wiedziała o wszystkim, co dotyczyło Mary.

Peggy Madison była starszą panią o wciąż błyskotliwym umyśle. Większość czasu spędzała na wysłuchiwaniu żalów swoich przyjaciółek i przyjaciół z domu opieki oraz na modlitwie. Siedząc albo leżąc w ciszy w swoim pokoju, Peggy modliła się za Mary - tak samo jak przez wszystkie lata od chwili narodzin jej wnuczki.

Tego ranka Mary nie miała czasu na długą wizytę, nie mogła bowiem spóźnić się na rozmowę z Emmą Johnson. Ruszyła więc szybko korytarzem, a potem

zatrzymała się w drzwiach pokoju numer 114. Jej babcia spała, trzymając na kolanach otwartą brązową księgę - swoją Biblię. Mary uśmiechnęła się, bezgłośnie weszła do pokoju i usiadła na krześle. Rozejrzała się.

Na parapecie wciąż stały pocztówki wielkanocne. Jedną napisała babci pani Esther, mieszkająca kilka pokoiów dalej, inną - pewien pan, który podpisał kartkę: „Z miłością - William B.". Nieopodal na ścianie od lat wisiały te same fotografie. Na pierwszej były babcia i matka Mary; zdjęcie pochodziło z czasów, kiedy Jayne Madison była w trzeciej klasie szkoły podstawowej. Druga fotografia przedstawiała nowo narodzoną Mary na rękach u matki. Trzecim zdjęciem było to, które dawniej wisiało na ścianie różowej sypialni - portret trzyletniej Mary.

Mary jeszcze raz popatrzyła na podobiznę swojej matki. Wpatrywała się w jej oczy. Mama wydawała się w tamtym okresie szczęśliwa, pełna życia. Nikt wówczas nie wiedział, że mała Jayne Madison zacznie kiedyś zażywać narkotyki, że znajdzie się na ulicy, wreszcie że umrze tak wcześnie, bez nadziei na ratunek, w samotności, niepokodzona z Bogiem...

Oczy Mary zaszyły łzami. Znowu ogarnął ją żal na myśl o smutnym życiu matki oraz o jej śmierci. *Mama nie spotkała na ulicy nikogo, kto wytłumaczyłby jej, że kocha ją Jezus Chrystus* - myślała Mary. *Mama znikąd nie miała ratunku, nie zdążyła pożałować swoich grzechów ani uzyskać przed śmiercią ich przebaczenia!* Okropna śmierć jej matki była czymś, co smuciło Mary Madison najbardziej ze wszystkiego.

Jej wszystkie inne zadawnione bóle ukoił Chrystus swoją miłością - ale świadomość, że jej ukochana mama umarła, nie poznawszy Boga, była dla Mary niemal nie do zniesienia. To właśnie owa świadomość na zawsze będzie pchała Mary ku spotkaniom z takimi dziewczynami jak Emma Johnson. Mary zamierzała z nimi rozmawiać, po to, aby maltretowanie, narkotyki i prostytucja nie doprowadziły ich do śmierci, ale do spotkania z Bogiem, z Jezusem - jedynym prawdziwym Wyzwolicielem i Odkupicielem.

Babcia Peggy wzięła głębszy oddech, poruszyła się, zamruła powiekami i w końcu odezwała się do Mary:

- Dzień dobry, kochanie! - wyciągnęła w jej stronę pomarszczoną rękę.

- Cześć, babciu - odpowiedziała z uśmiechem Mary, delikatnie ujmując dłoń babci Peggy. Skóra starszej pani była niemal przezroczysta, widać było przez nią ciemnoniebieskie żyły. - Jak się czujesz?

- Bardzo dobrze - zakomunikowała z satysfakcją babcia. - Co słyhać u Emmy Johnson?

Mary zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Uważnie słucha mojej opowieści. Na razie doszłam do kradzieży półciężarówki i tego, co było później.

Babcia wyraźnie się uspokoiła.

- Gdybym tylko wiedziała, gdzie jesteś - skomentowała, głaszcząc Mary po głowie - nigdy nie pozwoliłabym na umieszczenie cię u tych ludzi, a potem w ośrodku wychowawczym.

Patrzyła błagalnym wzrokiem, jak gdyby wciąż nie miała pewności, czy Mary nie czuje do niej żalu.

- Wiem, babuniu - zapewniła Mary. - Ale w końcu Pan Bóg nas połączył.

- Tak... - zgodziła się babcia po dłuższej chwili.

- Chyba masz rację - uśmiechnęła się słabo.

- Przecież się odnalazłyśmy - zauważyła Mary.

- A teraz myślę, że Pan Bóg pomoże odnaleźć się Emmie Johnson.

- Ona ma córeczki, prawda?

- Tak, dwie, jeszcze malutkie.

- Najlepszy moment... - mruknęła babcia, kiwając głową. Jej oczy były zamglone, bardziej niż jeszcze przed rokiem, i oddychała słabiej, z wysiłkiem. Były to oczywiste sygnały, że życie jej ciała zbliża się do końca. Lekko ścisnęła dłoń Mary i spytała:

- Czy mówiłam ci to ostatnio?

Mary wstała i przytuliła policzek do policzka ukochanej babci.

- Co takiego mówiłaś? - upewniła się, patrząc babci w oczy.

- Czy mówiłam ci... - głos na chwilę uwiązł Peggy w gardle. Przełknęła ślinę, szukając odpowiednich słów. - Czy mówiłam, jak bardzo jestem z ciebie dumna, Mary?

Mary znowu miała łzy w oczach. W tej chwili wcale nie czuła się znaną w całym kraju, wpływową Mary Madison, świetnie wykształconym oraz bardzo smutno doświadczonym ekspertem od życia w środowiskach patologicznych. Znowu była małą dziewczynką siedzącą

w różowej sypialni koło babci Peggy, która kochała ją najbardziej na świecie.

- Dziękuję ci, babciu - szepnęła ze wzruszeniem Mary, całując delikatny jak skórka brzoskwini policzek babci. Opuściła wzrok, i jej spojrzenie padło na Biblię.

- Który fragment czytałaś? - zapytała.

- Księgę proroka Joela - odpowiedziała babcia, unosząc księgę. Zmrużyła oczy. - Rozdział drugi, wers dwudziesty piąty. Przeczytaj na głos. - Podała Biblię Mary.

Mary wzięła ciężki tom i odnalazła wymieniony urywek tekstu.

- „W ten sposób wynagrodzę wam lata, które strawiła szarańcza” - odczytała początek wersu.

- To o nas, kochanie - skomentowała z uśmiechem babcia Peggy, stukając palcem w księgę. - Bóg wynagradza nam teraz lata strawione przez szarańczę.

- Tak... - szepnęła ze wzruszeniem Mary. - Martwię się o Emmę. Jej szarańcza także niejedno zabrała.

- A co mówi Bóg o szarańczy?

Mary pokiwała głową. Miała łzy w oczach. *Co ja pocznę, kiedy babci Peggy zabraknie?!...* - myślała z rozpaczą. Babcia przez cały czas pomagała Mary odnajdywać cel w życiu, planować przyszłość.

Przecież to u babci zamieszkała Mary, kiedy się wreszcie odnalazły; to właśnie babcia Peggy zachęciła ją do pójścia na studia. Przed testami na uczelni babcia przepytывała Mary do późna w nocy; interesowała się szczegółowo przebiegiem jej nauki. Przyszła na uroczystość nadania Mary stopnia licencjata, a także, kilka lat

później, doktora psychologii, specjalizującego się w poradnictwie rodzinnym. Babcia siedziała na sali i promieniała z dumy. Machała do Mary, robiła jej zdjęcia, reagowała aplauzem na jej wystąpienia.

Teraz możliwości fizyczne babci Peggy były już ograniczone, jednak wciąż stanowiła dla Mary oparcie psychiczne. Potrafiła zachęcić ją do działania - na przykład pokazując jej odpowiedni wers Biblii, jak przed chwilą. Sama jej milcząca obecność wystarczała, żeby Mary czuła, że ktoś bliski wspiera ją w działaniach, pomaga jej w osiągnięciu sukcesów - czy to w życiu zawodowym, czy prywatnym.

Babcia chyba wiedziała, o czym myśli Mary.

- Bóg jest wierny we wszystkim - pocieszyła, przyciskając do piersi Biblię. - W sprawie Emmy także pozostanie wierny - dodała, znów ujmując dłoń wnuczki.

- Wiem.

Peggy Madison spojrzała w dal.

- Wiesz, na czym polega problem ludzi we współczesnym świecie? - zagadnęła.

Mary uśmiechnęła się. Uwielbiała tego rodzaju rozmowy ze swoją babcią. Babcia Peggy potrafiła zsyntetyzować całą mądrość, jakiej nabrała w ciągu długiego życia, i ująć ją w jednym czy dwóch zdaniach.

- Na czym? - spytała Mary.

- Wielu ludziom wydaje się, że Jezus był kimś takim jak Gandhi, a może nawet jak Rambo: tylko człowiekiem; dobrym nauczycielem czy też przywódcą o silnym charakterze - Peggy pokręciła głową i kontynuowała

z błyskiem w oku: - Tymczasem, czy wiesz, dlaczego Jezus Chrystus zdołał cię wyzwolić, uwolnić od wszystkiego, co cię dawniej krępowało, Mary?

Mary wiedziała, ale z uśmiechem czekała, aż powie jej to babcia.

- Dlatego, że Jezus to nasz Pan, Bóg Wszechmogący. Jezus Chrystus to zarówno Bóg, jak i człowiek. - Babcia dźgnęła palcem powietrze dla podkreślenia swoich słów.

- I nic nie uratuje świata, jak tylko moc samego Boga - dodała ciszej.

- Będę o tym pamiętać - zapewniła Mary, obejmując wątle ramiona babci Peggy. Przytuliła ją. Pomodliły się razem za amerykańskich senatorów i kongresmanów, a potem za Emmę; wreszcie - za cały świat. O to, żeby ludzie mieli możliwość rozpoznać w Jezusie Chrystusie Boga.

Mary ucałowała babcię na pożegnanie.

- Bądź zdrowa, babciu - powiedziała przed odejściem. - Potrzebuję cię.

- Wcale nie jestem ci potrzebna - zaprzeczyła starsza pani i z uśmiechem machnęła ręką, pokazując Mary, żeby już poszła. - Potrzebujesz Pana Jezusa, i tylko Jego.

Mary zerknęła na babcię z ukosa. Zgadzała się z jej słowami. To właśnie dlatego pozostawała niezamężna - zdecydowała się całe swoje życie poświęcać służbie Bożej, jak gdyby zagłębiać się w Bożą miłość, która jest bezwarunkowa i trwała. A jednak... - pomyślała, opuszczając lekko głowę.

- Pan sam wystarczy - potwierdziła. - Ale ciebie także potrzebuję. Więc trzymaj się mocno i zdrowo.

Babcia Peggy przestała się uśmiechać, do jej oczu napłynęły łzy. Przyłożyła palce do ust i posłała wnucze pocałunek.

Mary wykonała ten sam gest pod adresem babci i stała wciąż, spoglądając jej w oczy. Wreszcie wyszła, dostrzegając kątem oka pewien charakterystyczny przedmiot, który leżał na szafce.

Małą czerwoną portmonetkę ozdobioną koralikami.

Była to jedyna materialna rzecz, która przypominała zarówno Mary, jak i jej babci o tym, że Bóg nigdy nie opuści żadnej z nich. Że Jego opatrzność czuwa nad ludźmi, że jest wszechpotężny. Mary uśmiechnęła się do babci Peggy jeszcze raz i wyszła z pokoju.

Przez całą drogę na parking modliła się, błagając Boga o to samo, o co prosiła Go za każdym razem, kiedy wychodziła z domu opieki Pod Żłocistą Jabłonią. O to, żeby Pan jeszcze nie zabierał jej babci do siebie.

Mary dotarła do swojego gabinetu kilka minut przed umówionym spotkaniem.

Już poprzednio stwierdziła, że Emma zaczyna dochodzić w swoich rozmyślaniach do przełomowego punktu; można było to rozpoznać. Mary domyślała się, że jej opowieść wywołuje w Emmie wspomnienia z jej własnego życia, że wokół nich rodzą się w niej dwa przeciwstawne odczucia - rozpacz oraz przeświadczenie, że istnieje dla niej nadzieja na lepszą przyszłość. Tak, Mary widziała wyraźnie, że w duszy Emmy zaczęła

świtać nadzieja. Emma wyznała, że myśli o napisaniu listu do matki, że żałuje wszystkich swoich życiowych błędów.

Jednocześnie Emma zdawała sobie sprawę z tego, jak nisko upadła, jak bardzo była zniewolona przez to, co dotąd robiła; i w związku z tym nieprzyjaciel jej duszy budził w niej rozpacz. Wydawało się jej, że wewnętrzna przemiana jest dla niej zbyt trudna, nieosiągalna - i właśnie to wpędzało Emmę w desperację. Jeżeli popadnie w głęboką rozpacz... Mary zamierzała modlić się żarliwie o uspokojenie i nadzieję dla niej.

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili w gabinecie pojawiła się Emma. Patrzyła nieobecnym spojrzeniem, pewnie w jej głowie kłębiły się przeciwstawne myśli. Usiadła i uśmiechnęła się.

- Zaczęłam pisać list do matki - powiadomiła.

- Cieszę się - pochwaliła Mary, przyglądając jej się badawczo. - I jak się czujesz?

- Jestem zadowolona z tego, że znalazłam się w jednym z twoich schronisk - oznajmiła Emma. - Wiele rzeczy zrobiłam w życiu źle, niepotrzebnie.

I oto mamy dowód, że w jej sercu toczy się bitwa - pomyślała z westchnieniem Mary. *Panie, proszę Cię, odpowiedz mi odpowiednie słowa* - pomodliła się w duchu.

- A co myślisz na temat siebie i Charliego? - zapytała.

Emma zjeżyła się. Po chwili spochmurniała, opadła na oparcie krzesła i wyznała:

- Po części myślę, że może... może zdołałabym mu jakoś pomóc. - Jej broda zaczęła drżeć. - Ciągle go kocham - dodała Emma, zagryzając wargi.

Nie krytykuj tego! - ostrzegła siebie samą Mary.

- Rozumiem - odpowiedziała spokojnym głosem. - To jeden z elementów zniewolenia przez osobę, która człowieka maltretuje. - Pochyliła się naprzód i dotknęła kolana Emmy. - Zostań tu u mnie, proszę cię. Dobrze? Myśl o mojej opowieści. Wkrótce poznasz odpowiedzi na trapiące cię wątpliwości.

- Może... - Emma zaczęła masować sobie szyję. Najwyraźniej trudno jej było mówić. - Przepraszam cię... Może do tej pory powinnam już usłyszeć podsumowanie tego, co masz mi do przekazania?

- Nie przekonałoby cię to jeszcze - odpowiedziała Mary. - Musisz najpierw wysłuchać mojej opowieści do końca. Proszę cię, Emmo. Zaufaj mi.

- Dobrze - mruknęła bezbarwnym tonem Emma.

- Dzisiaj, zanim powrócę do historii mojego życia, chciałabym się najpierw pomodlić. - Mary zamknęła oczy i pomodliła się, tym razem na głos: - Panie, Ty jesteś mocniejszy niż wszystkie ziemskie potęgi, silniejszy niż wszelkie nałogi, zniewolenia, maltretowanie, niż najrozmaitsze, choćby najtrudniejsze sytuacje. - Mówiąc te słowa, poczuła, że Chrystus czuwa nad nią, opiekuje się nią, jak gdyby ją w tym momencie obejmował. - Prosimy Cię, niech Twoja moc zatriumfuje pośród nas, dzisiaj i w nadchodzących dniach. Błagam Cię, Panie, uwolnij Emmę, jak tylko Ty potrafisz. Amen.

Po tych słowach Mary wstała i otworzyła okno. Rozpływała się poranna mgła. *Świeże powietrze powinno uczynić moją smutną opowieść znośniejszą* - pomyślała Mary. Usiadła, założyła ręce i zaczęła:

- Po tym jak mnie aresztowano i skazano za kradzież samochodu, czułam się jeszcze bardziej niż przedtem wyobcowana, bardziej odległa od tej małej dziewczynki, która ciągle tęskniła za mamą i babcią. Wciąż śniły mi się koszmary, nadal kłamałam i czułam w sobie pęd do autodestrukcji. Obgryzałam paznokcie i skubałam je aż do krwi. Raz całkiem zdarłam sobie paznokieć...

Emma skrzywiła się. - Ja też - przyznała, machinalnie przesuwając palcami po bliznach na przedramieniu.

- Byłam gotowa zrobić wszystko, byle tylko moje cierpienie stało się bardziej konkretne, namacalne - mówiła Mary. - A lata przeżyte w ośrodku dla młodocianych przestępców przysporzyły mi kolejnych cierpień, krzywd. Odwróciłam się od Boga. Powiedziałam Mu w pewnym momencie, że w Niego nie wierzę, że już nie jest dla mnie kimś realnym. Koleżanki i koleżdy z ośrodka namówili mnie do zażywania kokainy i bardzo mocno się od niej uzależniłam. Brałam ją codziennie; chowałam narkotyk w pokoju, a nawet w butach. Czułam, że skoro nie wierzę w Boga, wolno mi robić wszystko, cokolwiek przyjdzie mi do głowy. Wdałam się w romans z nauczycielem matematyki. Zachowywałam się wobec chłopców w taki sposób, żeby byli zainteresowani moją fizycznością - po to, żeby zdobywali dla mnie narkotyki. Wszystko to sprawiało, że

czułam się silna; wydawało mi się, że właśnie w taki sposób chcę żyć.

Emma podciągnęła kolano pod brodę, kuląc się. Poprosiła Mary, żeby opowiadała dalej.

- W tamtym okresie przypominałam sobie wreszcie, że mam na nazwisko Madison - ciągnęła Mary. - Starałam się pilnie uczyć. Sposób, w jaki żyłam, był bardzo daleki od doskonałości, ale przynajmniej chciałam się uczyć. W owych latach popełniłam wiele bardzo poważnych błędów, lecz przynajmniej umiałam czytać, pisać i liczyć. Kiedy skończyłam osiemnaście lat, przydzielono mnie do programu resocjalizacji poprzez pracę i wysłano mnie do ośrodka pomocy społecznej; tam pracowałam. To miejsce nazywa się Ośrodek Nowego Życia.

- Czy chodzi o ten przy Piątej Ulicy? U nas, w Waszyngtonie? - upewniła się Emma.

- Tak. Wypełniałam dokumenty w biurze.

Mary umilkła na chwilę. Przypomniała sobie, jak we wspomnianym ośrodku poznała mężczyznę, który odmienił jej życie na zawsze. - I tam go poznałam - oznajmiła.

- Kogo?

- Nigela. - Mary zamrugała powiekami. - Nazywa się Nigel Townsend.

To właśnie Nigel Townsend wywarł największy wpływ na powrót Mary do wiary chrześcijańskiej. Mary zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że tak będzie, dlatego że na początku wcale nie myślała w związku z Nigelem o Bogu. Po prostu była w Nigelu zakochana.

15



W dniu kiedy jeden z pracowników socjalnych zawiózł Mary do Ośrodka Nowego Życia, Mary poznała Nigela. To właśnie on powitał ją przy drzwiach. Był wyjątkowo potężnym mężczyzną, ogromnego wzrostu, masywnej budowy ciała, i bardzo przystojnym. Miał około trzydziestki, zielone oczy i taką karnację, że zawsze wyglądał jakby był opalony. Miał też uśmiech, na którego widok Mary wpadała w zachwyt. Spoglądał na nią ciepło, łagodnie, z miłością - ale miłością takiego rodzaju, jakiego dotąd nie znała.

Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Mary w życiu widziała.

- Cześć, Mary - odezwał się, siadając za biurkiem w recepcji. - Czekaliśmy na twój przyjazd. - Pokazał na korytarz za swoimi plecami. - Oto nasz Ośrodek Nowego Życia. Jestem pewien, że właśnie u nas staniesz się naprawdę wolna. Bardzo ci się tu spodoba, zobaczysz - oznajmił z uśmiechem.

Mówił w charakterystyczny sposób, jakby śpiewnie, musiał przyjechać z zagranicy. Mary odgadła, że Nigel był Europejczykiem. Jego wymowa przydawała

mu w jej oczach inteligencji i uprzejmości. Wywarł na niej tak silne wrażenie, że owego pierwszego dnia aż spuszczała wzrok.

- Cześć - wydobyła z siebie, spoglądając w podłogę i bawiąc się nerwowo torebką. - Gdzie jest pokój, w którym będę mieszkać?

Nigel zawahał się, jak gdyby chciał coś dodać, ale w końcu wstał i rzucił:

- Chodź, zaprowadzę cię.

Poszli do przeznaczonego dla niej pokoju. Mary zostawiła tam bagaże i wróciła z Nigelem do recepcji. Na wszelki wypadek jeszcze raz wytłumaczył Mary, że musi pracować w ośrodku, ponieważ jest to jeden z warunków zwolnienia jej z domu poprawczego. Powiedział, że jeżeli będzie pracowała w Ośrodku Nowego Życia przez rok, spłaci całą wyznaczoną jej przez sąd karę.

- Wiesz, czym się tu zajmujemy? - upewnił się Nigel, kiedy Mary usiadła za biurkiem, gdzie miała pracować. Przysiadł na krześle naprzeciw niej. Znowu spuściła wzrok; nie była w stanie patrzeć temu człowiekowi w oczy. Jego wygląd zapierał jej dech w piersiach, ale nie chciała się z tym od razu przed nim zdradzać.

- To ośrodek pomocy społecznej - odpowiedziała na pytanie. - Rozdajecie żywność bezdomnym, i tak dalej. - Pamiętała z dzieciństwa, w jaki sposób pomagają takie ośrodki. - Kilka razy w tygodniu dajecie ludziom ubrania albo konserwy. Prawda?

- Tak - zgodził się Nigel. Sprawiał wrażenie człowieka, któremu się w życiu nie spieszy. Pochylił się

naprzód, założył ręce i oznajmił: - Dajemy potrzebującym nie tylko pokarm dla ciała. Nauczamy, wiesz o tym?

- Nauczacie? - U p e w n i ła się Mary. Nikt jej nie powiedział, że w Ośrodku Nowego Życia prowadzone są lekcje.

- To znaczy uczycie matematyki, historii i tak dalej?

- Niezupełnie. Prowadzę nauki na temat religii - opowiadam ludziom o tym, jak poznać Chrystusa.

- A c h , jest tu kościół... - mruknęła z lekkim niezadowolaniem Mary.

- Nie w sensie dosłownym - zaprzeczył Nigel, opierając się wygodnie i zakładając ręce za głowę, dzięki czemu można było zobaczyć jego ogromne bicepsy. - Nie odprawiamy w ośrodku nabożeństw. Ludzie, którzy do nas przychodzą, od lat nie byli w kościele - niektórzy nawet nigdy w życiu. Uczę ludzi tego, jak nawiązać osobistą relację z Bogiem. Odnaleźć najwspanialszą miłość, jakiej można doświadczyć na ziemi.

Najwspanialszą miłość!

Słowa Nigela zrobiły na Mary ogromne wrażenie, zapamiętała je na resztę życia. „Odnaleźć najwspanialszą miłość, jakiej można doświadczyć na ziemi"... Jeszcze nikt czegoś takiego Mary nie powiedział. Odtąd z dnia na dzień czuła, że coraz mocniej kocha Nigela Townsenda, człowieka, który pomagał jej zapomnieć o złej przeszłości i wprowadzał ją we wspaniałą przyszłość.

Mary przyzwyczaiła się do rytmu pracy w ośrodku - budziła się wcześniej, siadała za biurkiem. Ludzie, którzy przychodzili po pomoc, w większości byli dla niej mili. Czasem się uśmiechali. Tylko że większość z nich

rozpoznawała ją. Wiedzieli, że to słynna Mary, która przeżyła pięć lat w piwnicy, przykuta kajdankami do łóżka. Mary, która później ukradła półciężarówkę i została skazana na pobyt w domu poprawczym. Co jakiś czas w różnych kanałach telewizyjnych pokazywano migawki z jej życia, aby wszyscy mogli na nie patrzeć. Miały budzić przerażenie i zainteresowanie.

Nie było przed tym ucieczki. Wszędzie, gdziekolwiek Mary trafiła, znano jej okropną historię. A ona w owym czasie już doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak straszne były jej doświadczenia. Kiedy ludzie ją rozpoznawali, reagowali na dwa sposoby - albo okazywali jej współczucie, albo też omiatali ją powłóczytymi spojrzzeniami, marząc o tym, żeby uszczknąć coś z tego, co być może wciąż miała do zaoferowania obcym mężczyznom.

Ale Nigel Townsend nie robił ani jednego, ani drugiego.

Mary przybyła do Ośrodka Nowego Życia z myślą, że popracuje tydzień, a potem skorzysta z najbliższej okazji i pojedzie do Nowego Jorku. Zastanawiała się, czy babcia wciąż czeka na jej powrót. Nie wiedziała, ale na wszelki wypadek wolała spróbować do niej dotrzeć. Tak czy inaczej Mary czuła, że w Nowym Jorku znajduje się jej dom, i zamierzała wreszcie do niego powrócić.

Kiedy jednak poznała Nigela, jej spojrzenie na tę sprawę całkiem się zmieniło. Po dwóch tygodniach już nie zamierzała uciekać z ośrodka. Jej praca w sekretariacie była męcząca i ciągnęła się długie godziny, pokój Mary rozmiarami przypominał raczej większą szafę, do której

wstawiono kozetkę, do kieszeni dziewczyny trafiła bardzo niewiele z zarabianych przez nią pieniędzy, a mimo to Mary chciała pozostać w Ośrodku Nowego Życia. Skłaniał ją do tego wyłącznie jeden powód - osoba Nigela Townsenda.

Wiedziała już, że to jeden z tych naiwnych, którzy jeszcze wierzą w Boga - tak to wówczas postrzegała. Ośrodek Nowego Życia był chrześcijańskim ośrodkiem misyjnym, a Nigel - Pastorem, który nim kierował. Skoro tak, musiał mieć wiarę podobną do wiary babci Peggy oraz Evelyn i Teda. Można to było usłyszeć w jego głosie i dostrzec w jego spojrzeniu czy łagodnym sposobie zachowania. Wiara była dla Nigela wszystkim. *Ale ja to zmienię - myślała Mary. Przekonam go, że mnie potrzebuje znacznie bardziej niż Boga...*

Tak właśnie sobie wyobrażała w przerwach pomiędzy wypełnianiem kolejnych dokumentów - co było raczej mechanicznym zajęciem. I nudnym; Mary ledwie była w stanie wytrzymać w sekretariacie do końca pracy. Na szczęście od czasu do czasu zaglądał do niej Nigel i zawsze uśmiechał się szeroko, ukazując wspaniałe zęby. A Mary przez całą następną godzinę przypominała sobie jego uśmiech i była radosna.

Całe życie szukałam miłości - myślała, przekładając papiery. Prawdziwej miłości. Doświadczyłam jej kiedyś od babci i mamy. Ale potem klienci, którzy przychodzili do mnie do piwnicy, nie kochali mnie. Nawet ci mili, którzy szeptaali mi do ucha czułe słówka. W poprawczaku też nie znalazłam prawdziwej miłości.

Mary nie wierzyła już w Boga, a w konsekwencji w to, że ma On względem niej jakieś obiecujące plany; natomiast słowa Nigela o największej miłości na świecie sprawiały, że chciała jak najlepiej go poznać, dowiedzieć się o nim wszystkiego: co sprawiło, że stał się taki delikatny i wrażliwy, i dlaczego, mimo że był o ponad dziesięć lat starszy od niej, ciągle wierzył w miłość w taki sposób, w jaki Mary przestała wierzyć już jako dziecko.

To nie będzie trudne - wyobrażała sobie Mary. Sprowadzę go do swojego pokoju, a potem każde z nas nauczy drugie tego, co wie o miłości. I później do końca życia będę z Nigelem.

Był to nieskomplikowany plan i Mary kilkakrotnie próbowała wprowadzić go w życie. Przychodziła do gabinetu Nigela i mówiła na przykład:

- Nigel, w moim pokoju jest tak ciemno... Czy mógłbyś do mnie przyjść i posiedzieć ze mną, aż zasnę?

- Nie jestem ci tam potrzebny, Mary - odpowiadał Nigel, uśmiechając się. - Nie jesteś sama w pokoju, bo jest w nim z tobą Bóg. Porozmawiaj z Nim.

Wychodziła więc jak niepyszna, rozdrażniona tym, że Nigel odrzucił jej propozycję. A następnego dnia próbowała skusić go znowu, w nieco inny sposób. Nigel jednak zupełnie nie był zainteresowany jej sugestiami. Jego jedynym związanym z nią pragnieniem było to, żeby Mary chodziła na prowadzone przez niego nauki.

- Chrystus Pan chce, abyś poznała prawdziwą miłość, Mary - mówił. - Nauka rozpoczyna się o dziewiętnastej. Rozejrzę się za tobą parę minut wcześniej.

Mary nie była w stanie go zrozumieć. Nigdy w życiu nie zdarzyło się, żeby jakiś mężczyzna odrzucił jej zaloty. W domu poprawczym, ilekroć zapragnęła poczuć się kochana, wystarczyło, że zasugerowała to jednemu z chłopców, albo na przykład kierowcy, który przywiózł zapasy, czy też nauczycielowi - uwiodła dwóch nauczycieli - żeby jej ulegli. Pociągała wszystkich mężczyzn dookoła, nikt nie był w stanie jej odmówić.

- Jesteś prawdziwą kusicielką, Mary - powiedział jej raz pewien mężczyzna. - Jesteś tak atrakcyjna, że nikt ci się nie oprze.

Mary z radością korzystała z tej niezwyklej przypadłości. Jednak Nigel Townsend okazał się całkowicie odporny na jej wdzięki.

Ponieważ nie był nią zainteresowany, Mary nie miała ochoty chodzić na prowadzone przez niego nauki. Oczywiście nie mówiła mu tego wprost.

- Jestem za bardzo zmęczona - zbywała go. Albo inaczej: - Nie czuję się dzisiaj za dobrze.

Mimo to Nigel niestrudzenie zapraszał ją na nauki, i za każdym razem Mary czuła się nimi odrobinę bardziej zainteresowana. *Może kiedy usiądę w ławce i cały czas będę patrzeć mu w oczy, przekona się do mojej propozycji - zastanawiała się. Być może ulegnie mojemu urokowi, jak niemal każdy mężczyzna, którego w życiu spotkałam. Wtedy zobaczy, jak dobrą jestem kochanką, i nie będzie w stanie zrobić niczego innego, jak tylko trwać w związku ze mną. Potem się pobierzemy i stanę się jedną z tych kobiet, które zawsze*

widywałam na ulicy: spokojną, ładnie ubraną, chadzącą pod rękę z przystojnym mężczyzną.

Tak, może pójdzie na nauki Nigela ma sens. Być może to wszystko zmieni.

W poniedziałek - trzeci poniedziałek, który spędzała w Ośrodku Nowego Życia - kiedy Mary kończyła pracę, ktoś otworzył drzwi sekretariatu.

To był Nigel. Na jego widok Mary jak zwykle przestała na chwilę oddychać.

- Mary, o dziewiętnastej zaczyna się nauka - przypomniał. - W sali na piętrze.

Omiotła go spojrzeniem od stóp do głów, a potem popatrzyła mu w oczy.

- To dobrze - odpowiedziała, przekrzywiając głowę i mrugając powiekami. Tak samo robiła jej mama, kiedy chciała uzyskać coś od mężczyzny. - Może i przyjdę.

- Może i przyjdiesz? - odpowiedział Nigel. Założył ręce i uśmiechnął się. - To lepsze niż „nie przyjdę”.

Mary wyobraziła sobie, jak siedzi w ławce, kiedy on opowiada ludziom o Bogu, i stara się nawiązać kontakt wzrokowy z Nigelem, przekonać go spojrzeniem, żeby jednak przyszedł do jej pokoju. Poczwała nagły niesmak.

- Może jednak nie przyjdę - rzuciła, wzruszając ramionami. - Popatrzyła na biurko, wstała i wsunęła krzesło na miejsce. *Nigel nigdy mnie nie pokocha, jeśli będę mu utrudniała prowadzenie zajęć* - pomyślała.

Wcześniej Nigel zachęcał ją do pójścia na naukę i odchodził, teraz został w drzwiach sekretariatu.

- Nie musisz się bać - powiedział, opierając się o framugę.

- Nie boję się - odparła Mary, uśmiechając się lekko. *Czyżbym się bata?* - zastanowiła się jednak. *To dlatego nie jestem w stanie znieść myśli o pójściu na jego nauki? Do sali, gdzie uczy o największej miłości, jaka może spotkać człowieka?* Mary poprawiła swoją zniszczoną koszulkę. - Jestem... zmęczona - skłamała. Znowu nie mogła spojrzeć Nigelowi w oczy. Podniosła wzrok na moment i dodała: - Więc nie jestem pewna, czy przyjdę. Dobrze?

- Mary - odezwał się cicho Nigel. Mówił łagodnym tonem, od którego Mary topniało serce - ja wiem. Przeraża cię myśl o lekcji na temat Bożej miłości.

Mary machinalnie wysunęła brodę naprzód, skonsternowana. *Czy on nie widzi, co do niego czuje?!* - dziwiła się. *Chyba nie powinno mu być trudno odgadnąć, że moje wahanie nie ma nic wspólnego z miłością Boga - tylko jest związane z moją własną miłością do Nigela!* Opanowała się i powiedziała:

- Być może idea Bożej miłości mnie nudzi?...

Mary grała przed Nigelem twardą dziewczynę - ale umiała to robić. Zachowując się w ten sposób, maskowała swoje prawdziwe uczucia. Poukładała papiery w stosiki i wyszła zza biurka. *Nigel nie zasługuje na moje drwiny* - pomyślała.

- Przepraszam cię.

Cała ta rozmowa sprawiała, że robiło jej się niedobrze.

- Miłość czeka na ciebie - zachęcił Nigel - miłość Boga. - Mówił głosem przypominającym pieśczętę

- ale nie taką, do jakich Mary była przyzwyczajona. Nie taką, jakiej od niego pragnęła. Mimo to poczuła, że słowa Nigela wpływają na nią kojąco.

- Och, Nigel... - westchnęła, podchodząc do niego. Pierwszy raz od przyjazdu do ośrodka poczuła się całkowicie pochłonięta przez spojrzenie Nigela. Jego cudowne, emanujące radością i nadzieją oczy fascynowały ją tak, że nie była w stanie odwrócić od nich wzroku. - Nie rozumiesz? - spytała, czując, że Nigel bardzo mocno ją pociąga.

Jak by to było zaspokajać potrzeby Nigela Townsenda...?

- zastanawiała się. - Nie chcę kochać Boga - oznajmiła i podeszła jeszcze o krok bliżej, patrząc Nigelowi prosto w oczy. - Chcę kochać ciebie!

- Nie, Mary - odrzucił jej propozycję Nigel, cicho, ale z niepozostawiającą wątpliwości stanowczością. - Nie o takiego rodzaju miłości mówię - wyjaśnił łagodnym głosem.

- Proszę cię, Nigel... - szepnęła zalotnie Mary, zniżając głos. - Daj spokój z tymi tekstami o Bogu.

- Nie mogę - odpowiedział zwyczajnie. Widziała, że Nigel jest w stanie dostrzec wszystkie jej odczucia, także te najgłębiej przez nią skrywane. - Pan Bóg nie zamierza zrezygnować z ciebie, dać ci spokoju - i ja także nie chcę.

Mary stała teraz jakieś półtora metra od Nigela. Przeszedł ją zimny dreszcz. *A może on czuje coś do mnie - coś głębszego?* - zastanawiała się. *Mężczyzna, który nie zamierza dać mi spokoju, zrezygnować ze mnie?... Czyż nie takiej właśnie miłości pragnęłam przez całe życie?*

Zrobiła jeszcze jeden krok w jego stronę. Teraz niemal stykali się ciałami. *Tak, to na pewno dlatego trafiłam do Ośrodka Nowego Życia!* - myślała Mary. *Po to, żebym odnalazła miłość - tego pięknego mężczyznę, naprzeciw którego stoję!*

- Czy nie potrzebujesz niczego innego oprócz Boga?
- spytała i z czułością przesunęła dłonią po policzku Nigela. Nie miała bynajmniej ochoty na wykład z religii. *Możemy teraz iść do mojego pokoju i ja pokażę Nigelowi miłość - taką, jaką znam i rozumiem* - myślała. *Może wtedy przestaniesz wreszcie mówić o Bogu.* Czekwała w napięciu, co się stanie, podekscytowana niecodzienną sytuacją.

Nigel nie poruszył się jednak ani odrobinę. Nie zareagował na dotyk Mary.

- Chodźmy do sali - poradził. Cofnął się. - Jeśli tam ze mną pójdziesz, zrozumiesz, na czym polega prawdziwa miłość.

- Nauczaj mnie miłości - zgodziła się Mary - a ja będę uczyła ciebie. Nie potrzebujemy do tego ani sali do prowadzenia zajęć, ani Biblii. - Znowu zbliżyła się do Nigela, i tym razem przesunęła palcami po jego umięśnionym ramieniu. - Znam lepszy sposób.

Nigel delikatnie zdjął jej dłoń ze swojego ramienia.

- Mylisz z miłością coś innego - oznajmił. Cofnął się, ale wciąż patrzył Mary w oczy. - Chcę ci to wytłumaczyć. Miłość nie jest tym, czym myślisz; tym, co dotąd poznałaś. - Uśmiechnął się, ale w jego uśmiechu nie było żadnej słabości, dwuznaczności, żadnej oznaki, że w jakimkolwiek stopniu przyjmuje propozycję Mary, że jest dla

niego atrakcyjna tak samo jak dla innych mężczyzn. To był raczej uśmiech... ojcowski - przynajmniej tak Mary zawsze wyobrażała sobie uśmiech prawdziwego, dobrego ojca.

Ale przecież wcale nie chciała, żeby Nigel był dla niej ojcem!

Poczuła się mniej więcej tak samo, jak gdyby Nigel wymierzył jej policzek. *Nie pragnie bliskości ze mną* - myślała ze zgrozą - *i wiem, dlaczego: dlatego, że jestem szmatą! Na pewno Nigel ma zamiar związać się kiedyś z czystą kobietą...* Nagle, stojąc naprzeciw emanującego prawością Nigela, Mary poczuła się nieczysta, jak gdyby rozsiewała wokół siebie jakiś fetor. Odwróciła wzrok i odsunęła się na bok.

- Idę do swojego pokoju - powiedziała bezbarwnym głosem. Kiedy odchodziła, poczuła, że Nigel odwraca się ku niej.

- Spodziewam się, że przyjdiesz, Mary - usłyszała zza pleców jego głos, miękki jak dotyk. Nigel ruszył w stronę swojego gabinetu i po chwili zniknął za jego drzwiami.

Mary zrobiła krok w ich stronę. *Co on robi w gabinecie?* - zastanawiała się. *Czy może w tej chwili drży tak samo jak ja? Czy nie żałuje, że nie poszedł ze mną do mojego pokoju? Może właśnie się nad tym zastanawia, dochodzi do przekonania, że mam rację?...*

Mary cichutko podeszła do drzwi gabinetu Nigela. Na korytarzu nie było nikogo, pozostali mieszkańcy ośrodka byli zajęci podawaniem obiadu w stołówce. Do uszu Mary dobiegł ściszony głos Nigela. Zbyt ściszony, żeby mogła zrozumieć, co mówił. *Może sam siebie beszta*

na głos? - zastanawiała się. Nazywa siebie głupcem, żałując, że odrzucił moją propozycję?

- Nigelu, proszę cię... Jestem tutaj i czekam na ciebie
- szepnęła w stronę zamkniętych drzwi, po czym przy-
łożyła do nich ucho.

- Panie... to zagubiona dziewczyna, jeszcze prawie
dziecko... - usłyszała.

Mary poczuła się, jak gdyby jej serce przeszył nóż.
Nigel wcale nie walczył ze sobą, tylko rozmawiał z Bo-
giem, w którego wierzył! Mary spróbowała się opano-
wać i podsłuchiwać dalej.

- Ona pragnie miłości jedyne go rodzaju, jaki zna.
Postrzega miłość jako coś, co wynika z erotyki i uwie-
dzenia, Ojczy.

Mary zarumieniła się ze wstydu. *Ależ ja jestem
głupia!* - pomyślała. Nigel przez cały czas rozpoznawał
jej uczucia. Była tak zawstydzona, że omal nie odbie-
gła z płaczem do swojego pokoju. Jednak Nigel wciąż
ją intrygował. To niezwykle, żeby taki mężczyzna
rozmawiał z Bogiem o niej... Paradoksalnie poczuła się
przez to ważna.

- Jest taka piękna, Boże!... Nie chcę spędzać z nią
czasu sam na sam, wiem, że byłoby to niedobre. Proszę
Cię, pomóż jej postrzegać mnie w innym świetle. Spraw,
żeby Mary posłuchała mojej opowieści o prawdziwej
miłości - o Twojej miłości, Panie.

Mary sama nie wiedziała, co czuje. Nigel uważał
ją za bardzo piękną, i to ogromnie ją uradowało. Ale
z drugiej strony nie chciał z nią być. W każdym razie nie

w taki sposób, jakiego pragnęła. Zamrugnęła powiekami, żeby strzepnąć z oczu łzy, i słuchała dalej.

- Widzę jej duszę, duszę, która tli się w jej wnętrzu, stłumiona, czekając na dopływ świeżego powietrza...

- Nigel zrobił małą pauzę, po czym kontynuował bardziej niespokojnym niż przedtem głosem: - Proszę Cię, Boże, pomóż mi do niej dotrzeć. I spraw, żebym wiedział, po co postawiłeś ją na mojej drodze... To twoje dziecko, Panie Boże, bardzo zagubione. Chciałbym nauczyć ją prawdy. Proszę Cię, niech Mary przyjdzie na dzisiejszą naukę. Daj mi znak, w jaki sposób mogę dotrzeć do jej duszy. I pomóż mi... pomóż mi zachować rozwagę.

Nigel nigdy nie pokocha mnie w taki sposób, w jaki ja kocham jego! - pomyślała z rozpaczą Mary. Miałam wcześniej rację - on chciał jedynie tego, żebym przyszła na jego nauki, niczego więcej. Kiedy ten człowiek się zakocha, wybierze jakąś kobietę o dobrej reputacji, kogoś, kto będzie wierzył w Boga, tak samo jak on. Ja jestem dla niego co najwyżej pokusą, kimś, kto skłania do czynienia zła!

- P a n i e ! - jęknął Nigel. Najwyraźniej jeszcze się modlił, i cierpiał. - Czego ode mnie żądasz? Dlaczego sprawiłeś, że znalazła się tu Mary? Taka kusicielka tutaj, w naszym ośrodku? Cały czas mam wrażenie, że to ona jest głównym powodem, dla którego umieściłeś mnie w tym miejscu. Że jest to dla Ciebie coś ważnego...

Mary mocno przyciskała ucho do drzwi. *Nigel podejrzewa, że to ze względu na mnie tu jest?! Ta wiadomość wzbudziła w niej radosne zdumienie i nadzieję. Może jednak w końcu się między nami ułoży?* - zastanawiała się.

Nigel westchnął głośno.

- Od dziś co dzień będę modlił się z twarzą na podłodze, aż pokażesz mi, Panie, czego chcesz od Mary Madison, co ma się stać z jej życiem. Dziękuję Ci, Panie, bo Ty jesteś wierny. Udzielisz mi odpowiedzi na wszystkie pytania... kiedy uznasz to za stosowne. W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Mary odbiegła od drzwi. Zdążyła zniknąć za zakretem korytarza, kiedy usłyszała, że drzwi gabinetu Nigela się otwierają. Wyszedł i ruszył w przeciwną stronę - ku stołówce.

On się myli - wcale nie chodzi o to, żeby Bóg chciał odmienić moje życie! - myślała. Przecież nie dlatego Nigel nie może przestać o mnie myśleć. Zainteresował się mną, bo go kocham, I on też mnie kocha, chociaż go to przeraża i boi się uświadomić to sobie samemu. Inaczej nie modliłby się za mnie tyle czasu.

Muszę tylko przekonać go, że tak właśnie jest.

16



Kiedy już wzburzenie Mary spowodowane odrzuceniem jej przez Nigela nieco opadło, usiadła na łóżku i spojrzała na świecące czerwone cyfry zegara. Była dziewiętnasta dziesięć. Od dziesięciu minut trwały dwugodzinne zajęcia, które prowadził Nigel. Mary wyobraziła sobie salę pełną bezdomnych i narkomanów oraz Nigela, który opowiada im o największej miłości na świecie.

To znaczy o tym, co on uważa za największą miłość na świecie.

Mary zacisnęła zęby i zrzuciła z siebie kołdrę. I *tak jest za gorąco, żebym mogła zasnąć!* - pomyślała. *Mogę pójść na jego zajęcia spóźniona. Usiądę z tyłu sali i spróbuję go odrobinę lepiej zrozumieć. Może kiedy usłyszę, jak opowiada o Bogu w podobny sposób jak wtedy, kiedy się modlił, łatwiej dojdę do tego, w jaki sposób mogę przekonać go do mojego spojrzenia na sprawy. Muszę, bo przecież myślę o nim co noc i co rano, kiedy się budzę.*

Musi być na niego jakaś metoda!

Mary wciąż nie miała wielu ubrań. Sięgnęła po torbę z džinsami, szortami i ładnymi bluzkami, pochodzącymi z darów. Włożyła szorty zrobione z krótko przyciętych

dżinsów. Stała przed pękniętym lustrem opartym o ścianę pokoju i uśmiechnęła się. Nie *wątpię, że jestem piękna i atrakcyjna* - pomyślała z uśmiechem. *Atrakcyjna jak nigdy*. Miała długie, opalone nogi, smukłą talię. *Jeśli w tych szortach nie zwrócę na siebie uwagi Nigela, to już chyba w żaden sposób nie da się tego zrobić!* - zawyrokowała Mary. Dodała do szortów dopasowaną czerwoną bluzeczkę i rozczesała swoje długie loki, aby jej fryzura wydawała się jak najbardziej bujna.

Obecnie rzadko nakładała makijaż, choć niegdyś, w piwnicy Jimbo, robiła to codziennie. Miała jednak w torebce kilka przyborów do makijażu. Rozejrzała się za szminką. Znalazła ją, pomalowała usta, a potem jeszcze nastroszyła palcami włosy, aby jak najbardziej zwracały uwagę.

Znowu przejrzała się w lustrze. *Świetnie. Bez wątpienia jeszcze tego wieczoru Nigel zapragnie znaleźć się w moim pokoju, nie będzie mógł się tego doczekać!* - oceniła. *Owszem, zbyt mnie dzisiaj - ale to był ostatni raz.*

Idąc na naukę, niczego ze sobą nie zabrała. Po prostu poszła w stronę sali, w której odbywały się zajęcia.

Już na korytarzu usłyszała niski i ciepły męski głos Nigela, który tak ogromnie jej się podobał. Nacisnęła klamkę i na moment przystanęła w drzwiach. Serce jej drżało.

Nigel przechodził właśnie przez przód sali, jego postać zdawała się dominować nad całym pomieszczeniem. Mary z jednej strony bardzo pragnęła, żeby zwrócił na nią uwagę, z drugiej zaś chciała być jakby niewidzialna,

żeby móc mu się przyglądać. *Co tak bardzo mi się w nim podoba?* - zastanawiała się. Nigel tymczasem odwrócił się tyłem do zebranych i zaczął pisać coś na tablicy.

Mary wślizgnęła się szybko do sali i wybrała miejsce za jakimiś wysokimi mężczyznami. *Może Nigel nie zauważy mnie od razu i będę mogła spokojnie mu się poprzyglądać i posłuchać go?* - miała nadzieję. *Dowiem się o nim czegoś więcej, żeby umieć do niego dotrzeć.* Patrzyła na potężne plecy Nigela i jego wąską talię, na mięśnie, które napinały się pod ubraniem, kiedy pisał. Dopiero kiedy skończył i stanął obok tablicy, Mary zwróciła uwagę na to, co napisał Nigel.

„Umrzeć dla siebie - żyć dla Chrystusa”.

Mary zmarszczyła *brwi Jak to?! Zgarbiła się i jeszcze dwukrotnie spojrzała na widniejące na tablicy słowa. Jak ja mogłam w ogóle mieć nadzieję na to, że zwrócę na siebie jego uwagę - nie jako potencjalna uczennica, ale jako kobieta - skoro wyklada tak dziwne i przerażające myśli?! - martwiła się. Nie mam ochoty umrzeć, i Nigel także nie powinien życzyć mi śmierci. Całe życie czekałam na ten okres, kiedy poznam Nigela i będę mogła być przez niego kochana. Jestem tego pewna! Chcę z nim dzielić zupełnie co innego niż śmierć.*

Nigel znowu popatrzył na słuchaczy i niemal natychmiast spojrzął na Mary. Zawahał się, a potem się uśmiechnął. Nie był to taki uśmiech, jakiego by chciała. Trudno. Wyprostowała się, aby było ją lepiej widać. *Któregoś dnia uśmiechnie się do mnie tak, jak tego pragnę* - stwierdziła w myśli.

Nigel popatrzył na słuchaczy siedzących pod przeciwległą ścianą, pokazał na tablicę i oznajmił:

- Jezus Chrystus pragnie być ośrodkiem wszystkiego, co robimy. Życie, jakie nam daje, to prawdziwe życie. Jedyny rodzaj życia, w którym będziemy kochani tak, jak mamy być kochani. - Przeszedł na drugi koniec sali, ale znowu spojrzął na Mary. - Chrystus ma w sobie taką miłość, jakiej każdy z was całe życie pragnął. Największą miłość w całym wszechświecie.

Czy na tym polega cała jego nauka? - zastanawiała się Mary, wierząc się już nerwowo. *Przez dwie godziny mówi, jak i dlaczego Bóg jest wielki i wspaniały, i jeszcze to, że największym celem ludzkiego życia jest Boża miłość?!* Nigel tymczasem poprosił zebranych, żeby otworzyli swoje egzemplarze Biblii na rozdziale dziesiątym ewangelii według świętego Jana. Wtedy Mary przestała go słuchać, już miała dość. Jeżeli Nigel nie miał do podania żadnych faktów, nie dysponował niczym ciekawszym niż własne opinie na temat Boga, nie zamierzała siedzieć w tej sali. *Któregoś dnia to on postucha mnie - myślała - i wtedy nie będę musiała specjalnie przychodzić na jego zajęcia, żeby usłyszeć jego głos. Będzie mówił do mnie, kiedy będę chciała!*

W moim pokoju, a w każdym razie na moich warunkach.

Mary wstała i wyszła, nie oglądając się za siebie. Na korytarzu zobaczyła dziewczynę mniej więcej w swoim wieku, może kilka lat starszą. Widziała ją już wcześniej; przychodziła do ośrodka na obiady albo gawędziła z ludźmi, którzy chodzili na zajęcia Nigela.

Mary ruszyła w stronę dziewczyny żeby przejść koło niej i wrócić do swojego pokoju. Na widok Mary dziewczyna przewróciła oczami i zagadnęła:

- Jak zacięta płyta, no nie?

Pytanie zaskoczyło Mary. Kobiety w ogóle rzadko z nią rozmawiały. O mało nie obejrzała się przez ramię, żeby się upewnić, czy dziewczyna nie odezwała się do kogoś innego. Oparła się jednak o ścianę i spytała:

- Masz na myśli naukę Nigela?

- T a k .

Rozmówczynie miała na sobie o jeden numer za małe dzinsy i top z dużym dekoltem. Była chuda, miała ciemne włosy - była ładna, choć miała surowy wygląd. Wygląd kobiety, która przeżyła co najmniej parę lat na ulicy.

- Weszłam tam i usłyszałam, że dzisiaj ma być nauka o miłości - parsknęła pogardliwym śmiechem. - Nie potrzebuję wykładu jakiegoś świętoszka na temat miłości. Ja już wiem, co to jest miłość - znowu roześmiała się smutno. - Jeśli chodzi o moje życie, miłość to coś, co umożliwia mi płacenie rachunków. Jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Mary nie była pewna. Spojrzała na dziewczynę z zaciekawieniem. Ta odebrała to jako zaproszenie do dalszej rozmowy.

- Robisz numerki, prawda?

- Numerki? - Mary zarumieniła się. *Ona musiała mnie rozpoznać* - pomyślała. - Masz na myśli prostytuowanie się?

- A cóżby innego? - Dziewczyna spojrzała w stronę drzwi, zza których wciąż dolatywał głos Nigela, i za-

proponowała: - Chodźmy stąd. Możemy pogadać na zewnątrz.

- Dobrze. - Mary nie czuła się zmęczona, a dziewczyna wydała się jej interesująca. Robiła wrażenie osoby, z którą naprawdę da się porozmawiać. Wyszły więc z ośrodka i przeszły razem kilkanaście metrów.

- Jesteś tam nowa, prawda?

- Mniej więcej. Pracuję w ośrodku trzeci tydzień.

Dziewczyna zarzuciła włosy za ramię i oparła się o mur.

- Mam na imię Summer - przedstawiła się. Obrzucała Mary wzrokiem od stóp do głów. - Wiem, kim jesteś. To oczywiste, że jesteś prostytutką. Popatrz tylko na siebie.

Mary nie miała ochoty przyznawać się do swojej przeszłości. Chętnie natomiast udzieliła odpowiedzi na temat terażniejszości:

- Nie, nie jestem prostytutką.

- W takim razie będziesz - odparła ze śmiechem dziewczyna. Pokazała na ulicę. - Wszędzie wokół czeka na ciebie fortuna. Daj spokój, z taką twarzą i ciałem!...

Mary dziwnie się poczuła. *Fortuna?* - zastanowiła się. *Dlaczego nigdy wcześniej o tym nie pomyślałam? W poprawczaku nie mogłam pracować jako prostytutka. To znaczy mogłam sypiać z kim chciałam, i prawie nigdy mnie nie przytłapali, ale nie mogłam wyjść z budynku i zarabiać na tym... Teraz jestem dorosła, mam już osiemnaście lat. Za rok, kiedy zakończę obowiązkową pracę w ośrodku, będę mogła robić, co tylko zechcę.*

Zachodziło słońce. Zaświeciło Mary prosto w oczy. Osloniła je dłonią i odpowiedziała:

- Odpracowuję jeszcze wyrok. Muszę tkwić w Ośrodku Nowego Życia przez rok - potem będę mogła się zastanowić, co robić dalej.

- Co ty! - Summer machnęła ręką. - Ja też kiedyś miałam odpracować wyrok. Wystarczy, że stamtąd znikniesz. Owszem, wpiszą cię na odpowiednią listę, ale nikt nigdy nie będzie cię szukał. Jak ty się kiedykolwiek uniezależnisz bez pieniędzy? - Znowu spojrzała wymownie na ulicę.

Dobre pytanie - stwierdziła Mary. *W ośrodku płacą mi trochę, pięćdziesiąt dolarów za tydzień. Do tego mam wyżywienie i mieszkanie za darmo. Za rok, jeśli nic nie wydam, będę miała dwa tysiące czterysta dolarów. Jak dla mnie to fortuna. Bez wątpienia wystarczy na podróż do Nowego Jorku i próbę odzyskania babci, jeśli jeszcze tam żyje.*

- W ciągu roku zaoszczędzę ponad dwa tysiące dolarów - oznajmiła, patrząc w oczy Summer. - To nie tak źle.

- Dwa tysiące przez rok? - Summer założyła ręce i parsknęła śmiechem. - Na ulicy można tyle zarobić w ciągu miesiąca.

Niemal od urodzenia Mary знаła kobiety, które za pieniądze spełniały potrzeby mężczyzn. W pierwszym roku pobytu w domu poprawczym doszła do wniosku, że jej mama była właśnie prostytutką. Przypomniała jej się rozmowa, którą odbyły z matką mniej więcej miesiąc przed jej zniknięciem.

„Mamo, dlaczego w niektóre wieczory tak się stroisz?”
- spytała wtedy Mary. Była wówczas mała i nie do końca wiedziała, o co chodzi. Była pewna, że mama zażywa narkotyki, bo słyszała, jak mówiła o tym babcia. Ale nie wiedziała, skąd mama bierze na te narkotyki pieniądze.

„Mama w nocy pracuje, kochanie” - wyjaśniła matka.

„A co robisz?”.

„Hm... Zajmuję się mężczyznami”.

Taką samą pracę wykonywała Mary dla Jimbo przez te wszystkie lata, które spędziła zamknięta w piwnicy. Była prostytutką.

Summer ciągle coś mówiła, opowiadała, że jednego roku miała wyjątkowo dobry miesiąc:

- Wyciągnęłam wtedy siedem tysięcy! Ale byłam jeszcze młoda, tak jak ty teraz. W tej chwili mam już na karku dwadzieścia pięć lat. Jeszcze pięć albo może dziesięć, i będę musiała poszukać sobie innej roboty - roześmiała się, jak gdyby było to najzabawniejsze z wypowiedzianych przez nią zdań.

Mary zastanawiała się, czy ona też będzie czuła się stara w wieku dwudziestu pięciu lat. *Okropność!* - pomyślała. *Prostytucja to dochodowe zajęcie na krótki czas. Ale żeby zrobić sobie z tego sposób na życie? Wolalabym umrzeć z głodu.*

- Może gdybyś znalazła sobie inną pracę, poczułabyś się lepiej? - odezwała się.

- Nic nie opłaca się tak jak prostytutka - Summer wzruszyła ramionami. - Sama zobaczysz, mała.

- Nie! - sprzeciwiła się zdecydowanie Mary. Pomyślała o Nigelu. - Będę pracowała w sekretariacie, dopóki

nie znajdę prawdziwej miłości! - Skrzywiła się. - Chociaż nie mówię o takiej, o jakiej opowiada Nigel Townsend.

- Ach... - Summer przyjrzała się Mary uważnie. Uśmiechnęła się powoli. - Zakochałaś się w nim.

- Nie - Mary pokręciła głową. - Nigdy nie mogłabym...

- Złamię ci serce - przerwała Summer. - Jest anielsko przystojny, kawał chłopca, no i jest dobrym człowiekiem. Nie znam równie atrakcyjnego faceta jak Nigel Townsend. - Westchnęła. - Tylko że to nie jest typ mężczyzny, z jakim masz szansę się związać. Ty czy ja. - Summer zmrużyła oczy i spojrzała w ciemniejące niebo. - To bardziej anioł niż mężczyzna. Kobieta, na którą zwróci uwagę, będzie jedną z tych pobożnych. Ty czy ja nigdy się takie nie staniemy.

Wypowiedź Summer rozżłościła Mary. *Nie wiesz, czego pragnie Nigel!* - pomyślała. *Wszyscy mężczyźni pragną przecież takiego samego rodzaju miłości. I naprawdę znam się na zaspokajaniu ich pragnień w tym zakresie... Dość tej rozmowy.*

Mary skierowała kroki z powrotem w stronę ośrodka.

- Co jest? Wystraszyłam cię? - zawołała za nią Summer, ale Mary przyspieszyła. Za plecami usłyszała jeszcze śmiech Summer.

Przeszła przez ruchliwą ulicę i weszła do parku. Myślała o tym, że w ośrodku panują surowe reguły - nie wolno wychodzić bez zezwolenia jednego z pracowników, i to tylko w razie absolutnej, konkretnej potrzeby i na krótki czas. Na pewno nie po zmroku. Tymczasem właśnie się ściemniało.

A jednak... Mary wiedziała, że Nigel będzie prowadził zajęcia do dwudziestej pierwszej. Pozostali pracownicy ośrodka poszli już do domu albo siedzieli w sali z Nigelem. Zaczął wiać lekki wiatr, i dobrze, bo wcześniej było gorąco i wilgotno. Mary zwolniła kroku i przystanęła. Zobaczyła naprzeciw siebie parę. Marzyła o tym, żeby być kobietą właśnie z takiej pary - piękną, dobrze ubraną, chadzającą pod rękę z przystojnym mężczyzną, spędzającą czas na rzeczach, o których dotąd mogła tylko śnić: na randkach i na miłości, jaką знаła - ale odwzajemnionej miłości. Tak właśnie pragnęła żyć z Nigelem. Oparła się o drzewo. Twarda kora kłuła Mary w plecy, ale ona nie zwracała na to uwagi. Małżeństwo zatrzymało się przy placu zabaw, młoda kobieta usiadła na huśtawce.

Nie było słyhać, co mówią, w każdym razie kobieta śmiała się, odrzucając głowę, podczas gdy mężczyzna popychał krzeselko. W końcu para zmęczyła się wspólną zabawą i ruszyła dalej alejką przez środek parku. Kiedy znikli Mary z oczu, znowu pomyślała o tym, co powiedziała Summer o Nigelu: „Złamię ci serce”. Tak, Nigel zamierzał związać się z kobietą wierzącą, dobrą i czystą...

Summer ma rację! - pomyślała z rozpaczą Mary, podczas gdy w jej oczy uderzył silniejszy powiew wiatru. *Nigel nigdy mnie nie zechce! Będzie mi tylko opowiadało Bożej miłości, zachęcał do pójścia za Jezusem, do tego, żeby umrzeć dla siebie, a żyć dla Chrystusa... Ale nigdy mnie nie zaakceptuje, z powodu mojej przeszłości! przecież dobrze o niej wie. Każdy szczegół został opisany w mojej kartotece.*

Mary wzięła głęboki oddech. Była połowa lipca. W powietrzu nie było już czuć zapachu kwitnących wiśni, zastąpiła go intensywna woń świeżo skoszonej trawy. *A jeśli Summer nie myli się także w innych sprawach?... - zastanawiała się Mary. Dwa tysiące dolarów po całym roku pracy? W której będą codziennie spotykała Nigela, nie zwracającego na mnie uwagi w taki sposób, w jaki bym pragnęła?...*

Ten rok będzie się dla mnie ciągnął jak dziesięć lat!

Nie chcę być prostytutką; ale gdybym tak robiła to przez krótki czas... Miesiąc, dwa. Wtedy zarobiłabym szybko dość pieniędzy, żeby wrócić do Nowego Jorku. Mary zagryzła wargi i ruszyła przed siebie. Nie muszę decydować się dziś - myślała. Popracuję jeszcze w sekretariacie i pokręcę się wokół Nigela, powiedzmy z tydzień; zobaczę, czy coś się zmieni. Jeśli nie - cóż, kiedy tylko zechcę, będę mogła zacząć za pieniądze zaspokajając potrzeby mężczyzn.

Skierowała się z powrotem ku skrzyżowaniu głównych ulic. Ośrodek mieścił się przecnicę dalej. *Wyśpię się porządnie i rano już pewnie nie będę pamiętała, że miałam takie myśli - oceniła Mary. A Nigel w końcu dozna oświecenia.*

Doszła do skrzyżowania i wcisnęła przycisk, aby zapaliło się zielone światło. W tej samej chwili przejechał koło niej lśniący czarny samochód. Kierowca był łysy i miał na sobie drogi garnitur. Wbił spojrzenie w Mary, i zanim zapaliło się dla niej zielone światło, zawrócił. Znowu się w nią wpatrywał. I znowu zawrócił. Tym razem zjechał na chodnik i zatrzymał się koło Mary.

- Cześć, ślicznotko - odezwał się, patrząc błyszczącymi oczami. Nie miał tak uduchowionego spojrzenia

jak Nigel, ale przynajmniej nie miał wzroku złoczyńcy jak Jimbo.

- Czy my się znamy? - odezwała się po chwili Mary, zaniepokojona. Nie przypominała sobie tego mężczyzny. Czyżby rozpoznał ją jako niegdysiejszą bohaterkę ekscytujących relacji telewizyjnych?

- Tak się składa, że... - Mężczyzna skinął na Mary i przejechał samochodem kilka metrów, żeby nie zastawiać przejścia dla pieszych, a potem wyłączył silnik. - Wsiadaj - poklepał dłonią fotel. - Prowadzę w tej okolicy interes.

Interes? Mężczyzna wyglądał na kogoś ważnego, ale nie groźnego. Mary otworzyła drzwi samochodu i przysiadła obok kierowcy, pozostawiając jedną stopę na chodniku.

- Jakiego rodzaju... interes? - spytała.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Zajmuję się bankowością.

- Ach. A skąd mnie pan zna?

Mężczyzna posmutniał, ale chyba był to udawany smutek.

- Nie wiem - powiedział. Dotknął brody Mary i oznajmił: - Wyglądasz mi znajomo.

Mary zamierzała wsiąść i odejść, żeby jej rozmówca nie zdążył sobie przypomnieć, gdzie ją widział.

- Czekaj, wiem! - Mężczyzna aż sapnął. Strzelił kilkakrotnie palcami. - Jesteś tą dziewczyną, którą uwolnili z piwnicy! - Pokazał na nią palcem - Mary, prawda?

Mary zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Powinnam już iść, zanim...

- Czekaj! - rzucił poważnym tonem mężczyzna.

- To, co ci się przydarzyło, było okropne. - Zawahał się, zacisnął usta i spytał: - Czy jesteś... Czy jesteś sama?

- Tak. - Mary wzruszyła ramionami. Nie miała wątpliwości, że rozmawia z bogatym człowiekiem. W samochodzie unosił się zapach skórzanej tapicerki i dobrej wody kolońskiej. Mężczyzna wydawał się raczej fałszywym człowiekiem - ale nie groźnym. Była o tym przekonana.

- Pracujesz tu? - spytał, patrząc jej badawczo w oczy

Mary skinęła głową. Zastanawiała się, czy powiedzieć, że pracuje w sekretariacie w Ośrodku Nowego Życia, ale się rozmyśliła.

- Oszczędzam na podróż do Nowego Jorku - wyznała.

Mężczyzna oblizał dolną wargę.

- Czy masz już... osiemnaście lat?

- T a k .

- Mary - zawyrokował z uśmiechem kierowca
- myślę, że jestem w stanie ci pomóc. - Oparł się o drzwi samochodu. - W jakim charakterze chciałabyś u mnie pracować?

Mary pokręciła głową, ale mężczyzna uniósł dłoń i wyjaśnił:

- Nie mówię o takiej pracy, o jakiej pomyślałaś! Mam na myśli pracę biurową - byłabyś sekretarką, pisałybyś na komputerze, wypełniałybyś rubryczki, odbierała telefon. - Mówił niby obojętnym tonem, ale wpatrywał się

w oczy Mary intensywnym spojrzeniem. - Będę ci płacił dwa razy więcej, niż zarabiasz w tej chwili.

Z języka jego ciała Mary odczytała, że nie zamierza zrobić jej krzywdy.

- Brzmi nieźle - oceniła.

Na twarzy mężczyzny wykwitł sztuczny uśmiech.

- Będziesz miała swoje miejsce pracy, kupię ci lepsze ubrania. Mogłabyś zacząć od najbliższego poniedziałku.

Mary zakręciło się w głowie. Nie zażywała narkotyków od chwili przybycia do ośrodka, ale poczuła, że potrzebuje coś wziąć. Propozycja tego człowieka wydawała się jej zbyt szybka, zbyt korzystna, żeby mogła być prawdziwa.

- Nie wiem... - bąknęła.

- Mam wrażenie, że - mężczyzna uniósł rękę i lekko dotknął ramienia Mary - zasłużyłaś na odrobinę spokoju.

Mary chciała wziąć głęboki oddech, ale poczuła ucisk w piersi.

- Czy mam teraz pojechać z panem? - zapytała.

Mężczyzna zmrużył oczy i popatrzył na ulicę.

- A gdzie mieszkasz?

Mary zarumieniła się znowu.

- W domu pomocy społecznej - mruknęła. - Ośrodek Nowego Życia.

Wydawało się, że tym razem jej rozmówca naprawdę posmutniał.

- Skoro tak, będziesz musiała pojechać ze mną - stwierdził.

- A co będzie z moimi ubraniami i pozostałymi rzeczami? - spytała Mary.

- Kupimy ci nowe - odparł łysy mężczyzna, kręcąc głową. - Będziesz miała przed sobą całkiem inną perspektywę.

Mary popatrzyła w stronę budynku ośrodka. *Mogę chyba sprawdzić, do czego zaprowadzi mnie ta znajomość?* - zastanawiała się. *Jeżeli ta praca okaże się niewypałem, wróć do ośrodka, na przykład za tydzień.* Nabrała odrobinę pewności siebie. Będzie pracowała u biznesmena - pomyślała - a to poważana praca. Nie taka jak prostytutka.

A może, kiedy będę miała dobrą pracę, i Nigel spojrzy na mnie łaskawszym okiem?

- Nie martw się, Mary - odezwał się mężczyzna, zerkając w lusterko wsteczne. - Wszystko będzie dobrze.

- Zgoda - zdecydowała. Kiedy zatrzasnęła drzwi, ogarnął ją nagły strach - kierowca wcisnął guzik i drzwi samochodu zostały zablokowane. - Dokąd teraz pojedziemy? - zapytała Mary.

- Mam apartament pod dachem, gdzie goszczą biznesmenów spoza Waszyngtonu. Świetnie się w nim czują. - Mężczyzna zakręcił kierownicą i ruszył. - Będziesz tam bezpieczna - dodał, zerkając na Mary. - Jutro kupimy ci trochę ubrań i znajdziemy ci odpowiedni gabinet w moim biurówcu.

- Ma pan własny biurowiec?!... - Mary aż dech zaparło. Wszystko naprawdę działa się bardzo szybko.

- Jestem właścicielem dziesięciu budynków - odparł ze śmiechem mężczyzna.

Mary zabrakło słów. Bez wątpienia rozmawiała z milionerem, może nawet miliarderm? Ale *czego taki człowiek ode mnie chce, i dlaczego załatwił to tak szybko?* - zastanawiała się. Wcisnęła plecy w oparcie fotela i machinalnie chwyciła się podłokietników. *Przecież on nawet mi się nie przedstawił ani nie powiedział, jak nazywa się jego firma! A jeżeli to wcale nie jest biznesmen?!...* Mary przypomniała się pewna scena, i aż zakręciło się jej w głowie ze strachu. Kiedy ostatni raz wsiadła do samochodu i ruszyła w nieznanym kierunku, Jimbo i Lou zawieźli ją do piwnicy, gdzie więzili ją przez pięć lat! Usta Mary wyschły nagle tak, że ledwie była w stanie wypowiedzieć krótkie pytanie:

- Jak pan się nazywa?

Mężczyzna prowadził szybciej niż inni, wyprzedzał jadące ulicami miasta samochody.

- Clayton Billings - rzucił, nie odrywając wzroku od drogi. - Możesz mówić mi po imieniu - dodał, kiwając głową.

Clayton Billings? - zdumiała się Mary, puszczając podłokietniki. Czyżby był to właściciel sieci banków Billings Savings?! Widziała takie imię i nazwisko na kilku dokumentach, które wypełniała. Kręciło się jej w głowie od nadmiaru wrażeń. Wyglądało na to, że jeden z najbogatszych ludzi w Waszyngtonie właśnie zaproponował jej pracę. *To najwspanialszy dzień mojego życia!* - pomyślała Mary. *Dzień, począwszy od którego wszystko się zmieni!*

Babcia Peggy będzie ze mnie bardzo dumna.

Nagle Mary gwałtownie wciągnęła powietrze i przyłożyła dłoń do ust. Myśl o babci o czymś jej przypo-

niała. Obejrzała się przez ramię, ale odjechali już daleko od Ośrodka Nowego Życia. I od Nigela Townsenda, który bez wątpienia wciąż opowiadał o miłości Chrystusa. Mary musiała skłonić Clayтона Billingsa do zawrócenia - zapomniała swojej czerwonej portmonetki z koralikami!

- Zaczekaj! - odezwała się do Clayтона drżącym głosem. - Musimy zawrócić, proszę cię!

Billings zwolnił, ale nie zatrzymywał samochodu.

- Nie bój się - powiedział. - Wszystko będzie dobrze. A nawet świetnie. Zobaczysz.

- N i e o to chodzi! - Mary nerwowo szarpnęła za klamkę, ale drzwi samochodu były zablokowane. - Zapomniałam czegoś - czegoś, co ma dla mnie wyjątkową wartość.

Clayton przycisnął ją dłonią do fotela i trzymał rękę przed Mary, blokując jej ruchy.

- Pojedziemy po to - zapewnił. - Zainstalujemy cię najpierw w nowym miejscu.

Mary czuła, że oddała się od Ośrodka Nowego Życia i od dziwnej nauki o tym, że trzeba umrzeć dla siebie, do której chciał ją przekonać Nigel. Nie miała innego wyboru, jak zaufać Claytonowi Billingsowi. Uwierzyć mu, że za kilka dni, kiedy tylko będzie miała nową pracę i miejsce zamieszkania, będzie mogła wrócić po swoją czerwoną portmonetkę.

Niezależnie od tego, gdzie rzucał ją los, mimo rozmaitego rodzaju więzień, do których ciągle trafiała Mary, czerwona portmonetka przez cały czas przypominała jej o nadziei. Nadziei, że gdzieś daleko żyje babcia Peggy i że

jakoś się odnajdą. A jeżeli nie uda jej się znaleźć babci, to przynajmniej doczeka się miłości. W małej czerwonej portmonetce z koralikami leżała obietnica lepszych dni dla Mary.

Ale teraz Mary w ciągu kilku minut pozostawiła za sobą nie tylko dotychczasowe życie, lecz także portmonetkę.

17



Opowieść Mary o trudnych kolejach jej losu nie dobiegła jeszcze końca. Mary podniosła się z kanapy i przeciągnęła się. *Dlaczego pojechałam wtedy z Claytonem?* - zastanawiała się. *Mogłam wrócić do sali, w której Nigel nauczał religii. Nie byłam wówczas przygotowana na słuchanie o tym, żeby umrzeć dla siebie, ale przecież miałam absolutną pewność, że Nigel chce dla mnie wszystkiego, co najlepsze...*

Emma także wstała. Podeszła do Mary, dotknęła lekko jej ramienia i upewniła się:

- Clayton nie okazał się dobrym człowiekiem?

Mary powoli pokręciła głową, a potem obróciła się i oparła się o parapet.

- Rzeczywiście był bardzo bogatym i wpływowym biznesmenem. - Westchnęła i wyjrzała za okno. - Ale nie był dobry.

- Rozumiem...

Mary nie miała wątpliwości, że Emma rozumie jej opowieść. Wszak ostatnie cztery lata Emma Johnson przeżyła z mężczyzną bardzo podobnym do Clayтона Billingsa.

- To dziwne, do jakiego stopnia potrafi zatrzeć się granica pomiędzy miłością a cierpieniem, kiedy jesteś z mężczyzną, który cię maltretuje... - westchnęła Mary.

Emma cofnęła się. Nie miała ochoty na opowiadanie ani o maltretującym ją mężczyźnie, ani o wszystkich pozytywnych aspektach jej związku. W każdym razie nie chciała mówić Mary o szczegółach.

- Muszę sprawdzić, co z moimi córeczkami - odezwała się, pokazując na drzwi. - Ale chciałabym posłuchać, co było dalej - dodała po chwili wahania.

Mary spojrzała na zegarek.

- Zróbmy sobie dziesięć minut przerwy, dobrze?

- Wrócę za dziesięć minut - zgodziła się Emma.

Kiedy poszła, Mary nalala do dwóch szklanek mrożonej herbaty i usiadła z powrotem na kanapie. Kiedy opowiadała tę część swojej historii, zawsze budziło się w niej głębokie współczucie dla Nigela. Był tak pewien, że Mary dozna oświecenia, a tymczasem ona wymknęła się z ośrodka. Nigel nie był w stanie jej powstrzymać.

Zaczekam ze wspomnieniami na Emmę - pomyślała Mary - a na razie się pomodłę. Kiedy Emma usłyszy fragment o Claytonie, bez wątpienia skojarzy jej się z jej związkiem z Charliem, którego właśnie opuściła.

A później nadejdzie chwila, w której Emma będzie musiała dokonać wyboru.

Jej decyzja nie będzie tak pospieszna jak ta o ucieczce od Charliego. Wówczas kierowała się lękiem o swoje życie. Jednak prawie wszystkie maltretowane kobiety

znajdują jakieś usprawiedliwienia krzywd, które wyrządzą im ich ukochani mężczyźni, i większość z nich przynajmniej rozważa powrót do nich. Mary wiedziała, że z Emmą będzie tak samo. Jej następna decyzja będzie decyzją ostateczną. Powróci do Charliego i do dotychczasowego życia albo chwyci się koła ratunkowego, które rzucił jej Chrystus.

Emma nadeszła z powrotem, otworzyła drzwi gabinetu i znowu usiadła na krześle.

- Dziewczynki mają się bardzo dobrze - zakomunikowała z uśmiechem, choć w jej spojrzeniu widać było niepokój. - Podoba im się tutaj.

- Doskonale. Nalałam nam mrożonej herbaty. - Mary pokazała na stół.

- Dziękuję. - Emma wzięła głęboki oddech. - Czy Nigel... czy Nigel cię odnalazł?

- Próbował. - Mary powróciła do swoich wspomnień. - Martwił się o mnie okropnie, modlił się przez cały czas. Ale w żaden sposób nie był w stanie mnie znaleźć. Nie było żadnych śladów, niczego. - Mary wypila łyk herbaty. - I szczerze mówiąc, z początku wcale nie myślałam o Nigelu. Clayton sprawił, że poczułam się jak w bajce.

Clayton zawiózł Mary do wysokiego apartamentu pod dachem. Podłogi wyłożone były płytkami, parapety i blaty były marmurowe, w sypialni znajdowały się stosy poduszek i jedwabne koldry. Dotąd przez całe życie Mary mogła jedynie marzyć o takim domu. Przypominał jej sceny z filmów, które widziała w telewizji.

- Tu właśnie będziesz mieszkać - oznajmił Clayton, pokazując Mary przestronny apartament. Weszli do kuchni; Clayton otworzył po kolei kilka szafek. - Jedz sobie wszystko, co tu znajdziesz. Każę jutro przywieźć świeżą dostawę żywności.

Mary wprost nie dowierzała swojemu szczęściu.

Kiedy Clayton skończył tłumaczyć jej, gdzie znajdują się najrozmaitsze rzeczy, spojrzął na zegar ścienny i stwierdził:

- Późno już.

Czy teraz zaprowadzi mnie do sypialni, tak jak Jimbo do piwnicy? - zastanawiała się Mary. Jednak Clayton cofnął się i uśmiechnął się do niej miło.

- Rozgość się i ciesz się swoim nowym mieszkaniem - powiedział. - Jutro przyjadę i porozmawiamy o twojej nowej pracy.

- Dobrze. Dziękuję! - Mary była pod tak wielkim wrażeniem wszystkiego, że ledwie była w stanie oddychać. *Cóż to za człowiek, który ofiarowuje mi na srebrnej tacy wszystko, czego tylko człowiek może zapragnąć, i nie żąda niczego w zamian?* - myślała. *Nawet Nigel domagał się czegoś ode mnie - tego, żebym uwierzyła w Boga i zaufała Mu. Ale Clayton nie chce ode mnie zupełnie niczego. Wygląda na to, że jest szczery.*

I tak pierwszej nocy spędzonej w luksusowym apartamencie Mary prawie nie spała, bojąc się, że Clayton wróci i przykuje ją do łóżka. Kiedy wreszcie zasnęła, a potem obudziła się rano, zobaczyła w kuchni świeże rogaliki, owoce i kawę - niewątpliwie ktoś przyniósł je

z polecenia Clayтона. Mniej więcej w południe do drzwi zadzwonił człowiek, który przyniósł Mary kolejną pełną torbę zakupów. Wkrótce potem przybył następny - ten wręczył jej bukiet róż.

Clayton pojawił się o piętnastej.

- Cześć, Mary - rzucił z uśmiechem. - Jak się czujesz?

- Jak w niebie! - odpowiedziała, roześmiana.

- I słusznie. - Clayton podszedł do wazonu z kwiatami i wciągnął w nozdrza zapach róż. - Dziewczyna, która wygląda jak anielica, powinna czuć się jak w niebie.

Usiedli przy stole i napili się razem kawy, najpyszniejszej, jaką Mary w życiu miała w ustach. Później Clayton wstał i ruszył w stronę wyjścia.

- Rano przyjedzie tu jedna z moich asystentek - powiadomił. - Ma na imię Betty. - Poglądził przelotnie dłoni Mary. - Betty zabierze cię na zakupy. Jutro o tej porze będziesz miała całkiem nową garderobę - oznajmił, mrużąc oko.

I poszedł, także tego dnia o nic nie prosząc. Mary wzięła jego zachowanie za dobrą monetę. Kiedy naza jutrz zjadła śniadanie, w drzwiach apartamentu stanęła kobieta o imieniu Betty. Zawiozła Mary do najwspanialszych, najbardziej ekskluzywnych sklepów w całym Waszyngtonie. Była już starszą osobą, niezbyt rozmowną. Nie wyglądała jednak na zaniepokojoną tym, że jej szef sprowadził Mary do apartamentu.

- Clayton lubi towarzystwo pięknych kobiet - powiedziała Betty. - Zazwyczaj dostaje to, czego chce.

Aha. Chyba nie chce ode mnie niczego - myślała Mary.

Pod koniec tygodnia miała już mnóstwo nowych ubrań, butów, perfum i rozmaitych kosmetyków, a wszystko najlepszych i najdroższych marek. Clayton zadbał także o to, aby w jej łazience znalazły się znakomite szampony, cudownie pachnące mydła, mleczka kosmetyczne. Było też jacuzzi. W piątek Betty zawiozła Mary do ekskluzywnego salonu pielęgnacji w bogatej dzielnicy.

Fryzjerka przycięła końcówki włosów Mary, po czym cofnęła się i uniosła brwi.

- Ma pani niezwykle piękne włosy - oceniła. - Nie robiłabym z nimi nic więcej.

Mary nie chciała więc od fryzjerki niczego więcej.

Nadeszło sobotnie popołudnie. Clayton już wcześniej zapowiedział swój przyjazd. Mary przechadzała się po ogromnym mieszkaniu, przystając przy wielkich oknach. Nie znajdowała się bardzo daleko od Ośrodka Nowego Życia - może z siedem, osiem kilometrów? Patrzyła w stronę zachodzącego słońca na rozległy widok rozciągający się z wysokości trzynastego piętra. *Wśród morza dachów musi gdzieś znajdować się i dach ośrodka* - myślała.

Oparła czoło o szybę. *Co teraz robi Nigel?* - zastanawiała się. Może zebrał moje rzeczy i trzyma je gdzieś *razem* na wypadek, gdybym kiedykolwiek pojawiła się z powrotem?

Wyprostowała się. Poczula się dumna. *Po cóż miałabym wracać w tej sytuacji?* Co dzień trochę mniej myślała o Nigelu, a w ciągu ostatniej doby poczuła, że zakochuje się w Claytonie Billingsie. Clayton nie dał jej żadnego sygnału, że czuje do niej cokolwiek szczególnego. *Może*

chce jedynie dać mi szansę? Naprawdę nowe życie, o jakim dawniej mogłam tylko marzyć? Tak przynajmniej mówił za każdym razem, kiedy go o to pytała.

A gdyby taki człowiek jak Clayton Billings jednak poczuł coś do mnie? Zakochał się we mnie? Byłabym ustawiona do końca życia. Ożeniłby się ze mną, i wtedy miałabym wszystko, co tylko jestem w stanie sobie wyobrazić! Ani trochę nie umierając dla Chrystusa...

Jeżeli nigdy więcej nie pojedę do Ośrodka Nowego Życia, to nigdy nie odzyskam swojej czerwonej portmonetki - myślała Mary. Będę więc jednak musiała zajrzeć tam któregoś dnia. Ale może ta portmonetka nie jest aż taka ważna? W końcu matka zostawiła mnie samą z handlarzami narkotyków, a ci z kolei wykorzystywali mnie przez pięć lat. Gdzie przez cały ten czas była moja matka? Albo babcia Peggy? Dlaczego żadna z nich się nie pojawiła, dlaczego nikt nie słyszał, żeby któraś z nich kiedykolwiek mnie szukała? A może obie nie żyją?

Tak, ta czerwona portmonetka przypominała Mary o miłości, za jaką całe życie tęskniła. Ale nikt dotąd nie kochał mnie tak jak Clayton! Nawet jeśli na razie jest to jedynie miłość platoniczna. Jeżeli Clayton ma zamiar opiekować się mną tak jak do tej pory, to nie potrzebuję już mamy ani babci, ani nawet Nigela Townsenda. Wystarczy mi miłość Claytona. Pewnie któregoś dnia pojedę do ośrodka po moją małą portmonetkę, ale na razie będę się cieszyła moim nowym szczęściem, dopóki mnie rozpiera!

Rozległo się pukanie do drzwi. Mary drgnęła i po raz ostatni spojrzała w lustro. Miała na sobie czarne spodnie i białą dopasowaną bluzkę. Włosy związała luźno

czarną wstążką. *Cała moja przeszłość jest dla mnie bez znaczenia* - myślała Mary. *Nigdy nie wyglądałam piękniej niż teraz!* Ruszyła sprężystym krokiem w stronę drzwi i otworzyła je, lekko zdyszana.

- Cześć - powiedziała.

Clayton był wysoki, ale nie tak, żeby ją onieśmiał. Poza tym nie był zbyt przystojny. Miał wydłużoną, trochę końską twarz, zbyt masywną szczękę, był łysy. Jego niebieskie oczy przypominały Mary oczy jej babci. Jednak Clayton roztaczał wokół siebie aurę człowieka dynamicznego i wpływowego. Miał nieokreśloną charyzmę, która sprawiała, że w jego obecności Mary trudniej było oddychać.

- Cześć, M a r y - Odpowiedział, wchodząc. Nie spoglądał poniżej jej szyi. - Zastanawiałem się nad pracą dla ciebie...

Mary poczuła się rozczarowana. *Czy on nawet nie zauważył, jak wyglądam?! - myślała. Czy to mężczyzna podobny do Nigela - taki, który widzi we mnie jedynie materiał do zmiany i nie jest mną zainteresowany w inny sposób, a przynajmniej odrzuca innego rodzaju zainteresowanie? Ktoś, kto jedynie chce podać mi rękę, pomóc?*

Ruszyli z Claytonem do stołu, przy którym już kilkakrotnie pili kawę.

- Powinniśmy chyba o tym porozmawiać - odpowiedziała Mary, starając się ukryć rozczarowanie.

Zaczęła parzyć kawę. Clayton chrząknął i oznajmił:

- Myślę, że może będzie lepiej, jeśli będziesz pracowała tutaj, w tym apartamencie... Przynajmniej na razie.

Mary poczuła w żołądku niepokój, który dobrze znała.

Jaką pracę on ma na myśli? - zastanawiała się. *Czy jednak zostaną zakuta w kajdanki?* Opanowała się i spytała:

- Dlaczego?

- Ludzie ciągle cię pamiętają, Mary - odpowiedział Clayton, spoglądając na nią ze współczuciem. - Ja sam rozpoznałem cię już po paru minutach - przypomniał. - Doszedłem do wniosku, że lepiej będziesz się czuła, jeśli będziesz pracowała w tym apartamencie - stwierdził, ściskając obiema dłońmi filiżankę z kawą.

- Masz na myśli pracę przy komputerze? - upewniła się Mary.

- Tak. - Skinął głową w stronę wnęki, gdzie ustawiono już biurko i komputer. - Przekażę ci dokumenty, nad którymi będziesz pracować, i będziesz mogła to robić tutaj.

Mary odetchnęła z ulgą. Clayton mówił o normalnej pracy, nie czymś takim, do czego zmusił ją Jimbo. *Tylko dlaczego nie jest mną zainteresowany?* - zastanawiała się. *Chociaż trochę?*

- Od kiedy mam zacząć? - spytała.

- Od poniedziałku. Każę przywieźć ci stos dokumentów do przerobienia. Nie będą trudne, łatwo się zorientujesz, co trzeba z nimi zrobić. - Clayton wypił duży łyk kawy. - Wspominałaś coś o tym, że chcesz pojechać do Nowego Jorku. Co cię tam interesuje?

Mary opowiedziała Claytonowi w paru zdaniach, jak bardzo kochała ją babcia Peggy, i o różowym pokoju w mieszkaniu babci.

- Nie wiem, gdzie dokładnie mieszka moja babcia, ale jeżeli nadal żyje, to do tej pory próbuje mnie odnaleźć.

- Współczuję ci, Mary. - Clayton patrzył znad kawy z autentycznym współczuciem, ale nawet w tej sytuacji rozsiewał wokół siebie aurę wielkiego biznesmena.

- Któregoś dnia pojedziemy razem do Nowego Jorku i odnajdziemy twoją babcie - dobrze?

Czy on mówi poważnie? - zastanawiała się Mary. *Jakby tego wszystkiego było mało, zamierza jeszcze pomóc mi odnaleźć babcie? Miała łzy w oczach. Cokolwiek się stanie, cokolwiek zaplanował dla mnie Clayton Billings, to będzie to właśnie coś, po co się urodziłam!* - myślała. *Nikt oprócz mamy i babci nigdy nie troszczył się o mnie tak jak on.*

Nawet Nigel Townsend.

Mary zaczęła pracę nad dokumentami, które polecił przywieźć jej Clayton. Jej dni zaczęły mijać szybciej. W drugiej połowie tygodnia, podczas kolejnych odwiedzin, Clayton pochwalił Mary:

- Jesteś dobrą pracownicą. Może nawet przeniesiesz się do biura szybciej, niż myślałem?

Z każdą godziną spędzoną w towarzystwie Claytona i z każdym wypowiedzianym pod jej adresem komplementem Mary czuła, że jest coraz bardziej zakochana. Nieważne, jak wyglądał Nigel i jak łagodnie patrzył i mówił! Clayton miał w sobie inny rodzaj łagodności, uprzejmość, a także coś, co dawało znać o jego potędze jako przedsiębiorcy. Przebywając z nim, Mary nabierała przekonania, że wie, jaki jest jej życiowy cel. Kiedy Clayton ją odwiedzał, słuchała każdego jego

słowa i skrycie pragnęła, żeby wcale nie wychodził z apartamentu.

Pod koniec kolejnego tygodnia Clayton przyjechał wcześniej niż zwykle. Usiadł z Mary przy stole i ujął jej dłoń. Był wyraźnie pod wpływem silnych emocji.

- Pomyślałem o innej pracy dla ciebie - oznajmił.

Mary nie wiedziała, co to znaczy. Oczywiście była zadowolona. Skoro Clayton pomyślał o innej pracy dla niej, to znaczy, że jej ufał. *A zaufanie może chyba prowadzić do miłości? Miłość Clayтона do mnie będzie zaś oznaczała, że spędzę z nim resztę życia!* - myślała Mary.

Clayton przesunął palcami po jej policzku, potem po jej brodzie.

- Chciałbym, żebyś była moją przyjaciółką, Mary - powiedział. - Będę przyjeżdżał tu częściej - dodał, pokazując szerokim gestem apartament - może codziennie; i będziesz piła ze mną kawę i wysłuchiwała mnie. Sprawiała, że będę czuł się kimś wyjątkowym. - Uśmiechnął się i zwilżył usta językiem. - Co o tym sądzisz?

Propozycja zabrzmiała dla Mary cudownie - szczególnie że Clayton zapowiedział częstsze wizyty.

- Czy nadal będę pracowała nad dokumentami? - upewniła się.

- Tak, przed południem. - Clayton oparł dłoń na jej dłoni. - Popołudnia będziesz mieć mniej męczące. Będziesz spędzała je ze mną.

- Ale... muszę przecież zarabiać. - Mary rozejrzała się po swoim nowym mieszkaniu. - Nie mogę oczekiwać, że będziesz cały czas płacił za wszystko.

- Wiesz, co sobie myślę? - odpowiedział Clayton, cofając dłoń. - Myślę, że popracowałaś już dość. Od tej pory możesz być moją przyjaciółką, wyjątkową dziewczyną, którą będę mógł odwiedzać. Będę z tobą rozmawiał i opiekował się tobą. - Uśmiechnął się, a jego twarz wyrażała szczerą powagę. - Inni ludzie wokół mnie nie wysłuchują mnie tak jak ty, więc twoją pracą może być właśnie to, co powiedziałem. Jak ci się to podoba?

Mary złożyła dłonie, podczas gdy jej serce skoczyło z radości.

- Naprawdę? - upewniła się. *Cóż to za cudowny, niezwykle człowiek!* - myślała. *Doznałam w życiu wielu cierpień, ale teraz właśnie nastąpiła odmiana, na jaką czekałam! Clayton nie mówił o zaspokajaniu jego potrzeb fizycznych - chociaż nie miałabym nic przeciwko temu.* Do pewnego stopnia pragnęła je zaspokajać właśnie dlatego, żeby ofiarować mu coś w rodzaju miłości, wdzięczności za całą miłość, jaką jej okazywał. Ale Clayton nie żądał od niej niczego takiego. *Chce jedynie opiekować się mną, rozmawiać ze mną, odwiedzać mnie i czuć, że jestem bezpieczna!*

Bajka, w której nagle znalazła się Mary, zdawała się nie mieć końca.

I wtedy nagle Clayton zmarszczył brwi i powiedział:

- Musimy jednak ustalić jedną rzecz. - Zabrzmiało to niczym niespodziewana, przeraźliwa muzyka w scenie z jakiegoś dreszczowca. Clayton wychylił się naprzód i dokończył: - Moja żona nie może się o tobie dowiedzieć. Absolutnie nigdy! Pod żadnym pozorem - inaczej mogę stracić wszystko.

Co? Żona?! Mary w jednej chwili pobladła. *To on jest żonaty?! - zdumiała się. Wydało się jej, że pokój przechylił się mocno na jedną stronę; musiała chwycić się stołu, żeby nie spaść z krzesła.*

- Jesteś... żonaty? - wyszeptała.

- Oczywiście, że jestem - odparł Clayton, chichocząc. - Od prawie dwudziestu lat jestem szczęśliwym małżonkiem.

- Ale... Myślałam... - Mary czuła się jak ktoś bardzo niemądry. *Przecież cały czas wierzyłam, że Clayton w końcu zakocha się we mnie! I to niedługo... Z trudem usiłowała złapać oddech. - Nie wiedziałam!...*

- Fakt, że tu jesteś, twoja praca - kontynuował Clayton, marszcząc brwi jeszcze groźniej niż przedtem - muszą pozostać naszą tajemnicą. - Pokręcił głową. - Betty nie pisnie nikomu słówka. - Spojrzał złowrogo w oczy Mary i oznajmił: - Tobie także nie wolno. - Parsknął śmiechem. - Żona rozwiodłaby się ze mną, gdyby tylko się o tobie dowiedziała, i odebrałaby mi połowę całego majątku, który w życiu wypracowałem.

Mary poczuła mdłości. Nie była pewna, czy wytrzyma przy stole. To, co mówił Clayton, wydawało się nie mieć sensu. *A więc ma żonę... - myślała. Ale przecież nie zrobił niczego niestosownego, nie okazał mi żadnego zainteresowania, którego nie można by uznać za chęć pomocy, za hojność... Dlaczego więc jego żona miałaby mieć coś przeciwko temu?*

- Nie rozumiem... - przyznała.

Clayton znowu oparł dłoń na jej dłoni, tym razem przysuwając się.

- Jesteś teraz moja, Mary - wyjaśnił z uśmiechem.
- Jeśli zechcę, żebyś pracowała nad dokumentami, to będziesz nad nimi pracowała, a jeżeli będę potrzebował przyjaciółki, to będziesz wysłuchiwała moich zwierzeń. Przecież tego chcesz, prawda? - upewnił się, unosząc pytająco brwi.

- Tak - odpowiedziała natychmiast Mary. - Chcę wszystkiego, co mi dałeś!

- W takim razie w porządku. - Clayton chyba uspokoił się odrobinę. - Muszę uzyskać od ciebie obietnicę, że utrzymasz naszą znajomość w tajemnicy. I że nigdy, przenigdy nie opuścisz tego budynku, jeśli wcześniej nie powiadomisz mnie o tym przez telefon.

Mary nie dowierzała własnym uszom.

- Nie mogę wychodzić, jeżeli cię o tym wcześniej nie powiadomię? - powtórzyła, wpatrując się Claytonowi w oczy.

- Nie - odparł, odrobinę rozszluszczony. - Zostawię ci numer mojego telefonu komórkowego i - sięgnął do kieszeni, wyjął z niej portfel, a z wypchanego portfela plik studolarowych banknotów, które podał Mary - będę dbał o to, żebyś miała pieniądze, kiedy tylko będziesz ich potrzebowała. - Schował portfel z powrotem. - Jeżeli w ogóle będziesz potrzebowała czegokolwiek, dzwoń do mnie. - Clayton uśmiechnął się lekko. - Nie jesteś moim więźniem. Chcę tylko wiedzieć, gdzie się znajdujesz.

Mary przeliczyła gotówkę i ze zdumienia rozszerzyły się jej oczy. *Pięćset dolarów?!* Nigdy w życiu nie widziała tylu pieniędzy. *Nie mogę robić wrażenia zbyt*

podekscytowanej - pomyślała. To jasne, że Clayton ma pieniądze. Jest właścicielem chyba połowy tego miasta. A poza tym... ufa mi. Jimbo nigdy nie wypuszczał mnie z domu samej, zawsze trzymał się tuż obok mnie. Tymczasem Clayton daje mi pieniądze i pozwala mi wychodzić i wydawać gotówkę do woli, według moich zachcianek. Wystarczy, że najpierw powiadomię go, dokąd jadę.

- Proszę - Clayton sięgnął teraz do drugiej kieszeni i podał Mary telefon komórkowy. - Nie będzie w tym apartamencie żadnych innych telefonów. Będziemy porozumiewali się przez tę komórkę. Wpisałem mój numer do książki telefonicznej. - Pokazał jej, jak odnaleźć jego numer w książce i zadzwonić. - W ten sposób zawsze będziesz pamiętała, żeby się ze mną kontaktować.

Mary wzięła telefon. Jej serce powoli zwalniało do normalnego rytmu. *Clayton nie prosi mnie o nic niedobrego - myślała. Chce tylko utrzymać naszą znajomość w tajemnicy i wiedzieć, gdzie jestem. To chyba dlatego, że się o mnie troszczy? A może któregoś dnia dojdzie do wniosku, że jest już zmęczony swoją żoną - która chyba nie okazuje mu wielkiego zrozumienia - i opuści ją, a potem ożeni się ze mną?*

Marzenie Mary ciągle pozostawało realne.

- Dziękuję ci - powiedziała, odkładając telefon pod ścianę. - Rozumiem, że wszystko ma być naszą tajemnicą.

- Jeszcze jedno - odezwał się znowu Clayton, nachylając się i opierając łokcie na kolanach. Patrzył na Mary coraz bardziej surowo. - Wolno ci używać tego telefonu jedynie do rozmów ze mną oraz do zamawiania jedzenia czy

innych rzeczy. Nie wolno ci natomiast prowadzić żadnych prywatnych rozmów. Będę otrzymywał wydruk wszystkich wybranych przez ciebie numerów, jak też wszystkich numerów, z których do ciebie dzwoniło. Rozumiesz?

Nie rozumiem - myślała Mary. Ale może to nie jest odpowiednia chwila na rozmowę o tym? Kiedy już Clayton lepiej mnie pozna i zorientuje się, że może mi ufać, pozwoli mi telefonować, gdzie zechcę. Muszę przecież odnaleźć babcię, i nie zaszkodziłoby, gdybym zadzwoniła do Nigela i uspokoiła go, że nic mi nie jest. Porozmawiam o tym z Claytonem kiedy indziej.

- Skoro tak chcesz... - zgodziła się, kiwając głową.

Clayton ciągle na nią patrzył, jak gdyby ją obserwował. Czekał. W jego oczach pojawiło się coś, co Mary dobrze знаła. *Może i nie chce ode mnie specjalnych przysług czy tego, żebym zaspokoila jego fizyczne potrzeby, ale pociągam go - stwierdziła Mary. Moja uroda oddziałuje na niego tak jak na każdego innego mężczyznę. To dlatego chce zatrzymać mnie tylko dla siebie.* Ta ostatnia myśl sprawiła, że Mary poczuła się zakochana w Claytonie jeszcze bardziej niż przedtem. *Jeżeli w tej chwili mam nad nim ten szczególnie rodzaj władzy - myślała - mimo że jeszcze nie pokazałam mu, do czego jestem zdolna, to już sobie wyobrażam, jak bardzo zafascynowany będzie mną później... W chwili, kiedy będę mogła ofiarować mu miłość, taką jaką znam.*

- Cóż... - Clayton roześmiał się nerwowo. - Czy wyraziłem się jasno? Nikt nie może dowiedzieć się o naszej znajomości. Nikt.

Mary zamierzała żyć według reguł ustalonych przez Clayтона. Jeśli jej księżę będzie zaglądał do jej pałacu

tylko od czasu do czasu, trudno. *Miłość, która już nas połączyła, jest lepsza od wszystkiego, czego doświadczyłam dotąd w życiu* - myślała. *Nawet jeżeli będziemy tylko przyjacielami.* Mary poczuła jednak, że chce wiedzieć, co ryzykuje. Oparła się łokciami o stół i spytała:

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, co się stanie, jeśli ktoś się dowie?

Clayton w jednej chwili spowaźniał.

- Chcesz wiedzieć? - rzucił.

- Tak - odpowiedziała z uśmiechem Mary, drocząc się z nim.

- Jeżeli moja żona dowie się o nas - odparł Clayton, znowu uśmiechając się lekko, choć jego wzrok był zimny jak stal - to będę musiał cię zabić, Mary.

Mary poczuła się, jakby nagle zrobiło się przeraźliwie zimno. Nie była w stanie się ruszyć, a nawet oddychać. Jej serce w końcu zaczęło z powrotem bić, nierówno.

- Claytonie! - odpowiedziała, wstając. - Jak możesz mówić coś tak okropnego!

Clayton roześmiał się znowu i oparł się wygodnie, rozprostowując nogi.

- Nie bierz wszystkiego do siebie tak poważnie - uspokoił, po czym przestał się śmiać i wpatrywał się w Mary roziskrzonym spojrzeniem. - Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy!... - Wyciągnął rękę i musnął palcem kolano Mary, aż przeszedł ją dreszcz. - Tylko nie mów o nas nikomu. - Patrzył jej badawczo w oczy. - Zgoda?

- Zgoda - odpowiedziała. Była roztrzęsiona przez całe następne pół godziny, dopóki Clayton przebywał z nią

w apartamencie. Dopiero kiedy wyszedł, jej oddech się uspokoił. Podeszła do przeszklonej ściany i wyjrzała na panoramę miasta. *On żartował - Myślała. Chyba musiał żartować? Przecież jestem jego pracownicą i przyjaciółką, kimś, kto potrafi go wysłuchiwać. Poza tym człowiek taki jak Clayton Billings nigdy nikogo by nie zabił, a już na pewno nie kogoś takiego jak ja. Cała jego kariera ległaby w gruzach. Poszedłby do więzienia i kompletnie straciłby reputację szanowanego człowieka.*

Mijały kolejne godziny wieczoru. Mary umyła twarz, używając przyjemnych w dotyku i pachnących kosmetyków; w końcu wślizgnęła się pod jedwabną kołdrę, pomiędzy kosztowne poduszki. Jednak cały czas słyszała w myśli głos Clayтона, który powtarzał: „Będę musiał cię zabić, Mary; ...cię zabić, Mary; ...cię zabić, Mary”. Gdy zasypiała w swoim nowym, bajkowym świecie, myślała o tym, jak będzie żyła w nim sama, czekając na wizyty Clayтона, jak będzie unikała rozmów z obcymi ludźmi, a także korzystania z telefonu. Później się obudziła i nie mogła zasnąć. Od północy aż do szóstej rano leżała ogarnięta przez cały czas tym samym przerażającym poczuciem, od którego miała mdłości. Poczuciem, że okropne słowa Clayтона mogły nie być jedynie zwykłym preko-marzaniem się.

Tylko że były prawdziwą, całkowicie realną, wypowiedzianą w desperacji groźbą.



Emma patrzyła niemo przed siebie. Niepokoiło to Mary. Odstawiła opróżnioną szklankę i przyglądała się młodej kobiecie siedzącej naprzeciw niej.

- Później się dowiedziałam, że tydzień po moim zniknięciu babci Peggy udało się dotrzeć do Nigela.

To zainteresowało Emmę. Zmarszczyła brwi.

- I przyjechała z Nowego Jorku do Waszyngtonu?
- zapytała.

- T a k . Policja wreszcie się zorientowała, jaki błąd popełniła, i skontaktowała się z nią. Babcia Peggy przyjechała do Waszyngtonu najbliższym samolotem, i już następnego ranka rozmawiała z Nigelem w Ośrodku Nowego Życia. Nigel zdążył wcześniej powiadomić policję o tym, że przepadłam bez wieści. Nikt nie wiedział, gdzie się znajduję. - Mary zrobiła pauzę. *To naprawdę tragiczny splot wydarzeń - myślała. Tak niewiele brakowało, żebyśmy się wówczas odnalazły. Gdybym nie odjechała z Claytonem Billingssem, zostałyby mi oszczędzone takie mnóstwo cierpień!* - Babcia wyrażała obawę, że nie żyję, ale Nigel nie chciał przyznać jej racji - kontynuowała.

- Dlaczego? - Emma zrobiła się wyraźnie niespokojna, jak gdyby myśli związane z jej własnym życiem nie pozwalały jej dłużej usiedzieć w gabinecie Mary. Jak gdyby dokąś ją gnały.

- Nigel zawsze był człowiekiem o d l i t w y - Wyjaśniła Mary. - Pan Bóg daje mu coś w rodzaju szóstego zmysłu - przecucie, które sprawdza się zawsze, kiedy Nigel myśli o mnie. Powiedział mojej babci, żeby się nie poddawała, że żyję, choć nie wiadomo, gdzie. - Mary westchnęła. - Babcia przez dwa dni chodziła po ulicach Waszyngtonu, szukając mnie wszędzie. Zrobiła plakat z moim aktualnym zdjęciem, wzięła je z kartoteki Ośrodka Nowego Życia.

Emma znowu popatrzyła przed siebie, choć tym razem nic nie mówiła.

- Po kilku dniach babcia ponownie spotkała się z Nigelem i powiedziała mu, że jej zdaniem tylko Bóg może sprowadzić mnie z powrotem. Nigel od dłuższego czasu był tego samego zdania... Następnego dnia przyszła Summer. Powiedziała Nigelowi, że jestem w nim zakochana, i że widziała, jak oddalam się od ośrodka. Nigel podzielił się tą informacją z babcią Peggy. Oboje nabrali przekonania, że żyję.

Emma przytaknęła.

- Czy możemy kontynuować jutro? - odezwała się.

- Dobrze - zgodziła się Mary, skrywając rozczarowanie. Próbowwała odczytać z oczu Emmy jej intencje. Czyżby właśnie zdała sobie sprawę z decyzji, którą musiała podjąć?

Czy rozważała jeszcze powrót do Charliego? - Emmo...

- szepnęła Mary. - Co się stało?

- Nic. - Emma zaczęła wyłamywać palce, postukała stopą w podłogę i wyznała: - Chyba jestem na głodzie.

- Od kilku dni nie brałaś narkotyków - powiedziała Mary oznajmującym tonem, aby okazać Emmie zaufanie. - Prawda?

- Tak - zgodziła się Emma, spuszczać wzrok. Potarła szyję i dodała: - Ale w tej chwili czuję, że bardzo potrzebuję coś wziąć.

- Tak się dzieje w czasie, kiedy najbardziej zmagasz się ze sobą, kiedy toczy się najbardziej zawzięta bitwa o twoją duszę. W większości wypadków fizyczne uzależnienie zmniejsza się po trzech dniach. Ale ty brałaś narkotyki po to, żeby lepiej radzić sobie ze stresem... - Mary zrobiła pauzę. - Ja także. Śniły mi się te okropne koszmary, kłamałam, zadawałam sobie fizyczny ból, straciłam wiarę. Brałam narkotyki, sypiałam z różnymi mężczyznami. Wszystko to były środki zastępcze, za pomocą których usiłowałam poradzić sobie ze stresem, aby przeżyć. A uzależnienie od łatwych, zastępczych środków radzenia sobie ze stresem jest zbyt silne, żeby mogła pokonać je jakakolwiek ziemską siłą.

- Dokładnie - zgodziła się Emma. - Ale w takim razie po co te rozmowy? - spytała, wyrzucając ręce w górę. - Po co opowiadasz mi szczegółowo historię swojego życia, Mary? Nigdy nie stanę się taka jak ty. Zatrzymajcie moje córeczki i opiekujcie się nimi, dobrze? Moje życie jest tam - pokazała za okno. - Z Charliem.

- Wcale nie! - odpowiedziała niemal z płaczem Mary.
- Nie możesz wierzyć w to kłamstwo - bo to jest i zawsze będzie kłamstwo. Jezus Chrystus chce cię ocalić, wyzwolić, tak samo jak zrobił ze mną. A twoje córeczki potrzebują ciebie, i to całej ciebie, wolnej od wszelkich uzależnień.
- Mary wzmocniła głos. - Nie zaczynaj z powrotem dawać wiary kłamstwom, wierzyć, że Charlie ma w sobie coś, czego potrzebujesz, albo że odpowiedzią na twoje problemy są narkotyki. Bo to zwykły fałsz, same kłamstwa.

- Może lepiej będzie, jak poopowiadasz mi jeszcze trochę swoją historię? - odpowiedziała Emma, ściskając się za kolana. Wyprostowała się trochę.

- Dobrze. - Mary starała się robić wrażenie spokojnej. *Panie Boże, jak ona ciężko się zmaga!* - modliła się w myśli. *Pomóż mi, proszę Cię. Podpowiadaj mi mądre słowa, żebyś zdołała zatrzymać ją tutaj.* - Ma m dziś dla ciebie cały dzień. Ty także donikąd się nie spieszysz.

- Kiedy opowiadasz o swoich dawnych kłopotach - odparła Emma, której ręce wyraźnie się trzęsły; przycisnęła je do nogawek dżinsów - zapominam choć na chwilę o własnych.

- Cieszę się. - Mary pragnęła, żeby Emma zaczęła łączyć jej historię ze swoją, odnalazła w nich podobieństwa, a potem doszła do wniosku, że może wyjść ze swoich kłopotów tak samo jak Mary Madison. Na razie ważne było, żeby Emma przynajmniej nie straciła zainteresowania opowieścią, żeby pozostała w gabinecie, mimo że każda komórka jej ciała domagała się narkotyku, a serce pragnęło powrotu do Charliego. Nie można

było pozwolić, żeby Emma zerwała się i pojechała do niego, dokonawszy wcześniej zakupu u jakiegoś diler.

- Skoro masz takie wrażenie, będę opowiadała dalej
- odezwała się znowu Mary.

- Clayton chciał więcej niż tylko przyjaźni, prawda?
- zagaiła Emma.

- Oczywiście. To znaczy, teraz jest to dla mnie oczywiste. Wtedy nie bałam się, że posunie się o krok dalej, nie obawiałam się przemiany naszej przyjaźni w coś więcej. Mimo że już wiedziałam, że jest żonaty. - W głosie Mary słychać było wyraźne zawstydzenie. - Wydawało mi się, że go kocham i że jest to jedyny mężczyzna, który okazuje mi miłość, nie domagając się niczego w zamian.

Minął kolejny tydzień, podczas którego Mary przed południem pracowała nad dokumentami, a po południu przeważnie rozmawiała z Claytonem, który przychodził do niej prawie codziennie. W piątek poczuła, że już nie wystarczają jej rozmowy z ukochanym mężczyzną. Chciała dotrzeć do jego serca, tak aby przestał postrzegać ją tylko jak zwierzątko w pięknej klatce.

By widział w niej kobietę, której pragnie i potrzebuje jak powietrza.

Tego dnia Clayton długo się nie pojawiał, i Mary zastanawiała się, czy w ogóle przyjedzie. Zadzwoił jednak, zanim nadeszła pora kolacji.

- Przyjadę do ciebie - powiedział. - Będę za niecałą godzinę. Muszę jeszcze dokończyć załatwianie pewnej sprawy.

Mary uśmiechnęła się pod nosem. *Będę gotowa - pomyślała. Wzięła dłuższy niż zwykle prysznic i użyła najładniej pachnących mydełek, szamponu i odżywki. Teraz rozumiem Claytona o wiele lepiej niż w dniu, kiedy się poznaliśmy - myślała. To dobry człowiek. Postępuje moralnie. Nie chce martwić swojej żony. Rozmawiał ze mną w tym tygodniu o wierze w ludzkiego ducha i podobnych sprawach. Nigel Townsend obruszyłby się tylko na wspomnienie o takiej wierze.*

Mary pomyślała przez chwilę o Nigelu - a potem odrzuciła te myśli. *Teraz i Nigel znajduje się w innym momencie życia - stwierdziła - skupia swoje wysiłki na jakiejś następnej zagubionej dziewczynie, która potrzebuje miłości Chrystusa.* Mary odkręciła gorącą wodę i grzała się w jej strumieniu przez dłuższą chwilę. Nigdy wcześniej nie miała tak łatwego dostępu do ciepłej wody; możliwość korzystania z prysznica do woli była jedną z rzeczy, które najbardziej ją cieszyły w jej nowym, bajkowym świecie. Intensywny strumień wody splukiwał z niej mydliny, a ona się czuła, jak gdyby dzięki niemu pozbywała się wszystkich cierpień i brudów przeszłości.

Wyszła spod prysznica odświeżona i zadowolona. Żal z powodu utraty matki i babci wydawał jej się teraz tylko odległym wspomnieniem. Zupełnie jakby miłość, która łączyła ją z nimi obiema, była odczuciem jakiejś innej osoby.

Mary włożyła najładniejsze ubrania. *Rozumiem już całkowicie także co innego - myślała - to, dlaczego Clayton powiedział, że będzie musiał mnie zabić. To nie jest jakiś brutalny szalenciec, którego powinnam się bać. Powiedział to, co*

powiedział ponieważ zależy mu na mnie bardziej niż komukolwiek dotąd! Troszczy się o mnie; zresztą podczas prawie każdej wizyty mówi mi, że mu na mnie zależy. Czasem wspomina nawet o mojej przeszłości.

„Widziałem cię tamtego wieczoru w telewizji - wyznał któregoś dnia - wtedy kiedy uwolniono cię z piwnicy". Patrzył łagodnie na Mary. „Nie dowierzałem, że ten... ten potwór był w stanie zrobić ci coś takiego!" Clayton był spokojnym mężczyzną. Wysławiał się ze swoistą gracją, potrafił nad sobą panować, i to przydawało mu jeszcze aury silnego, eleganckiego mężczyzny. Kiedy jednak mówił o smutnej przeszłości Mary, zaciskał zęby, a w jego głosie pojawiał się ton wielkiego gniewu.

„Nie martw się, Clayton - pocieszała go Mary. Przesunęła dłonią po jego twarzy, ujęła jego dłonie. Chciała mu pokazać, jak bardzo jej na nim zależy. - Teraz jestem tutaj. Uwolniono mnie z tamtej piwnicy".

„Denerwuję się... - Clayton popatrzył jej prosto w oczy. - Bo gdybyś już wcześniej była moja, gdybyś zawsze była moja, te wszystkie okropieństwa nigdy by ci się nie przydarzyły!"

Rzeczywiście, troszczy się o mnie wprost niesamowicie! - myślała Mary. *Być może droczył się tylko ze mną, kiedy powiedział, że musiałby mnie zabić, gdybym opowiedziała komuś o naszej znajomości; widać, że zależy mu na mnie naprawdę ogromnie, i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby zabił kogoś w mojej obronie.* Mary wyobrażała sobie, że to możliwe. Dlatego chciała mieć nad Claytonem swoistą

władzę, żeby nie skrzywdził nikogo z jej powodu. *Jeśli będę nad nim panowała, zrobi wszystko, o co go poproszę* - myślała. *Nawet jeśli poproszę go o więcej wolności, o to, żeby mnie tak nie pilnował.*

- Mary? - odezwał się od drzwi jego głos. Słysząc było, jak Clayton wchodzi. Wydawało się, że jest zdyszany. Było to coś, co normalnie mu się nie zdarzało.

- Cześć. - Mary weszła do salonu i obserwowała, jakie wrażenie robi jej widok.

Zwykle Clayton patrzył jej w oczy, nie spoglądał niżej niż na jej twarz. Teraz jednak obejrzał ją od stóp do głów.

- Wyglądasz... po prostu idealnie - skomentował.

- Dziękuję. - Mary podeszła do niego i stanęła naprzeciw, blisko. Poczowała silną woń alkoholu. W tym tygodniu zdarzyło się to już trzeci raz. Clayton pił alkohol, zanim do niej przyjeżdżał.

- Mary... Co ty ze mną robisz!... - wysapał. Oddychał szybko, nierówno.

Mój wygląd i zachowanie oddziałują na niego - stwierdziła Mary. Podeszła jeszcze bliżej, podniosła oczy i wyszeptała prosto w usta Clayтона:

- Co ty robisz ze mną, Claytonie! - Wysunęła naprzód złączone wargi. - Pokażę ci.

Clayton musnął jej usta swoimi. Nie był to pocałunek, ale coś bardzo bliskiego pocałunku. Dłonie Clayтона spoczęły na policzkach Mary.

- Co chcesz mi pokazać? - spytał.

Odpowiedź Mary nie wymagała słów...

Kiedy było już po wszystkim, Clayton obiecał przed wyjściem, że przyjedzie następnego dnia. Mary uśmiechnęła się. *Zwycięstwo!* - pomyślała. *Teraz Clayton na pewno się we mnie zakocha, to tylko kwestia czasu.*

Jednak zamiast się w niej zakochiwać, Clayton z każdą wizytą okazywał większy niepokój, ożywienie - i obojętność.

- Mam poważne kłopoty w interesach - wyjaśnił.

W końcu, kilka dni później, kiedy się całowali, Mary cofnęła głowę i zadała Claytonowi pytanie, o którym myślała przez cały czas.

- Czy ty mnie kochasz?

Clayton przesunął palcem po jej ustach.

- Posiadam cię - odpowiedział. Uśmiechnął się, ale ton jego głosu zmroził Mary. - Oczywiście, że cię Kocham.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki to powiedziałaś!
- skomentowała Mary, rozgniewana. - Ludzie nie posiadają innych ludzi. - Pokazała na drzwi i kontynuowała:
- W każdej chwili mogę stąd wyjść i wrócić do ośrodka pomocy społecznej - i nie będziesz miał w tej sprawie nic do powiedzenia.

- W istocie - odparł Clayton, rozpinając kołnierzyk - wydawało mi się, że już wyjaśniłem ci tę kwestię.

- Powiedziałaś, że nie mogę odbywać z nikim prywatnych rozmów. Ze nikt nie może dowiedzieć się o naszej znajomości. Ale nie mówiłaś, że nie wolno mi stąd odejść. - Mary założyła ręce.

- Gdybyś spróbowała odejść, spotkałaby cię taka sama kara - oznajmił z cichym śmiechem Clayton. Sprawiał jednak wrażenie człowieka, który ani trochę nie żartuje. - Rozumiesz? - upewnił się.

- Nie zabiłbyś mnie!... - Mary cofnęła się w pobliże drugiego końca kanapy i wpatrywała się w Clayтона, zmuszając go do tego, aby patrzył jej w oczy. W niebieskie latarnie, które oczarowały już tylu innych mężczyzn... - Nie zrobiłbyś mi krzywdy - oznajmiła dobitnie Mary, wstając. Czuła się silna. - Prawda jest taka, Claytone, że za bardzo mnie potrzebujesz.

- Owszem - odpowiedział z obojętną miną Clayton. - T a k bardzo, że jestem w stanie cię zabić, Mary. Potrzebuję cię tak bardzo, że mógłbym cię zabić.

Dopiero teraz Mary poczuła strach.

- Ja nie żartuję! - odezwała się.

- Ja też nie - odparł bez wahania Clayton. A potem, jak gdyby nic się nie stało, wstał i podszedł do Mary. Usiadł, pociągając ją za sobą, mimo że nie chciała siadać.

- Przestań! - syknęła, cała zeszytniała. Nagle przestała być pewna, czy kocha Clayтона. - Nie kochasz mnie - odgadła. Znowu spojrzała na niego dumnie i dodała: - Dlatego, że masz żonę.

- Już ci mówiłem - powiedział Clayton, ściskając Mary mocno za ramiona; za mocno - jestem twoim właścicielem. Posiadam cię, a więc nie mógłbym kochać cię bardziej. - Potrząsnął Mary i oznajmił: - Jesteś moja, i tylko moja.

- Nie! - Mary wyszarpnęła się z jego uścisku i zerwała się z kanapy. - Nie jestem niczyją własnością!

- Jak śmiesz mówić do mnie w taki sposób... - syknął gniewnie Clayton, czerwieniejąc. - Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem? - Wstał i znowu zbliżył się do Mary. - Dla ciebie zaryzykowałem wszystko.

- Odsuń się! - Mary osłoniła się ręką i cofnęła się. A potem odwróciła się i pobiegła do sypialni, krzycząc: - Zostaw mnie w spokoju!

- Nie mów mi, co mam robić - ostrzegł Clayton, wchodząc energicznym krokiem za nią. Szybkim ruchem odtrącił jej rękę, którą próbowała się zasłonić. Widać było, że jest coraz bardziej rozgniewany - patrzył coraz groźniej, wykrzywił coraz mocniej twarz, i używał wobec Mary coraz większej siły. - Będę z tobą robił, co zechcę! - oznajmił, brutalnie popychając ją na łóżko.

- W y n o ś się stąd! - krzyknęła przeraźliwie Mary. Chciała wstać, ale Clayton przygwoździł ją za ramię do łóżka. - Nie jestem twoją własnością!

Clayton w jednej chwili wpadł w istną pasję. Wszedł na łóżko i z całej siły pchnął Mary jeszcze raz, aż opadła płasko na plecy.

- Powiedziałem ci, że jesteś! - warknął.

- Nie!... Zejdź! - Mary odsunęła się w stronę wezgłowa łóżka. Była wściekła. - Nie możesz...!

Nie zdążyła dokończyć; Clayton skoczył w jej stronę, złapał ją za ramię, a potem przycisnął dłoń do gardła Mary i wepchnął ją w poduszkę. Z ust Mary dobiegł stłumiony gulgot; pokręciła głową, patrząc na Clayтона szeroko

otwartymi oczami. Nie mogła oddychać, zupełnie! *On naprawdę jest w stanie mnie zabić!*... - zrozumiała. Ogarnęło ją przerażenie. Kiedy wreszcie Clayton cofnął rękę, Mary trzęsła się tak, jakby dostała jakiegoś ataku.

- Jesteś moją własnością, Mary - powiedział znowu Clayton. A potem zaczął na siłę całować ją w usta. Trwało to całą minutę. Wreszcie cofnął się i stwierdził: - Udowodniję ci to...

Kiedy już było po wszystkim - to znaczy kiedy Clayton przemocą zdobył jej ciało, pozbawiając Mary poczucia godności, determinacji i jakiegokolwiek siły, legła bezwładnie w pościeli, płacząc z powodu tego, co zrobił.

Clayton stał teraz nad nią. Z zaskakującą delikatnością dotknął jej czoła i odezwał się:

- Ćśś... - jego głos znowu złagodniał, widocznie Clayton wyładował już cały gniew. - Przestań płakać, malutka - szepnął, przesuwał kciukiem po mokrych policzkach Mary.

Zakwiliła żałością i odwróciła od niego twarz.

- Kocham cię, Mary - powiedział Clayton, pochylając się. Pocałował ją w czoło. - Nie zapominaj o tym.

W owej chwili Mary pomyślała, że właśnie uzyskała jeszcze jeden dowód na to, że Nigel nie wiedział, o czym mówi. Że miłość nie jest dobra, sprawiedliwa ani prawdziwa. Że jest czymś okropnym i bolesnym.

Dokładnie taką Mary pamiętała ją od wielu lat.

19



Najgorsza w tym wszystkim była jedna rzecz - nawet po gwałcie, którego dopuścił się Clayton, Mary wciąż pozostała nim zafascynowana. *Jeżeli to, co Clayton do mnie czuje, to miłość, to ja także go kocham* - myślała. *Kocham go, jak jeszcze nikogo w życiu nie kochałam.* Kochała go, mimo że przemocą wykorzystał jej ciało, krzywił się na nią z gniewu, krzyczał na nią i powtarzał, że jest jego własnością. Uwielbiała siłę Clayтона, podziwiała jego wysoką pozycję społeczną i pozostała pod wrażeniem tego, w jaki sposób się nią opiekował.

Dał jej takie oznaki miłości - miłości w typie, jaki poznała dotąd Mary - jakich nie otrzymała jeszcze od żadnego mężczyzny.

Minął tydzień, podczas którego Clayton odwiedził Mary trzykrotnie. Za każdym razem był wobec niej łagodny. Nie miała wątpliwości, że źle się czuje z powodu tego, co zrobił. W poniedziałek rano Mary stanęła naprzeciw szeregu okien i wyjrzała na miasto. Świeciło słońce, a w dole pyszniły się soczystą zielenią liście na drzewach. Od czasu napaści Clayтона Mary miała ochotę sprzeci-

wiać się jego rozkazom, nie tylko dla zasady. Czuła także, że musi się z kimś zobaczyć.

Z Nigelem Townsendem.

Dysponowała sporą gotówką; wiedziała, że z pewnością wystarczy jej na taksówkę. *Jeśli spędzę choć trochę czasu z Nigelem, być może łatwiej dojdę do wniosku, co tak naprawdę czuję do Claytona* - pomyślała. *Poza tym będę mogła wziąć moją czerwoną portmonetkę.* Pomysł nie opuścił Mary, odkąd zaświtał w jej głowie. *Clayton przyjedzie tu najwcześniej po południu* - myślała. *Co szkodzi, jeśli przed południem wpadnę do Ośrodka Nowego Życia? Nikomu nie będę wspominała o Claytonie.*

Zanim nadeszła pora lunchu, Mary założyła na ramię torebkę, zamknęła za sobą drzwi i zeszła na parter.

- Piękny dzisiaj dzień, proszę pani - odezwał się z uśmiechem odźwierny, salutując jej. Był przystojnym mężczyzną w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat. W innej sytuacji życiowej Mary mogłaby być nim zainteresowana, ale teraz żyła tylko dla jednego mężczyzny - Claytona Billingsa.

- To prawda - odpowiedziała odźwiernemu, uśmiechając się. - Potrzebna mi taksówka. - Poczekała na pojawienie się żółtego samochodu. Pierwszy raz w życiu miała jechać taksówką. Dała odźwiernemu dwa dolary i wsiadła do auta. Widziała na filmach, że tak się robi.

- Dokąd, proszę? - odezwał się kierowca, spoglądając na Mary w lusterku wstecznym.

Mary zastanawiała się chwilę, czy nie powiedzieć, że chce jechać do Nowego Jorku. Mogłaby pojechać taksówką

aż tam, rozejrzeć się za jakimś miejscem, które rozpozna, a potem znaleźć gdzieś książkę telefoniczną albo kogoś, kto byłby w stanie pomóc jej odnaleźć babcię.

Były jednak dwie rzeczy, które powstrzymały Mary przed takim krokiem. Po pierwsze, czuła, że nie może zrobić czegoś podobnego Claytonowi, który dołożył tak wielkich starań, żeby było jej dobrze w pięknym apartamencie pod dachem, kupił jej najkosztowniejsze ubrania, kosmetyki i biżuterię, i wreszcie każdego popołudnia ofiarowywał jej większość swojego czasu.

Po drugie, Mary nie sądziła wprawdzie, żeby Clayton rzeczywiście ją zamordował, był jednak bardzo wpływowym człowiekiem. Spodziewała się, że gdyby go opuściła, odnalazłby ją. Wolała nie wyobrażać sobie, co by się wtedy stało. Na ostatek, czuła, że musi zobaczyć się z Nigelem Townsendem - przynajmniej w tej chwili to pragnienie było w niej równie silne jak chęć odnalezienia w przyszłości babci Peggy.

Mary podała więc kierowcy nazwy ulic krzyżujących się w pobliżu Ośrodka Nowego Życia i oparła się wygodnie.

Od czasu napaści Clayтона miała dziwne uczucia, takie same niezależnie od pory dnia. Pamiętała wciąż o jego wściekłości i brutalności, a zarazem przypominała sobie, jak bardzo go potrzebuje i jak mocno go kocha. A potem pojawiła się w jej sercu nowa myśl, zdumiewająco silne przekonanie. Pewność, że powinna się zabić.

Dlatego właśnie musiała zobaczyć się z Nigelem.

Taksówkarz zawiózł Mary na miejsce i obejrzał się przez ramię.

- Osiem dwadzieścia - powiedział.

Mary podała mu dziesięciodolarówkę.

- Reszty nie trzeba - rzuciła. Wysiadła. Popatrzyła na znajdujący się w pewnej odległości budynek domu pomocy społecznej. Stała niemal w tym samym miejscu, gdzie wcześniej spostrzegła samochód Claytona. To tu zgodziła się do niego wsiąść i odjechać ku nowemu życiu jak ze snu.

Ruszyła szybkim krokiem w stronę ośrodka. Wyglądała teraz zupełnie inaczej niż dawniej - miała na sobie czółenka na niskich obcasach, spodnie od krawca, jedwabną bluzkę skromnie zapiętą pod szyję. Na bluzce miała granatową kamizelkę z materiału bardzo dobrej jakości, swoje jasne loki upięła z tyłu głowy.

Doszła do drzwi ośrodka i zawahała się. A jeśli Nigel mnie nie pozna albo nie będzie mnie pamiętał? - przyszło jej na myśl. Albo jeżeli na mój widok zadzwoni na policję i powiadomi, że pojawiłam się znowu w ośrodku? Bardzo możliwe, że wtedy mnie aresztują i wsadzą do więzienia...

Jeszcze gorsze mogły być skutki wykrycia jej wizyty w ośrodku przez Claytona. Wątpliwości targały Mary mocno.

Spokojnie, Mary; uspokój się - mówiła sobie w myśli. Nigel cię nie wyda. Nacisnęła klamkę i weszła do budynku.

Zobaczyła nową recepcjonistkę, która zajęła jej miejsce. Była to nastoletnia dziewczyna, chociaż miała spojrzenie człowieka zmęczonego życiem.

- Czym mogę służyć? - odezwała się, przyjrawszy się Mary.

- Chciałabym się zobaczyć z Nigelem Townsendem
- powiedziała Mary, ściskając torebkę.

Dziewczyna przyjrzała się jej jeszcze raz i skinęła głową.

- Dobrze. - Wstała i ruszyła ku drzwiom za swoimi plecami. - Przyprowadzę go.

Mary oddychała szybko, starając się uspokoić. Jej serce biło w mocno przyspieszonym tempie. Usiadła naprzeciw biurka i czekała.

Po jakiejś minucie recepcjonistka pojawiła się z powrotem, a za nią Nigel. Spojrzał na Mary i już po sekundzie rozpoznał ją. Spojrzał jej w oczy i Mary od razu miała pewność, że Nigel wie, kto siedzi naprzeciw niego.

- Mary... - szepnął cicho, łagodnie.

- Cześć, Nigel - odezwała się, czując, że topnieją lody w jej sercu. *Tak bardzo za nim tęskniłam!* - myślała. *Za jego spojrzeniem, tak czystym i szczerym, za prawdą, jaką w sobie nosi...* Nigel emanował dobrocią. Mary nie wahała się ani chwili dłużej. Wstała, podeszła do niego, objęła go za szyję i przytuliła go. - *Tęskniłam za tobą* - wyznała.

Nigel cofnął się, aby nie przytulali się zbyt długo. Skinął głową, a potem pokazał ruchem głowy na korytarz.

- Chodźmy do mojego gabinetu.

Recepcjonistka przyglądała się im podejrzliwie. Nigel uśmiechnął się do niej ciepło i wyjaśnił:

- Drzwi będą otwarte, proszę cię jednak, żebyś mówiła dzwoniącym osobom, że jestem chwilowo zajęty.

- Dobrze. - Recepcjonistka spojrzała na Mary nieprzyjaźnie. A może z zazdrością?

Biedna dziewczyna - pomyślała Mary. - Pewnie jest w nim zakochana, w taki sam sposób jak przedtem ja. Ruszyła za Nigelem do gabinetu. Nigel usiadł za biurkiem i pokazał Mary krzesło naprzeciw niego.

Dłuższą chwilę milczeli, tylko Nigel spoglądał na Mary. Patrzył badawczo w jej oczy i chyba... jego oczy zwilgotniały.

- Wyglądasz... inaczej - odezwał się w końcu.

- To prawda - odparła drżącym głosem Mary. Założyła ręce. Nagle, siedząc w gabinecie Nigela, poczuła ogarniające ją przerażenie, jak gdyby w każdej chwili do pokoju mógł wejść Clayton. Oddaliła je jednak. Wzięła głęboki oddech. *Clayton nie może onieśmielać mnie aż do tego stopnia!* - myślała. *Mam prawo odwiedzić starego znajomego i porozmawiać o swoich uczuciach.*

- Rozmawiałem z twoją babcią - powiadomił Nigel.

Co?! Nigel rozmawiał z babcią Peggy?! Do oczu Mary natychmiast napłynęły łzy. Obraz Nigela rozmazał się.

- Kiedy... kiedy dzwoniła? - spytała Mary.

- Krótco po twoim zniknięciu. Była tu.

- Widziałeś ją?!... - Mary ledwie była w stanie oddychać. - Czy wiesz, jak się z nią skontaktować?

- Tak. Przyleciała do Waszyngtonu i przez całe dwa dni szukała cię w mieście. Rozwieszała na ulicach plakaty z twoim zdjęciem, wypytywała o ciebie ludzi. W końcu poddała się i wróciła do Nowego Jorku. - W głosie Nigela

słysząc było ból. - Ona ogromnie cię kocha, Mary. Pragnie, żebyś wróciła do niej, do domu.

Mary zwiesiła głowę i zakryła twarz dłońmi. Czuli się, jakby jej serce właśnie rozdarło się na pół. *Babcia Peggy żyje, szuka mnie!* - myślała. Już od dawna nie miała odwagi na to liczyć. Otarła mokre od łez oczy i znowu spojrzała na Nigela.

- Babcia nigdy się nie poddała - nigdy nie przestała mnie szukać - oznajmiła.

- To prawda - szepnął Nigel, zaciskając usta. - Tak jak powiedziałem, babcia bardzo za tobą tęskni.

- Ja też za nią tęsknię - szepnęła Mary. *Tylko nie płacz!* - przykazała sobie. *Nie teraz. Nie ma czasu. Muszę wrócić do apartamentu, zanim pojawi się Clayton, bo inaczej...* - Powiedz jej - odezwała się znowu - przekaż, proszę, mojej babci, że w tej chwili nie mogę do niej przyjechać i zobaczyć się z nią. Ale powiedz jej, że nic mi nie jest. - Mary poczuła ścisk w gardle. Zamrużyła powiekami - do jej oczu wciąż napływały łzy. - Przekaż babci Peggy, że mam się dobrze, i że ją kocham. - Mary pociągnęła nosem. Czuli, że za chwilę może nie wytrzymać i rozpłakać się na całego. - Powiedz jej, proszę, że kocham ją bardzo mocno.

Nigel sięgnął po coś, co było chyba notatnikiem z adresami. Napisał coś na kartce i podał ją Mary.

- To jest numer telefonu twojej babci. Ogromnie pragnie znowu usłyszeć twój głos - powiedział ze smutnym uśmiechem.

Mary spojrzała na niewielką karteczkę. Po długich latach zastanawiania się, w jaki sposób mogłaby odna-

leżć swoją babcię, miała przed oczami numer jej telefonu. Wystarczyło go wystukać, i już po paru sekundach będą mogły ze sobą porozmawiać!...

- Dziękuję ci, Nigel - wyszeptwała Mary.

- Proszę bardzo. - Nigel z powrotem oparł się wygodnie i zapytał: - Gdzie się podziewałaś?

Mary popatrzyła na niego. Zielone oczy Nigela jaśniały tak samo jak zwykle, ton jego głosu był poważny i szczerzy. *Jak bardzo Nigel różni się od Clayтона!* - pomyślała Mary. *Łagodność Nigela jest nieporównanie inna, po prostu autentyczna, prawdziwa. Dlaczego w takim razie jestem zakochana w Claytonie mocniej niż kiedykolwiek przedtem?*

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć Nigelowi na pytanie, ale słowa nie wydostały się na zewnątrz. *Clayton stanowczo ostrzegł mnie przed tym!* - przypomniała sobie Mary. *Przecież nie mogę nikomu mówić o tym, gdzie mieszkam, ani u kogo. Wprawdzie złamałam już nałożony na mnie przez Claytona zakaz opuszczania domu bez uprzedzenia go, ale gdybym jeszcze powiedziała o wszystkim Nigelowi, byłoby to kolejne, bardzo poważne sprzeciwienie się woli Claytona...* Mary odchrząknęła i wyznała:

- Natrafiłam na mężczyznę, który... zatroszczył się o mnie.

Nigel zrobił taką minę, jakby coś go nagle zabolalo.

- Czy ten mężczyzna jest żonaty? - zapytał.

Mary nie była w stanie ukryć swoich emocji. Rozszerzyły się jej oczy, zeszywniała, skuliła się... *Nigel się nie zmienił. Wciąż dobrze wie, co myślę i co czuję!* - stwierdziła.

Lekko uniosła głowę, żeby w miarę możliwości wydać się dumną i pewną siebie osobą.

- To nie ma znaczenia - odpowiedziała.

- Ma. - Głos Nigela jak zwykle zabrzmiał jak pieszczota. Było dla Mary jasne, że Nigel nie zamierza jej osądzać. Martwił się o nią, zależało mu na niej, nawet jeżeli żyła w sposób, którego nie akceptował. Przy tym nie krył niczego. Założył nogę na nogę, kiwnął głową na potwierdzenie swoich słów i powtórzył: - Oczywiście, że to ma znaczenie.

- On mnie kocha.

- Nikt nigdy nie będzie kochał cię tak jak Pan Jezus - skomentował Nigel, patrząc Mary głęboko w oczy.
- Chrystus umarł po to, abyś należała do Niego. Tylko że On nie chce niczego w zamian.

- Tak czy owak... - Mary poczuła, że drżą jej kolana. Złączyła je więc mocno i pochyliła się naprzód. - Nie mogę zostać tu dłużej. Muszę... muszę wracać.

- Po co tu przyjechałaś? - zapytał Nigel, powoli, dobitnie. - Mógłbym zameldować o tobie policji.

- Wiem. - Mary wzruszyła ramionami. - Uciekła-bym jeszcze raz.

- Boisz się czegoś - stwierdził Nigel, zmrużywszy oczy.

- To prawda - przyznała Mary, spuszczać wzrok. Patrzyła na swoje obgryzione do krwi paznokcie. Znowu zaczęły jej się śnić koszmary; wszystko razem zdawało się nie mieć sensu. *Może po drodze do apartamentu znajdę jakiegoś dilerę i zażyję działkę cracku?* - pomyślała sobie.

Jeszcze raz spojrziała w oczy Nigelowi. - Czy mogę cię o coś spytać?

- Pytaj, proszę.

- Czy gdybym się zabiła... gdybym popełniła samobójstwo - czy wtedy poszłabym do piekła?

Nigel zareagował tak, jak gdyby ktoś uderzył go prosto w brzuch. Przygarbił się i znieruchomiał na chwilę, aż w końcu szepnął:

- J e s t a ż t a k ź l e ? ...

Mary miała ochotę zaprzeczyć. *W istocie nie jest aż tak źle* - myślała. *Mam przecież mężczyznę, który mnie kocha; choć raz stracił panowanie nad sobą.* Czuła jednak zbyt silny ścisk w gardle, nie była w stanie mówić. Serce tłukło się w jej piersi, wstrząsały nią zimne dreszcze, mimo że za oknami mocno świeciło słońce. Miała wrażenie, jakby to w jej duszy znajdowało się źródło zimna. Skuliła się znowu, a potem wstała i cofnęła się.

- Muszę iść.

- Zaczekaj. - Nigel sięgnął do szuflady biurka; wstał, trzymając w dłoni coś małego. Wyszedł zza biurka i oparł drugą rękę na ramieniu Mary. - Zadasz niewłaściwe pytanie, Mary - odezwał się znowu. - Nie pytaj mnie o to, czy pójdziesz do piekła, jeśli popełnisz samobójstwo. Zapytaj mnie raczej o to, jak odnaleźć życie.

Życie... Mary znowu poczuła zimny dreszcz. *Tak, może właśnie tego szukam* - myślała. *Bo to, przez co przechodzę z Claytonem - Zamknięta, traktowana przez niego tak, jak tylko mu się spodoba - to nie jest życie.*

- Nie... nie mogę cię o to zapytać, Nigel - wyszeptowała. - Muszę i... iść - jękała się.

- Chciałbym pomodlić się za ciebie, Mary - powiedział Nigel, ściskając delikatnie jej ramię.

Przypomniało jej się, jak Clayton stał nad nią i bił ją otwartą dłonią, krzyczał na nią i... Zaciśnęła mocno powieki i pokręciła głową. A potem popatrzyła na Nigela, próbując odzyskać przytomność umysłu. *Muszę wracać!* - przypomniało się jej.

- Dobrze, ale szybko, zgoda? - odpowiedziała.

Nigel patrzył jej w oczy jeszcze przez chwilę, a potem zwiesił głowę i cicho odezwał się swoim, niskim, spokojnym głosem:

- Jezu Chryste, Zbawicielu świata, Boże nasz i Panie, i Przyjacielu. Mary targają poważne pytania i strach. Nie wiem, przed kim ucieka, lecz Ty, Panie, wiesz. Proszę Cię, spraw, aby nie stało się jej nic złego, i jeszcze - aby poczuła wielkie pragnienie. Głębokie pragnienie odnalezienia prawdziwej miłości, takiej, o jakiej zawsze marzyła. Spraw, aby w związku z tym pragnieniem powracała tu i wciąż zadawała pytania - i aby odnalazła prawdziwą miłość. Dlatego że to Ty znasz odpowiedzi na wszystkie pytania, Boże. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

- Dziękuję ci, Nigel - wyszeptowała Mary. Chciała uścisnąć Nigela, ale powstrzymał ją ruchem ręki. A potem podał jej coś, co cały czas trzymał w dłoni.

- Proszę - powiedział.

Mary otworzyła dłoń i poczuła dotyk dobrze znanego przedmiotu. Nie patrzyła nań, nie była w stanie. Nie miała już czasu na kolejny wybuch płaczu, na nic zresztą - musiała natychmiast opuścić ośrodek.

- Cieszę się, że tu przyjechałam - powiedziała na pożegnanie. Z oddali dobiegł ich odgłos jakiejś syreny i Mary aż podskoczyła. - Powiedz babci, że mam się dobrze - powtórzyła, kładąc dłoń na ramieniu Nigela. Odwróciła się, a potem spojrzała jeszcze przez ramię i wyjaśniła: - Muszę iść.

- Podaj mi swój adres czy choćby numer telefonu - odpowiedział Nigel. - Na wypadek gdybym musiał się z tobą skontaktować. - Sięgnął po czystą karteczkę.

Mary przeraziła się.

- Nie mogę!... - szepnęła. Ruszyła szybko do drzwi. - Przepraszam cię, Nigel. Do zobaczenia.

Wyszła z gabinetu Nigela i pobiegła do wyjścia. Nie miała czasu na dyskusję. Musiała jak najszybciej złapać taksówkę, zanim będzie za późno. Jeśli Clayton dowie się, że pojechała do Ośrodka Nowego Życia i rozmawiała z Nigelem, to... Nie była pewna, co zrobiłby w takiej sytuacji Clayton.

Poczuła się osamotniona, wystraszona i drżała od przechodzących przez jej plecy dreszczy. Oddychała szybko i płytko, z poczuciem, że brakuje jej powietrza. Dopiero kiedy siedziała już w taksówce, otworzyła dłoń i popatrzyła na rzecz, którą dał jej Nigel. Od początku wiedziała, co to jest, ponieważ знаła dotyk tego przed-

miotu równie dobrze jak własne imię. Nigel musiał odnaleźć go w pokoju Mary, kiedy znikła.

Dał jej czerwoną portmonetkę ozdobioną koralikami.

Mary czuła się, jakby w jej żołądku znajdował się jakiś ciężar. *Babcia mnie szuka - myślała. Jak ja mogę macać w tej sytuacji do Clayтона? Do mężczyzny, który będzie mnie bił, wydawał mi rozkazy, groził mi?* Przysiadła na skraju fotela, czując, jak mocno bije jej serce. Wiedziała, dlaczego wraca do Clayтона. *Kocham go - myślała. Kocham go, ponieważ się mną zajął, zatroszczył się o mnie. Niezależnie od tego, co robi czy jak mnie traktuje, nie chce zrobić mi krzywdy czy choćby przerażać mnie.*

Mary wyjęła z torebki złożoną karteczkę z numerem telefonu do babci Peggy, a potem otworzyła czerwoną portmonetkę i dołożyła karteczkę do tej, która znajdowała się w środku od lat. Mary miała w tej chwili ochotę jeszcze raz przeczytać słowa babci, bała się jednak wyciągnąć ową karteczkę, bała się nawet jej dotknąć. Była już prawie trzynasta. *Muszę się skupić* - powiedziała sobie w duchu Mary - *i natychmiast wymyślić jakąś historyjkę na użytek Clayтона. Może się zdarzyć, że kiedy pojawię się przy drzwiach apartamentu, zastanę w środku, czekającego na mnie!*

Wysiadła z taksówki w odległości jednej przecznicy od domu, w którym mieszkała. Pobiegnęła w stronę znajomego budynku, wpadła do windy, wjechała na trzynaste piętro i pędem ruszyła do drzwi. Weszła szybko do apartamentu i rozejrzała się po wszystkich pomieszczeniach. Dopiero kiedy miała pewność, że jest sama i że podczas

jej nieobecności nie było Clayтона, opadła na kanapę i złapała się za głowę. *Niewiele brakowało!* - myślała. *Odwiedziny u Nigela były naprawdę szalonym pomysłem! Szczególnie o tak późnej porze.*

Następnym razem będę musiała bardziej uważać - zdecydowała.

20



Nic nie było w stanie powstrzymać Mary przed ponownymi wypadami do Ośrodka Nowego Życia - mimo że groźby Clayтона pozostały aktualne. Jednak Mary po prostu czuła, że nosi w sobie ważne pytania, a Nigel zna odpowiedzi na nie.

Mijały kolejne tygodnie. Clayton pobił Mary jeszcze dwukrotnie. Ostatnim razem plunął na nią jeszcze i nazwał ją szmatą. Nadszedł wrzesień. Mary miała wrażenie, że całe jej życie rozpada się niczym zamek z piasku zalany morską falą. Nie miała dokąd uciec, nie miała jak.

Czasami pod prysznicem brała mydło i szorowała nim ramiona i brzuch tak mocno, że na jej ciele pozostawały czerwone pręgi. Nic jednak nie było w stanie zmyć z niej brudu, wewnętrznej nieczystości, jaką w sobie czuła. *Szmatą?! - myślała z rozpaczą Mary. Jestem dla Clayтона tylko szmatą?! Nadal go kocham - w taki sposób, jaki uznaję za miłość. Muszę jednak przyznać, że Clayton wykorzystuje mnie tak samo jak wszyscy inni mężczyźni, których dotąd w życiu spotkałam.*

Wszyscy oprócz Nigela Townsenda.

Czasami kiedy Mary była z Claytonem, odmierzała godziny i minuty do chwili, kiedy znowu zobaczy Nigela. Nie kochała go już jak dawniej. Miała jednak do niego poważne pytania. Było ich tyle, że wszystkie naraz nie mieściły się w jej głowie. Pytania Mary dotyczyły Boga i prawdziwej miłości, o której tak często opowiadał Nigel, kiedy go odwiedzała. *Skoro Clayton mnie nie kocha, jeżeli żaden z dotąd spotkanych mężczyzn tak naprawdę mnie nie kochał - myślała - to może powinnam dowiedzieć się więcej o Jezusie Chrystusie, o którym Nigel ciągle wspomina. Niewykluczone, że przez te wszystkie lata brakowało mi największej miłości na świecie, która jest dostępna! Tej miłości, która sprawia, że babcia Peggy uśmiecha się ciepło, że Evelyn i Ted, i Nigel, mają w oczach niewysłowiony spokój... To chyba możliwe?*

W pewien czwartek, kiedy Clayton wyszedł z apartamentu już o szesnastej, Mary bez wahania postanowiła pojechać do ośrodka. *Clayton nie wróci wcześniej niż jutro wczesnym popołudniem - myślała - A to znaczy, że mam dla siebie cały wieczór!* Ubrała się tym razem w dżinsy i niebieską bluzkę. Nie musiała niczego udowadniać, udawać przed Nigelem, że miewa się lepiej niż w rzeczywistości. Miała w tej chwili prosty cel - dowiedzieć się od Nigela jak najwięcej.

Tego wieczoru, jadąc taksówką przez ulice Waszyngtonu, Mary po raz pierwszy zrozumiała, jakim człowiekiem tak naprawdę jest Clayton Billings. Poczula, choć nie bez bólu, że przestaje go kochać. *Gdybym tylko mogła całkowicie zerwać z nim uczuciowo, przekonać siebie samą, że wcale*

go nie potrzebuję! - myślała. *Wtedy na zawsze przestałabym myśleć o samobójstwie. Opuściłabym Clayтона na zawsze.*

Jeśli dam radę to zrobić, zadzwonię później do babci Peggy i bez strachu pojedę do niej. Do tego czasu nie chcę narażać jej na dalsze ciężkie przeżycia - jej ani Nigela. Na wszelki wypadek Mary odwiedzała teraz Ośrodek Nowego Życia tylko po zapadnięciu zmroku. Dla bezpieczeństwa wszystkich.

Przyjechała do ośrodka akurat w porze kolacji. Usiadła więc pod ścianą w stołówce i rozejrzała się, myśląc o tym, jak wspaniałą działalnością zajmuje się Nigel, pomagając ludziom z ulic Waszyngtonu. Mary rozpoznała niektóre twarze, część bezdomnych przychodziła do stołówki jeszcze kiedy tu pracowała.

Zwróciła uwagę na stół, przy którym siedziało pełno ludzi. Popatrzyła na trzy kobiety - starszą i dwie młodsze. Być może była to matka z dwiema córkami. Mary przyjrzała się im uważniej. Tak, przypomniała je sobie. Obok kobiet siedziały dwie malutkie dziewczynki, które urodziła jedna z siostr. Cała piątka stanowiła rodzinę. Kobiety były bezdomne, a jednak miały pogodny spojrzenia, śmiały się wesoło, naturalnie. Było w nich coś szczególnego. Mary obserwowała je przez cały czas, żeby zrozumieć, co to jest.

Młoda matka pomagała córeczkom posmarować chleb. *No tak, przecież tydzień przed tym zanim poznałam Clayтона, Nigel znalazł dla tych kobiet mieszkanie w tej dzielnicy. Zaczęły przychodzić na jego nauki. Zaraz... Mary*

zamrugnęła oczami. *Czy może one są takie szczęśliwe dlatego, że odnalazły prawdziwą miłość, o której naucza Nigel?*

Zmrużyła oczy i przyjrzała się lepiej twarzom kobiet. *No tak - wydają mi się znajome nie tylko dlatego, że widziałam je już, kiedy tu pracowałam, lecz także przez to, że ich spojrzenia przypominają mi spojrzenie babci Peggy, Nigela, Evelyn czy Teda - myślała.*

Mary poczuła gęsią skórę i w tym samym momencie ktoś oparł dłoń na jej ramieniu. Podskoczyła ze strachu, odwróciła się i zobaczyła Nigela. Stał za nią i uśmiechał się, jak gdyby zobaczył córkę zaginioną przed dziesięciu laty.

Wstała i dotknęła jego ramienia. Nie chciała przytulać go na oczach wypełniających stołówkę ludzi. Niektórzy z nich pamiętali, jak dawniej w bezwstydnym sposobie próbowała go uwieść i że była w nim zakochana. Opuściła więc rękę i spojrzała uważnie w oczy Nigela, nie zbliżając się do niego.

- Co wy wszyscy macie w oczach? - spytała. Obejrzała się w stronę siedzących przy stole kobiet i znów popatrzyła na Nigela. - Te kobiety, moja babcia Peggy, ty - wszyscy macie takie samo spojrzenie.

- Oczy są zwierciadłem duszy - odparł bez wahania Nigel. Oparł się o najbliższy stolik. - Ludzie, którzy kochają Pana, którzy cieszą się Jego miłością, których wyzwolił... patrzą na świat inaczej i nabierają innego spojrzenia. - W tej chwili Nigel wydał się Mary przystojny jak nigdy, jego oczy zdawały się jaśnieć. - Nazywam je na swój prywatny użytek Chrystusowym spojrzeniem.

Mary nie wiedziała, o co dokładnie chodzi, ale i tak przytaknęła. Poczowała wewnętrzny spokój - ponieważ pomimo niesłyszanej urody Nigela i tego, jak niezwykle piękne miał wnętrze, nie miała ochoty na intymne zbliżenie z nim. Nie chciała zbliżać się do niego tak jak dawniej, w sensie fizycznym. Pragnęła raczej jedynie uczyć się od niego. Takich rzeczy, dzięki którym mogłaby żyć podobnie jak on. Prawdziwym życiem. Nie miała wątpliwości, że Nigel żyje życiem prawdziwym, było to po prostu widać. Mary spuściła wzrok, nieco zawstydzona, i wyznała:

- Mam jeszcze więcej pytań.

- Modliłem się o to - skomentował ze śmiechem Nigel, promieniejąc.

- Czy możemy... czy moglibyśmy porozmawiać?

- A ile masz czasu? - Nikt nie słyszał ich rozmowy, ponieważ w stołówce znajdowało się ponad sto osób i panował głośny szum.

- Mam do dyspozycji cały wieczór i noc. Clayton przyjedzie najwcześniej... - Mary umilkła nagle, zorientowawszy się, że niechcący wymówiła imię Clayтона. Zasłoniła usta, pokręciła głową i kontynuowała: - Mężczyzna, z którym teraz jestem... przyjedzie najwcześniej jutro wczesnym popołudniem. I nie jest to tak naprawdę ktoś... - Mary znowu umilkła. Chyba lekko kręciło jej się w głowie; w każdym razie znowu powiedziała coś, czego nie powinna mówić.

- Mary, możesz nie mieć przede mną tajemnic - szepnął z niezwykłym spokojem i uśmiechem Nigel. - Jakiekolwiek by one były.

Mary przełknęła ślinę. Widać było w oczach Nigela, że może mu zaufać.

- Rozumiem...

- Masz czas. - Nigel znowu uśmiechnął się na podobieństwo dobrego ojca. - To chciałaś mi powiedzieć.

- Właśnie.

- Chodź ze mną do sali wykładowej. Będziemy dzisiaj rozmawiać o tym, że Bóg pragnie nas uratować, wyzwolić.

Wyzwolenie? Ratunek? - pomyślała Mary, czując napływający ją spokój. Zawsze marzyłam o tym, żeby ktoś mnie wyzwolił. W piwnicy Jimbo, w domu państwa Lake'ów, nawet teraz, w apartamencie Clayтона, który wydaje mi rozkazy i maltretuje mnie. Całe życie potrzebowałam ratunku! Na myśl o nim Mary poczuła, że wilgotnieją jej oczy. Przymknęła Nigelowi na znak zgody.

- Cieszę się - powiedział, ruszając w stronę lady.

- Muszę pomóc ludziom dokończyć zapasy jedzenia przeznaczone na kolację - zażartował. - Porozmawiamy prywatnie po nauce, dobrze? - Dodał, jeszcze raz spoglądając Mary w oczy.

- Dobrze. - Mary popatrzyła za nim. Już miała usiąść z powrotem, kiedy znowu zwróciła uwagę na matkę, jej dwie córki i dwie małe dziewczynki. Trzy dorosłe kobiety sprzątały ze stołów; odnosiły nie tylko swoje talerze, lecz także cudze. Przystawały przy stołach i uśmiechały się do jedzących bezdomnych. Od czasu do czasu kładły komuś dłonie na ramionach, zamieniały z kimś parę słów...

Mary podwinęła rękawy i podeszła do najbliższego stołu. Siedziało przy nim dwóch podstarzałych mężczyzn i trzy dziewczyny o tępych spojrzeniach. Wszyscy skończyli już jeść, ale nikt z nich nie ruszał się z miejsca. Mary pochyliła się nad stołem i spytała z uśmiechem:

- Czy już zjedliście?

Dwie z dziewczyn popatrzyły na nią, jedna skinęła głową. Mary ogarnęło głębokie współczucie. *Czy i ja tak wyglądałam, kiedy zjawiłam się tu po raz pierwszy?* - pomyślała. *Czy wciąż wyglądam podobnie, chociaż mam zadbaną fryzurę i nowe ubrania?* Zebrała talerze ze stołu, a potem z trzech następnych.

- Zaraz zaczyna się nauka! - ogłosiła jakaś kobieta.

Nigel znikł, pewnie poszedł już do sali i modlił się do Boga o właściwy dobór słów i odpowiedni sposób mówienia. Mary wciąż uważała takie zachowanie za dziwne, jednak ciekawiło ją ono. Ona nigdy nie prosiła nikogo o to, żeby prowadził ją we właściwym kierunku. Od paru lat sama podejmowała decyzje dotyczące własnego życia, i sama je usprawiedliwiała.

Tego wieczoru duża sala wykładowa ośrodka była wypełniona po brzegi. Miała ściany z nieotynkowanych pustaków, na podłodze leżał podziurawiony dywan, ławki były stare - a jednak setka ludzi, która w nich siedziała, ochotczo czekała na naukę. Widać to było po nich.

Mary odnalazła wolne miejsce w ostatnim rzędzie i skłoniła głowę, kiedy Nigel rozpoczął spotkanie od modlitwy. Prosił Boga o to, żeby tego wieczoru prowadził ich wszystkich.

- W sercach obecnych tu ludzi są trudne do przebicia mury - powiedział. - Niechaj tej nocy owe mury runą, w nas wszystkich. Przez Chrystusa, Pana naszego...

- Amen - chórem odpowiedzieli zgromadzeni.

Nigel otworzył przymknięte oczy i uśmiechnął się serdecznie do wszystkich.

- Dzisiaj będziemy rozmawiali o męczenniku Szczepanie.

Podniosła się czyjaś ręka, w pierwszym rzędzie.

- Słuchaj, stary, wiesz, że jeszcze nie kapujemy tej biblijnej mowy.

To był wychudzony biały mężczyzna z poszarpaną bródką. Całą jego rękę pokrywały tatuaże przedstawiające smoki. - Mów nam, o co chodzi, dobrze?

Nigel roześmiał się i pokiwał głową. Usiadł na stojącym koło tablicy stołku, spoważniał i wytłumaczył:

- Męczennik to ktoś, kto zginął za wiarę.

- Mocne, stary! - skomentował wytatuowany człowiek, przekręcając czapeczkę bejsbolową, którą miał na głowie. Przedtem daszek znajdował się z tyłu, teraz mężczyzna przysłonił nim sobie oczy.

- Owszem - zgodził się Nigel, spoglądając na jakiegoś człowieka w środku sali, później na kobietę, która siedziała obok. Wyglądało na to, że Nigel stara się nawiązywać kontakt wzrokowy z poszczególnymi słuchaczami, aby każdy miał wrażenie, że nauka jest skierowana specjalnie do niego.

- Naprawdę mocne - dodał mężczyzna z bródką, wyraźnie podekscytowany. - Zginąć za swoje przekonania. To dopiero coś!

- Oddanie swojego życia w ręce Chrystusa, ufność, że Pan przemieni cię w nowego człowieka, to naprawdę coś - kontynuował Nigel, wstając. Przeszedł na drugą stronę sali. - Tak właśnie zrobił Szczepan.

Nigel zaczął opowiadać o tym, jak święty Szczepan uwierzył w Chrystusa i jak nowa wiara stała się czymś najważniejszym w jego życiu.

- Szczepan był człowiekiem przepelnionym Bożą łaską i mocą.

- Boża moc - to właśnie najbardziej mi się podoba - odezwała się jakaś Latynoska. Uśmiechnęła się do siedzących wokół niej osób, pokiwała głową i dodała: - Bóg jest naprawdę potężny!

- A m e n ! - odpowiedziało po kolei kilka osób. *Niezwykłe* - myślała Mary. *Nigel potrafi zainteresować nauką o Bogu bezdomnych, alkoholików i narkomanów.* Słuchali każdego słowa, rozmyślali na jego temat - czy to nad tym, co mówił od siebie Nigel, czy też nad zdaniem z Biblii. Mary skupiła się, aby także jej nie umknęło żadne słowo.

- Bez wątpienia, Bóg jest naprawdę potężny - potwierdził z szerokim uśmiechem Nigel. Powolnym krokiem przeszedł na drugi koniec sali, patrząc w oczy mijającym ludziom. Zaczął opowiadać o tym, jak Szczepan, dzięki Bożej mocy, czynił cuda i znaki na oczach ludzi. Jak niepokoilo to niektórych - tak bardzo, że próbowali przeciwstawić mu się w słowach. - Nie byli jednak w stanie poradzić sobie w dyskusji ze Szczepanem, ponieważ

przemawiała przez niego mądrość Boża, nie jego własna
- opowiadał z prawdziwą pasją Nigel.

- Myślałem, że go zabili - skomentował chudy mężczyzna, pocierając postrzępioną brodkę.

- Bo to prawda - przyznał ze smutkiem Nigel. - Zabili go. - Zaciśnął usta i westchnął. Najwidoczniej niełatwo mu było opowiadać dalszy ciąg historii. - Ludzie nie byli w stanie sprostać Bożej mądrości, która przemawiała przez usta Szczepana, więc wnieśli przeciwko niemu fałszywe oskarżenia.

- To jest prawdziwa zaraza! - skomentowała rozmowna Latynoska, kręcąc głową. - Co człowiek, to kłamca.

- Nie każdy jest kłamcą, ale niestety ludzie zbyt często kłamią - stwierdził Nigel. - Kiedy Szczepana zaprowadzono przed sąd, znaleźli się tacy, którzy zeznali nieprawdę przeciwko niemu, fałszywi świadkowie. - Nigel wzruszył ramionami. - Nie miał szans na zwycięstwo przed tym sądem.

- Zdarza się - odezwał się jakiś nastoletni Murzyn. - Ja i mój ziomal też tak staliśmy przed sądem. Od początku mieliśmy przekichane.

Nigel ze współczuciem pokiwał głową.

- Wielu ludzi jest oskarżanych o rozmaite przestępstwa... - skomentował, przystając naprzeciw nastolatka. - Ale nie każdy znosi to tak, jak święty Szczepan. Posłuchajcie, co było dalej - powiedział, unosząc palec.

Słuchacze kiwali głowami, a Nigel mówił, przechadzając się po sali:

- Szczepan stał przed sądem, a fałszywi świadkowie oskarżali go, wykrzykując kłamstwa na jego temat. Ale on nie klócił się z nimi ani nie wołał o pomoc. Cierpliwie znosił wszystko. Tak, że w końcu wszyscy obecni na sali mieli wrażenie, że Szczepan ma twarz podobną do twarzy anioła.

Twarz anioła! - pomyślała Mary. *Właśnie! Tak wyglądają ludzie zadowoleni z życia, spokojni, tacy jak babcia Peggy, Nigel, Evelyn, Ted, nawet Wielki Dave czy ten policjant, który rozmawiał ze mną w piwnicy. Oczywiście nie bez przerwy, ale przez większość czasu, kiedy patrzyłam na ich twarze, wyglądały trochę jak twarze aniołów...*

Mary poprawiła się na krześle. *A więc święty Szczepan był człowiekiem, który robił dobre rzeczy, działał cuda, dzięki mocy Boga. Iznalazła się cała grupa ludzi, którzy kłamliwie oskarżali go przed sądem; a on siedział tam, z anielskim spojrzeniem. Biedaczek!* Mary miała łzy w oczach.

- W końcu - kontynuował opowieść Nigel - człowiek, który przewodniczył sądowi, spytał Szczepana, czy oskarżenia przeciwko niemu są prawdziwe. - Nigel wziął się pod boki, pokręcił głową i mówił dalej. - I Szczepan zaczął mówić. Nie powiedział jednak ani słowa na temat wypowiedzianych przeciw niemu kłamstw i oskarżeń. Zamiast tego przez pół godziny opowiadał wszystkim o Bogu: o tym, jak w przeszłości Pan okazywał się wierny swoim wyznawcom, zawsze wierny, a ludzie nie przejmowali się Nim, ich Ojcem z nieba. Szczepan przywoływał konkretne wydarzenia. A potem - Nigel zmrużył oczy

- święty Szczepan nazwał obecnych w sądzie ludźmi o twardym karku.

- O jakim karku? - Chudy mężczyzna z bródką wznosił ręce w geście zniecierpliwienia. - Nigel...

- Przepraszam - powiedział z uśmiechem Nigel. - Miał na myśli to, że ci, którzy go oskarżają i sądzą, są uparci. Uparci i nieposłuszni Bogu.

- No, to pewnie im się nie spodobało - wysunął przypuszczenie młody Murzyn. Mary dostrzegła, że na obu rękach miał ślady po ukłuciach igieł.

- Ogromnie rozgniewali się na Szczepana - zgodził się ze smutkiem Nigel. - Zaczęli mu grozić. Szczepan był jednak przepełniony Duchem Świętym. Spojrzał w niebo i zobaczył Jezusa Chrystusa stojącego po prawej ręce Boga. I powiedział ludziom, co widzi. To doprowadziło ich do ostateczności. Rzucili się na niego z wściekłością i wrzeszcząc, wyprowadzili go z miasta, a potem zaczęli go kamienować.

Część słuchaczy patrzyła na Nigela pytająco. On tymczasem podszedł do stolika, na którym leżał kamień, mniej więcej wielkości pomarańczy, wziął go do ręki i kilka razy lekko podrzucił. Mary rozejrzała się. Oczy wszystkich były wpatrzone w kamień.

- Kamienowanie było w czasach świętego Szczepana popularnym sposobem wykonywania kary śmierci - wyjaśnił Nigel. - Polegało na tym, że ludzie gromadnie rzucali w skazanego kamieniami, o tak - Nigel zamachnął się i z całej siły cisnął kamieniem o ścianę.

Kamień z hukiem uderzył w jeden z pustaków i opadł na dywan. Zebrani aż przestali oddychać, takie wrażenie zrobiła na nich ta demonstracja.

Minęło kilka sekund, podczas których na sali panowała głucha cisza. Nigel przesunął wzrokiem po zebranych, na jego twarzy malowało się cierpienie.

- Właśnie tak ludzie rzucali wtedy kamieniami w Szczepana - skomentował teatralnym szeptem. - Wyglądało to w ten sposób, że każdy po kolei podchodził z kamieniem w rękę i rzucał nim. A Szczepan, w którego uderzały kamienie, przez cały czas myślał o Jezusie i modlił się.

- I co? Umarł? - upewnił się nerwowo chudzielec z bródką.

Kilkoro spośród zebranych pociągało nosami.

- Umarł - potwierdził Nigel. Uspokoił się i mówił dalej: - Ale, co niezwykle, kiedy zabijano go kamieniami, wcale nie krzyczał, nie wołał pomocy. Szczepan umarł, modląc się do Pana Jezusa - prosił Chrystusa o to, żeby przebaczył tym, którzy rzucali kamienie. I na tym - podkreślił Nigel, unosząc palec - polega bycie ocalonym przez Jezusa Chrystusa.

Słuchacze znowu zaniemówili.

- E tam, myślałem, że Chrystus naprawdę go ocalił - odezwał się młody Murzyn, zakładając ręce. - Mówiłeś, że będziemy dzisiaj rozmawiać o tym, jak Jezus nas ratuje - był wyraźnie skonsternowany. - A przecież Szczepan nie został uratowany.

Nigel miał tak uduchowione spojrzenie, że Mary poczuła ogarniający ją spokój. Nigel podszedł do zakłopotanego nastolatka, położył dłoń na jego ramieniu i odpowiedział:

- Widzisz, stary, Chrystus mimo wszystko uratował świętego Szczepana. - Rozejrzał się po sali i zaczął wyjaśniać; jego głos był coraz mocniejszy: - W Piśmie Świętym wielokrotnie opisane jest, jak Pan Jezus siedzi w niebie po prawicy - czyli po prawej ręce - Boga Ojca. A święty Szczepan, kiedy znalazł się w naprawdę trudnej sytuacji przed sądem, zobaczył Chrystusa stojącego. - Nigel uniósł dłonie, jak gdyby chciał sięgnąć nimi niewidzialnego Boga i przytulić się do Niego. - Jedno z dzieci Bożych znalazło się w potrzebie i Chrystus wstał - a więc przyjął postawę charakterystyczną dla działania...

Mary wyprostowała się. Ogarnęło ją dziwne uczucie, jakby w jej sercu zapłonęło światło, które rozjaśniało najciemniejsze miejsca jej duszy. *Jezus Chrystus wstał, żeby ocalić świętego Szczepana, którego chciano zabić* - myślała. *Szczepan musiał wspaniale się czuć, wiedząc, że po jego stronie jest Bóg. Jak czuje się człowiek, kiedy wie, że Bóg bardzo go kocha?* - zastanawiała się.

Ale przecież ja nie jestem taka dobra jak święty Szczepan - pomyślała ze smutkiem Mary i podniosłe uczucie przygasało w niej. *Jakie to smutne - nigdy nie poznam tej niezwykłej Bożej miłości. Bóg nie będzie mnie bronił... Jak mógłby mnie bronić, skoro w moim sercu nie ma tej niezwykłej światłości. Czuję się jak cuchnąca szmata. Nic nie jest w stanie zmyć ze mnie brudu...*

- Nie rozumiem - lekko zdławionym głosem odezwała się latynoska kobieta. - Święty Szczepan został zabity i umarł.

- Zakończył już swoje dzieło na ziemi - odpowiedział Nigel, odwracając się w jej stronę. - A Pan Jezus wstał po to, żeby powitać Szczepana w niebie. Na tym właśnie, moi drodzy, polega ocalenie przez Jezusa Chrystusa, naszego potężnego Zbawiciela. - Nigel wskazał na wiszący nad tablicą krucyfiks. - Pan Jezus umarł na krzyżu po to, żeby nas - każdego z nas, ciebie i mnie - ocalić, wybawić od wszystkich trosk tego świata. Od samotności, głodu, bezdomności i bólu - na przykład spowodowanego kamienowaniem. Nawet od cierpienia, jakiego doznaje się w chwili śmierci.

- Ale po co właściwie robiłby coś takiego? To kompletnie zwariowane! - zauważył chudy mężczyzna, gestykulując żywo.

- Miał powód.

Mary wstrzymała oddech. Czowała, że koniecznie musi usłyszeć odpowiedź na pytanie nerwowego uczestnika zajęć.

Nigel usiadł z powrotem na stołku, złożył ręce i dokończył:

- Jezus Chrystus zrobił to dlatego, że cię kocha. Ciebie i mnie, nas wszystkich. - Pochylił się naprzód i kontynuował poważnym tonem: - To właśnie jest miłość. Tak właśnie wygląda prawdziwa miłość. - Uniósł dłoń ku sufitowi i ciągnął: - Chrystus Pan stoi po prawicy Ojca i podaje nam rękę, ratuje nas, wyzwala. Nawet jeżeli innym ludziom tak się nie wydaje...



Opowieść Mary miała przekonać Emmę do Jezusa Chrystusa, ale nic takiego się nie zdarzyło. Emmy specjalnie nie zdziwiło, że święty Szczepan, umierając, zobaczył Chrystusa, który wstaje, aby powitać go w niebie. *Jasne - myślała - święty Szczepan był bardzo pobożnym człowiekiem - wierzącym, oddanym Chrystusowi - tak bardzo, że dzięki Bożej mocy czynił cuda. Ale przecież ja nie jestem dobra. Zbuntowałam się przeciw matce. Łamałam zasady moralne - sypiałam z chłopakami, kiedy byłam w szkole średniej, dwa razy poddałam się aborcji... Potem jeszcze wyprowadziłam się do Charliego i żyłam z nim, nawet kiedy już wiedziałam, że zdarzają mu się niebezpieczne wybuchy wściekłości, że bije. Do tego wszystkiego czuję się jak wariatka, bo słyszę te głosy, które podpowiadają mi złe rzeczy. I jeszcze jestem narkomanką. Czasem udaje mi się wmówić sobie, że nie jestem, że jestem normalną matką, tak jak inne, które chodzą z dziećmi do parku. Ale przecież jestem śmieciem, tak jak mówią głosy.*

Może będzie lepiej, jeżeli uda mi się wrócić do Charliego i pomóc mu? - zastanawiała się Emma. To jedyne sposoby. W końcu Charlie jest ojcem Kami i Kaitlyn. Jeśli mu pomogę - a przecież pomoc jest mu potrzebna - wszystko się ułoży.

Tworzyliśmy z Charliem rodzinę, mieliśmy gdzie mieszkać. Może nauczy się cierpliwości i delikatności. A dzieci potrzebują obojga rodziców. Kiedy będziemy z Charliem szczęśliwi, nasze dzieci też będą z nami szczęśliwe. Jak wszystko się uspokoi, będę mogła pójść na leczenie odwykowe.

Opowieść Mary Madison bardzo poruszała Emmę, jednak Emma nie była w stanie dostrzec, w jaki sposób miałyby ona zmienić Charliego, sprawić, żeby ona i jej córeczki miały normalne życie. Mary wspominała o mocy i miłości Jezusa Chrystusa. *Ale przecież Jezus nie uczyni dla nas cudu* - myślała Emma.

Rankiem następnego dnia Emma obmyśliła plan. Po śniadaniu jak zwykle zaprowadziła córeczki do żłobka, a potem niepostrzeżenie wymknęła się ze schroniska i zatrzymała przejeżdżającą taksówkę. Pięć minut później stała już przed drzwiami mieszkania, w którym przez cztery lata żyła z Charliem. Podniosła rękę i zapukała.

Pukała prawie minutę. W końcu drzwi się otworzyły i za progiem ukazał się Charlie.

- Emma! - powiedział z radosnym zdumieniem, a zaraz potem na jego twarzy pojawiło się to, czego Emma obawiała się najbardziej: gniew. - Gdzie ty byłaś przez cały tydzień?!

- Potrzebujemy pomocy, Charlie - odpowiedziała Emma i rozplakała się. Wyciągnęła do Charliego rękę. - Proszę cię... powiedz, że możemy zwrócić się o pomoc dla nas.

Wściekłość Charliego narastała. Złapał Emmę za ramię, gwałtownym ruchem wciągnął ją do mieszkania i zatrzasnął drzwi.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął, zaniepokojony.
- Czy opowiedziałaś o wszystkim policji? - Odszedł na bok i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. - Co?!
- rzucił, przystając i dźgając palcem powietrze tuż przed nosem Emmy. - Rozmawiałaś z policją?!

Emma pokręciła głową i skuliła się, opierając się o drzwi. *To niemożliwe, to nie dzieje się naprawdę!* - myślała. *Przecież nie wróciłam do Charliego po to, żeby się z nim kłócić!*

- Przysięgam ci, Charlie, że nie rozmawiałam z policją. - Wyszły jej usta, serce tłukło się mocno w jej piersi. - Nikt nie wie o nas niczego.

Charlie uniósł pięść. Jego usta zaczęły drżeć, z wściekłości zmrużył oczy... Emma w wyobraźni czuła już jego uderzenie; domyślała się, że za chwilę pięść Charliego wbije się w jej policzek. W ostatniej chwili Charlie zmienił decyzję i z całej siły uderzył w gipsową ścianę, wybijając w niej dziurę.

Stęknął z bólu, wyciągając rękę spomiędzy kawałków gipsu.

- Kłamiesz! - krzyknął. - Mów prawdę! Emma! - Zbliżył się do Emmy i potrząsnął jej przed nosem zakrwawioną pięścią. - Gdzie byłaś?! I gdzie są dzieci?!...

- Byłam u znajomych. A potem pojechałam do schroniska dla kobiet! - Emma złapała się za głowę, zasłaniając uszy.
- Przestań na mnie krzyczeć!... Musimy porozmawiać.

Charlie nie potrzebował od niej więcej informacji.

- Byłaś w schronisku?! - wykrzyknął. - Takim, gdzie opowiada się psychologom o swoich problemach?!
- Coraz bardziej podnosił głos. Szarpnął się w bok i niewiele myśląc, energicznym ciosem zrzucił lampę z szafki; lampa rozbiła się z hałasem. Charlie wpatrywał się znowu w oczy Emmy. - Oczywiście, że policja wie o wszystkim!
- stwierdził. Przyskoczył do Emmy. - Jeżeli poszłaś do schroniska i wypaplałaś tam wszystko, to tak, jakbyś zadzwoniła prosto na policję!

Uderzył Emmę tak szybko, że nie zdążyła się cofnąć. Trafił ją w twarz, tak mocno, że Emma upadła na dywan. Wiedziała, że teraz nie zdoła mu uciec. Charlie zaczął ją bić, a potem zaciągnął ją po podłodze do sypialni, podniósł i rzucił na łóżko.

- Nie! - wołała z przerażeniem Emma. - Przestań, Charlie! Błagam cię!

Umilkła, ponieważ spadały na nią bolesne ciosy. Po chwili Charlie odszedł nagle parę kroków i otarł spocone czoło. Stał i patrzył na Emmę, oddychając ciężko. Trwało to długą chwilę. Na koniec odszedł bez słowa. Emma usłyszała, że poszedł do łazienki i myje twarz i ręce. Wrócił.

To koniec - pomyślała Emma. Teraz mnie zabije! I po co wracałam? Mary miała rację, tylko że ja nie chciałam jej słuchać. Nigdy nie chcę nikogo słuchać!...

Charlie jednak podszedł do łóżka przygarbiony, z żalną miną.

- Przepraszam cię, Emmo - powiedział, skruszony.
- Chyba... nie wiem, po prostu wariowałem bez ciebie.

- Usiadł na skraju łóżka i patrzył na Emmę. - Nie chciałem zrobić ci krzywdy.

Emma dygotała, była cała posiniaczona. Prawe ramię bolało ją tak okropnie, że nie wiedziała, czy nie zemdleje z bólu. Bolała ją głowa, czuła także, że po jej twarzy spływa krew.

- Wiesz co, ty masz rację - powiedział z westchnieniem Charlie. - Potrzebna mi jakaś pomoc. Nie powinienem wpadać w szal, tak jak teraz - ale nie chcę, żebyś znowu mnie opuszczała. Ani ty, ani nasze dzieci. - Dotknął kolana Emmy. - Rozumiesz?

Emma miała ochotę plunąć mu w twarz, uciec i nigdy więcej do niego nie wracać. Pomyślała jednak, że Charlie wreszcie mówi z sensem. *Może gdybym nie zniknęła z domu, już zdołalibyśmy zwrócić się gdzieś o pomoc?* - zastanawiała się. *Mc dziwnego, że się wściekł, skoro opuściłam go na tydzień...* W każdym razie nie była w stanie odpowiedzieć Charliemu, za mocno wstrząsał nią płacz.

- Wezmę prysznic - oznajmił Charlie, przesuwając powoli wzrokiem po jej ciele. - Kiedy wrócę, pokażę ci, jak bardzo żałuję tego, co przed chwilą zrobiłem... Nie chcę robić ci krzywdy. - Zamknął oczy, odruchowo łapiąc się dwoma palcami za nasadę nosa. W końcu otworzył oczy i rzucił Emmie kolejne przeciągłe spojrzenie. - Chcę się z tobą kochać - powiedział. - Za piętnaście minut - zobaczysz...

Odwrócił się i znowu poszedł do łazienki. Po chwili rozległ się odgłos prysznicza.

Emma poczuła, że ogarnia ją panika. *Nie mogę tu być, kiedy on wróci!* - myślała. *Charlie zbyt wiele razy o mało*

mnie nie zabił; jeżeli teraz przyjdzie i weźmie mnie siłą, chyba umrę!

Z wielkim wysiłkiem zmieniła pozycję na siedzącą i sięgnęła po leżący na stole telefon. Szeptem zamówiła taksówkę.

- Proszę, niech kierowca przyjedzie jak najszybciej. Bardzo mi się spieszy!... - zakończyła.

Dyspozytorka obiecała, że taksówka przyjedzie w ciągu pięciu minut. Emma podniosła się z łóżka i poszła do drugiej łazienki, która znajdowała się koło salonu. Zobaczyła w lustrze, że ma posiniaczoną i podrapaną twarz, miała też opuchliznę wokół obojga oczu. Dotykała krwawiących miejsc i znowu zaczęła płakać. *Taksówkarz domyśli się od razu, że zostałam pobita!* - pomyślała. *Poza tym nie jestem w stanie ruszyć prawą ręką...* Ból w ramieniu był zbyt silny, i ręka zdawała się wisieć pod dziwnym kątem...

Boże, pomóż mi! - jęknęła w duchu Emma. *Muszę stąd uciec!*

Była przekonana, że jeżeli Charlie wyjdzie spod prysznicza w chwili, kiedy będzie zbierała się do ucieczki, zabije ją. Sięgnęła do szafy i wyjęła z niej cienki szalik. *Zasłonię najbardziej widoczne obrażenia szalikiem* - pomyślała. Owinęła szalikiem szyję i twarz, sięgnęła po portfel, a potem zajrzała kolejno do dwóch szuflad. *Gdzie są skrety? Charlie trzyma je chyba gdzieś tutaj.* Był to jego skarb, zakazany owoc. Emma uznała, że nie zaszkodzi, jeśli weźmie trochę marihuany. Przeszukawszy bezskutecznie trzecią szufladę, dała za wygraną. Liczyła się każda sekunda.

Wyszła z mieszkania najciszej jak mogła. Po chwili znalazła się na ulicy. Rozejrzała się za taksówką. *Powinna już być! Szybko, szybko...!* - myślała.

- Emma?! - rozległo się wołanie Charliego. Wyszedł spod prysznica wcześniej, niż należało się spodziewać.
- Gdzie jesteś?!

Emma wyteńczyła wzrok - nadjeżdżał jakiś samochód. *Boże, niech to będzie taksówka, błagam Cię!* - myślała.

- Emma! - Charlie zszedł do drzwi prowadzących na dwór. Był prawie nagi, owinięty tylko ręcznikiem, miał mokre włosy. *Ależ on jest potężny...* - myślała z lękiem Emma.

- Co ty sobie myślisz?! - krzyknął Charlie. Był jeszcze bardziej rozwścieczony niż przedtem! Ruszył w stronę ulicy. - Wracaj do domu!

Emma zaczęła uciekać w stronę nadjeżdżającej żółtej taksówki. Zamachała ręką. Słyszała, że Charlie goni ją, wrzeszcząc.

Kierowca zatrzymał samochód i Emma wpadła do środka.

- Szybko! - rzuciła. Charlie dobiegł do ruszającej taksówki; Emma ledwie zdążyła zatrzaskać drzwi.

Taksówkarz dodał gazu, spojrzął w lusterko wsteczne, zmarszczył brwi i spytał:

- Ten facet gnębi panią?

Emma oddychała ciężko, półleżąc na tylnej kanapie samochodu. *Gdyby tylko wiedział, jak bardzo!* - pomyślała o kierowcy.

- Tak... - szepnęła. - Gnębił - uściśliła, zdyszana.
- Dziękuję panu... za pośpiech - dokończyła. Uspokajała oddech jeszcze przez chwilę.

- Nie ma sprawy - odpowiedział taksówkarz, żując gumę. Zerknął na Emmę i uniósł brwi. - Dokąd jedziemy?
- spytał.

W głowie Emmy natychmiast odezwały się złośliwe głosy:

„Spójrz tylko na siebie! Popadasz w egzaltację, Emmo. Ciągłe wracasz do Charliego, niezależnie od tego, co ci zrobi. Któregoś dnia cię zabije, a potem zamorduje twoje córeczki!“.

Emma zasłoniła uszy dłońmi, ale uświadomiła sobie, że musi to wyglądać dziwnie. Opuściła więc ręce i zająknęła się:

- Eee... Poproszę na ulicę S. Tak, pojedźmy na ulicę S.

Jednak wcale nie chciała tam jechać. W rzeczywistości pragnęła znaleźć się na jakimś wysokim moście, skąd nie będzie miała dokąd pójść - za to z którego będzie mogła skoczyć, prosto w dół.

„Zrób to, Emmo! - poradził głos. - To jedyne wyjście. W swoim czasie córeczki podziękują ci za to. Jeżeli ze sobą skończysz, Charlie więcej cię nie skrzywdzi, pomyśl sama. Śmiało, Emmo. Pojedź na most. Wiesz, który będzie najlepszy“.

Wiem - most, po którym idzie Czternasta Ulica. Mogę kazać kierowcy zatrzymać się przy parku East Potomac, a stamtąd łatwo dojdę do mostu. Chyba najprościej będzie ścieżką rowerową. Przejdę na wysokość środka rzeki, kucnę sobie i pomarzę,

jak mogłoby wyglądać moje życie, chociaż nigdy tak nie wyglądało. Na tym moście zawsze jest mnóstwo samochodów, jadą o wiele szybciej, niż płynie rzeka; tyle tam pasów ruchu. Nikt nie zauważy, że tkwię przykucnięta na chodniku. A kiedy już przyjdzie pora, wstanę i zeskoczę w dół. Nie wiem, czy umrę natychmiast, może nie; ale w każdym razie szybko. A potem będę już wolna; pamiętam, jak Mary Madison mówiła o wolności.

Emma objęła kolana, pochyliła się naprzód i odezwała się do kierowcy:

- Proszę mnie zawieźć do mostu Czternastej Ulicy, wysiądę koło parku East Potomac.

Taksówkarz niedbale skinął głową. Chyba nie zastanowił się nad tym, co może znaczyć zmiana żądanego przez klientkę celu podróży. Skręcił na najbliższym skrzyżowaniu z sygnalizacją świetlną i kontynuował jazdę, szybciej niż przedtem.

To dobry plan - przekonywała się Emma - słuszny. Tym razem Charlie będzie mnie szukał, szczególnie że powiedziałam mu o schronisku. Po krótkim czasie ustali, które to schronisko, i jeżeli będę żyła - znajdzie mnie. Jeżeli natomiast skończę dzisiaj ze sobą, ani on, ani ja nie będziemy musieli więcej martwić się o to, co będzie, kiedy znowu się spotkamy.

Jest tylko jedna sprawa... muszę powiadomić o swojej decyzji Mary Madison. To znaczy, nie powiem jej, dokąd dokładnie jadę, ale powinnam poinformować ją, że nie wrócę. Podam jej numer telefonu mojej matki, żeby Kami i Kaitlyn mogły z nią zamieszkać. Mama poradzi sobie z Charliem. Jestem przekonana, że doprowadzi do tego, że zamkną go w więzieniu, gdzie jest jego miejsce!

Gdybym była silniejsza, Charlie już nie sprawiałby nam wszystkim kłopotu - ale nie jestem... Dlatego właśnie muszę pojechać na ten most. Emma znowu pochyliła się naprzód, poklepała kierowcę po ramieniu i spytała:

- Przepraszam pana, czy mogłabym skorzystać z pańskiego telefonu? To pilna sprawa... - dodała słodkim głosem.

- Dobrze - odpowiedział taksówkarz, wzruszając ramionami. Podał Emmie telefon i ściszył radio. - Ale poproszę o większy napiwek.

Emma zadzwoniła na informację i zapytała o numer do schroniska, w którym poznała Mary. Po chwili łączyła się już ze schroniskiem.

- Schronisko dla maltretowanych kobiet przy ulicy S. - usłyszała w słuchawce głos Leah Hamilton. - Czym mogę służyć?

- Halo... - odezwała się Emma, zamykając oczy. *Gdybym mogła przeżyć życie na nowo, chciałabym być taka jak Leah* - pomyślała. *Byłabym wolontariuszką i pomagałabym kobietom odnaleźć w życiu nadzieję. Zaraz, przecież telefonuje...*

- Mówi Emma Johnson. - Emma poczuła spływające do gardła łzy. - Czy mogłabyś połączyć mnie z Mary? - poprosiła podwyższonym z niepokoju tonem.

- J u ż łączę.

Emma czekała, aż Mary odbierze. Tymczasem kierowca spojrział na Emmę w lusterku i upewnił się:

- Do którego mostu chce pani jechać?

- Do mostu Czternastej Ulicy. Najlepiej jak wysiądę przy parku East Potomac. Proszę, dojedźmy tam jak najszybciej.

W słuchawce rozległy się jakieś odgłosy. Emma zasłoniła usta. *A jeżeli Mary usłyszała to, co właśnie powiedziałam?! -* przeraziła się.

- Mary? Jesteś tam? - spytała Emma. Odpowiedziała jej cisza.

Uff- uspokoiła się Emma. *Gdyby Mary usłyszała, co mówiłam, wszystko byłoby na nic.* Zamknęła oczy i czekała. Wyobrażała już sobie, jak poczuje zalewającą ją od stóp do głów wodę.

22



Mary zatelefonowała na policję natychmiast, kiedy dowiedziała się o zniknięciu Emmy.

Do schroniska przyjechało dwoje policjantów. Spisali raport, a potem pojechali sprawdzić mieszkanie Charliego i Emmy. Kiedy tam dotarli, w mieszkaniu nie było jednak nikogo. Nie mogli przeszukać mieszkania, ponieważ nie mieli nakazu rewizji ani nie prowadzili śledztwa w sprawie żadnego przestępstwa. Zaczęli więc przeszukiwać ulice wokół schroniska przy ulicy S. Na razie nie dysponowali żadnym śladem. Minęły niecałe dwie godziny, odkąd Emma Johnson niepostrzeżenie wyszła.

Mary chodziła tam i z powrotem po swoim gabinecie. *Panie, to nie może się stać!* - myślała i modliła się zarazem. *Ona nie rozumie Twojej potęgi, tego, że jesteś w stanie ją ocalić.*

Zadzwoiła policja, meldując o bezskuteczności dotychczasowych poszukiwań Emmy Johnson. Mary zatelefonowała do swojej babci, a ta obiecała modlić się bez przerwy, dopóki nie otrzyma jakichś nowych wieści.

Telefon odezwał się znowu. Mary skoczyła do słuchawki. Usłyszała kobiecy głos; z początku zdawało

się jej, że to pomyłka; kobieta najwyraźniej mówiła do kogoś innego:

- Do mostu Czternastej Ulicy. Najlepiej jak wysiądę przy parku East Potomac. Proszę, dojedźmy tam jak najszybciej. - Potem dało się słyszeć chyba sapanie wywołane przestraczem. - Mary? Jesteś tam? - spytała kobieta.

Zaraz. To chyba głos Emmy!... - stwierdziła Mary. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i nagle zamarła. *Emma chyba nie chciała, żebym usłyszała poprzednie zdanie...!* Mary szybko wypowiedziała w myśli kilka słów modlitwy, po czym odezwała się jak gdyby nigdy nic:

- Halo? Mówi Mary.

- Och, Mary... Przepraszam cię... - szepnęła Emma. Teraz Mary nie miała wątpliwości, że rozmawia z Emmą. Emma najwyraźniej zaczęła płakać.

- Emmo, gdzie ty jesteś? - spytała Mary, usiłując opanować przerażenie. - Przyjadę po ciebie, proszę cię.

- Nie! - stanowczo sprzeciwiła się Emma. - Mam tego wszystkiego dość! Już nie mogę... - Stopniowo przestawała płakać, mówiła szybciej, energiczniej: - Słuchaj, zapisz, proszę, coś, co ci teraz podyktuję. To numer telefonu mojej matki. Chciałabym, żeby moje dzieci trafiły do niej, kiedy mnie już nie będzie. Dobrze? Czy mogłabyś zrobić to dla mnie?

- Emmo, nie mów tak!... - Mary usiadła przy biurku, zaczęła nerwowo przesuwać dłonią po włosach. *Boże, nie!* - myślała. *Proszę Cię, powstrzymaj ją natychmiast!* - Obiecałaś spotykać się ze mną codziennie aż do czasu,

kiedy dokończę opowiadanie historii mojego życia - przypomniała.

- Wiem, przepraszam cię. - Emma znów zaczęła intensywniej płakać. - Nie jestem w stanie zerwać z Charliem. Po prostu nie potrafię. - Zakaszła, a potem kontynuowała głosem, w którym pobrzmiwała panika: - Powiedz moim córeczkom, że... Powiedz im, że je kocham.

Po tych słowach Emma się rozłączyła.

Mary spojrzała na wyświetlacz telefonu, ale numer, z którego dzwoniła Emma, był zastrzeżony. *Najważniejsze jest to, co usłyszałam na początku!* - pomyślała Mary. *Emma powiedziała kierowcy jakiegoś samochodu, że chce jechać w pobliże mostu Czternastej Ulicy, chciała wysiąść koło parku East Potomac.* Mary złapała torebkę, kluczyki do samochodu i telefon komórkowy i ruszyła energicznym krokiem do wyjścia z budynku.

- Jadę do Emmy! - rzuciła do Leah.

- Powiedziała ci, gdzie jest? - spytała Leah, wstając z krzesła.

- Niezupełnie; raczej Pan Bóg mi powiedział.

Mary miała ochotę poprosić Leah o modlitwę, ale wolała nie tracić cennych sekund. Z wyrazu twarzy dziewczyny odczytała, że i tak ma u niej zagwarantowaną modlitwę, ona i Emma. Nieraz zdarzały się sytuacje podobne do tej albo konflikty z podopiecznymi schroniska.

Wsiadając do samochodu, Mary zastanowiła się, czy nie dzwonić na policję. Pomyślała jednak, że i tak szybciej dotrze w okolice mostu. Poza tym na widok

policji Emma mogła się przerazić i tym szybciej skoczyć do rzeki.

Boże, nie wiem, co robić! - myślała z lękiem Mary.

„Jestem z tobą, córko - jak gdyby usłyszała w myślach uspokajający głos Boga. - Zaufaj Mojej sile i korzystaj z niej”.

Mary mocno ścisnęła kierownicę i ruszyła. Pięć minut później dojechała do parku East Potomac i znalazła wolne miejsce do parkowania. Most znajdował się w odległości niecałych stu metrów. Mary wyskoczyła z samochodu i zaczęła biec, ile tylko miała sił w nogach. W pewnej chwili zobaczyła kobietę, która weszła na biegnącą mostem ścieżkę rowerową.

- Emma! - zawołała Mary, jednak jej głos zginął pośród odgłosów ruchu ulicznego. *Boże, proszę Cię, powstrzymaj ją! Nie pozwól, żeby skoczyła. Błagam Cię!...*

Wiedziała już, że ma przed oczami Emmę. Dziewczyna obejrzała się, ale jej nie zauważyła. Mary przebiegała już przez ulicę, na czerwonym świetle. Dwaj kierowcy kolejno zatrąbili na nią wściekle.

- Emma!

Emma chyba jeszcze jej nie słyszała; w każdym razie się nie odwróciła. Po chwili ruszyła truchtem w stronę środka rzeki. Mary cały czas biegła za nią. Emma znajdowała się pięćdziesiąt metrów przed nią, potem czterdzieści, trzydzieści... Nie mogła słyszeć jej kroków, z powodu hałasu przejeżdżających mostem samochodów. Dzięki temu Mary mogła niepostrzeżenie zbliżyć się do Emmy. Jeszcze dwadzieścia metrów, dziesięć...

Emma zatrzymała się, obejrzała - i nagle zobaczyła Mary.

- Mary! - krzyknęła z przestachem. Pokręciła głową, popatrzyła na płynącą w dole rzekę. A potem obiema dłońmi chwyciła barierkę i przełożyła przez nią nogę.

- Przestań! - zawołała Mary. Zatrzymała się pięć metrów od Emmy. Z przerażeniem stwierdziła, że Emma została ciężko pobita. Ledwie można było ją rozpoznać.

- Emmo, nie możesz tego zrobić! - powiedziała z naciskiem Mary.

- Co ty wiesz?! - odparła Emma; cała się trzęsła. Jeszcze raz spojrzała na wodę i przechyliła się w jej stronę, jakby już miała opaść w dół; a jednak coś ją powstrzymało. Popatrzyła na Mary. Lęk na twarzy Emmy stopniowo ustąpił miejsca smutkowi. - Nie jestem w stanie żyć ani jednego dnia dłużej! - jęknęła. - Jestem kompletnym wrakiem. Do tego zupełnie bezwartościowym.

- Ale przecież... ja też byłam kiedyś wrakiem - zauważyła Mary.

Musiały rozmawiać bardzo głośno, ponieważ wokół panował hałas.

- Czułam się bezwartościowa, nie wierzyłam w Boga, tkwiłam w sidłach grzechu...

- Nie, ty jesteś silna i inteligentna - odpowiedziała Emma, spoglądając to na rzekę, to na Mary. - Wyzwoliłaś się z... - zamachała niecierpliwie ręką - z tego wszystkiego.

Mary powoli podeszła bliżej.

- Wcale się nie wyzwoliłam - zaprzeczyła. Zbliżyła się jeszcze o krok. - Tylko zostałam wyzwolona. - Wyciągnęła rękę. - Ty też możesz zostać wyzwolona.

- Nie podchodź! - krzyknęła Emma. Zwiesiła głowę, i znowu wstrząsnął nią szloch. - Nie jestem dostatecznie silna... - odpowiedziała.

Mary wstrzymała oddech. Obok przechodziło sześć pasów ruchu, po których śmigały samochody, ale żaden z kierowców nie zareagował w widoczny sposób na to, co działo się na moście. Jeszcze jedna osoba, która ma już dosyć... - myśleli pewnie. Mary rzuciła okiem na rzekę. Płynęła wartko. Jeżeli Emma skoczy, nie da się jej uratować.

- Emmo... Proszę cię - odezwała się znowu Mary. *Muszę się do niej zbliżyć, żeby w razie potrzeby złapać ją i ocalić!* - myślała. - Nikt nie jest dostatecznie silny - ciągnęła, powolutku podchodząc do Emmy. - Nie widzisz? Cała moja opowieść zmierza do tego właśnie wniosku - że nikt na świecie nie ma dość sił; z wyjątkiem jednej, bardzo szczególnej postaci.

Emma zacisnęła powieki. Mocno chwyciła się barierki i przechyliła się w stronę wody.

W tej samej chwili Mary doskoczyła do niej i złapała ją za ramię, a potem błyskawicznie objęła obiema rękami.

Emma krzyknęła z bólu i popatrzyła na Mary. Ta doznała szoku, kiedy zobaczyła, jak poważne obrażenia miała Emma.

- To nie jest żadne wyjście - powiedziała stanowczo Mary. - Pozwól, że opowiem ci o Jezusie Chrystusie!
- mówiła Emmie prosto w twarz.

W chwili kiedy wymówiła imię Chrystusa, Emma przestała się opierać. Zapłakała jeszcze rzewniej, ale pozwoliła ściągnąć się z barierki; z powrotem stanęła na ścieżce rowerowej. A potem, patrząc na Mary z lękiem, jak dziecko, powiedziała:

- Pokaż mi, co mam zrobić. Ja nie chcę umierać!...

Mary odetchnęła z ulgą. Przytuliła Emmę delikatnie, i tak stały przez dłuższą chwilę, objęte. Każda z nich miała nadzieję, że będzie lepiej, że Emmę czeka przyszłość lepsza od śmierci. Po pewnym czasie Mary cofnęła się odrobinę, choć wciąż obejmowała Emmę jedną ręką. Ruszyły ku końcowi mostu, a potem przeszły przez ulicę i fragment parku, do samochodu Mary.

Emma wtuliła się w fotel i siedziała skulona, przerażona.

- Bardzo się boję!... - wyznała, spoglądając Mary w oczy. Szczękała zębami ze strachu i miała silne dreszcze. - Co by było, gdybyś mnie nie uratowała...?!

Mary także wciąż była zaniepokojona. Jeszcze miały przed sobą długą drogę, którą musiała przebyć Emma - a tymczasem ona przed chwilą o mało nie umarła.

- To nie ja cię uratowałam, Emmo. Pan Jezus cię uratował - powiedziała Mary, aby uspokoić Emmę i siebie samą.
- Wiesz, w gruncie rzeczy dopiero zaczął ci pomagać.

Pojechały do szpitala. Lekarz dyżurny przebadał Emmę, a potem zatelefonował na policję i złożył doniesienie przeciwko Charliemu.

Piętnaście minut później jedna z pielęgniarek powiadomiła obie kobiety, że Charlie został aresztowany we własnym mieszkaniu; zarzucono mu pobicie z uszkodzeniem ciała oraz usiłowanie morderstwa. Następnie do szpitala przyjechał policjant, który powiedział Emmie, że nie musi się martwić, ponieważ wszystko wskazuje na to, że Charlie nie zostanie wypuszczony na wolność wcześniej niż za kilkanaście lat. Funkcjonariusz także przesłuchał Emmę i zrobił jej kilka zdjęć. W międzyczasie okazało się, że Emma ma złamaną rękę, tuż poniżej ramienia. Założono jej gips i wypisano ją ze szpitala, powierzając ją opiece Mary.

Był to dla Mary wyczerpujący, ale zarazem przełomowy dzień. Wiedziała już wcześniej, że w sprawie Emmy musi nastąpić jakiegoś rodzaju przełom. Zawiozła ją do schroniska, a potem w gabinecie Mary zjadły razem ciepłą kolację. Rozmawiały później przez całą godzinę. Mary dużo wiedziała na temat osób podejmujących próby samobójcze. Gdyby stan psychiczny Emmy wskazywał na dalsze poważne niebezpieczeństwo targnięcia się przez nią na swoje życie, Mary zatelefonowałaby do szpitala psychiatrycznego, gdzie zamknięto by Emmę do czasu, aż zagrożenie minie. Jednak Emma była w lepszym stanie; Mary potrafiła to ocenić, szkolono ją w tym zakresie.

Podczas owej rozmowy Emma wielokrotnie mówiła, że tak naprawdę nie chce umrzeć. A także, że skoro aresztowano Charliego, o wiele, wiele mniej się boi. Mimo to Mary postanowiła, że będą spały w tym samym pokoju. Poleciała przynieść do swojego gabinetu kozetkę dla Emmy, a sama rozłożyła na kanapie koc dla siebie.

- Leah zostanie w schronisku na noc i będzie spała w pokoju z Kami i Kaitlyn - powiadomiła Mary Emmę.
- Zajrzałam do nich, wszystko z nimi w porządku.
- Zaczęła robić kawę, cały czas nie spuszczać Emmy z oka. - A my dwie będziemy dzisiaj nocować w tym pokoju. Będziemy mogli rozmawiać, o czym i kiedy tylko będziesz chciała.

- Dziękuję ci - odezwała się Emma. Widać było, że malujące się na jej twarzy napięcie stopniowo ustaje. Już się nie trzęsła. Odruchowo kulila tylko zagipsowaną rękę i krzywiła się, ilekroć wykonywała poważniejsze ruchy.
- W gruncie rzeczy... chciałabym usłyszeć resztę historii twojego życia, jej zakończenie - oznajmiła. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Mary usiadła na kanapie. Dzień był nadzwyczaj nerwowy i omal nie doszło do tragedii, a jednak w jej sercu znowu zapanował spokój. *Pan Bóg panuje nad sytuacją* - pomyślała.

- Ostatnio opowiadałam ci, jak przyjechałam z wizytą do Ośrodka Nowego Życia i słuchałam, jak Nigel Townsend naucza o świętym Szczepanie, prawda?

- Tak. Mówiłaś o tym, jak Bóg potrafi uratować człowieka. - Nagle Emma uświadomiła sobie coś. - Można

powiedzieć, że dzisiaj uratował mnie... Właściwie to uratował mnie kilka razy.

Mary poczuła, jak ogarnia ją coraz większa radość. Jeżeli Emma potrafiła dojść do wniosku, że Pan Bóg uratował ją najpierw przed Charliem, a potem przed nią samą, to znaczy, że rzeczywiście była gotowa na wysłuchanie dalszego ciągu jej opowieści.

23



Tę część historii swojego życia Mary opowiadała dość łatwo. Natychmiast powróciła pamięcią do momentu, kiedy Nigel kończył naukę na temat świętego Szczepana. Opowiadał z pasją w głosie, a słuchacze w zupełnej ciszy nadstawiali uszu. Słowa Nigela kołysły Mary. Był to jej ulubiony fragment jej przeszłości, ponieważ właśnie w tym czasie poczuła wreszcie całym sercem, co znaczy miłość Chrystusa.

To wtedy Mary została uratowana przez Boga. Dlatego chętnie do tego wracała.

Nigel zakończył naukę o świętym Szczepanie. Tłum bezdomnych i narkomanów siedział w milczeniu, pozostając pod wielkim wrażeniem wystąpienia Nigela. On zaś zaczął się modlić. Po chwili pewien potężnie zbudowany mężczyzna, który wieczorami pracował w ośrodku, zmywając naczynia, przyniósł gitarę i zaczął grać. Zaśpiewał „Amazing Grace” - pieśń o niezwykłej chwale Pana i o tym, że on, człowiek, był niegdyś nędznikiem i łotrem, ale potem Bóg ocalił go dzięki swojej miłości.

Słuchając pieśni, Mary poczuła na policzkach łzy. Sama się zdziwiła, że płacze. Czuła się przy tym tak, jakby w jej sercu topił się tkwiący w nim od bardzo dawna lód. Popatrzyła na twarze najbliższych siedzących osób. Niektóre z nich także płakały. Mężczyzna skończył śpiewać, ale grał jeszcze, wypełniając salę łagodnymi dźwiękami gitary.

- Jeśli ktoś z was chciałby poznać tę miłość, poczuć Bożą miłość we własnym sercu, to chwila jest odpowiednia. Chrystus nie prosi o wiele. - Nigel zbliżył się do pierwszego rzędu ławek i siedł wzdłuż niego, po kolei patrząc w oczy siedzącym. - Pragnie, żebyśmy Mu ufali i wierzyli w Niego. Chce także, abyśmy odwrócili się od złej przeszłości - cokolwiek złego czy nawet bardzo, bardzo złego w życiu robiliśmy - i abyśmy rozpoczęli nowe życie - życie na sposób Chrystusowy. - Nigel wyciągnął rękę ponad zebranymi i powiedział: - Skłońcie głowy i zamknijcie oczy. - Słuchacze postąpili zgodnie z jego poleceniem. - A teraz proszę: jeśli jest na sali ktoś, kto dzisiaj chciałby, żeby Bóg go ocalił, niech podniesie rękę.

Mary patrzyła zafascynowana na reakcje obecnych - czuła, że musi zobaczyć, czy są wokół niej ludzie, którzy naprawdę wierzą w to, o czym mówił Nigel. Po chwili kolejno zaczęły się podnosić ręce. Zgłosił się między innymi nerwowo chudy biały mężczyzna, a także czarny nastolatek ze śladami po igłach. Mary także miała ochotę podnieść rękę i wierzyć w Boga, który uratowałby ją i kochał niezależnie od wszystkiego.

I w tej samej chwili zdała sobie sprawę z tego, że zaszła w niej jakaś przemiana.

Wierzę w Boga - pomyślała. Mimo wszystkich nocy i dni, które spędziła w piwnicy, przykuta przez Jimbo kajdankami do łóżka, pomimo tego, że odnalazła chwilowy spokój, uwiódłszy żonatego mężczyznę, wreszcie mimo wszystkich swoich obaw i utraty wiary przed laty, i pomimo tego, jak żyła przez wiele lat od tamtej pory, Mary poczuła, że naprawdę wierzy w Boga.

Choć nie znaczyło to jeszcze, że jest przekonana o tym, że Bóg zechce ją kochać.

Przecież jutro znowu będę z Claytonem - myślała - *pełniona moralnym brudem, jak zwykle albo jeszcze bardziej.* Zacisnęła pięści i skuliła się, aby przypadkiem nie podnieść ręki. Nie *mogę* - tłumaczyła sobie - *i nie podniosę. Nawet dla potężnego Boga, który jest wszystkim dla Nigela.*

Przed odjazdem z ośrodka Mary poszła jeszcze do gabinetu Nigela. Usiadła naprzeciw niego i zaczęła wypytywać go o poruszoną wcześniej kwestię niezwykłego spojrzenia niektórych osób, dzięki któremu ich twarze kojarzyły się jej z anielskimi. Rozmowa na ten temat trwała prawie godzinę.

- W oczach ludzi wierzących jest coś innego - mówiła Mary. - Nie umiem wyjaśnić, co, ale widzę to. Nazwałes to „Chrystusowym spojrzeniem”.

- To wszystko przez Ducha Świętego - odpowiedział z uśmiechem Nigel. - Kiedy człowiek poświęca swoje życie Panu Bogu, Bóg zsyła człowiekowi swojego Ducha. Duch Święty napęlnia ludzką duszę, wpływa na

ludzkie uczucia i daje o sobie znać w spojrzeniach ludzi wierzących. To dlatego wydaje się, że tak jaśnieją.

- Czasem mówię sobie, że tylko mi się wydaje...
- szepnęła Mary, zamyślona. Zdawała sobie sprawę z tego, że być może wróci do apartamentu w środku nocy, jednak nie przejmowała się tym. Wiedziała, że Clayton przyjedzie tam najwcześniej nazajutrz wczesnym popołudniem; cieszyła się, że nie musi się spieszyć. Oparła głowę na dłoniach, a łokcie - na stole. - Tak jakby wszystko to działo się tylko w mojej wyobraźni - wytłumaczyła.

- Absolutnie nie - stwierdził Nigel. W tle słychać było muzykę kościelną, która dobiegała z jednej z sal. Muzyka pogłębiała poważną atmosferę rozmowy. - To, co dostrzegasz w spojrzeniach ludzi wierzących, to nie twoja wyobraźnia - to coś prawdziwego. Równie prawdziwego jak Duch Święty, jak Boża miłość.

Właśnie. To o tym przede wszystkim chciałabym się dowiedzieć - pomyślała Mary. *Z tego powodu tu przyjechałam.* Przygryzła policzki, spuściła oczy - opanowywał ją lęk. Nie wiedziała, czy jest dostatecznie dobrym człowiekiem, żeby pytać o Bożą miłość, żeby jej pragnąć i otrzymać ją. To samo dotyczyło zresztą miłości ze strony jakiegokolwiek człowieka. Mary miała poczucie, że cała jej przeszłość to jedno wielkie mnóstwo moralnych brudów.

- Chyba chciałaś coś powiedzieć, Mary? - odezwał się znowu Nigel.

Głos Nigela dodawał Mary siłę, tłumił jej lęk na tyle, że była w stanie odpowiedzieć.

- Chodzi mi o Bożą miłość - wyznała. Wykrzywiła usta, pełna niepokoju, i podniosła oczy na Nigela, nie unosząc głowy. - Co musiałabym zrobić, żeby... no wiesz - żeby Bóg mnie kochał?

Nigel wstał powoli, cały czas spoglądając Mary w oczy.

- Wstań, Mary - powiedział. Mary nie wiedziała, co Nigel zamierza zrobić ani dlaczego pozycja stojąca miałaby jej w czymkolwiek pomóc. *A może on po prostu chce powiedzieć, że zmęczyły go już moje pytania i żebym pojechała do domu?* - zastanawiała się. *Może nie ma dla mnie nadziei? Może Bóg nigdy nie będzie mnie kochał? Być może Nigel po prostu nie chce mi tego powiedzieć, więc zamiast tego powie tylko, że już starczy na dzisiaj rozmowy? Przepelniona* obawami, zawstydzona, Mary powoli podniosła się z krzesła.

Nigel pokazał jej, żeby stanęła na środku pokoju, a sam podszedł i stanął mniej więcej dwa metry od niej.

- Wyobraźmy sobie, że ja jestem Panem Jezusem - powiedział.

- Dobrze. - Z nadmiaru emocji Mary przełknęła ślinę. Czowała, że jej serce przyspieszyło. *Czy teraz Nigel zacznie krzyczeć i potępiać mnie za wszystkie życiowe błędy i występki?* - zastanawiała się. *Za sypianie dzień po dniu z żonatym mężczyzną?* Poczowała, że drżą jej kolana i dłonie, ale wciąż stała. *Zasłużyłam na to* - myślała.

Nigel wziął się pod boki. Przyjął jak gdyby postawę nauczyciela.

- Załóżmy, że wiem o wszystkim, co w życiu zrobiłaś - kontynuował równie poważnym tonem jak podczas swojego wystąpienia w sali. - Wiem o tym, co się działo, kiedy byłaś w piwnicy Jimbo, i o tym, co zdarzyło się podczas twoich pobytów w rodzinach zastępczych - w szczególności w związku z ojcem tej drugiej rodziny. Wiem i o tym, że ukradłaś półciężarówkę, i jakie miałaś zamiary, kiedy trafiłaś do naszego ośrodka. Wiem ponadto, co było twoją winą, a na co nie miałaś wpływu... Wiem wreszcie - kontynuował Nigel po małej pauzie - o mężczyźnie, który zajął się tobą obecnie, i o tym, w jaki sposób ty zajmujesz się nim... - Głos Nigela stał się ponury. - Wiem, że wciąż jesteś ofiarą, ale że jednocześnie z własnej woli wybierasz drogę ciemności. Sama także to wiesz.

Mary zwiesiła głowę. Miała wrażenie, że spojrzenie Nigela jest zbyt jasne, żeby była w stanie je znieść.

- Popatrz na mnie, Mary. - Nie zabrzmiało to jak rozkaz, ale jak wypowiedziana łagodnym tonem prośba.

Mary powolutku podniosła wzrok i znowu spojrzała Nigelowi w oczy. Czuli się nader zbolala, i wiedziała, jak w związku z tym wygląda. Musiała bardzo się czerwieni.

- Wyobraź sobie teraz, co zrobiłby Pan Jezus, wiedząc wszystko, co wie, gdyby stał teraz tu gdzie ja.

Mary miała ochotę zasłonić twarz, całe ciało, nawet serce, które Bóg znał. Ochronić się w jakiś sposób przed potokiem oskarżeń, który niewątpliwie by usłyszała. *Co zrobiłby Pan Jezus?* - zastanowiła się.

- To by było... po prostu straszne! - szepnęła. Ledwie była w stanie patrzeć w oczy Nigelowi. - Musiałabym odwrócić wzrok.

- Nie, Mary... - szepnął ze wzruszeniem Nigel. Powoli, bardzo spokojnie, podszedł do Mary i przystanął naprzeciw niej, tak że niemal zetknęli się stopami.

Mary miała ochotę po prostu uciec. Dlaczego Nigel koniecznie chciał stać tak blisko? Mógłby przecież powiedzieć jej, co miał do powiedzenia, stojąc w drugim końcu pokoju. Wtedy ona byłaby w stanie jakoś to znieść, odpowiedziałaby kilka grzecznych słów i poszła. Ale tak blisko?!

Z tej odległości bez wątpienia zobaczę ból i rozczarowanie na jego twarzy, kiedy za chwilę się pojawią - myślała Mary. *I nie zniosę tego.* Odwróciła więc wzrok, tak samo jak wtedy, kiedy Clayton wymierzył jej policzek. A potem - jedyne, co mogła, to czekać. *Zasłużyłam na słowa Nigela, cokolwiek powie* - myślała.

- Mary - szepnął znowu Nigel - spójrz na mnie.

Z początku nie reagowała, ale wreszcie zrozumiała, o co chodzi. Między innymi na tym polegała kara dla niej - na tym, że miała patrzeć w oczy Nigela i widzieć w nich jego dezaprobatę. Przymknęła więc powieki i z wysiłkiem spojrzała Nigelowi w oczy jeszcze raz.

- Powiedz mi, co masz do powiedzenia, Nigel - ponagliła, zaciskając zęby. - Jestem gotowa.

Na twarzy Nigela pojawiła się jakaś emocja, nie było to jednak rozczarowanie, gniew czy choćby dezaprobata. Nigel wyciągnął rękę.

- Oto, co zrobiłby Jezus - powiedział. Po tych słowach powoli objął Mary i przytulił ją.

Zaparło jej dech. Nigdy w życiu nie doznawała podobnego uczucia.

Gdzież potępienie, gdzie osąd, reprimenda?! - myślała ze zdumieniem. Nikt na nią nie wrzeszczał, nie groził jej palcem. Nigel przytulał ją - i to nie jak kochanek ani nie jak brat, jak żaden z mężczyzn, których Mary dotąd spotkała. To był uścisk ojcowski. Mary wcześniej takiego uścisku nie znała. Odczytywała z niego to, czego nigdy nie spodziewała się doznać, poczuć - akceptację, to, że jest ochraniająca, i jeszcze troskę, wreszcie coś, czego nie doznawała od czasów, kiedy była małą dziewczynką.

Miłość.

Mijały sekundy. Mary poczuła, że się uspokaja. Opadały z niej gorycz i wstyd, chciwie tuliła się teraz do piersi Nigela. *Czy on ma rację? - myślała. Czy Jezus Chrystus, gdyby mnie zobaczył i wiedział o mnie wszystko, naprawdę objąłby mnie i przytulił jak zagubioną córkę? Czy rzeczywiście kochałby mnie tak mocno, że minęłoby całe moje cierpienie? Czy to możliwe?*

Od urodzenia Mary pragnęła wierzyć w Boga właśnie w taki sposób, tylko dotąd zdawało się jej, że nie ma Go w pobliżu. Nie doznawała Jego obecności w piwnicy Jimbo, ani wtedy, kiedy musiała opuścić Evelyn i Teda, ani wówczas, gdy się okazało, że o włos rozminęły się z babcią. I z pewnością nie wtedy, kiedy oddała serce i duszę Claytonowi Billingsowi.

A teraz?...

Nigel wciąż ją obejmował. Zaczął lekko głaskać Mary po plecach i kołysać ją leciutko. Nigdy w życiu nie miała takiego poczucia bezpieczeństwa ani nie czuła, że komukolwiek tak ogromnie na niej zależy.

Po długiej chwili Nigel cofnął się, choć wciąż opierał dłoń na ramionach Mary.

- Tak właśnie wygląda miłość Chrystusa - powiedział. - Jest pełna, kompletna, nie ma w niej osądu ani rezerwy. Jest bezwarunkowa. Kiedy upadasz, Chrystus wyciąga do ciebie rękę. Kiedy się odwracasz, stoi u drzwi twojego serca i czeka, zawsze czeka.

Serce Mary zdawało się rosnąć. Miała łzy w oczach. *Pełna, kompletna miłości* - myślała. *Bez osądu ani rezerwy. Miłość, która podnosi, kiedy człowiek upada, i przytula, kiedy... kiedy zasłużyło się na piekło?*

- Myślałam... - teraz Mary patrzyła w oczy Nigela pytająco - myślałam, że Pan Jezus byłby na mnie wściekły, że ukarałby mnie.

Nigel patrzył z takim spokojem, że Mary wyobraziła sobie spokojny ocean.

- Kara to coś, co spotyka nas z naszego własnego wyboru - odpowiedział Nigel. - Chrystus dba o to, żeby tak było - z jednego powodu.

- To znaczy... - Mary poczuła się zdezorientowana - że Chrystus jednak mnie ukarze?

Nigel uśmiechnął się cierpliwie.

- Tylko po to, żebyś zawróciła z niewłaściwej drogi, Mary - wyjaśnił. - Przestała oddalać się od Niego, a zaczęła się do Niego zbliżać. Co dzień doświadczasz owej

kary, kiedy czujesz się jak w pułapce, żyjąc z mężczyzną, którego tak bardzo się obawiasz. A Pan Jezus chce cię właśnie uwolnić.

- Uwolnić? - Nigdy *nie zaznałam wolności* - pomyślała Mary. *Nie byłam wolna ani wtedy, kiedy tułałam się z matką po ulicach, prowadzona przez nią, ani wtedy, gdy wegetowałam w piwnicy przykuta kajdankami do łóżka. Ani teraz, żyjąc z Claytonem - teraz też nie jestem wolna.* - Chrystus chce, żebyśmy była wolna? - upewniła się.

- Nie tylko. - Nigel przesunął kciukiem poniżej oczu Mary, ścierając jej łzy. - Wykupił cię z więzów... płacąc za ciebie własnym życiem. Umarł za ciebie.

Nigel patrzył na nią takim wzrokiem, że Mary nie miała wątpliwości, iż jego ostatnia wypowiedź to najważniejsze, co miał jej tego wieczoru do przekazania: Jezus Chrystus umarł za nią, żeby ją uwolnić. Jednak nie będzie wolna, dopóki nie przestanie żyć w taki sposób jak ostatnio i nie zwróci się ku Chrystusowi. W pełni, całkowicie. Myśl o tym wywołała w Mary dreszcze emocji.

- A kiedy już będę wolna... - odezwała się znowu.

- Kiedy już będziesz wolna... - Nigel przytulił Mary jeszcze raz, i teraz jej serce opanowało prawdziwe życie, radość i nadzieja, jakich nie знаła nigdy wcześniej. - Wtedy Pan Jezus będzie cię tulił, właśnie w taki sposób jak ja teraz, Mary.

Doznanie uścisku Nigela było na tyle niezwykle, że nie minęło, kiedy Mary wsiadła do taksówki, a nawet kiedy położyła się spać. Była rozmarzona, czuła się lekko, jak gdyby odnowiona. *Czy to możliwe? Czyżby Bóg pragnął*

mnie uwolnić? - myślała. *Uwolnić od moich dotychczasowych cierpień i przytulić mnie, tak jak pokazał mi Nigel? Objąć mnie swoimi boskimi ramionami i ochraniać mnie, z miłością, która poprowadzi mnie przez resztę życia?*

Kręciło się jej w głowie od myśli na ten temat. *Może nie musiałabym już być niczyją niewolnicą, ofiarą ani kochanką?* - myślała. *Może mogłabym być córką Jezusa Chrystusa, dzieckiem? Pierwszy raz w życiu.* Mary zaczęła płakać; ostatnio - odkąd znowu zaczęła widywać Nigela - często jej się to zdarzało. Tym razem nie były to jednak łzy rozpacz czy strachu, ale łzy radości. Mary czuła, że jest znacznie bliżej Chrystusa, niż kiedykolwiek sądziła; miała wrażenie, że Jego miłość jest dla niej namacalna i ogrzewa jej serce nawet w tej chwili, kiedy nie była pewna, jak odejść od Clayтона i przyjąć wolność, którą ofiarowywał jej Jezus.

Następnego popołudnia Mary częściowo zwierzyła się Claytonowi ze swoich uczuć.

Siedzieli naprzeciw siebie przy niewielkim kuchennym stole. Clayton przyniósł jej w prezencie nową koszulę nocną - jedwabistą, krótką i prześwitującą - i kazał Mary ją włożyć. Zrobiła to więc i siedziała w owej niechcianej koszuli, czując się w niej jak szmata. Serce biło jej ze strachu tak mocno, że czuła je aż w gardle.

- Clayton - odezwała się. *Boże, pomóż mi! Podpowiedz mi odpowiednie słowa* - pomodliła się w duchu. - Chcę stąd odejść.

Clayton był tak zaskoczony, jak gdyby Mary oznajmiła mu, że właśnie zapragnęła polecieć na Księżyc.

Uniósł brwi, mocno zmarszczył czoło, a potem oparł się o stół i zaczął nerwowo chichotać. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

Mary poczuła mdłości.

- Poważnie mówię - powiedziała. - Chcę odnaleźć moją babcię, która mieszka w Nowym Jorku, i zacząć inne, własne życie.

Mięśnie twarzy Claytona rozluźniły się, szczęka opadła mu ze zdziwienia. A potem w jego oczach pojawił się gniew.

- N i e mów mi, co chcesz zrobić! - syknął. Nachylił się nad stołem, zbliżając się do Mary, i mówił do niej z wściekłością. - Nie rozumiesz?! W tej chwili nie możesz odejść ode mnie! Za dużo wiesz!

Mary zadrżała; podświadomość mówiła jej, żeby uciekała jak najdalej - wówczas może będzie miała przynajmniej szansę wyrwania się ze szponów Claytona. Cofnęła się razem z krzesłem.

- Nic nie wiem, Claytonie - zaprzeczyła, kręcąc głową. - I nie powiem nikomu ani słowa.

Clayton wstał, obszedł stół i złapał Mary za włosy.

- N i e patrz tak na mnie tymi niebieskimi oczami! - skarcił ją, a potem szarpnął ją za włosy, wyduł usta i syknął, podkreślając każde słowo: - Mogłabyś mnie zniszczyć, kobieto. Nie opuścisz tego apartamentu, chyba że za ładnych parę lat!... - Wyprostował się i patrzył na Mary, a w jego spojrzeniu widać było narastający gniew.

Nie mogę się poddawać! - myślała Mary.

- Obiecuję ci, że nie powiem nikomu ani słowa...

Clayton uniósł rękę i wymierzył jej siarczysty policzek.

Upadła z krzykiem na kolana i zaczęła na czworaka uciekać w stronę drzwi. *Mogę uciekać dalej!* - myślała. *A jeżeli Clayton złapie mnie i zabije, trafię być może prosto w otwarte ramiona Jezusa Chrystusa! A może wcale nie?... W końcu tak naprawdę jeszcze nie powierzyłam swojego życia Chrystusowi, chyba...* Niepewność zmroziła Mary. Była przerażona. *Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej! Ale nie wiem, co się ze mną stanie, jeśli umrę, a muszę to wiedzieć!* - miotała się.

Uciekała przed Claytonem, wciąż na czworaka, aż od kontaktu z twardym dywanem zaczęły ją piec kolana. Kiedy przebyła mniej więcej połowę drogi do drzwi wyjściowych, Clayton znowu złapał ją za włosy i silnym ruchem podniósł do pozycji pionowej, potem przewrócił na plecy. A później szarpnął się i zaczął ją bić, po twarzy, po rękach, raz po razie. Dopiero w tym momencie Mary zrozumiała, do jak okropnych rzeczy jest zdolny, uświadomiła sobie, że skrywał to wcześniej przed nią. Bił ją bardzo mocno, aż nie dowierzała temu, co się działo. Silne uderzenia były bardzo bolesne, zaczęły ogarniać ją mdłości. Poczula, że po jej twarzy spływa coś ciepłego, zaczęło kapać jej do oczu. Mary zaczęła powoli tracić przytomność; stopniowo przestawała odczuwać to, co robił jej Clayton.

Ważniejsze było dla niej w tym momencie to, że odwraca się od Clayтона i ucieka od niego ku Jezusowi, wyraźnie to czuła. Biegła z otwartymi ramionami w stronę Jezusa Chrystusa, a On... stał u drzwi jej serca i czekał na Mary, tęsknił za nią. Ów obraz wywołał w du-

szy Mary nieopisaną radość, bezgraniczną. *Jezu, zawsze wiemy... Przepraszam Cię, że wcześniej nie dostrzegalam, że przy mnie stoisz i czekasz...* - myślała.

Nigel pokazał jej niezgłębioną miłość Chrystusa i w tej chwili wierzyła w nią całym swoim jestestwem. Nigel opowiadał jej dziesiątki historii na temat Pana Jezusa, cudownych historii, i teraz wszystkie jak gdyby przesunęły się jednocześnie przed oczami Mary, powróciły do niej. Spośród bogactwa obrazów wyróżniał się jeden. Było to zdarzenie, do którego doszło podczas Ostatniej Wieczerzy spożywanej przez Pana w towarzystwie uczniów - oto Jezus Chrystus mył nogi swoim uczniom, także temu, który już Go zdradził.

Taką właśnie miłość chował dla Mary Jezus, ofiarowywał ją jej, mimo że z trudem oddychała pod ciosami Clayтона Billingsa. Jednak miłość Chrystusa napełniała serce Mary ciepłem i spokojem, oznaczała bezpieczeństwo, była cudowna, różna od wszystkiego, co świat wiedział o miłości. Polegała na trosce, opiece i na stałym oddaniu ukochanej osobie; i ta Chrystusowa miłość w jednej chwili przydała Mary nowej, cudownej siły. Mary czuła, że teraz, niezależnie od tego, co zrobi jej Clayton, jak gdyby istnieje w innej rzeczywistości.

Zrozumiała coś jeszcze: Jezus Chrystus to równocześnie w pełni Bóg i w pełni człowiek; tłumaczył jej to Nigel. To właśnie z tego powodu ludzie bali się poznać Pana Jezusa. Nagle Mary uświadomiła sobie następną rzecz, która była dla niej niezwykłym odkryciem: ona, Mary Madison, dziecko ulicy, córka prostytutki, była

niewolnica i obecna kochanka jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych biznesmenów w mieście, dysponowała mocą do dzielenia się prawdą o Jezusie Chrystusie z każdym, kto zechce jej słuchać. Tą samą mocą, którą miał Nigel. Mary czuła, że ma władzę bronienia przed ludźmi prawdziwej historii.

Jego - Chrystusa - historii. Opowieści o Nim.

Tymczasem Clayton Billings wciąż ją bił, wymierzając jej cios po ciosie; lecz żaden z nich nie znaczył już dla Mary wiele. Czuła, że Jezus otula ją ramionami, że chroni ją, osłania, z troską ukrywa ją przed Claytonem w bezpiecznym miejscu, które znajduje się gdzieś w jej umyśle.

W końcu, po wszystkich swoich złych uczynkach, w tym przedziwnym, okropnym momencie, kiedy Clayton Billings bił ją do krwi, Mary doznała niezwykłej przemiany. Odwróciła się od Clayтона całkowicie.

Widzę Cię, Panie - myślała. Czuję, że jesteś tu ze mną.

„Moja ukochana córko! Teraz należysz do Mnie” - jak gdyby słyszała w myśli Mary. „Będę twoim schronieniem”.

Moim schronieniem? Czy to powiedział do mnie Jezus Chrystus, podobnie jak wczoraj Nigel? - zastanawiała się Mary. I poczuła pewność, że tak. Rzeczywiście, to Bóg przemawiał prosto do jej serca. Jego słowa nappełniły ją życiem i uwolniły od okropnego bólu, który w tej chwili powinna odczuwać. Kocham Cię, Panie Jezu - pomyślała. Przepraszam Cię za to, że do tej pory nigdy się do Ciebie nie

zwracałam; przepraszam za wszystkie złe rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobiłam. Trzymaj mnie mocno i nie puszczaj mnie!

„Nigdy cię nie opuszczę, nigdy nie zapomnę o tobie, moje drogie dziecko!” - słyszała w myśli.

Nowa, zadziwiająca miłość, jakiej Mary właśnie doznała, odmieniła całą jej perspektywę, zmieniła sposób, w jaki Mary patrzyła na świat. Ból odszedł gdzieś w tło wydarzeń. Teraz Mary czuła tylko najłagodniejszy na świecie dotyk Chrystusowych ramion. Pan tulił ją, głaskał ją delikatnie po plecach, kołysał ją lekko, jak ukochaną córkę, swój skarb. Mary słyszała cudowną, wspaniałą prawdę szeptaną jej do ucha. Była wolna. Niezależnie od tego, co złego miał zrobić jej teraz czy też później Clayton - to nie miało znaczenia. Mary czuła, że przez resztę życia będzie nurzać się radośnie w niezmierzonej chwale Boga Wszechmogącego, kąpać się w Jego całkowicie pochłaniającej człowieka miłości. Ponieważ nie należała już do Clayтона.

Mary należała już do Jezusa Chrystusa.

24



Mary odetchnęła głęboko i spojrzała na Emmę. Emma miała łzy w oczach.

- Jak się czujesz? - spytała ze współczuciem Mary.

- Niezbyt dobrze - przyznała Emma. Ściągnęła z kozetki koc i owinęła się nim. - Zimno mi.

- Moja opowieść nie jest lekka, łatwa i przyjemna...

Emma przytaknęła szczerze.

- Doskonale wyobrażam sobie każdy cios Clayтона...

- mruknęła, przesuwając palcami po gipsie. - W chwili takiej jak ta, o której opowiedziałaś, ja myślę tylko o śmierci - o tym, że Charlie mnie zabije i jak to się dokładnie odbędzie. A także o tym, co pomyślą moje maleństwa, kiedy znajdą mnie nieżywą.

- Ja myślałam podobnie, kiedy byłam bita pierwsze kilka razy. Zastanawiałam się, co pomyślałaby babcia, kiedy dowiedziałyby się, w jaki sposób umarłam...

- Mary podniosła spojrzenie i w tej samej chwili zobaczyła Chrystusa wyciągającego do niej rękę. Taki sam obraz miała przed oczami, kiedy Clayton ją maltretował.

- Dla tego właśnie wiem, że to cud, że zostałam ocalona.

- Położyła dłoń na swoim sercu i wyjaśniła: - Jezus ocalił

mnie tutaj, od wewnątrz, mimo że nie wiedziałam, czy przeżyję następne kilka minut.

Emma zamrugała oczami, łzy płynęły jej po policzkach.

- To wszystko dlatego, że Nigel pokazał ci, jak kocha Jezus.

- Tak - szepnęła Mary. - Nigel kochał mnie na tyle mocno, że przekazał mi tę prawdę. - Mówiąc o Nigelu, Mary tęskniła za nim. Od lat nie tęskniła za nim tak mocno jak w tej chwili. - Nigdy żaden mężczyzna nie kochał mnie tak jak Nigel.

Emma spojrzała na Mary z ukosa i dłuższą chwilę przyglądała się jej uważnie.

- Czy ty ciągle go kochasz? - spytała.

- Nie. - Mary poczuła smutek połączony z tkliwością. Gdy myślała o Nigelu, zawsze ogarniało ją to samo uczucie. - Miłość do Nigela nie została mi przeznaczona - ani nie kochałam go tak naprawdę wtedy, ani nie kocham go teraz. - Mary podłożyła sobie poduszkę pod łokieć i położyła się, opierając się na poręczu kanapy. Przypomniała sobie oczy Nigela i jego łagodny głos. Wciąż tęskniła za nim tak samo jak w dniu, kiedy się pożegnali.

- Przecież chyba jednak go kochasz... - stwierdziła Emma, próbując zrozumieć Mary.

- Kocham go - zgodziła się Mary, mając łzy w oczach - ale nie w taki sposób, o jakim myślisz. Nie w sposób, w jaki rozumie miłość świat. - Wyprostowała się odrobinię. - Prawie doszłam już do końca mojej opowieści. W jej ostatniej części opowiem ci o Nigelu i o mnie.

Mary zamknęła oczy i natychmiast w wyobraźni zobaczyła wejście do Ośrodka Nowego Życia. Doskonale pamiętała, jak wyskoczyła z taksówki i pobiegła do ośrodka. Działo się to godzinę po odejście Clayтона z apartamentu.

Mary wyglądała jak śmierć; wiedziała, bo obejrzała się w lustrze. Nie przejmowała się jednak swoim wyglądem, daleko ważniejsze było to, że uszła z życiem. Zdecydowała się opuścić apartament Clayтона Billingsa i nigdy więcej do niego nie wrócić. Spakowała do torby na zakupy swoje rzeczy - trochę ubrań, kilka drobiazgów osobistych, no i swoją czerwoną portmonetkę z koralikami.

Bez przeszkód dotarła do Ośrodka Nowego Życia i w kuchni odnalazła Nigela. Odruchowo przytuliła się do niego.

- Kto ci to zrobił? - odezwał się Nigel. Wyglądał na rozgniewanego, jak nigdy dotąd. Był jednocześnie rozgniewany i pełen miłości, miłości takiego rodzaju jak miłość Chrystusowa; widać było, że chce bronić Mary przed napastnikiem. - Jak nazywa się ten człowiek?!... - Nigel ledwie panował nad sobą, nie podniósł jednak głosu.

- Opuściłam go - wyznała Mary, odwracając wzrok.
- I nie zamierzam do niego wracać.

Nigel delikatnie dotknął jej spuchniętej powieki, a Mary szarpnęła się z bólu.

- Mary... Raz, kiedy rozmawialiśmy, wymówiłaś imię Clayton. Czy chodzi może o Clayтона Billingsa? - Nigel znieruchomiał.

Mary otworzyła usta, żeby skłamać i zaprzeczyć; wszak nieraz kłamała. A jednak tym razem tego nie zrobiła. Znów odwróciła głowę, zawstydzona i przerażona.

- Nie mogę o tym mówić... - szepnęła z lękiem.

- Wiem, kto to jest.

- To poważny biznesmen. Jest właścicielem wielu firm w Waszyngtonie - ostrzegła Mary. *Boże, jeśli Clayton dowie się o tej rozmowie...!* - myślała. Zakręciło jej się w głowie.

- To prawda - odparł Nigel, marszcząc brwi. - Clayton Billings jest jednym z najbardziej wpływowych ludzi w mieście. I jak chodzą słuchy, od mniej więcej dziesięciu lat jest powiązany z przestępczością zorganizowaną. A do tego jest członkiem rady parafialnej największego kościoła w Waszyngtonie! - dodał z oburzeniem.

Zorganizowana przestępczość?! Rada kościoła?! Mary o niczym takim nie słyszała. Nowe, niespodziewane informacje o Clatonie uderzyły w nią niczym kolejne ciosy jego pięści. Nic dziwnego, że powiedział jej, że nie może go opuścić, ponieważ za dużo wie. Jeżeli ludzie dowiedzą się o ich związku, publiczny wizerunek Claytona Billingsa legnie w gruzach.

- On mnie zabije!... - stwierdziła z przerażeniem Mary. - Zabronił mi mówić komukolwiek choć słowo na jego temat. - Zagryzła wargi. - On mnie zabije...

- Już spróbował to zrobić - mruknął Nigel, ostrożnie muskając dłonią jej policzek. Oczy Nigela zwilgotniały, był zszokowany widocznymi uszkodzeniami ciała Mary. - Mary, nie jestem w stanie znieść tego, że Billings zrobił

ci coś podobnego - powiedział, zaciskając zęby. Wziął głęboki oddech, cofnął się o krok i sięgnął do telefonu.
- Zadzwoń na policję i powiadomię ich o tym, co się stało, zanim...

- Nie! - Mary doskoczyła do Nigela i z krzykiem złapała go za ramię. - Proszę cię, nie! Nigel! Nic mi nie będzie!

- Posłuchaj, Mary - szepnął Nigel, załamany. Znowu ostrożnie musnęła dłonią jej czoło, potem policzki. - Policja musi się o tym dowiedzieć.

- Nie teraz. Złożę na niego doniesienie, kiedy znajdę się w Nowym Jorku.

Nigel milczał przez dłuższą chwilę. Mary widziała w jego oczach to, z czego już zdawała sobie sprawę - Nigel kochał ją, ale nie taką miłością, jakiej dawniej z jego strony pragnęła, lecz miłością płynącą prosto z Nieba. Miłością, która była gotowa walczyć w obronie Mary, a nawet umrzeć za nią. Nigel powoli rozluźnił ramiona, a w jego spojrzeniu pojawiła się rezygnacja.

- Jesteś pewna? - spytał.

- Tak. - Mary myślała szybko. - Muszę się spieszyć, dobrze o tym wiem. Kiedy Clayton się zorientuje, że mnie nie ma, będzie się starał mnie dopaść. Ale nie możemy w tej chwili zadzwonić na policję.

Nigel westchnął powoli, po czym znowu wyciągnął rękę do Mary.

Podeszła do niego, tak samo jak poprzednio. Pomyślała, że czasami najłatwiej poczuć miłość Chrystusa w ramionach człowieka.

- Dziękuję ci - szepnęła. Cofnęła się i zastanowiła się nad tym, co w tej chwili czuła. Bezgranicznie cieszyła się z powodu odzyskania wolności, myślała także o tym, że wkrótce wreszcie znowu zobaczy babcię Peggy; dawało jej to poczucie sukcesu. Mary odczuwała też jednak smutek, ponieważ nie miała czasu na długie przebywanie z Nigelem.

A on przyglądał się jej badawczo, aż wreszcie uśmiechnął się lekko.

- Promieniejesz - zauważył. - Mimo wszystko.

- Właśnie to chciałam ci powiedzieć - odparła z ożywieniem Mary, ujmując jego dłonie. - Nie wiem, czy w to uwierzysz, ale udało się! - Mary uśmiechnęła się szeroko, choć uśmiech sprawiał jej ból, a opuchnięte policzki i powieki niemal przesłoniły jej oczy. - Przestałam uciekać i ofiarowałam swoje życie Jezusowi Chrystusowi! - Ze łzami w oczach mówiła dalej: - Chrystus tyle dla mnie zrobił! Przemienił mnie. Posłużył się zresztą do tego tobą. - Załkała, choć jednocześnie jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak mocno kochana, jak w tej chwili. Pociągnęła nosem i kontynuowała: - Jezus mnie kocha!... Kocha mnie tak, jak nie byłam kochana jeszcze nigdy w życiu. - Położyła dłoń na sercu. - Przemawiał do mnie i tulił mnie; teraz wiem, że już nigdy nie będę sama. Nigdy.

- Bóg jest wierny - skomentował cicho Nigel. - Wysłuchał moich modlitw. - Znów uniósł dłoń i delikatnie przesunął palcem po opuchniętych okolicach oczu Mary.

- Ale jak to się stało, że Billings zrobił ci coś takiego? Jak on mógł?!...

- Ćśś - uspokoiła Mary, chwytając Nigela za nadgarstki i opuszczając z powrotem jego ręce. - Porozmawiamy o tym innym razem. Najważniejsze jest to, że w tej chwili już rozumiem. Pan Jezus naprawdę mnie uwolnił! A ja mogę dla Niego zrobić tylko jedną rzecz. - Mary była tak ogromnie wzruszona, że łzy płynęły jej z oczu strumykami. - Ofiarować Mu siebie, swoje życie. Oddawać Mu je co dnia, aż do śmierci.

- Clayton Billings musi zapłacić za to, co ci zrobił - z westchnieniem zmienił temat Nigel.

- Pewnego dnia tak się stanie. Ale na razie... nie mogę dopuścić do tego, żeby dowiedział się o tobie. On by cię zabił, Nigel. Wiem o tym.

- Nie boję się go - odpowiedział Nigel, nawet nie mrugnawszy okiem.

- Wiem - szepnęła Mary, przytulając go jeszcze raz. Niegdyś była w Nigelu zakochana i wówczas oddałaby wszystko, żeby móc go przytulać; teraz robiła to, a jednocześnie jej uczucia były zupełnie inne. Nigel wciąż ją fascynował i gdzieś na skraju świadomości budziło się w niej marzenie, że kiedyś jakimś sposobem uda się im połączyć i być razem, lecz owo odczucie było tłumione przez oczywistą świadomość tego, że Nigel nie kocha jej tak, jak mężczyzna kocha kobietę. Kochał ją jako cierpiące dziecko Boże. Kochał jej duszę. Mary była w tej chwili fizycznie tak blisko Nigela, że czuła zapach jego szamponu, jego wody kolońskiej, a jednak Boża miłość wystarczała jej.

Nie tylko wystarczała. Wręcz ją przepelniała.

Nigel puścił Mary i oparł się o kuchenny blat.

- Przenocujesz tu dzisiaj - odezwał się znowu, patrząc Mary w oczy.

Skinęła głową.

- W moim dawnym pokoju, jeśli mogę.

- Możesz. - Nigel był blady, chyba miał mdłości z powodu stanu, w jakim znajdowała się Mary. - Najpierw zawiozę cię do lekarza, niech cię zbada. - Musnął lekko brodę Mary. - A później zatelefonujemy do twojej babci.

Mary chciała odpowiedzieć, że ogromnie stęskniła się za ukochaną babcią, ale zadzwonił telefon. Nigel i Mary równocześnie spojrzeli ze zdumieniem na słuchawkę. Czy to ktoś z korzystających z pomocy ośrodka chciał zasięgnąć jakiejś informacji? Była już prawie północ, o tej porze nie zdarzały się tego typu telefony. W takim razie, czy to może Clayton już odnalazł Mary?...

Nigel odczekał chwilę, po czym podniósł słuchawkę.

- Halo? - odezwał się.

Mary usłyszała w słuchawce głos mężczyzny:

- Dobry wieczór, szukam kobiety o nazwisku Madison, Mary Madison; to pilna sprawa... Zdaje się, że mieszkała jakiś czas temu w waszym ośrodku... - Nastąpiła mała pauza. - Czy nie wie pan może, w jaki sposób mógłbym się z nią skontaktować?

- Nie - odpowiedział bez wahania Nigel. Spojrzał Mary w oczy i przyłożył palec do ust. - Nie ma tu nikogo, kto by się tak nazywał.

Mary była przerażona. Nachyliła się bliżej słuchawki, żeby lepiej słyszeć.

- Rozumiem... - Teraz nie miała wątpliwości, że słyszy Clayтона Billingsa. Opuścił apartament w pośpiechu, mrucząc pod nosem, że ma zaplanowaną randkę z żoną widocznie musiał jednak wrócić, żeby sprawdzić, czy Mary żyje. Odchrząknął i kontynuował: - Gdyby pan przypadkiem skontaktował się z nią, proszę jej powiedzieć, że... że jej szukamy. - Po tych słowach Billings się rozłączył, nie przedstawiając się ani nie wyjaśniając niczego.

Nigel odłożył słuchawkę i spojrzał Mary w oczy.

- To chyba on - stwierdził.

- To on - potwierdziła Mary, spuszczać wzrok.
- Poznałabym ten głos wszędzie...

- Musimy zmienić plany. - Nigel sięgnął na lodówkę po kluczyki do samochodu. - Od razu zawiozę cię na lotnisko. Możesz polecieć do Nowego Jorku najbliższym samolotem i spotkać się z babcią, a później pojechać do lekarza.

Mary zawahała się. *A jeżeli Clayton poleci za mną?*
- zastanawiała się. *Może już tu jedzie?*

- Pozwól, że pojedę taksówką - odpowiedziała. Nie mogła znieść myśli o tym, że naraża Nigela na niebezpieczeństwo. Nie zamierzała tego robić ani minuty dłużej.
- A ty powinienesz zostać tutaj.

- Nie będę tu nikomu potrzebny przez te parę godzin
- odpowiedział Nigel, nie odkładając kluczyków.

- Wolalabym, żebyś tu został - powtórzyła Mary, łapiąc go za nadgarstek. - Proszę cię, Nigel. - Patrzyła bardzo poważnie. - Nie chcę, żebyś był w to zamieszany.

- Już jestem - stwierdził Nigel, zaciskając zęby. - Jadę z tobą, nie ma dyskusji.

- Nie podoba mi się to - oznajmiła Mary, próbując się skupić. Naprawdę, nie mogę narażać go na niebezpieczeństwo! - Myślała.

- Trudno - odparł Nigel. - Nie wypuszczę cię stąd samej.

Mary westchnęła ciężko.

- Dobrze.

Nie miała zamiaru narażać Nigela, ale on uparł się, że nie zostawi jej samej; widocznie uznał, że jako jej prawdziwy przyjaciel oraz dżentelmen musi jej w tej sytuacji towarzyszyć. *Może zmienię temat...* - przyszło jej na myśl. Spojrzała na telefon, potem znowu na Nigela, i zapytała: - Czy mogłabym najpierw... zadzwonić do babci?

Wyraz twarzy Nigela natychmiast się zmienił. Widać było, że jest podekscytowany i uradowany.

- Chodźmy do mojego gabinetu - rzucił, pokazując drogę.

Mary wiedziała, że każda minuta zwłoki może mieć znaczenie. Czuli się jednak wolna, i nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie skontaktuje się z babcią. Usiadła za biurkiem Nigela, wyciągnęła karteczkę z numerem jej telefonu i zadzwoniła.

- Halo? - po dłuższej chwili odezwał się zaspany, ale i tak znajomy głos. Mary poczuła, jak w jej serce wlewa się wielka radość. Miała ochotę tańczyć.

- Babcia? - upewniła się. Zaskoczyło ją jej własne wzruszenie. Przełknęła ślinę i kontynuowała z wysiłkiem: - Babciu... to ja, Mary!...

- Mary? Moja Mary?!... - Babcia Peggy z zaskoczenia gwałtownie wciągnęła powietrze, a potem odezwała się głośnie: - Mary! - Słysząc było, że rozplakała się ze wzruszenia. - Nie mogę uwierzyć, że to ty! Nic ci nie jest?

Mary pomyślała o niedawnym telefonie od Clayтона. Nie miała wątpliwości, że już rozpoczął pościg.

- Nic - odpowiedziała babci, mając łzy w oczach. *Ciągle płacze, odkąd poznałam Bożą miłość*- zastanowiła się. - Przylecę dzisiaj do ciebie, do domu. Może mogła-byś przyjechać po mnie na lotnisko?

- Oczywiście! Och, Mary!... Co dzień modliłam się o tę chwilę - co dzień, odkąd zniknęłyście z mamą z domu. - Babcia Peggy posmutniała nagle. - Tak mi cię żal... z powodu tego wszystkiego, co cię spotkało. Chciałam cię ratować, ale nie wiedziałam jak... Bo nie wiedziałam, gdzie się podziewasz!...

- Wiem, babciu. Ja też nie mogłam cię odnaleźć, a ostatnio nie mogłam do ciebie dzwonić. Ale jestem cała i zdrowa. - Mary przesunęła dłonią po spuchniętym policzku. Miała obrażenia po ostatnim pobiciu, ale powinny się zagoić. *A któregoś dnia zagoją się pewnie i moje psychiczne rany...* - myślała. Uśmiechnęła się i powiedziała: - Babciu, odnalazłam z powrotem wiarę w Boga. Miałas

rację. - Wyciągnęła z reklamówki czerwoną portmonetkę, a z niej karteczkę z wielokrotnie czytanyymi słowami, nakreślonymi przed laty babciną ręką. - Pan Bóg rzeczywiście zaplanował dla mnie dobre rzeczy w życiu. Opowiem ci o moim nawróceniu, kiedy się spotkamy.

- Pan Nigel dał ci wszystko to, czego ja nie mogłam ci dać... - odpowiedziała ze wzruszeniem babcia, pociągając nosem.

- To prawda. - Mary zamknęła oczy i upajała się ciepłem i spokojem, które wypływały z Bożej miłości. Tak wiele dowiedziała się o Panu Bogu w ciągu minionego miesiąca! Spojrzała na Nigela i dodała: - Teraz cały czas czuję wokół siebie Chrystusa, jak gdyby obejmował mnie i przytulał.

- Ogromnie się cieszę! - szepnęła babcia Peggy, tłumiąc łkanie. - A już wkrótce będziemy razem.

- Tak! - Mary śmiała się z radości. Po raz pierwszy od wielu dni spodziewała się, że wkrótce zacznie śmiać się często. - Czy to nie cudowne?

Babcia wciąż przeżywała to, że po tak wielu latach znowu słyszy ukochaną wnuczkę.

- N i e mogę się doczekać, Mary!... - powiedziała. Odetchnęła z ulgą - już nie płakała. - Tak ogromnie za tobą tęskniłam, kochanie!... Tak bardzo!...

- Ja za tobą także!... - Mary spojrzała na zegar. Nie mogła zwlekać ani chwili dłużej. - Muszę kończyć, babciu. Ruszam; zadzwonię do ciebie z lotniska, dobrze?

- Uważaj na siebie, Mary. Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Rozłączyły się. Mary wyobrażała sobie babcię Peggy jej dobrą, pomarszczoną twarz, miękkie, ciepłe dłonie, oczy, w których zawsze płonęła nadzieja i obietnica Bożej miłości. *Już niedługo!* - myślała Mary.

W tym samym momencie rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a zaraz po nim na korytarzu dał się słyszeć przerażający krzyk.

- To on!!!...- szepnęła Mary, bliska paniki. Cofnęła się o krok, odsuwając się od drzwi gabinetu.

- Jesteś tu bezpieczna. Nie opuszczę cię - powiedział Nigel, wyciągając rękę i obejmując Mary ramieniem.

Rozległy się kroki - ktoś biegł korytarzem. Już dopadał drzwi gabinetu.

- To jedna z naszych narkomanek - odezwał się głos kucharza, który zajrzał do pokoju, zdyszany. - Chodzi we śnie albo coś sobie wyobraziła. Wybiła szybę i przeleciała na drugą stronę! - Mężczyzna wyglądał na przestraszonego. - Chodź, Nigel, proszę cię. Dziewczyna zupełnie nie jest świadoma, co wyprawia!

Uff, to nie Clayton! - pomyślała Mary, uspokajając się. Oczywiście, że to nie on; Clayton dopiero przed chwilą telefonował. Nawet jeśli natychmiast wsiadł do samochodu i ruszył do ośrodka, musi mu to zająć co najmniej piętnaście minut. Rozpędzone serce Mary zwolniło.

Nigel spojrział na kucharza, potem na Mary, i znowu na kucharza.

- Czy jest ranna? - spytał go.

- W zasadzie nie, ma parę zadrapań. Ale woła cię. Nikt nie jest w stanie jej uspokoić! - Kucharz pokręcił głową.

- Idź - szepnęła Mary, dotykając łokcia Nigela.
- Dopilnuj, żeby nie stało się jej nic złego.

Nigel ruszył ku drzwiom; przystanął, spojrzął Mary w oczy i rzucił:

- Zostań tu. Zaraz wrócę.

Mary skinęła głową, popatrzyła za Nigelem i natychmiast posmutniała. Jeszcze trochę, i się rozstaną, zapewne na długo.

- Uważaj na siebie - szepnęła, uśmiechając się przez łzy.

A potem włożyła do torby czerwoną portmonetkę, przewiesiła torbę przez ramię i w tej samej chwili przyszło jej do głowy, że przecież może oszczędzić sobie smutnego pożegnania z Nigelem. Mogła zaraz wyjść po cichu tylnymi drzwiami i zadzwonić do Nigela z lotniska. Dzięki temu nie sprowadzi na niego niebezpieczeństwa.

Gardło ścisnęło się jej ze wzruszenia. *Będę tęskniła za Nigelem - pomyślała - za tym, jak się za mnie modlił i jak mi pomagał. Za tym, jak pokazywał mi miłość Chrystusa. Ale muszę wyjść.*

Ruszyła cicho do kuchennych drzwi i już po chwili biegła przez parking. Miała właśnie wbiec na uliczkę, kiedy zobaczyła przed sobą dwie ciemne sylwetki. *Pewnie bezdomni - pomyślała - nocują blisko ośrodka, żeby nie stać długo w kolejce, kiedy będzie wydawane śniadanie.* Wolą jednak być ostrożna. Nie zamierzała ryzykować w chwili, gdy tak niewiele czasu dzieliło ją od wyjazdu z Waszyngtonu.

Nocne powietrze było chłodne, powiew muskał jej twarz. Mary odwróciła się i cicho wbiegła z powrotem

do budynku. *Od frontu nikogo nie będzie* - pomyślała. Nigel był jeszcze zajęty narkomanką, więc Mary mogła niepostrzeżenie przebiec korytarzem i wyjść głównymi drzwiami. Na ulicy nie było nikogo, tylko w pewnym oddaleniu parkowało kilka samochodów. Z dużej odległości dolatywał odgłos syreny, ale słabł.

Mary zadrżała i przycisnęła do siebie torbę. *Szybko!* - myślała. *Teraz taksówka i - odjazd stąd.* Ruszyła znowu biegiem, ale zaraz zwolniła. *Śmieszna jestem - Za dużo sobie wyobrażam, aż prawie wpadam w panikę. Przecież nie ma tu Clayтона. Muszę po prostu złapać taksówkę, zachowując spokój. Panie Jezu, pomóż mi znaleźć taksówkę* - pomodliła się. Zmrużyła oczy i spróbowała rozpoznać samochody znajdujące się w odległości mniej więcej trzydziestu metrów. Zazwyczaj w Waszyngtonie taksówki były po prostu wszędzie, ale tym razem było już po północy. *Może trzeba będzie przejść dwie przecznice, do alei Jeffersona, zanim natknę się na jakąś* - pomyślała. Przyspieszyła kroku i skręciła.

Przeszła połowę drogi do głównej ulicy, kiedy nagle z bocznej uliczki wychynęła błyskawicznie czyjaś ręka i złapała ją w pasie. Zanim Mary zdążyła krzyknąć, druga ręka zasłoniła jej usta.

- Myślałaś, że uciekniesz, co? - odezwał się napastnik. Mary nie rozpoznała go. Był niewysokim, ale żyłystym mężczyzną.

Nie, to nie może się dziać naprawdę! - jęknęła w duchu Mary. Próbowwała krzyczeć, lecz mężczyzna mocno przycisnął jej dłoń do ust. Zarechotał złowieszczo.

- Billings powiedział mi, że jesteś ciężko pobita...
- Obejrzał Mary od stóp do głów w świetle latarni. - Ale nie mówił mi, że jesteś taka ładna!

Mary spróbowała wyszarpnąć się z uścisku, jednak ten tylko stał się mocniejszy. *To po prostu nie może się stać!* - myślała. *Już prawie wydostałam się z miasta!* Dłoń przestępcy była chyba niezbyt czysta. Cuchnęła papierosami i brudnymi banknotami. *Boże, ratunku!!!* - myślała w panice Mary.

- Jestem winien Billingsowi przysługę - powiedział napastnik. Mocniej przycisnął Mary do siebie i syknął jej w twarz: - Ale chyba najpierw trochę się z tobą zabawię!...

Z oddali rozległ się czyjś krzyk. Nie był głośny, ale bandyta się zaniepokoił.

- Niedobrze. - Roześmiał się nerwowo i groźnie spojrział w oczy Mary. - Nie mamy czasu.

Mary spróbowała podkurczyć kolana, żeby upaść. *Jeśli krzyknę dostatecznie głośno, ktoś mnie chyba usłyszy...* - myślała nerwowo. Zaczęła szarpać się ze wszystkich sił, ale napastnik złapał ją za włosy, spojrział jej prosto w twarz i syknął przez zaciśnięte zęby: - Ruszaj! Ruszaj natychmiast, bo inaczej zabiję cię tutaj, od razu!

Ciągnął Mary pustym chodnikiem. *Zbyt długo zwlekałam!* - myślała ze smutkiem. *Teraz moja babcia pewnie się ubiera i cieszy się ogromnie z mojego telefonu!...* Mary jeszcze raz spróbowała wyrwać się z uścisku, ten był jednak zbyt mocny.

- Z Billingssem się nie zadziera, laleczko! - syknął jej do ucha bandyta. - Musiałaś nieźle go wkurzyć. Chciał wykończyć cię osobiście! - Dotarli do kolejnej uliczki i opryszek pociągnął Mary w kompletną ciemność. - Poprosił jednak, żebym go wyręczył. Billings lubi mieć czyste ręce... - Mężczyzna rzucił ordynarne wyzwisko. - Naprawdę myślałaś, że mu uciekniesz? - Złapał Mary za gardło i uderzył nią o ceglana ścianę kamienicy.

Boże, nie!!! - myślała w panice Mary, widząc przed oczami migoczące plamki. *Musze przecież polecieć samolotem do babci! Boże!!!* Już zamykały jej się oczy, ale za wszelką cenę starała się zachować przytomność.

- Wielka szkoda! - burknął niezadowolony bandzior. Splunął na chodnik i znowu szarpnął Mary za włosy. - Mógłbym dłużej się z tobą pobawić!... Ale nie ma czasu; a poza tym Billings powiedział mi, żebym zrobił to jak najszybciej.

Mary była półprzytomna, ale poczuła, że ogarnia ją jakaś niezwykła przemiana. Miała poczucie, że odnosi zwycięstwo. *Cokolwiek się stanie, jestem z Jezusem i jestem wolna!* - myślała. *A poza tym dobrze, że Nigelowi nie stało się nic złego.* Uniosła brodę. *On mnie chyba nie zabije?!...* - zastanawiała się. *Boże... Co będzie z moją babcią?*

„Jestem świadomy zamiarów, jakie mam co do ciebie, ukochana córko” - usłyszała w myślach.

Dziękuję ci, Jezu - pomyślała, czując, że ogarnia ją spokój. Nie wiedziała, co się stanie, ale ufała Jezusowi. Bóg zaplanował dla niej dobre rzeczy - albo tu, albo w niebie. *Cokolwiek za chwilę zdarzy się w tej ciemnej uliczce,*

skończy się dobrze, ponieważ Bóg jest dobry - myślała Mary. Spojrzała bandycie w oczy starając się zachować przytomność jeszcze przez chwilę.

- Nie ma znaczenia, co ze mną zrobisz - powiedziała
- Bo...

Mężczyzna wycelował w nią z pistoletu i wystrzelił, prosto w jej brzuch. Strzał był prawie bezgłośny, ale Mary poczuła straszny ból, zanim zdążyła krzyknąć czy wykonać jakikolwiek ruch. Poczuła, jak kula rozpruwa jej wnętrzności, dając takie wrażenie, jakby w brzuchu Mary płonął ogień. Morderca zniknął w ciemności, a Mary poczuła, że opada na ziemię. Niezdarnie próbowała jeszcze chwycić się ściany. Zebrała resztkę sił i rozdzierająco krzyknęła na cały głos:

- Boże!!!

Imię Pana odbiło się echem od murów, i nagle Mary zobaczyła nad sobą jakieś formujące się kształty. Przeszły w wyraźny, jaskrawy obraz, od którego były jasność i ciepło. Mary zdała sobie sprawę z tego, że widzi Jezusa Chrystusa po prawicy Ojca. Jezus uśmiechał się do niej i wyciągał ręce, witając ją serdecznie. Mary doznała niezwykłego, cudownego uczucia ogarniającego ją niewypowiedzianego pokoju i miłości, przy których wszystko, co czuła kiedykolwiek przedtem, wydało się jej mało wyraziste i nic nieznaczące.

W tej samej chwili Mary nabrała również pewności, że jej babci nie stanie się nic złego i że pewnego dnia, całkiem niedługo, znowu będą razem. W najwspanialszym miejscu, jakie istnieje.

Wzięła ostatni oddech i odpowiedziała Jezusowi uśmiechem. Chrystus skinął na nią i poczuła, że rusza w Jego kierunku. Wtedy zwróciła uwagę na coś, co było najcudowniejsze. Jezus nie siedział po prawicy Ojca, ale w owym najstraszliwszym, a zarazem najbardziej przepelnionym chwałą momencie życia Mary, robił to, co zrobił dla świętego Szczepana.

Chrystus stał, wyciągając ramiona ku Mary.

25



- Ale przecież żyjesz!... - zauważyła Emma, która była pod tak wielkim wrażeniem opowieści Mary, że o mało nie zerwała się z krzesła.

Mary czuła się przepelniona radością, jak zawsze, kiedy dochodziła do tego fragmentu opowieści o swoim życiu. Nie powinna była przeżyć - tak mówili jej lekarze i pielęgniarki, wszyscy. Ale przeżyła - dzięki cudownej mocy Boga, który jest w stanie ocalić człowieka. Wyzwolić go z grzechu. Położyć kres fizycznemu zniewoleniu i maltretowaniu. A nawet uratować przed śmiercią od kuli, która człowieka przeszła.

- Bóg postanowił, że mam jeszcze pożyć na ziemi
- odpowiedziała z uśmiechem Mary.

- Czy... ktoś znalazł cię w tej uliczce? - upewniła się Emma, głęboko zafascynowana historią, której słuchała.

- Tak. Przechodzili tamtędy pewni małżonkowie. Zobaczyli mnie i zawieźli do szpitala. Nie udało mi się dowiedzieć, jak się nazywają. Zjawili się akurat w samą porę.

Emma gwałtownie wciągnęła powietrze. Właśnie uświadomiła sobie coś ważnego.

- Tak samo... Tak samo ty w samą porę zjawiłaś się dzisiaj na moście i uratowałaś mnie! Dzisiaj rano...

- Dokładnie tak samo - zgodziła się Mary, poruszona. Była przejęta tym, jak dzień po dniu Bóg pokazywał jej, że jest wszechwiedzący i wszechmogący. Co dzień znajdowała nowy powód do tego, aby zachwycać się działaniem Bożej mocy w swoim życiu.

Emma owinęła się szczelniej, podciągając koc pod brodę. W gabinecie zrobiło się zimniej, była już prawie dziewiąta.

- Co działo się w szpitalu? Kiedy się tam znalazłaś?
- dopytywała się.

- Policjanci skontaktowali się z Nigelem - odpowiedziała Mary. - Domyślili się, że mogłam wyjść z ośrodka, bo znaleziono mnie bardzo blisko niego.

- Oparła się wygodnie. Nie było jej łatwo wyobrazić sobie, jak musiał poczuć się Nigel, kiedy usłyszał tragiczną wiadomość. Tak bardzo mu zależało na Mary!

- Kiedy obudziłam się w szpitalu, Nigel był pierwszą osobą, którą zobaczyłam.

Mary zamknęła oczy i opowiadała ostatnią część swojej historii, widząc przed oczami jaskrawe, zmieniające się obrazy.

Chyba umarłam? Przecież Pan Jezus przywoływał mnie dłonią. A jednak jakimś sposobem znalazłam się w dziwnym łóżku... Od mojego nosa i rąk odchodzą jakieś rurki, słychać dziwne odgłosy - ciche syki, trzaski i piski. Podniósłszy

z wysiłkiem powieki, Mary zobaczyła otaczające ją urządzenia. A na krześle przy jej łóżku siedział Nigel.

- Mary!... - szepnął i przysunął się bliżej.

- Jesteś tu... - Mary przyjrzała mu się. - Myślałam, że umarłam.

- Niewiele brakowało... - odpowiedział Nigel; na jego twarzy widać było napięcie. Wyciągnął rękę i położył dłoń na dłoni Mary. - Byłaś bardzo, bardzo bliska śmierci.

- A co z... babcią Peggy?

- Zadzzwoniłem do niej. - Nigel wpatrywał się z niepokojem w twarz Mary. - Babcia modli się za ciebie. Cały czas, bez przerwy...

Mary uśmiechnęła się lekko. *No pewnie, że babcia się za mnie modli* - pomyślała. *Zawsze się za mnie modliła.* Mary poruszyła ręką i dotknęła palcami swojej szyi. Czuła suchość w gardle, z wysiłkiem wypowiadała słowa:

- Strzelał do mnie... człowiek Clayтона... - Sama nie dowierzała, że to ona rozmawia na taki temat. I żyje. *To niezwykle, że siedzi tu ze mną Nigel* - myślała - i *bardzo miłe. Znow okazuje mi tę zdumiewającą miłość. Robi to od początku, odkąd pierwszy raz pojawiłam się w Ośrodku Nowego Życia.*

- Policja ustaliła ślad - mruknął Nigel, zaciskając zęby. - Billings pójdzie za to siedzieć. - Ostrożnie dotknął policzka Mary, ciągle spuchniętego z powodu pobicia, do którego doszło poprzedniego dnia. - Za wszystko, co ci zrobił, będzie siedział w więzieniu.

Mary spróbowała się poruszyć, ale uniemożliwił jej to zbyt silny ból we wnętrzu tułowia.

- Widziałam Pana Jezusa - powiedziała. - Stał, wyciągał ręce, przywołując mnie... do nieba.

- Nie, Mary - odparł Nigel, patrząc błyszczącymi oczami. - Wstał, żeby cię uratować.

Nigel przesiedział z Mary większą część owego dnia, aż do późnego wieczoru. Z każdą mijającą godziną coraz bardziej się ożywał, a napięcie na jego twarzy malało. Opowiadał Mary o ludziach, którzy ostatnio pojawili się w ośrodku, i o tym, że Bóg dokładniej pokazuje mu teraz, czym powinien zajmować się dalej w życiu, dokąd powinien pojechać.

Mary słuchała go i skrycie żywiła nadzieję, że być może - skoro przecież wierzyła teraz w Chrystusa tak jak Nigel - w przyszłości Nigela może znaleźć się miejsce i dla niej. Mogła pojechać do Nowego Jorku na jakiś czas, a później być może Nigel zabrałby ją ze sobą? Dokądkolwiek by jechał i cokolwiek miał robić w życiu potem.

Słuchając głosu Nigela, Mary się rozmarzyła. Jak by to było spędzać wszystkie dni życia z kimś tak cudownie wyjątkowym, z mężczyzną, który aż promieniuje dobrocią i kocha Boga ponad własne życie?

W końcu Nigel poszedł, ale następnego ranka wrócił i od rana opowiadał Mary o Bogu.

Upajała się każdym słowem, przepełniona radością, mimo bólu, który dręczył jej ciało. Miała wrażenie, że mogłaby zawsze tak leżeć, słuchając, jak Nigel opowiada jej o Bożych ścieżkach, Bożych planach i Bożej mądrości.

Kiedy zbliżała się pora obiadu, Mary podłożyła sobie pod głowę jeszcze jedną poduszkę, uśmiechnęła się do Nigela i powiedziała:

- Nigel, zajmuję ci cały czas. Jesteś potrzebny w ośrodku. Idź już, nic mi nie będzie.

Nigel otworzył usta, żeby zaprotestować, ale w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Nigel spojrzał na Mary z radością, a potem skoczył do drzwi i otworzył. Mary zobaczyła w drzwiach wzruszoną, łagodną starszą kobietę, której szukała i o której marzyła od prawie dziesięciu lat.

- Babcia! - Mary spróbowała usiąść, ale niestety nie mogła. Uniosła tylko drżącą rękę. Babcia przyleciała! Po tych wszystkich latach, kiedy nie słyszały o sobie, nie widziały się, nie rozmawiały, po latach, przez które jedynym namacalnym śladem babci w życiu Mary była czerwona portmonetka i karteczka z nakreślonymi przez babcię Peggy słowami - słowami, które podtrzymywały Mary przy życiu - Mary zobaczyła babcię. Babcia Peggy naprawdę przyleciała do niej i właśnie stała w drzwiach.

Nigel promieniał. Odsunął się na bok, a babcia Peggy weszła do sali. Była oczywiście starsza niż dawniej. Bardziej siwa i drobniejsza. Ale bez wysiłku podeszła do łóżka Mary; wciąż była sprawna i energiczna jak osoby o połowę młodsze od niej.

- Mary... - szepnęła. - Dzięki Bogu, że żyjesz!...

Wtedy Mary zobaczyła, że nie zmieniło się jeszcze coś ważnego - babcia Peggy wciąż miała te same oczy,

oczy pełne miłości, łagodności i niezłomnej wiary. Oczy których spojrzenie było na tyle różne od spojrzenia matki Mary że Mary zapamiętała je w dzieciństwie i nie zapomniała o nich przez te wszystkie lata, kiedy nie widziała babci.

Babcia Peggy miała Chrystusowe spojrzenie.

Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń Mary.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam!... - szepnęła. Nachyliła się i ostrożnie przytuliła Mary. Popatrzyła z troską, widząc siniaki i opuchliznę na twarzy wnuczki.

- Tak ogromnie ci współczuję!... - Głos jej się załamał.
- Gdybym tylko mogła, uchroniłabym cię przed tym wszystkim, kochanie.

Oczy Mary zaszyły łzami. Próbowwała coś powiedzieć, ale nie mogła. Spojrzała na Nigela, który obserwował scenę z odległości paru metrów, i poddała się łzom. I tak nie było słów, którymi mogłaby wyrazić to, jak bardzo tęskniła za swoją babcią. Zacisnęła powieki i przytuliła dłoń babci do swojego policzka.

- Nie opuszczaj mnie nigdy - szepnęła, tuląc mocno babciną dłoń. - Proszę cię, babciu!...

- Nigdy cię nie opuszczę, moje dziecko. - Babcia nachyliła się i przyłożyła policzek do policzka Mary.
- Kiedy tylko wydobrzejesz, polecimy razem do domu.

Mary spojrzała na Emmę załzawionymi oczami.

- Odkąd wprowadziłam się z powrotem do babci, nie przeżyłam ani jednego dnia, w którym bym jej nie widziała albo nie rozmawiała z nią. - Pociągnęła nosem.

- Przepraszam. Płaczę, bo... teraz moja babcia jest już bardzo słabiutka. Nie zostało nam wiele czasu...

Emma usiadła na kozetce po turecku, koc opadł jej na kolana.

- Czyli poleciałyście z babcią do Nowego Jorku?
- upewniła się.

- Kiedy wypisano mnie ze szpitala, spędziłam jeden dzień z Nigelem, w ośrodku. A później poleciałam do Nowego Jorku. Tamtej jesieni zapisałam się do college'u, zaczęłam studiować psychologię. Z pomocą i dzięki zachęce babci studiowałam dalej - poszłam na uniwersytet i zrobiłam magisterium, a następnie doktorat z poradnictwa rodzinnego. - Mary westchnęła. - A później Nigel skontaktował mnie z jednym z senatorów. Ponieważ przesłam przez to wszystko, o czym ci opowiedziałam, i miałam odpowiednie wykształcenie, zaproszono mnie na posiedzenie jednej z komisji senackich, żebym opowiedziała o tym, jakie znaczenie mają schroniska dla maltretowanych kobiet.

- Bóg naprawdę zaplanował dla ciebie dobre rzeczy w życiu - stwierdziła z podziwem Emma.

- Tak. Wszystko to były elementy Jego planu. - Mary zawahała się, i wspominała dalej. - Po tym jak pierwszy raz występowałam w Senacie, dziennikarze nagłośnili moją historię - całą historię mojego życia. Została szczegółowo opisana na pierwszej stronie „The New York Times”. „Była ofiarą maltretowania edukuje Biały Dom” - Mary nakreśliła dłonią w powietrzu niewidzialny tytuł - tak o mnie pisali. - Uśmiechnęła się. - Reakcje opinii publicznej prze-

szy najsmielsze oczekiwania. Założyłyśmy z babcią fundację i zewsząd zaczęły napływać do nas datki. Pod koniec roku byłam już w stanie otworzyć pierwsze schronisko dla maltretowanych kobiet, tu, w Waszyngtonie. - Głos Mary przycichł odrobinę. - W następnym roku dowiedziałyśmy się o chorobie serca babci.

- Jest chora?

- Zastoinowa niewydolność serca. - Mary wzruszyła lekko ramionami. - Nie można jej w żaden sposób pomóc. Jest zmęczona, pozbawiona energii.

- Mary? - szepnęła Emma, marszcząc brwi i odruchowo dotykając gipsu.

- Tak?... - Mary była już zmęczona, zarówno wydarzeniami dnia, jak i długim opowiadaniem.

- Co stało się z Nigelem? - spytała Emma, zagryzając wargi. - Powiedziałaś, że powiesz mi to, kiedy dojdiesz do końca całej historii.

Mary poczuła lekki smutek.

- Owego ostatniego dnia, który spędziliśmy razem, wyznał mi, co Bóg komunikował mu od pewnego czasu, do czego go wzywał.

Mary przywołała ostatnie z długiego szeregu wspomnień, które rozbudziła w sobie, aby opowiedzieć Emmie wszystko po kolei.

W Ośrodku Nowego Życia rozdawano tego dnia ubrania. Bezdomni i wszyscy potrzebujący z całego miasta mogli ustawić się w kolejce, by dostać za darmo torbę koszul, dżinsów i swetrów.

Mary postanowiła spędzić w ośrodku swój ostatni dzień przed wyjazdem z Waszyngtonu. Przyjechała już wczesnym rankiem i ramię w ramię z Nigelem pracowała aż do popołudnia.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - powiedział później Nigel, ruszając z Mary do gabinetu.

Nagle Mary poczuła się, jak gdyby ktoś zarzucił jej na ramiona wór cegieł. Na wieczór miała zaplanowany lot do Nowego Jorku. Nie było sposobu, by uniknąć rozstania z Nigelem. Najprawdopodobniej żegnali się na bardzo długi czas - I być może już nigdy nie będą przebywać razem.

Usiedli w zaciszu gabinetu, Mary przy drzwiach, a Nigel na biurku. Przez długi czas wpatrywał się w nią, milcząc, w końcu oparł dłonie na kolanach i na chwilę spuścił wzrok. A kiedy z powrotem podniósł głowę, Mary odczytała z jego spojrzenia, że cokolwiek zaplanował dla siebie na przyszłość, w jego planach nie ma miejsca dla niej.

- Mów - ponagliła go. Postanowiła, że nie będzie płakać. Bóg sprowadził ją do Nigela i Bóg pokaże jej, jak żyć bez niego.

- Pod koniec miesiąca przestanę tu pracować - oznajmił.
- Prowadzenie ośrodka przejmie po mnie ktoś z Chicago.

Mary wstrzymała oddech. Czyżby Nigel przenosił się do jakiegoś domu pomocy społecznej w Nowym Jorku? W napięciu czekała na dalszy ciąg.

- Moi rodzice są już starszymi ludźmi; mam też braci, ale obaj mają żony i dzieci. - Nigel potarł kark. - Cała moja rodzina mieszka w Portugalii. W niewielkim mieście, z którego pochodzę, jest mnóstwo ludzi, którym trzeba na

nowo przypomnieć o Panu Jezusie! - powiedział z pasją, taką samą jak wtedy, kiedy mówił o pracy w Ośrodku Nowego Życia. - I właśnie - Nigel rozpromienił się na chwilę - zwolniło się tam miejsce dyrektora misyjnego domu pomocy społecznej. Jest położony zaledwie osiem kilometrów od domu moich rodziców!

Mary poczuła w sercu ukłucie bólu. Odruchowo chwyciła się krawędzi krzesła. Nigel opuszczał Stany Zjednoczone! W pierwszej chwili miała ochotę krzyknąć, błagać go, żeby zabrał ją ze sobą. Jednak najwyraźniej niczego takiego nie zaplanował, a ona nie zamierzała wywoływać niezręcznej sytuacji. Mary posmutniała głęboko. Była prawie pewna, że nigdy w życiu nie zobaczy już Nigela - dopiero w niebie.

- To dobrze, Nigel - odpowiedziała cicho, zmuszając się do słabego uśmiechu. Postanowiła cieszyć się tym, co będzie robił Nigel, niezależnie od tego, jak bardzo dotyczyło ją to osobiście. - Doskonale się składa.

Nigel patrzył na nią. Dwa razy otwierał usta i zamykał je z powrotem, wahając się, czy coś powiedzieć, czy nie. W końcu westchnął, pokręcił głową i zaczął:

- Gdybym był kimś innym... - Mary zobaczyła w oczach Nigela pragnienie, jakiego nie widziała w nich nigdy wcześniej. - Przed wielu laty podjąłem decyzję, że poświęcę się całkowicie Bogu. Że Bóg mi wystarczy. Ale ty... - Umilkł. Wstał i wyciągnął rękę do Mary.

Podeszła do niego powoli, zdając sobie sprawę ze znaczenia tego, co mówił Nigel. Poczula się, jakby w jej duszy zaświtał nagle poranek.

- Nigel, ty mnie kochasz, prawda?

Nigel ujął jej dłonie, a jego oczy błyszczały tak, że w sercu Mary zagościły ciepło i radość.

- Tak - odpowiedział krótko. Mięśnie jego twarzy na przemian zaciskały się i rozluźniały, bez wątpienia w jego sercu rozgrywała się jakaś bitwa, o której Mary nie miała pojęcia. - Ale nie tak, jak czasami chcę - wyznał. Zaczął przesuwać kciukami po jej dłoniach. - Kocham cię w podobny sposób, w jaki kocha Cię Pan Jezus... i zawsze będę cię tak kochał. - W głosie Nigela pojawiło się głębokie wzruszenie. - Kiedy wrócę do Portugalii, co dzień będę tam o tobie myślał, Mary.

Mary poczuła w oczach łzy, patrzyła na Nigela i nawet nie mrugała, bała się poruszyć. Właśnie takiego pożegnania się obawiała. A poza tym okazało się, że Nigel kocha ją bardziej, niż sam sądził.

- A ja... - odezwała się, z wysiłkiem przelękając ślinę - będę myślała o tobie, Nigel.

- Mimo to - Nigel zacisnął zęby; zmagął się ze sobą jeszcze mocniej niż przedtem - trwam przy Chrystusowych obietnicach. Że On sam wystarczy, że jest wszystkim, czego potrzebuję. - Nigel lekko ścisnął ręce Mary. - I wszystkim, czego potrzebujesz ty. Służenie Panu to całe życie, cała miłość, jakiej kiedykolwiek mógłbym zapragnąć.

Mary skinęła głową. Zrodziła się w niej nagła determinacja. *To dlatego Pan Bóg mnie ocalił-* pomyślała. *Uratował mnie, żebym mogła żyć tak jak Nigel - całkowicie poświęcić się służbie Bożej. Po to, abym mogła wskazywać Jezusa cierpią-*

cym maltretowanym kobietom, stwarzała im szansę na uzyskanie wolności. Szansę, jakiej nigdy nie miała moja mama!

Wyciągnęła dłoń i przesunęła nią po policzku Nigela.

- Rozumiem - odpowiedziała.

- Nie będę często pisał. Zbyt łatwo byłoby mi zejść z obranej drogi, popaść w emocjonalny zamęt. Mógłbym zacząć myśleć, że moja miłość do ciebie to coś... coś więcej niż miłość, którą kocha cię Chrystus.

Mary przytaknęła.

A potem Nigel objął ją i przytulił, tulił ją przez długi czas. Tak samo jak owego wieczoru, kiedy demonstrował jej miłość Chrystusa, tłumacząc ją w ten sposób lepiej niż ktokolwiek inny.

Mary pozostała jeszcze w ośrodku na kolacji, podając do stołu wraz z Nigelem i innymi pracownikami i wolontariuszami. Potem poszła do sali na naukę. Nigel opowiadał o apostołe Piotrze i o jego determinacji, aby iść za Jezusem - nawet wtedy, kiedy wiara Piotra się chwiała.

- Problem Piotra polegał na tym - opowiadał słuchaczom Nigel - że miał on skłonność do tego, żeby od czasu do czasu odwracać spojrzenie od Chrystusa. I wtedy zaczynał tonąć. - Popatrzył na siedzącą z tyłu sali Mary. - Musimy, koniecznie musimy bez przerwy patrzeć na Jezusa. Niezależnie od wszystkiego, co podpowiadają nam nasze ciała.

Mary skinęła głową i mimo że zrobiła to ze zbolałym sercem, uśmiechnęła się i wyszeptwała bezgłośnie:

- Tak będę robić...

Po zajęciach pożegnali się z Nigelem krótkim uściskiem. Taksówka, która miała zawieźć Mary na lotnisko, czekała prawie przy samych drzwiach ośrodka.

- Kiedy pierwszy raz modliłem się za ciebie, Mary - odezwał się Nigel, ujmując jej dłoń - usłyszałem w myśli jak gdyby głos Pana Boga, który powiedział mi, że to z twojego powodu znalazłem się w Waszyngtonie. - Cofnął się, puszczając jej rękę, i dodał: - Idź i zmieniaj świat dla Chrystusa, Mary.

Mary miała wrażenie, że serce jej rośnie, w jednej chwili opuścił je smutek. *Nigel wierzy we mnie!* ~ pomyślała. Był to ostatni, bardzo ważny prezent Nigela dla Mary. Wsiadając do taksówki, obejrzała się jeszcze i popatrzyła na Nigela.

- Nigdy cię nie zapomnę! - powiedziała.

- Ja ciebie też nie zapomnę, Mary - odparł Nigel.

Mary skuliła się. Do tej pory odczuwała psychiczny ból, myśląc o swoim pożegnaniu z Nigelem, i wiedziała, że nigdy się to nie zmieni. Odczekała, aż jej umysł przestawi się ze wspomnienia na odbiór otaczającej rzeczywistości.

- I taką formę przybrała w moim życiu relacja z Nigelem - powiedziała Mary, spoglądając na Emmę. - Wyprostowała się odrobinę, czując, że bicie jej serca powoli wraca do zwykłego rytmu. - Nigel pisze do mnie raz w roku, wspomina zawsze o rozmaitych ludziach, których los został odmieniony dzięki pracy ośrodka w Portugalii,

w którym pracuje. Ja robię tak samo - opowiadałam mu w listach o prowadzonych przeze mnie schroniskach, o tym, ile kobiet - takich jak ty - Mary uśmiechnęła się do Emmy - Pan stawia na mojej drodze.

Emma odwróciła głowę i długo patrzyła w ciemność za oknem.

- Historia twojego życia jest naprawdę niezwykła!
- szepnęła, a jej broda zaczęła drżeć.

- Chrystus uratował mnie od wszystkiego, uwolnił od każdej rzeczy, która krępowała mnie jak więzy. Od strachu, fałszu, bólu, nałogu, braku wiary, rozpusty.
- Mary westchnęła. - Nawet od myśli samobójczych. Wszystko to dla mnie zamknięta przeszłość.

- Nic na ziemi nie byłoby w stanie tego sprawić
- skomentowała Emma, tak poruszona, że ledwie było słyhać wypowiedane przez nią słowa. - A co będzie ze mną? Jak ja mam odnaleźć tę niezwykłą miłość, Mary? Miłość Chrystusa, która jest tak wielka, że sam On wystarczy?

Mary była w stanie uniesienia. Opowiadanie długiej i bolesnej historii jej życia wyczerpywało ją, powracała bowiem we wspomnieniach do czasów niewypowiedzianej rozpacz i strachu, czasów wątpliwości i samotności, przez którą zaczęła żyć w sposób, jaki omal nie doprowadził jej do śmierci. Zamierzała jednak opowiadać tę samą historię jeszcze wiele razy, aż do czasu, kiedy odejdzie z tego świata - po to, żeby usłyszawszy o kolejach jej losu, następne kobiety pytały ją, tak jak Emma: Jak dotrzeć do Jezusa Chrystusa?

Mary zaczęła opowiadać Emmie o tym, że Jezus wybacza, a także, że ma moc kruszenia murów w ludzkich sercach.

- Czy właśnie tego chcesz, Emmo? - zapytała. - Czy chcesz oddać swoje życie w ręce Pana Jezusa i pozwolić, aby Jego moc cię uwolniła?

- Tak - odpowiedziała Emma, ściągając z siebie koc. Przysiadła na skraju kozetki. - Ale... tak źle traktowałam matkę, narażałam moje malutkie córeczki na tak wielkie niebezpieczeństwo... - Zwiesiła głowę. - Byłam bardzo daleko od Boga. - Umilkła i spoglądała na Mary. - Czy On aby na pewno mi przebaczył?...

- Już ci przebaczył - odpowiedziała z uśmiechem Mary. Wyobrazila sobie, że w misyjnym domu pomocy społecznej gdzieś w Portugalii Nigel także się uśmiecha.

Wstała i wyciągnęła ręce. Emma podeszła do niej, i Mary wiedziała już, że Emma zrozumiała wszystko. Naprawdę Bóg przebaczył jej wszelkie winy. I uwolnił ją - On, bo tylko On miał moc tego dokonać.

- Pomódlmy się, dobrze? - zaproponowała Mary, patrząc Emmie w oczy.

- Dobrze. - Emma uśmiechnęła się przez łzy.

Mary pomodliła się za Emmę, a potem zrobiła to samo, co przed laty Nigel zrobił dla niej. Przytuliła Emmę i tuliła ją długo, tak jak robiłby to Jezus Chrystus.



Emma nie mogła się doczekać, kiedy naprawi wszystko, co mogła naprawić. Następnego ranka, kiedy tylko się obudziła, pobiegła do swojego pokoju, aby podnieść z łóżeczek córeczki. Okazało się, że Kami i Kaitlyn spały spokojnie w towarzystwie Leah. Kami podbiegła do Emmy i powiedziała:

- Cześć, mamusiu. Już masz trochę mniej fioletową buzię.

Emma nie zamierzała się nad tym roztkliwiać, już nigdy więcej. Szkoda jej było czasu. Ujęła rączkę Kami i ucałowała ją.

- To prawda, kochanie. Mama nie będzie już więcej miała fioletowej buzi.

Kaitlyn zsunęła się z łóżeczka, wciąż przyciskając do buzi ulubiony, zniszczony kocyk.

- Mama! - odezwała się. - Jeść?

- Tak, kochanie. Ubierzemy się i zejdziemy na dół na śniadanie. - Emma czuła w sercu radość, od której aż kręciło się jej w głowie. Rozpierało ją szczęście. Trudno jej było wyobrazić sobie, że jeszcze dołączyła wcześniej

myślała o samobójstwie. O poddaniu się, porzuceniu swojego życia, Kami i Kaitlyn, i wszystkich dobrych rzeczy, które jeszcze zaplanował dla niej Pan Bóg. Ucałowała Kaitlyn w policzek. - Mama ma dzisiaj mnóstwo rzeczy do zrobienia - zapowiedziała.

Każda chwila szykowania dziewczynki do kolejnego dnia wydawała się jej świętem. Ich słodkie, cieniutkie głosiki, ich delikatne włoski, które czesała i spinała w kucyki, ich miękkie malutkie rączki, za które trzymała córeczki, sprowadzając je na śniadanie - wszystko to było dla Emmy cudowne. Także jasne światło słońca, wpadające przez okna do stołówek.

I niczego z tego by nie doświadczała, gdyby nie Mary Madison. Mary, która zapoznała ją z Jezusem Chrystusem.

Po śniadaniu Emma zauważyła, że Leah rozmawia w recepcji z jakąś trzydziestokilkuletnią kobietą, przy której stało dwóch niedużych chłopców. Leah oparła dłoń na ramieniu ich matki.

- T a k , to prawda, możecie zatrzymać się tutaj za darmo - odpowiedziała na jej pytanie.

- I nikt się o tym nie dowie?...

- Naszą zasadą jest absolutna dyskrecja - wyjaśniła ze współczuciem Leah. Była naprawdę piękną dziewczyną, a do tego opanowaną i potrafiącą się wysławiać. - Sami prosimy, żeby nie wspominała pani mężowi, gdzie pani jest. Jeżeli z czasem zdecyduje się pani skorzystać razem z nim z poradnictwa rodzinnego, będą państwo spotykać

się w innym, neutralnym miejscu. - Leah podała kobiecie podkładkę z przypiętym formularzem. - Bardzo proszę przeczytać to i wypełnić formularz.

Kobieta drżącą ręką odebrała dokument. Jej synkowie stali w bezruchu, patrząc tępo przed siebie.

Wiem, przez co pani przechodzi!... - miała ochotę powiedzieć Emma. I w tym momencie przyszła jej do głowy pewna znamienna myśl - a może któregoś dnia to ona będzie miała sposobność pomóc komuś w taki sam sposób, w jaki Mary pomogła jej? Albo Nigel - Mary? Myśl ta sprawiła, że Emma poczuła się jeszcze radośniej, jeszcze lżej.

Kiedy matka i jej synowie przeszli do pokoju obok, Leah uśmiechnęła się do Emmy i powiedziała:

- Dzisiaj jest twój wielki dzień, Emmo!

- To prawda! - odpowiedziała Emma. Znowu miała łzy w oczach, ale tym razem ze szczęścia. Odkąd modliła się wieczorem razem z Mary, głosy w jej głowie nie odzywały się. - Nie skończyłam zaczętego listu do matki - mruknęła. - Zamiast tego postanowiłam do niej pojechać i przeprosić ją.

- Tak się cieszę! - odpowiedziała Leah, dotykając jej dłoni. - Miałam nadzieję, że to się stanie, zanim przestanę tu pracować.

- Przestanieś tu pracować?!... - Emma przytuliła córeczki. Czując, jak trzymają się jej nóg, miała wrażenie, jak gdyby była z nimi jednością. - Ale... jesteś taka dobra w tej pracy!

- Dziękuję. - Leah zarumieniła się. - Być może kiedyś do niej wrócę. - Wzięła leżącą na biurku błękitną teczkę i uniosła ją wysoko, z dumą demonstrując ją Emmie. - Zostałam przyjęta na studia do Juilliard, uczelni artystycznej w Nowym Jorku! - pochwaliła się. - Modliłam się o odrzucenie mojego podania, jeśli Bóg chce, żebym uczyła się tutaj i dalej pracowała w schronisku. Ale Jego wola okazała się taka. - Leah zilustrowała wypowiedź dynamicznym gestem. Bardzo chciałabym chwalić Pana poprzez moje prace - zresztą w każdy sposób, w jaki tylko będę mogła. - Aż pisnęła z radości. - Myślę, że taka była Jego wola!

- To cudownie, Leah! - odpowiedziała Emma, uradowana.

- Mary weźmie dzień wolnego i oprowadzi mnie po Manhattanie - mówiła Leah. - Wiesz, kiedyś tam mieszkała.

- Tak. - Emma uśmiechnęła się, przypominając sobie w jednej chwili całą historię życia Mary. - Opowiadała mi o Nowym Jorku. - Popatrzyła na Kami, która stała po jej prawej, i na Kaitlyn, która była po lewej, wreszcie znowu na Leah. - Kiedy moje córki dorosną... chciałabym, żeby były takie jak ty, Leah.

Leah i Emma uścisnęły się serdecznie.

Pięć minut później Emma i jej dziewczynki znalazły się w taksówce i ruszyły do domu, ku przebaczeniu i pojednaniu. Do miejsca, które zawsze było domem Emmy, niezależnie od tego, jakie wybory w życiu podejmowała.

I jeśli nie jest to dowód na to, że Boża moc to coś realnego, to chyba nic nie jest na nią dowodem! - myślała Emma.

Grace Johnson pracowała w ogrodzie. W pewnej chwili pod dom zajechała taksówka. Grace odstawiła motykę i ściągnęła żółte gumowe rękawice. Cały czas wpatrywała się w tylne siedzenie samochodu.

Czyżby to była Emma? Emma nie dzwoniła, nie odzywała się od kilku dni, odkąd powiedziała, że jej ani jej córeczkom nie dzieje się nic złego. Od tego czasu po parę godzin każdego dnia Grace spędzała w mieście na poszukiwaniach córki. Później wracała jak najszybciej do domu. Przez cały czas modliła się i miała nadzieję, że zadzwoni telefon i Emma powie jej, gdzie się znajduje ona, Kami i Kaitlyn. Grace nie wybrała się ponownie do mieszkania Charliego - skoro Emma powiedziała, że nie zamierza tam wracać, nie miało to sensu.

Pasażerka płaciła taksówkarzowi. Grace wyprostowała się, żółte rękawice upadły na ziemię. Wyglądało na to, że na tylnej kanapie samochodu siedzi także dwoje dzieci! Grace ruszyła w stronę taksówki; w międzyczasie jej drzwi się otworzyły i wyjrzała zza nich Emma. Popatrzyły sobie w oczy, i Grace od razu wiedziała, że coś się zdarzyło, że Emma spogląda na nią inaczej niż dotąd. Niezwykle było samo to, że przyjechała do niej, z córeczkami, ale spojrzenie Emmy także było jakieś inne.

Tak, to było widoczne w jej oczach.

Emma wysiadła z samochodu i pomogła wydostać się z niego dziewczynkom. Grace zobaczyła gips na rękę

córki i siniaki na jej policzku. Świeże siniaki! Emma zatrzęsnęła drzwiami zdrową ręką i taksówkarz odjechał. Emma ruszyła z córeczkami ku Grace.

- Dzień dobry, mamó - odezwała się Emma. Uśmiechała się, a jednocześnie po jej opuchniętej twarzy płynęły łzy. - Tak bardzo przepraszam cię za wszystko! - powiedziała z wielkim żalem i bólem.

Grace omal nie upadła, zakręciło się jej w głowie. Wyciągnęła ręce i przytuliła Emmę, kołyszając ją lekko.

- Emmo, ty wróciłaś do domu!

- Tak! - Emma uniosła dłoń i delikatnie przesunęła nią po twarzy matki. - Byłam dla ciebie taka okropna, mamusiu! Przez cały czas... - Załkała, a potem przyłożyła dłoń do ust i odczekała, aż zapanuje nad sobą. - Przez cały czas pragnęłam, żebyś złapała mnie, przytuliła i przytrzymała, powstrzymała mnie przed tym wszystkim, co wyprawiałam. Ale byłam na to zbyt niegrzeczna, za bardzo się buntowałam... - Emma pokręciła głową, widać było, że bardzo chce, żeby Grace ją zrozumiała. - Proszę cię, mamusiu, przebacz mi!

- M o j e kochanie, nareszcie jesteś z powrotem... Tylko to się liczy. *Biedne dziecko, znowu została pobita, ale w każdym razie teraz jest w domu, ze mną!* - myślała Grace. *Naprawdę zaszła w niej przemiana, istny cud!* Grace przytuliła głowę do głowy córki, i zapłakały razem.

- Baba! - odezwała się Kaitlyn, ciągnąc Grace za rękaw.

Grace cofnęła się odrobinę i objęła maleńką dziewczynkę, i Kami także. Stały tak teraz we cztery i przytulały się nawzajem.

- D o b r y Boże, dziękuję ci! - pomodliła się na głos Grace. A potem szepnęła do ucha Emmy: - Co ci się stało? I jak doszło do tego, że przyjechałyście tutaj?

- To długa historia, mamusiu. - Emma roześmiała się przez łzy; później uniosła głowę ku niebu i roześmiała się jeszcze raz, głośniej. - Ale kończy się najszczęśliwiej na świecie!

Grace ruszyła na czele małego pochodu w stronę domu.

- Czy wracacie tu na dobre? - zapytała, przystając w drzwiach. Musiała o to spytać. Skoro Emma miała świeże siniaki, to znaczy że bardzo niedawno temu znowu pojechała do Charliego... - Czy też Charlie już na was czeka?

- Charlie siedzi w areszcie - powiadomiła Emma. - Zostałam uwolniona od niego, i od tylu innych rzeczy! - Spowaźniała. - Jednak potrzebuję jeszcze porad psychologa; i chciałabym chodzić z tobą do kościoła. Na nabożeństwa i może jeszcze na seminarium biblijne. - Teraz twarz Emmy rozjaśnił uśmiech. - To dopiero początek. Początek dalszego ciągu mojego życia - spojrzała na swoje córki - życia nas wszystkich.

Grace poczuła się, jakby uniosła się ze szczęścia gdzieś wysoko, w przestworza. *Ileż lat wyczekiwałam tej chwili, modliłam się o nią?!... - myślała. I oto nadeszła - moja córka wróciła do domu i nareszcie postanowiła spróbować żyć po bożemu!*

Kiedy weszły do mieszkania, Grace uściśnęła Emmę i jej córki jeszcze raz, a potem coś jej się przypomniało.

- Dzisiaj ma zajrzeć do mnie Terrence - powiedziała. Spojrzała na stary zegar ścienny który pozostał jej z dawnych czasów. - Powinien tu być za niecałą godzinę.

- Terrence? - Emma bezwiednie dotknęła gipsu. Jej oczy rozszerzyły się nagle, rozglądała się niespokojnie. - Myślałam, że... studiuje na akademii medycznej.

- To prawda. Ale przeniósł się i teraz studiuje niedaleko od domu.

Emma stała nieruchomo, otworzywszy usta z zaskoczenia.

Grace zaprowadziła dzieci do kuchni i posadziła je przy okrągłym stoliku. Sięgnęła do lodówki po sok i nałala go do dwóch szklanek, wyjęła też ze słoika cztery herbatniki i położyła po dwa na każdej z dwóch serwetek. Kiedy dziewczynki zajęły się pić i herbatnikami, przeszła z Emmą do salonu.

- Terrence zaglądał tu niedawno - dodała.

Emma usiadła powoli na kanapie.

- Naprawdę? - Wzruszyła ramionami. - A po co?

Proszę Cię, Boże, niech ona dobrze to zrozumie! - pomodliła się w duchu Grace, a potem odpowiedziała:

- Po to, żeby pomodlić się za ciebie, Emmo. Postanowiliśmy z Terrence'em modlić się za ciebie we dwoje. - Grace zaniepokoiła się: *A jeśli to, co powiedziałam, sprawi, że Emma teraz skoczy i ucieknie ode mnie z powrotem? Być może to dla niej o jedno przeżycie za dużo, żeby była w stanie dać sobie z nim radę?!...* Przysiadła obok Emmy, spojrzała jej w oczy i dorzuciła: - Mogę do niego zatelefonować i poprosić go, żeby nie przyjeżdżał. Jak wolisz, kochanie.

Emma wstała i podeszła do okna. Złapała się parapetu i przez dłuższą chwilę wyglądała na zewnątrz. Potem, przetrawiwszy chyba usłyszaną wiadomość, odwróciła i uśmiechnęła się słabo.

- Bardzo dawno go nie widziałam! - stwierdziła, całkowicie rozwiewając obawy Grace.

- Terrence ciągle myśli o tobie bardzo intensywnie - powiedziała, z bijącym mocno sercem. - On cię kocha, Emmo.

Emma wydawała się autentycznie zaszokowana.

- Naprawdę? - spytała. Ruszyła w stronę kanapy, czując się jak w transie. - Nigdy nie odważyłam się myśleć o nim w taki sposób... Był moim przyjacielem, nikim więcej.

- Wydaje mi się - odparła ostrożnie Grace - że Terrence zawsze się w tobie podkochał.

- Naprawdę?! - powtórzyła Emma, mrugając ze zdumienia powiekami.

- Tak; tak sądzę.

Emma znowu zaczęła się lekko uśmiechać. Odpowiedziała jednak poważnym tonem:

- Mary powiedziała mi, że sam Jezus mi wystarczy. To prawda - wiem o tym, bo okazuje się to prawdą w jej życiu. - Emma zawahała się i usiadła z powrotem. - Ale myślę, że bardzo bym się ucieszyła, gdyby Terrence zajrzał tu dzisiaj. - Uśmiechnęła się szeroko. Pomimo śladów żalu jej oczy błyszczały. - Może moglibyśmy pomodlić się wszyscy razem, we troje? Mary by się to spodobało.

- Cóż to za Mary? - spytała Grace, starając się zachować cierpliwość. Nie wiedziała wielu *rzeczy* o odmienionej w ostatnim czasie Emmie, o tym, jakie po kolei zachodziły w niej zmiany.

- Mary Madison - wyjaśniła Emma i przytuliła matkę jeszcze raz. - Opowiem ci o niej wszystko.

- Czy mówisz o tej Mary Madison? - upewniła się Grace. - Tej, którą pokazują w telewizji, która prowadzi kilka schronisk dla kobiet?

- Tak, właśnie o tej - potwierdziła Emma, patrząc błyszczącymi oczami.

- Cóż, kochanie... Wszyscy znają historię Mary Madison.

- Nie, mamó. - Emma popatrzyła przez chwilę ze smutkiem. - Wcale nie znają jej tak, jak ja.

Grace nie dowierzała własnym uszom. Słynna w całym kraju Mary Madison poprowadziła terapię jej córki? Nic dziwnego, że w psychice Emmy zaszły tak duże zmiany. Dotknęła jej ramienia.

- Chciałabym usłyszeć wszystko, każdy szczegół - powiedziała.

- Dobrze, mamó - ale później, może być? - Emma wzięła głęboki oddech, wstała i dokończyła: - Chciałabym się umyć. Niedługo będzie tu Terrence - dodała, patrząc przed siebie z czułością.

Co za wspaniałe doznanie! - myślała Emma, stojąc pod strumieniem wody z prysznica. Osłoniła gips plasti-

kową torbą i nurzała się w gorącej wodzie, jak gdyby zmywając z siebie ból i żal z powodu wszystkich źle przeżytych dni, straconych okazji i złych decyzji, jakie podejmowała od czasu, kiedy jako nastolatka zaczęła buntować się przeciwko matce.

Jestem w domu! Świadomość tego faktu przepelniała Emmę radością. Znowu czuła się jak dziecko. Odtwarzała w myśli powitanie z matką, które miało miejsce przed chwilą. Najbardziej zapadł jej w pamięć wyraz pięknej brązowej twarzy jej matki, kiedy spostrzegła, że to Emma i jej córeczki wysiadają z taksówki i ruszają w jej stronę. I jeszcze cudowne uczucie ciepła i bliskości, kiedy Emma znowu znalazła się w ramionach matki, także ją przytulając; było to pojednanie, a przecież Emma nigdy nie przestała kochać swojej mamy...

Wiedziała, że lata przeżyte z Charliem wycisnęły piętno na jej psychice. Złamana kość się zrośnie, a siniaki znikną, jednak psychice trzeba będzie pomóc. Emma zamierzała dotrzymać złożonej Mary obietnicy i chodzić na terapię. Inaczej mogła nigdy się nie nauczyć, jak funkcjonować w zdrowym związku.

Nagle przyszła jej na myśl twarz Terrence'a. Terrence zawsze był miły, uprzejmy, żył według wyznawanych przez siebie zasad moralnych. Przy tym był mężczyzną głęboko wierzącym - nawet obecnie modlił się za nią. Emmie przypomniały się słowa matki. „Zawsze się w tobie podkochiwał”. Zamknęła oczy i włożyła głowę pod prysznic, tak że ciepła woda i szampon spływały jej po twarzy. *Dlaczego wcześniej nie zwróciłam uwagi na to,*

jakim dobrym człowiekiem jest Terrence? - dziwiła się. Jak mogłam zignorować takiego mężczyznę, uciekając do kogoś w typie Charliego? Nagle ogarnęło Emmę druzgocące poczucie winy, żal i wątpliwości.

Potem jednak przypomniała sobie, co poprzedniego dnia mówiła jej Mary: Pan Jezus umarł, aby zabrać cały ból spowodowany minionymi cierpieniami i ofiarować ludziom nowe życie, nowy początek - dziś. Początek, po którym będzie następowało jedno jutro po drugim - kolejne dni, aż wreszcie dla wszystkich stanie się jasne, że w życiu danego człowieka zaszła przemiana. *To prawda* - myślała Emma. *Moc Chrystusa to nie jest coś, co przynosi ulgę tylko jednorazowo, konkretnego dnia. Działa i będzie działała w moim życiu tak samo dzisiaj, jak jutro, pojutrze i przez wszystkie inne dni, w które będę wierzyła w Prawdę.*

Emma rozkoszowała się ową Prawdą, ubierając się, nakładając makijaż, aby pokryć nim sińce na twarzy i pod oczami, czesząc się. A kiedy odezwał się dzwonek u drzwi, miała wrażenie, że Bóg szepcze do niej: „Dzisiejszy dzień, ukochana córko, to dopiero początek...”.

27

Trzy miesiące później



Mary Madison jechała samochodem na cmentarz, kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy.

- Mary, tu Joe. - To był senator Joe Keane, przywódca większości w amerykańskim Kongresie. Często kontaktował się z Mary. - Przepraszam, że telefonuję w tak niefortunnym momencie.

- Nie szkodzi. - Mary odruchowo zacisnęła dłonie na kierownicy. W napięciu oczekiwała wiadomości na temat losu ustawy o finansowaniu programu promowania abstynencji seksualnej. Kongres miał debatować nad nią właśnie tego dnia. - Mów, co słyhać - ponagliła.

- Odbyło się głosowanie - powiadomił Keane. Słyhać było, że się cieszy. Miał umiarkowane poglądy, jednak popierał wszelkie pomysły legislacyjne, za którymi lobbowała Mary Madison. W jego opinii dotowane z budżetu państwa zorganizowane przez inspirowanych wiarą obywateli ośrodki dla trudnej młodzieży, schroniska, domy pomocy społecznej czy też programy - na przykład

promowania abstynencji - naprawdę znakomicie spożytkowały powierzone sobie pieniądze.

- No i jak? - dopytywała się Mary.

- Ustawa przeszła. Niewielką większością, ale przeszła. - Keane odetchnął z ulgą. - To ty przechyliłaś szalę - statystykami, które podałaś, i swoim świadectwem. Po prostu przekonałaś senatorów.

Mary uśmiechnęła się - a w tym tygodniu niewiele się uśmiechała.

- Tak przeczuwałam... - szepnęła.

- To ustawa o wielkim znaczeniu. Zorganizuję konferencję prasową - tobie i senatorom, którzy współuczestniczyli w tej inicjatywie; o szesnastej, na schodach Kapitolu. Czy odpowiada ci taka pora?

- J a k najbardziej. - Mary zacisnęła usta. Tego dnia miało ją spotkać naprawdę wiele przeżyć. - Świetnie się spisaliście, Joe - pochwaliła. - Odezwę się później.

- Dobrze. - Joe Keane westchnął. - Przykro mi z powodu twojej babci.

- Dzięki. Mnie również... - Do oczu Mary napływały łzy.

Rozmowa się zakończyła. Mary wzięła głęboki oddech, zamrużyła powiekami, żeby dobrze widzieć drogę, i pomodliła się: *Panie Jezu... jak ja mam radzić sobie z tym wszystkim bez niej? Proszę Cię, spraw, żebym poczuła dzisiaj, jak mnie tulisz. Już tak bardzo tęsknię za babcią!*

Mary stopniowo oswajała się z faktem, że już nigdy nie porozmawia z babcią Peggy. Babcia umarła we śnie

trzy dni wcześniej, kilka godzin po porannej wizycie Mary. Mary zatrzymała samochód na czerwonym świetle i przypomniała sobie ostatni poranek, który spędziły razem.

Trzymały się z babcią za ręce i rozmawiały o tym, jak dobrze radzi sobie Emma Johnson, jak do ostatniej chwili niepewny jest los ustawy o finansowaniu programu abstynencji, wreszcie o tym, że koniecznie muszą modlić się o zwycięstwo w senackim głosowaniu. Przed wyjściem wnuczki babcia Peggy popatrzyła na nią czule i powiedziała:

- Jestem zmęczona. Bardzo zmęczona...

- W takim razie pójdę już - odparła Mary, wstając.
- Przytuliła babcię. - Zdrzemnij się.

- Nie... - Babcia nie wyglądała na zaniepokojoną ani przerażoną. Raczej na osobę, która przeczuwała to, co miało się wkrótce zdarzyć. - Nie mówię o tego rodzaju zmęczeniu, tylko o takim, przez które tęsknię już do Pana Jezusa... - Uśmiechnęła się i jej przymglone oczy błysnęły jeszcze raz. - Jestem gotowa, Mary.

- Nie mów tak, babciu - skarciła ją Mary, ujmując delikatnie jej kruchą dłoń. - Wciąż cię potrzebuje.

- Potrzebujesz Chrystusa, i tylko Jego - przypomniała babcia.

- Ale Chrystus dał mi ciebie!... - odpowiedziała Mary, przerażona. Nachyliła się i pocałowała babcię w brew.
- A teraz prześpij się odrobinę - i do zobaczenia jutro.

Ani przez chwilę Mary nie sądziła, że naprawdę rozmawiają po raz ostatni, że kilka godzin później jej babcia odejdzie do Pana.

Mary sięgnęła do schowka po chusteczkę; nie wiedziała nawet, że można tak dużo płakać. Brakowało jej prawdziwego pożegnania z babcią, ostatniej rozmowy, podczas której powiedziała by babci Peggy, że gdyby nie ona, zapewne umarłaby w młodym wieku już przed laty. Tuliłaby także babcię dłużej i została z nią, dopóki jej serce nie przestałoby bić. Błagałaby ją, że by - gdyby to tylko było możliwe - trzymała się, nie poddawała. Żeby pożyła jeszcze choćby tydzień albo nawet jeden dzień dłużej. Jeszcze godzinę. *Niedobrze, że nie było mnie przy babci, kiedy umierała!* - myślała Mary. *Nie trzymałam jej za rękę, nie modliłam się z nią, nie powiedziałam jej „do zobaczenia”. Tyłu rzeczy nie zdążyłyśmy sobie powiedzieć!*

Mary osuszyła oczy i skręciła na przycmentarny parking.

I wtedy zobaczyła jego.

Serce Mary zamarło na moment; była pod takim wrażeniem, że aż niechcący zdjęła nogę z gazu. *Przyjechał, naprawdę przyjechał!* - myślała.

Na parkingu stał Nigel. Od tej chwili Mary nie musiała już tego dnia - najsmutniejszego z możliwych - przeżywać sama!

Zmrużyła oczy, ponieważ Nigel stał w promieniach słońca. Oparł się o maskę samochodu z wypożyczalni;

w tej chwili był odwrócony plecami do Mary, patrzył na morze nagrobków. Mary zaparkowała na najbliższym wolnym miejscu, nie spuszczaając oczu z Nigela.

Nigel!...

Zatelefonowała do niego godzinę po tym, jak dowiedziała się o odejściu babci. W Portugalii był wtedy wczesny wieczór. Nigel natychmiast odpowiedział, że przyleci. I przyleciał, minęło kilka godzin od chwili, kiedy wylądował na lotnisku Dulles.

Mary uważnie przyglądała się Nigelowi. Czowała w sercu ukłucie żalu - tyle czasu za nim tęskniła! Nie widziała go ponad dziesięć lat, ale Nigel wciąż miał tak samo szerokie ramiona i dumną, męską postawę.

Obejrzał się, kiedy Mary wyłączyła silnik. Popatrzyli sobie w oczy i nie odwracali spojrzeń, mimo że Mary wysiadała z samochodu. Podeszła do Nigela. On ujął jej dłoń, a potem przytulili się, jak gdyby widzieli się zaledwie poprzedniego dnia. Przez chwilę czuli nawzajem bicie swoich serc.

Uścisk Nigela powiedział Mary wszystko - to, czego Nigel nie powinien był mówić jej słowami. Nie przestało mu na niej zależeć - ani przez jeden dzień, ani przez chwilę. *Ale skoro tak, to uznając, że poświęcenie życia Chrystusowi wystarczy, podjęliśmy właściwą decyzję* - pomyślała Mary. *Łączy nas Boża miłość - głębsza niż wszystko, co moglibyśmy osiągnąć inaczej. Niezależnie od tego, że czas nie osłabił naszych uczuć.*

Nigel cofnął się i spojrzał Mary w oczy.

- Jak się czujesz? - spytał.

Mary przekrzywiła głowę i także patrzyła mu w oczy. Kiedy już była w stanie mówić, szepnęła cichutko:

- Jestem smutna. Bardzo smutna!...

- Wiem... - Nigel uniósł rękę i delikatnie pogłaskał Mary po włosach. - Tak ogromnie ci współczuję!

- Idź koło mnie - poprosiła, kiwając głową. Pierwsza ruszyła na nieduży cmentarz, położony poza miastem, na terenie stanu Wirginia. Dzień był słoneczny, promienie słońca ogrzewały twarz Mary - i pomyślała, że paradoksalnie pasuje to do okazji. Niezależnie od tego, ile łez wylała i jak bardzo cierpiała z powodu odejścia babci Peggy, nie była w rozpacz, mimo że się jej spodziewała. Owszem, była bardzo smutna. Tęskniła już za babcią, gorąco pragnęła spędzić z nią choćby jeszcze jeden dzień, odbyć jeszcze jedną rozmowę, przytulić babcię jeszcze raz.

Ale rozpacz nie czuła.

W tej chwili największą tragedią nie była dla Mary śmierć jej babci, tylko to, że straciły dawniej tyle lat, które mogłyby przeżyć razem. Lat, podczas których Mary cierpiała w tak okropny sposób, że bez pomocy Jezusa żadna dziewczyna na świecie nie zdołałaby powrócić po czymś takim do normalnego życia.

Mary spojrzała przez ramię na Nigela. Był naprawdę potężnym mężczyzną.

- Tędy - powiedziała, pokazując na kępę drzew.

Nigel skinął głową. Miał teraz na sobie okulary przeciwsłoneczne, nie było więc widać jego oczu. Jednak raz po raz zaciskał szczękę. Mary domyśliła się, że Nigel stara

się powstrzymywać łzy. Łzy które być może napływały do jego oczu z więcej niż jednego powodu. Ale babcia Peggy także dla niego była szczególną osobą.

Mary i Nigel mijali kolejne nagrobki, mniejsze i większe, aż wreszcie dotarli do kępy drzew. Nieopodal niej ustawiono dwa rzędy krzeseł. Czekał już pastor z kościoła, do którego chodziła babcia Peggy. Ścisłym głosem rozmawiał z cmentarnym strażnikiem.

Serce Mary w jednej chwili ogarnął wielki smutek. To wszystko działo się naprawdę! Zamierzała właśnie pochować babcię Peggy, mimo że miała ochotę odwrócić się i pobiec do domu opieki Pod Złocistą Jabłonią, do przytulnego pokoju, gdzie stało wielkie łóżko, w którym powinna czekać na nią babcia.

Mary i Nigel przystanęli.

- Jest!... - szepnęła Mary. Zobaczyła trumnę, ustawioną tuż obok wykopanego dołu. Na usypanym obok miniaturowym wzgórkku ze świeżej ziemi leżało mnóstwo wieńców i wiązanek. Przysłali je różni ludzie z całego Waszyngtonu - senatorowie i kongresmani, pracownicy i mieszkanki schronisk. Jeden bukiet kupiła grupka nastoletnich chłopców, którzy spędzali czas na ulicach, ale przychodzili raz w tygodniu do ośrodka dla młodzieży na prowadzone przez Mary konwersatorium biblijne.

Spod drobin ziemi wystawały tu i tam zielone źdźbła trawy - dowód na to, że życie zawsze będzie miało ostatnie słowo, przynajmniej w przypadku ludzi, którzy przyjmują Chrystusowy dar.

Mary i Nigel podeszli razem do trumny i przygotowanego grobu i przeczytali słowa wypisane na opartej o trumnę tymczasowej tabliczce nagrobnej. „Peggy Madison, ukochana Babcia” - głosił napis. Dalej następowały daty urodzin i śmierci. Wynikało z nich, że babcia Peggy umarła w wieku zaledwie sześćdziesięciu siedmiu lat. *Zbyt młodo* - myślała Mary. Na dole było jeszcze napisane: „Kochała Pana Jezusa”.

- Celnie ujęte... - skomentował cicho Nigel. Przyklęknął i oczyścił tabliczkę z pyłu.

Mary założyła ręce i skuliła się. Wcale nie miała ochoty być na tym cmentarzu ani żegnać się z babcią na zawsze. Odkąd powiadomiono ją o śmierci babci Peggy, Mary dziesiątki razy sięgała odruchowo po telefon, aby podzielić się z nią świeżymi informacjami na temat toczącej się politycznej debaty albo opowiedzieć o przybyciu do któregoś ze schronisk kolejnej ofiary maltretowania. Zawsze miała babci coś do powiedzenia. Jej odejście bolało Mary, jak gdyby utraciła część siebie. Zastanawiała się, czy przez resztę życia nie będzie w jakimś sensie kaleką.

Nigel chyba wyczuwał, co dzieje się w sercu Mary. Ujął jej dłoń; nic nie mówił, ale nie trzeba było słów. Jego dotyk był taki sam jak przed laty, i tak samo przynosił ulgę. Zupełnie jakby to sam Chrystus stał obok Mary i pomagał jej przetrwać pogrzeb babci, przypominając, że Mary przecież jakoś dojdzie do siebie po tej stracie.

Wolała nie myśleć o tym, że niedługo będzie musiała pożegnać się także z Nigelem.

- Tak bardzo za nią tęsknię! - odezwała się, ściskając jego dłoń. Rozplakała się, i przez dłuższy czas nie była w stanie mówić.

Dawniej straciły z babcią Peggy tyle lat, podczas których nie miały ze sobą kontaktu, a teraz... *Jaką ja mam rodzinę?... - myślała Mary. Kto z tych, którzy są wokół mnie, będzie wiedział, że Mary Madison - kobieta sukcesu, silna, wykształcona i wpływowa - jest tak naprawdę tylko dziewczynką, która czasami czuje się samotna i zmęczona, dziewczynką, która będzie się kładła spać z płaczem, ponieważ wieczorami nie będzie miała z kim rozmawiać, a także dlatego, że będzie tęskniła za ukochaną babcią, tak silnie, że aż będzie odczuwała to fizycznie?*

W końcu Mary zamrugła powiekami, żeby strząsnąć z oczu łzy, i spojrzała na Nigela.

- Wiesz, z czego dzisiaj zdałam sobie sprawę? - odezwała się.

- Z czego? - odpowiedział Nigel, patrząc jej w oczy.

- Niebo... nigdy nie wydawało mi się tak odległym miejscem.

- Hm... - Nigel nachylił się bliżej Mary i podtrzymał ją. Popatrzył na trumnę i pokiwał głową. - Nigdy nie przyszło mi do głowy takie sformułowanie...

Mary otarła dłońią świeże łzy, zanim zdążyły spłynąć jej po policzkach.

- Oczywiście wierzę, wiem, że babcia jest teraz wolna - już nigdy nie będzie odczuwała bólu ani zmęczenia, jest szczęśliwa, zdrowa i znalazła się w domu Ojca. Wszystko to wiem, czuję to tu - Mary położyła dłoń na

sercu. - Ale pragnę teraz gorąco podejść do babci i przytulić ją, porozmawiać z nią jeszcze choć raz!

Nigel objął Mary ramieniem i przytulił, głaszcząc ją lekko po włosach.

- Wiem... - szepnęła.

Było to jak gdyby wielowymiarowe pożegnanie. Także pożegnanie z okresem, kiedy Mary, babcia Peggy i Nigel żyli blisko siebie z powodu okoliczności zewnętrznych oraz modlitwy, jaka ich łączyła; wreszcie - złączeni przez samego Boga.

Mary odwróciła się, słysząc za sobą jakieś głosy. Puściła dłoń Nigela i odwróciła się przodem do zbliżającej się grupki ludzi.

- Emma! - odezwała się z uśmiechem.

Zobaczyła Emmę Johnson z jej malutkimi córeczkami, i kobietę, która musiała być matką Emmy. I jeszcze kogoś... jakiegoś przystojnego młodego mężczyznę, który trzymał się blisko niej.

Mary zrobiła krok naprzód i wyciągnęła rękę.

- Dzień dobry - odezwała się. Widok nadchodzących ludzi ogromnie ją ucieszył, mimo że przyjechali z tak smutnej dla Mary okazji. Mary i Emma przytuliły się. Potem Mary spojrzała z bliska na Emmę i zobaczyła, że nie ma już gipsu, zniknęły także siniaki i opuchlizna z jej twarzy. Emma patrzyła z wielką łagodnością, błyszczącymi oczami. - Masz Chrystusowe spojrzenie - skomentowała z uśmiechem Mary.

- Naprawdę? - spytała cicho Emma. Uśmiechnęła się słabo.

- Naprawdę - potwierdziła Mary. Stojąca naprzeciw niej młoda kobieta jeszcze nie tak dawno siedziała na barierce mostu, zawieszona wysoko ponad nurtem rzeki, gotowa skoczyć!... Emma naprawdę się zmieniła, była zupełnie inną, odnowioną osobą!

- Współczuję ci z powodu twojej babci - szepnęła Emma, delikatnie dotykając ramienia Mary. - Wiem, ile dla ciebie znaczyła.

- Dziękuję. - Mary poczuła ścisk w gardle. Spojrzała na kobietę stojącą tylko odrobinę dalej, podeszła do niej i przedstawiła się: - Jestem Mary. A pani na pewno jest matką Emmy.

- Tak. - Kobieta uśmiechnęła się nieśmiało, ale ciepło. - Mam na imię Grace. - Zasłoniła dłonią usta i dodała z wahaniem: - Jak ja kiedykolwiek zdołam pani podziękować? Odzyskałam moją córkę!...

Mary dobrze rozumiała, o co chodzi Grace. Nie przejmując się konwenansami, przytuliła ją ciepło.

- Tak ogromnie się z tego cieszę - szepnęła, wciąż zdławionym od łez głosem. - Teraz nadeszła jej kolej - spojrzała na Emmę - żeby mówić innym o Bogu.

- Tak myślę - odpowiedziała z przekonaniem Grace.

- Dziękuję wam, że przyszliście - odezwała się znowu Mary, osuszając oczy chusteczką. - To będzie bardzo skromna uroczystość. Tak wolała moja babcia.

Emma ujęła obie dłonie towarzyszącego jej młodego mężczyzny.

- A to jest Terrence Reid - przedstawiła go z dumą, uśmiechając się do niego z uwielbieniem.

- Miło mi cię poznać, Terrence - powiedziała Mary, wyciągając rękę. Terrence odpowiedział jej w ten sam sposób; a potem natychmiast skupił uwagę z powrotem na Emmie.

Mary przyglądała im się i nagle poczuła w sercu jakby ukłucie. *Emma opowiadała mi o tym chłopaku* - myślała. *To jest Terrence, który zawsze towarzyszył jej w drodze ze szkoły, dawny przyjaciel Emmy.* Mary odruchowo pomyślała o Nigelu i w tym momencie uświadomiła sobie, dlaczego czuje klucie w sercu. Było to ukłucie tęsknoty. Była zadowolona ze swojego życia, odczuwała głęboką satysfakcję z powodu tego, co robiła. *Ale jak wspaniale, że Pan pozwolił tym dwojgu odnaleźć się nawzajem* - myślała - *że na gruzach smutnej przeszłości Emmy powstaje coś tak nowego i niezwykłego.*

Emma skinęła głową w stronę Nigela. Stał teraz ze zwieszoną głową nad trumną babci Peggy, plecami do całej grupki, aby nie przeszkadzać nikomu. Emma popatrzyła na niego, potem znowu na Mary, i upewniła się:

- Czy to jest...

- Nigel - potwierdziła Mary i znowu zerknęła na Nigela. - Tak.

Emma uniosła brwi.

- Przedstaw mnie - szepnęła, ciągnąc Mary za rękaw.

Podeszły do Nigela; odwrócił się, ściągnął okulary. Mary spojrzała mu w oczy i odezwała się:

- Nigel, to jest Emma Johnson. Ta młoda kobieta, o której pisałam ci w ostatnim liście.

Nigel uśmiechnął się i grzecznie uściśnął dłoń Emmy. Nie zadawał jej jednak żadnych pytań na temat jej wiary ani tego, jak sobie radzi; nie okazał w ogóle żadnej szczególnej reakcji na jej obecność. Mary od razu zauważyła różnicę: Nigel był miły dla wszystkich i okazywał ciepło każdemu człowiekowi - ale ją jedną od zawsze darzył wyjątkowymi uczuciami.

Dlatego właśnie zmagał się ze sobą, dlatego pisał do Mary tylko raz w roku. Jego uczucia względem niej były głębokie i skomplikowane, tak samo jak uczucia Mary do niego. I dlatego musieli trzymać się prawdy. Owszem, Bóg poznał ich ze sobą, ale tylko po to, żeby Nigel mógł zapoznać Mary z Chrystusem. Często musiała sobie o tym przypominać. O tym, że do końca ich życia zarówno jej dni, jak i dni Nigela będzie całkowicie pochłaniać Chrystus i Jego wieczna miłość, praca dla Chrystusa, służba Chrystusowi.

Lecz... W chwilach takich jak ta Mary zastanawiała się, czy może...

Emma powróciła do swojego chłopaka; usadziła dzieci w drugim rzędzie. Pojawiło się jeszcze kilkoro innych ludzi - pielęgniarki z domu seniora, dwie wolontariuszki z jednego ze schronisk... Dyskretnie pozajmowali miejsca.

Mary i Nigel usiedli razem najbliżej trumny, w pierwszym rzędzie.

Pastor powiedział zaledwie parę słów; starał się jak najbardziej skrócić nabożeństwo, aby postąpić zgodnie z wolą Peggy Madison. Mary zamknęła oczy i przy-

pomniała sobie słowa, które jej babcia wypowiedziała podczas jednej z ich ostatnich rozmów:

„Kiedy odejdę, wspominaj mnie, patrząc na zachód słońca albo na uśmiech przyjaciółki. Wspominaj mnie, kiedy będziesz myślała o moich ulubionych wersach Biblii. Ale nie wydawaj na mnie mnóstwa pieniędzy ani nie poświęcaj mi mnóstwa czasu, kiedy umrę. Ja będę już wtedy świętować razem z Panem Jezusem, i chcę, żebyś ty też świętowała”.

Mary otworzyła oczy i skupiła się na słowach pastora.

- „Jak bowiem obfitują w nas cierpienia Chrystusa, tak też wielkiej doznajemy przez Chrystusa pociechy”
- powiedział.

Mary знаła ten wers Pisma Świętego i głęboko się z nim identyfikowała. Wyobraziła sobie, że babcia uśmiecha się do niej i zapewnia ją spojrzeniem - jak często robiła - że Biblia opisuje prawdę, że nadejdzie pocieszenie. Nawet w takiej chwili jak ta.

Po zakończeniu nabożeństwa uczestnicy pożegnali się, aż wreszcie na cmentarzu pozostali tylko Mary i Nigel. Wciąż siedzieli naprzeciw trumny, milcząc przez długi czas. Mary ciągle trudno było uwierzyć w śmierć babci. Od ponad dziesięciu lat nie było ani jednego dnia, którego nie rozmawiałyby ze sobą. A podczas koszmarnych lat swojego zniewolenia Mary zawsze mogła pocieszyć się wiarą w to, że jej babcia żyje, modli się za nią i szuka jej...

Nigel musiał chyba wiedzieć, co czuje Mary. Założył rękę, spojrzął na nią i odezwał się:

- Boże plany nie zawsze zgadzają się z naszymi.

- Rzeczywiście - przyznała. Bolały ją ramiona, tak się czasami działo. Kiedy żyła uwięziona przez Jimbo w piwnicy, i później, w ciągu następnych lat przed swoim uwolnieniem, ogromnie tęskniła za babcią, za jej ciepłymi, obejmującymi ją ramionami, w których czułaby się bezpieczna i ochraniana przez kochającą osobę. Wyobrażała sobie, jak siedzą z babcią Peggy w różowym pokoiku i czytają razem. Czasami, w chwilach największego smutku - takich jak ta - tęsknota za babcią była tak silna, że Mary aż odczuwała ją fizycznie. Mary odruchowo przesunęła palcami po bliznach na nadgarstku. - Życie potrafi być bardzo ciężkie - westchnęła.

Nigel odchylił głowę i popatrzył w górę, jak gdyby chciał objąć spojrzeniem niebios.

- Nie wiem dlaczego, ale i ja naprawdę cierpię z powodu odejścia twojej babci - wyznał. Zmrużył oczy i przez chwilę milczał, chyba nie był w stanie mówić. W końcu zakaszłał i odezwał się znowu: - Pragnąłem, aby Bóg wynagrodził ci wszystko. - Popatrzył Mary w oczy, i zobaczyła w jego spojrzeniu więcej niż tylko dobroć. Dostrzegła w nim także ludzką stronę Nigela. - Wszystkie te lata bez niej... - kontynuował Nigel. - Chciałem chyba, żebyś cieszyła się codzienną obecnością swojej babci jeszcze przez następne trzydzieści lat. Miałoby to wynagrodzić ci te wszystkie paskudne lata, kiedy żyłyście rozdzielone.

Nigel był mężczyzną o silnym charakterze, misjonarzem znanym z mocy swojego ducha i z mądrości. Z pewnością niełatwo mu przyszło wyznanie sprzed

chwili. Chyba nie łatwiej niż to, które wypowiedział dwanaście lat wcześniej w swoim gabinecie, kiedy przyznał się Mary do uczuć, jakimi ją darzył.

Mary delikatnie ścisnęła go za ramię. Tak dobrze się czuła, kiedy Nigel był tuż przy niej! Miała wrażenie, że jest bezpieczna, że nie jest sama, wreszcie że znajduje się we właściwym miejscu. Westchnęła powoli.

- Spędzimy razem tyle lat, ile powiedziałeś - odparła z naciskiem Mary - a nawet o wiele, wiele więcej. - Spojrzała Nigelowi w oczy. - Tylko czekanie na to jest takie trudne...

Nigel skinął głową i znowu patrzył na grób.

- Naczelną treścią całego życia twojej babci było umiłowanie Boga - stwierdził. - To był... najpiękniejszy obraz, jaki można podziwiać.

- Był i będzie, pozostanie taki na wieki - dopowiedziała Mary, puszczając ramię Nigela. Wstała i dotknęła trumny. - Być może nikt inny nie będzie pamiętał o ostatnich latach życia mojej babci... - Mary zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, spojrzała przez łzy na Nigela. - Ale ja będę pamiętała. Babcia Peggy przez cały czas modliła się za mnie. Modliła się także za kobiety takie jak Emma, i za powodzenie politycznych i innych przedsięwzięć, których się podejmuję.

- Jej odejście to naprawdę ogromna strata.

Mary wróciła na krzesło. Przez całe następne dziesięć minut siedzieli z Nigelem w milczeniu, każde zatopione we własnych wspomnieniach. W końcu Nigel spojrzał na Mary i odezwał się:

- Muszę jechać, Mary. Niedługo odlatuje mój samolot.

- Wiem.

Patrzyli sobie w oczy.

A potem Mary przytuliła się czule do Nigela.

- Będę się za ciebie modlił, Mary - szepnął prosto w jej włosy. - Co dzień. Będę mieszkał w Portugalii, ale stamtąd będę powierzał Bogu ciebie i twoją pracę w Waszyngtonie. - Cofnął się, popatrzył Mary w oczy i dodał:
- Obiecuję.

- Nigel... nie zmieniłeś się. Wciąż mnie kochasz. - Mary jeszcze na chwilę oparła głowę na piersi Nigela. A później z wysiłkiem odsunęła się od niego. Nie wiedziała, czy gdyby pozostała w jego ramionach jeszcze minutę, byłaby w stanie kiedykolwiek go puścić.

- Tak, Mary - szepnął Nigel, ujmując jej dłonie.
- Nadal cię Kocham... - Zawahał się. - W takim sensie, w jakim kocha cię Chrystus. Tylko w taki sposób mogę cię kochać i jednocześnie powrócić w miejsce, w które wezwał mnie Bóg... - Głos Nigela przycichł. Westchnął głęboko, widać było, że zмага się ze sobą. - A jednak... nie chcę się z tobą żegnać.

- Wiem. - Mary rozumiała każde słowo Nigela i wszystko, co czuł - dlatego że i ona czuła to samo. - Pomodłę się teraz za ciebie, dobrze?

Nigel skinął głową, i mocniej ścisnął dłonie Mary.

- Panie Jezu, bądź z moim przyjacielem Nigelem - zaczęła. Pociągnęła nosem, odnajdując w sobie więcej siły, o której istnieniu nie wiedziała, zanim nie poznała Nigela. - Zamyka się rozdział naszego życia, w którym towarzyszyła nam moja babcia Peggy. Ale zaplanowałeś

dla nas obojga jeszcze wiele dobrego... w dwóch różnych miejscach, w które nas przywołałeś. Czuję to w duszy, Panie. Strzeż Nigela, spraw, żeby miał zawsze otwarte oczy - tak, aby był gotowy jeszcze wiele razy pokazać Twoją miłość każdej następnej Mary Madison. - Mary uśmiechała się przez łzy. - Dlatego, że ten rodzaj miłości zmienia wszystko.

Mary i Nigel przytulili się raz jeszcze.

- Będę za tobą tęsknił! - szepnął ze wzruszeniem Nigel.

Mary nie chciała uwierzyć, że Nigel już odjeżdża.

- Ja za tobą także - szepnęła przez zaciśnięte gardło, kiwając głową. Przez moment miała ochotę zacząć krzyczeć na Nigela. Czy on nie dostrzegał tego, że może pracować w Waszyngtonie, że mogliby codziennie być razem?! A przynajmniej przyjaźnić się!

Nigel cofnął się jednak i wpatrywał się w twarz i oczy Mary, jak gdyby starał się ją zapamiętać.

- Odprowadź mnie do samochodu, proszę cię...
- szepnął.

Mary odprowadziła go i na parkingu Nigel przytulił ją ostatni raz. Później spojrział jeszcze w stronę grobu babci Peggy, i w oczy Mary, aż wreszcie wsiadł do auta i odjechał.

Mary popatrzyła za odjeżdżającym samochodem, a potem odwróciła się i powoli wróciła do grobu babci.

Dopiero wtedy wyjęła z kieszeni czerwoną portmonetkę ozdobioną koralikami. Przechowała ją przez te wszystkie lata, na przekór wszelkim okropnym wyda-

rzeniu, jakie stały się jej udziałem. W portmonetce wciąż tkwiła kartka ze słowami, które babcia Peggy nakreśliła dla swojej wnuczki. Mary ostrożnie rozłożyła pożółkłą karteczkę i przeczytała na głos treść zapisku:

- „»]jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamyslałem co do was - wyrocznia Pana - zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam przyszłość, jakiej oczekujecie«. Księga Jeremiasza, rozdział dwudziesty dziewiąty, wers jedenasty. Mary, zawsze będę przy Tobie. Kocham Cię - Babcia".

Treść karteczki pozostała prawdą, tak jak była nią przed laty. Odczytane przez Mary słowa utrzymywały ją przy życiu podczas lat jej niewoli i zagubienia, i teraz będą jej ratunkiem, aż do chwili jej śmierci. Aż do momentu, w którym trafi do nieba, gdzie znowu będą mogły przesiadywać z babcią Peggy i całymi godzinami rozmawiać.

Mary myślała wcześniej o tym, żeby włożyć czerwoną portmonetkę do trumny babci. Ale się rozmyśliła. Postanowiła trzymać portmonetkę w swoim gabinecie, aby przypominała jej, że babcia się o nią troszczy. A co więcej, że kocha ją Chrystus.

Mary spojrzała w stronę słońca i zamknęła oczy. *Pan Jezus nie tylko mnie kocha - myślała. Szukał mnie, ścigał, wołał do mnie dzień po dniu i rok po roku. Przez cały czas znał dobre rzeczy, które zaplanował dla mnie - a kiedy przestałam uciekać przed Nim, na chwilę, na tyle długą, że zdążyłam wysłuchać, co woła, owe plany zamieniły się w cudowną rzeczywistość. Mała czerwona portmonetka na zawsze pozostanie dowodem tego faktu.*

Mary znowu pomyślała o Nigelu. Wspominała jego niedawny odjazd - być może właśnie widziała Nigela ostatni raz w życiu - i w jej sercu następowała jakaś zmiana, jak gdyby zaświtała w nim jakaś myśl, której towarzyszyło pogodne uczucie. Słońce przyjemnie grzało ramiona Mary, i nagle zrozumiała, o co chodzi. Poczula się, jak gdyby wreszcie zdjęto z jej barków największy ciężar - największe zmartwienie jej życia. W minionym tygodniu, począwszy od chwili, kiedy doznała szoku, usłyszawszy o śmierci swojej babci, aż do momentu pożegnania z Nigelem, prawie nie pamiętała o pewnej bardzo ważnej rzeczy:

Chrystus był wszystkim, czego potrzebowała. Naprawdę, On sam wystarczał.

Nie mogła mieć pretensji do Pana Boga o to, że właśnie odebrał jej babcię. Nadszedł dla babci czas radosnego świętowania z Chrystusem w niebie. A dla Nigela - czas wskazywania Jezusa innym ludziom, którzy będą po raz pierwszy otwierać drzwi jego misyjnego domu pomocy społecznej w Portugalii: kobietom takim jak Emma, i jak Mary.

Mary zaś będzie musiała kroczyć swoją drogą, pozbawiona towarzystwa zarówno babci, jak Nigela. Nie będzie jednak kroczyć nią sama. Nigdy. Będą ją bowiem obejmowały ramiona Jezusa. Poczuje je wyraźnie za każdym razem, kiedy będzie przytulała nowo nawróconą osobę, kiedy będzie odwiedzała ośrodek dla młodzieży z zaniedbanych rodzin czy schronisko, które istniało dzięki jej nieustannej walce o fundusze z budżetu państwa. Za

każdym razem, kiedy do jej gabinetu będzie wchodziła następna Emma Johnson.

Mary popatrzyła na tabliczkę nagrobną babci i przeczytała: „Kochała Pana Jezusa”. Słowa te rozbrzmiewały w jej wyobraźni raz po razie. Miała nadzieję, że i na jej grobie ktoś je kiedyś wypisze.

Mary miała za sobą trudne życie i poniosła w nim wiele bolesnych strat, lecz jeszcze raz w jej sercu zaczynał panować pokój, bez wątpienia królował już w jej duszy. *Miłość Chrystusa to coś naprawdę wielkiego, ogromnego* - myślała Mary. Większego niż wszystko, cokolwiek zna i kiedykolwiek pozna ludzkość. Ale znaczenie ma nie tylko Chrystusowa miłość, lecz także Jego moc, przyrodzona Mu moc, wynikająca z tego, kim Pan Jezus jest. Kim jest naprawdę.

W pełni Bogiem, i w- Pełni człowiekiem.
Synem Bożym.